
JACK REACHER

**LEE
CHILD**

CZAS PRZESZŁY



Sztukmistrz sensacji!

„Entertainment Weekly”

ALBATROS

**LEE
CHILD
CZAS PRZESZŁY**

Z angielskiego przetoczył
Jan Kraśko

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
PAST TENSE

Copyright © Lee Child 2018

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019
Polish translation copyright © Jan Kraśko 2019

Redakcja:
Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce:
© Dean Askin Photography/Getty Images (aleja drzew/front), ©
Alamy/BEW (mężczyzna/front), © Alamy/BEW (leśna
droga/skrzydełko), Johnny Ring Photography
(mężczyzna/skrzydełko)

Projekt graficzny okładki:
Stephen Mulcahey

Opracowanie graficzne okładki polskiej:
Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-508-0

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

O książce

TYM RAZEM JACK REACHER STANIE TWARZĄ W TWARZ
Z PRZESZŁOŚCIĄ.

ALE PRZECIWNIKÓW Z PIĘŚCIAMI I BRONIĄ, Z JAKĄ DOTĄD
NIE MIAŁ DO CZYNIENIA, RÓWNIEŻ NIE ZABRAKNIE.

To miała być epicka podróż przez całe Stany – z wybrzeża Maine do San Diego. Wyprawa, jakiej Jack Reacher nie podejmował od lat. Nie zawędrował jednak daleko. Na rozwidleniu dróg zobaczył drogowskaz: Laconia. Nigdy tam nie był, ale nazwę zna dobrze – z rodzinnych dokumentów. Decyduje się więc przerwać podróż i zobaczyć miejsce, w którym urodził się jego ojciec.

W tym samym czasie, parę kilometrów dalej, dwójka młodych Kanadyjczyków z powodu awarii samochodu musi zatrzymać się w motelu na odludziu, gdzie zostają wplątani w dziwną grę, która z każdą godziną staje się coraz bardziej dramatyczna.

Tak dramatyczna, że Reacher z pewnością przyszedłby z pomocą, gdyby znał ich sytuację. Mimo że ma własne kłopoty. Bo tak to już z nim jest: wystarczy, że zatrzyma się gdzieś na dłużej, i mają go dosyć.

A on, choć lubi być w ruchu, nie cierpi, gdy ktoś próbuje go przepędzić.

LEE CHILD

Brytyjski pisarz, od 1998 r. mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 r. wybrany na prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America. W Wielkiej Brytanii studiował prawo, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach w wyniku restrukturyzacji, zainwestował w karierę literacką. W 1997 r. ukazała się jego pierwsza powieść – **Poziom śmierci**. Zdobyła Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, do której należą m.in.: **Echo w płomieniach**, **Siła perswazji**, **Jednym strzałem** (z ekranizowane jako „Jack Reacher” z Tomem Cruise’em w roli tytułowej), **Elita zabójców**, **Jutro możesz zniknąć**, **61 godzin**, **Czasami warto umrzeć**, **Ostatnia sprawa**, **Nigdy nie wracaj** (Tom Cruise ponownie wcielił się w Reachera w ekranizacji tej powieści), **Zmusz mnie**, **Sto milionów dolarów** czy **Nocna runda**.

Pamięci

Johna Reginalda Granta (1924–2016)
Normana Stevena Shirena (1925–2017)
i
Audrey Grant (1926–2017)

Jack Reacher

Imię i nazwisko: Jack Reacher Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odnaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

W małym miasteczku na wybrzeżu Maine Jack Reacher schwytał ostatnie promienie letniego słońca, a potem, tak jak ptaki na niebie, rozpoczął długą wędrówkę na południe. Ale nie, nie brzegiem morza. Nie jak kacyki, trznadle, tyranki, lasówki czy kolibry o rubinowych gardziółkach. W przeciwieństwie do nich postanowił wziąć kurs na skos, na południowy zachód, z prawego górnego rogu kraju do lewego dolnego, może przez Syracuse, Cincinnati, Saint Louis, Oklahoma City i Albuquerque, a stamtąd jeszcze dalej, aż do San Diego. Gdzie, jak dla byłego wojskowego, takiego jak on, kręciło się trochę za dużo marynarzy, ale można było przyjemnie rozpocząć zimę.

Miała to być prawdziwie epicka podróż, wyprawa, jakiej nie podejmował od lat.

Nie mógł się już doczekać.

Nie zawędrował daleko.

•••

Kilometr, może półtora kilometra od wybrzeża natrafił na wiejską drogę, więc stanął na poboczu z uniesionym kciukiem. Wysoki – w butach miał prawie sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu – potężnie zbudowany, z samych mięśni i kości, niezbyt przystojny, nie za dobrze ubrany i nieco zaniedbany, nie należał do tych, których chętnie się zabiera. Jak zwykle większość kierowców zwalniała, przyglądała się, po czym jechała dalej. Pierwszy, który gotów był zaryzykować – szczupły mężczyzna w średnim wieku – nadjechał po czterdziestu minutach, rocznym kombi subaru. Był w chinosach i wyprasowanej koszuli w kolorze khaki; pewnie ubierała go żona, bo na palcu miał obrączkę. Ale pod gatunkowymi spodniami i koszulą kryło się ciało robotnika. Gruba szyja, duże, czerwone kłykcie – sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego tym,

że jest biznesmenem, i wcale nie zachwyconego. Jak ktoś, pomyślał Reacher, kto zaczyna od kopania dziur w ziemi i kończy jako szef firmy zajmującej się stawianiem płotów i ogrodzeń.

Trafił w dziesiątkę. Już na początku rozmowy okazało się, że – nie licząc starego młotka stolarskiego ojca – facet zaczynał dosłownie z niczym, żeby po latach zostać właścicielem firmy budowlanej zatrudniającej czterdziestu pracowników i odpowiedzialnej za nadzieje i marzenia sporej grupy klientów. Zakończył swoją opowieść lekkim skrzywieniem twarzy, grymasem, z którego przebijały jankeska skromność i szczere zdumienie, miną z cyklu: Jakim cudem? Dbałość o szczegóły, pomyślał Reacher. Siedział obok niego ktoś, kto miał lekarstwo na wszystko, człowiek bardzo dobrze zorganizowany i sypiący starymi maksymami, ktoś o żelaznych poglądach, z których jeden mówił, że pod koniec lata lepiej się trzymać z dala zarówno od międzystanówki I-95, jak i od drogi numer jeden, co więcej, lepiej jest jak najszybciej dać nogę z Maine, czyli zboczyć z utartego szlaku na dwójkę, pojechać prosto do New Hampshire i zahaczyć o południowe przedmieścia Berlina, gdzie jest kilka bocznych dróg, którymi migiem dojadą do Bostonu. Bo tam właśnie jechał, na spotkanie w sprawie marmurowych blatów. Co Reacherowi w sumie odpowiadało. Równie dobrze mógł zacząć wędrówkę od Bostonu, nie widział w tym nic złego. Zupełnie nic. Mógł stamtąd pojechać prosto do Syracuse. A potem do Cincinnati przez Rochester, Buffalo i Cleveland. Może nawet przez Akron w Ohio. Bywał w gorszych miejscach. Głównie w wojsku, służbowo.

Ale nie dojechali do Bostonu.

Po pięćdziesięciu kilku minutach jazdy wyżej wspomnianymi bocznymi drogami New Hampshire mężczyzna odebrał telefon. Nawiasem mówiąc, nie przesadzał, bo drogi okazały się rzeczywiście dobre i jego plan miał ręce i nogi. Ruch? Żaden. Ani korków, ani objazdów. Cały czas pruli prawie setką, równo i bez wysiłku. Dopóki nie zadzwonił telefon. Był podłączony do radia i na ekranie nawigacji ukazało się czyjeś nazwisko z miniaturową fotografią w charakterze pomocy wizualnej, w tym przypadku zdjęciem rumianego mężczyzny w kasku budowlanka

z podkładką do pisania w ręce. Pewnie brygadzisty. Kierowca dotknął przycisku i w samochodzie rozległ się głośny syk, ze wszystkich głośników naraz, jak w stereo do kwadratu.

– Oby to była dobra wiadomość – powiedział do lewego słupka.

Ale wiadomość była zła. Chodziło o inspektora z miejskiego wydziału budownictwa i o metalową okładzinę przewodu kominowego w kominku w holu wejściowym, szybu doskonale izolowanego, w stu procentach zgodnie z przepisami, sęk w tym, że nie można było tego sprawdzić wizualnie bez zrywania kamieniarki, w tej chwili na dwa piętra wysokiej, prawie ukończonej – za tydzień wchodziła tam ekipa tynkarzy – albo bez zrywania robionej na zamówienie stolarki z orzecha w jadalni po drugiej stronie szybu, albo rozpruwania palisandrowej stolarki w garderobie na piętrze, nad kominkiem, co byłoby jeszcze bardziej skomplikowane. Inspektor, uparty palant, miał to gdzieś i chciał zobaczyć wszystko na własne oczy.

Kierowca zerknął na Reachera i rzucił:

– Który to?

– Ten nowy – odparł budowlaniec w kasku.

– Wie, że dostanie indyka na Święto Dziękczynienia?

– Powiedziałem mu, że gramy w tej samej drużynie.

Kierowca znów zerknął na Reachera, jakby prosił go o pozwolenie albo przepraszał, a może prosił i jednocześnie przepraszał.

– Zaproponowałeś mu kasę?

– Pięć stów. Nie chciał wziąć.

Wtedy stracili zasięg. Brygadzista zbulgotał jak wrzucony do wody robot, a potem umilkł. Na ekranie nawigacji ukazał się napis, że komórka szuka zasięgu.

Jechali dalej.

– Po co komu kominek w holu wejściowym? – spytał Reacher.

– Robi ciepłą atmosferę.

– Kiedyś miał odstraszać, tak myślę. Jak ognisko u wejścia do jaskini. Żeby drapieżniki nie weszły.

– Muszę wracać – powiedział kierowca. – Bardzo mi przykro.

Zwolnili, zjechali na zwirowe pobocze i przystanęli. Samotni jak

dwa kołki w płocie na zupełnym odludziu. Na drodze nie było ani jednego samochodu. Komórka wciąż szukała sygnału.

– Tu pana wysadzę. Może być?

– Jasne – odrzekł Reacher. – Kawalek mnie pan podwiózł. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co.

– Czyja to garderoba?

– Klienta.

– Niech pan każe wyciąć tam dużą dziurę i pokaże ją inspektorowi. A potem niech pan przedstawi klientowi pięć rozsądnych powodów, dla których warto mieć w domu sejf. Bo taki typ na pewno chce mieć ścienny sejf. Może jeszcze o tym nie wie, ale ktoś, kto buduje kominek w holu wejściowym, prędzej czy później pomyśli o sejfie. W sypialni albo w garderobie. Na sto procent. Natura ludzka. Jeszcze pan na tym zarobi. Wybicie dziury trwa. Niech pan mu każe zapłacić za czas.

– Pan też w tym robi? – spytał kierowca.

– Kiedyś byłem żandarmem wojskowym.

– Hę? Nieźle.

Reacher wysiadł, zamknął drzwi i odszedł na bok, żeby facet mógł zawrócić, od zwirowego pobocza do zwirowego pobocza, tam i z powrotem, na kilka razy. Co też zrobił, po czym odjechał, ze smutkiem machnąwszy ręką, pewnie życząc mu w ten sposób powodzenia. Kiedy samochód zmalął w oddali, Reacher ruszył na południe, tam, dokąd zmierzał. Lubił iść naprzód. Nie zawsze przed siebie, lecz zawsze naprzód. Na drodze, dobrze utrzymanej, dość szerokiej dwupasmówce, było trochę zakrętów i wzniesień. Co dla współczesnego samochodu nie stanowiło żadnego problemu. Subaru spokojnie wyciągało tu setkę. Mimo to droga świeciła pustkami. Dosłownie. Nic nią nie nadjeżdżało, ani z jednej, ani z drugiej strony. Panowała kompletna cisza. W drzewach wzdychał jedynie wiatr, a pod nogami cichutko szemrał rozgrzany asfalt.

Reacher szedł przed siebie.

• • •

Trzy kilometry dalej droga skręcała w lewo, odbijając od odnogi skręcającej w prawo, identycznej pod względem szerokości i wyglądu. Właściwie to nawet nie skręcała. Dawała wybór. Klasyczne rozwidlenie w kształcie litery Y. Skręć kierownicą leciutko w lewo, skręć leciutko w prawo. Twoja decyzja. Obie drogi ginęły za drzewami tak potężnymi i gęstymi, że tworzyły tunel.

Stał tam znak drogowy.

Na przekrzywionej strzałce w lewo widniał napis PORTSMOUTH, a na równie przekrzywionej strzałce w prawo – LACONIA. Z tym że napis na strzałce w prawo, nieco mniejszej niż ta wskazująca w lewo, wykonano drobniejszymi literami, jakby Laconia liczyła się mniej niż Portsmouth. Jakby była zapadłą dziurą, choć do jednego i drugiego miasta prowadziły identyczne drogi.

Laconia w New Hampshire.

Reacher znał tę nazwę. Widział ją w różnych dokumentach rodzinnych, czasem ją przy nim wymieniano. Tam urodził się jego ojciec, tam mieszkał do chwili, gdy jako siedemnastoletni chłopak postanowił wstąpić do piechoty morskiej. Przynajmniej tak głosiła cokolwiek mętna legenda rodzinna. Po prostu uciekł, nie wiadomo, od czego czy przed kim. W każdym razie już tam nie wrócił. Ani razu. Reacher urodził się ponad piętnaście lat później, w czasach, kiedy Laconia była jedynie małym szczegółem dawno zapomnianej przeszłości, miejscem równie odległym jak Terytorium Dakoty, gdzie podobno mieszkali i pracowali jego przodkowie. Nikt z rodziny nigdy tam nie jeździł. Ani tu, ani tam. Żadnych wizyt czy odwiedzin. Dziadkowie zmarli młodo i w domu rzadko o nich wspomniano. Ciotek, wujków, kuzynów czy dalekich krewnych Reacherowie najwyraźniej nie mieli. Co ze statystycznego punktu widzenia było mało prawdopodobne i sugerowało istnienie jakiejś luki. Ale ojciec, jedyne źródło wiarygodnych informacji, już nie żył, a kiedy jeszcze żył, nikt nie próbował ich z niego wyciągnąć. W rodzinach żołnierzy służących w piechocie morskiej o pewnych rzeczach po prostu się nie mówiło. Dużo później brat Reachera, Joe, już jako

kapitan stacjonujący w jednostce na północy kraju, wspomniał, że być może spróbuje odnaleźć ich stary dom, lecz nic z tego nie wyszło. Reacher pewnie też czasem o tym wspominał. Nigdy jednak tam nie pojechał.

W lewo czy w prawo. Twoja decyzja.

Duży ruch, autostrady, autobusy – Portsmouth byłoby lepsze. Szybko dostałby się stamtąd do Bostonu. San Diego bardzo kusiło. Na północnym wschodzie robiło się coraz zimniej.

Z drugiej strony, cóż znaczy jeden dzień?

Skręcił w prawo, w drogę prowadzącą do Laconii.

• • •

Tego samego późnego popołudnia i w tym samym czasie, tylko inną drogą, pięćdziesiąt kilometrów dalej, jechała mocno przechodzona honda civic, którą prowadził dwudziestopięcioletni mężczyzna, Shorty Fleck. Obok niego siedziała dwudziestopięcioletnia kobieta, niejaka Patty Sundstrom. Byli parą i oboje urodzili się i wychowali w Saint Leonard, małym, odległym miasteczku w kanadyjskim Nowym Brunszwiku. Niewiele się tam działo. Do największej sensacji doszło przed dziesięciu laty, kiedy ciężarówka wioząca dwanaście milionów pszczoł przewróciła się na zakręcie. Miejscowa gazeta z dumą doniosła, że był to pierwszy tego rodzaju wypadek w Nowym Brunszwiku. Patty, wnuczka mieszkańca Minnesoty, który pół wieku wcześniej uciekł na północ, żeby uniknąć poboru do wojska i Wietnamu, pracowała w tartaku. Shorty uprawiał ziemniaki. Jego rodzina mieszkała w Kanadzie od zawsze. I chociaż mówili na niego Krótki, wcale nie był niski. Może kiedyś, jako mały chłopiec. Uważał, że dla postronnego obserwatora jest teraz średnio przystojnym facetem.

Jechali z Saint Leonard do Nowego Jorku. I chcieli jechać tam non stop. Czysty hardkor, ale hardkor bardzo korzystny. Mieli coś do sprzedania i oszczędzając na hotelu, zarobili by więcej. Żeby uniknąć fali wracających znad morza wczasowiczów, starannie zaplanowali całą trasę, rozpracowali wszystkie boczne drogi

i objazdy na zachód; Patty z kołkowanym palcem na mapie, czujnie wypatrywała następnego skrętu i znaku. Zsumowali kilometry na papierze i wyszło im, że rzecz jest wykonalna.

Z tym że wyjechali później, niżby chcieli, przez ogólny bałagan, ale przede wszystkim dlatego, że stary akumulator hondy odmówił współpracy na jesiennym chłodzie, który nadciągnął wraz z wiatrem wiejącym od Wyspy Księcia Edwarda. Spóźnieni, długo czekali w kolejce na granicy, a potem honda zaczęła się przegrzewać, więc musieli zwolnić do osiemdziesiątki i jechać tak parę godzin.

Byli zmęczeni.

I głodni, i spragnieni, i spóźnieni, no i chciało im się sikać. Byli też sfrustrowani. Silnik hondy znów się przegrzewał. Wskaźnik temperatury muskał czerwoną kreskę. Coś zgrzytało pod maską. Może mieli za mało oleju. Nie mogli tego sprawdzić, bo od dwóch i pół roku wszystkie lampki na desce rozdzielczej świeciły się na czerwono.

– Co jest przed nami? – spytał Shorty.

– Nic – odparła Patty, sunąc czubkiem palca po opatrzonej trzycyfrowym numerem krętej czerwonej linii, biegnącej z północy na południe przez wystrzępiony bladozielony placek. Teren lesisty. Co potwierdzał rozciągający się za oknem widok. Z lewej i prawej strony napierały na nich drzewa, ciemne i nieruchome, ciężkie od wczesnojesiennych liści. Tu i ówdzie widziała na mapie krótkie czerwone linie, cieniutkie jak pajęcza nić albo jak żyłki na nodze wiekowej staruszki, drogi, które dokądś prowadziły, ale na pewno nie do miasta czy choćby wsi, gdzie mogliby znaleźć mechanika, zmienić olej albo dolać wody do chłodnicy. Najpewniejszym kandydatem było coś leżącego pół godziny jazdy dalej, miasto, którego nazwę wypisano dość dużymi, lekko pogrubionymi literami, co znaczyło, że jest tam przynajmniej stacja benzynowa. Laconia. – Damy radę zrobić jeszcze trzydzieści dwa kilometry? – spytała.

Wskaźnik temperatury wszedł już na czerwone pole.

– Może – odparł Shorty. – Pod warunkiem że ostatnie trzydzieści przejdziemy piechotą.

Zwolnił jeszcze bardziej i jechał teraz, prawie nie dodając gazu, dzięki czemu silnik mniej się grzał, ale co powodowało, że do chłodnicy wpadało na tyle mało świeżego powietrza, że prawie nie wypierało spod maski tego gorącego. Skutek? Wskaźnik temperatury wciąż pełznął w górę. Ocenivszy ich prędkość, Patty przesunęła palec nieco wyżej. Po prawej stronie drogi widniała kolejna czerwona żyłka. Cieniutka kreseczka biegnąca przez zieleń do czegoś leżącego dwa i pół centymetra dalej. Bez świstu powietrza wpadającego przez nieszczelne okno wyraźnie słyszała dochodzące z silnika odgłosy. Stuki, brzdęki, zgrzyty – robiło się coraz gorzej.

Po chwili po prawej stronie szosy zobaczyła skręt w wąską drogę. Czerwona żyłka, w samą porę. Z tym że droga nie wyglądała jak droga, tylko jak tunel. Ciemny tunel utworzony przez stykające się ze sobą korony drzew. Na omszałym słupie wisiała tablica, do której przymocowano kilka ozdobnych plastikowych liter i strzałkę. Litery układały się w słowo *Motel*.

– Skręcamy? – spytała.

Odpowiedział samochód. Wskaźnik temperatury dotarł już do końca czerwonego pola. Shorty miał gorące nogi, smażyła się komora silnika. Zastanawiał się przez sekundę, co by było, gdyby pojechali dalej. Podobno silniki wybuchają wtedy i się topią. Ale pewnie tak się tylko mówi. Nie byłoby kałuż płynnego metalu ani żadnej eksplozji. Silnik po prostu by zdechł, i już, po cichu i spokojnie. Albo by się zatarł. Albo zaczęłyby łagodnie zwalniać i w końcu na dobre by stanął.

Rzecz w tym, że jechali przez zupełne pustkowie, gdzie nie było żadnych samochodów i gdzie komórka nie łapała sygnału.

– Nie mamy wyboru. – Zahamował i skręcił. Z bliska okazało się, że plastikowe litery na tablicy pomalowano na złocisty kolor, cienkim pędzelkiem i wprawną ręką, jakby motel był przybytkiem wysokiej klasy, piękną obietnicą. Identyczna tablica wisiała na słupie naprzeciwko, tak żeby widzieli ją kierowcy nadjeżdżający z drugiej strony.

– To jak? – spytał Shorty. – Okej?

W tunelu było chłodno. Dobre dziesięć stopni chłodniej niż na

szosie. Na poboczach w błocie z zeszłorocznej zimy leżały zgniłe liście z zeszłej jesieni.

– Okej? – powtórzył Shorty.

Przejechali przez kabel leżący w poprzek drogi. Gruby i obciążony gumą, niewiele cieńszy od węża ogrodowego. Taki, przez jakie przejeżdża się na stacjach benzynowych, żeby zadzwoniło i człowiek w budynku wiedział, że ma wyjść i ci pomóc.

Patty nie odpowiedziała.

– Przecież nie może być tak źle – dodał Shorty. – Jest na mapie.

– Droga też.

– I mają ładny szylt.

– Fakt – zgodziła się z nim Patty.

Pojechali dalej.

Drzewa chłodziły i odświeżały powietrze, więc szedł z prędkością prawie sześciu i pół kilometra na godzinę, co przy długości jego nóg oznaczało dokładnie osiemdziesiąt osiem kroków na minutę, a ponieważ osiemdziesiąt osiem równych uderzeń butami w ziemię to rytm wielu wspaniałych kawałków muzycznych, czas szybko płynął. Po trzydziestu minutach, trzech kilometrach i siedmiu odegranych w głowie klasycznych hitach usłyszał z tyłu dźwięk rzeczywisty i odwróciwszy się, zobaczył starego pick-upa, który zmierzał ku niemu bokiem, niczym wielki krab, ponieważ każde koło chciało jechać w inną stronę.

Uniósł kciuk.

Pick-up przystanął. Starszy mężczyzna z długą białą brodą przechylił się nad siedzeniem pasażera i opuścił szybę.

– Jadę do Laconii.

– A ja idę – powiedział Reacher.

– No i dobra.

Reacher wsiadł i zamknął okno. Ruszyli i kołysząc się na boki, powoli nabrali prędkości.

– Pewnie powie pan zaraz, że powinienem zmienić opony – powiedział staruszek.

– Całkiem możliwe.

– W moim wieku unika się dużych inwestycji. Inwestować w przyszłość? Po co? Czy ja w ogóle jakąś mam?

– To błędne koło. Bardziej błędne niż wszystkie pańskie razem.

– Właściwie to rama jest krzywa. Miałem wypadek.

– Kiedy?

– Prawie dwadzieścia trzy lata temu.

– Więc dla pana to normalne.

– Nie pozwala mi przysnąć.

– Skąd pan wie, jak kręcić kierownicą? – spytał Reacher.

– Można przywyknąć. Wsiadasz pan i sterujesz jak żaglówką. Po

co jedzie pan do Laconii?

– Przejeżdżałem tędy. Mój ojciec się tam urodził. Chciałem zobaczyć miasto.

– Jak się pan nazywa?

– Reacher.

Staruszek pokręcił głową.

– W Laconii? Nie znam, nie słyszałem.

• • •

Okazało się, że droga rozwidlała się nie bez powodu. Powodem tym było jezioro na tyle szerokie, że kierowcy jadący z północy na południe musieli wybierać: prawy brzeg lub lewy. Oni, wciąż zataczając się i trzęsąc, wybrali prawy, z technicznego punktu widzenia dość stresujący, choć wizualnie piękny – widok był naprawdę oszałamiający, zwłaszcza w zachodzącym słońcu. W końcu wjechali do miasta. Było większe, niż Reacher się spodziewał. Gęsto zabudowane i zamożne. Piętnaście, dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Siedziba władz hrabstwa. Ceglane domy, porządnie utrzymane staroświeckie uliczki tonące w blasku czerwonego słońca – poczuł się jak na planie starego filmu.

Pick-up zachwiał się, zadygotał i stanął na rogu ulicy w centrum.

– Oto i nasze miasto – powiedział staruszek.

– Dużo się tu zmieniło? – spytał Reacher.

– Tutaj? Niewiele.

– Zawsze myślałem, że jest mniejsze.

– We wspomnieniach wszystko jest zwykle większe.

Reacher podziękował mu za podwózkę, wysiadł i długo odprowadzał samochód wzrokiem, patrząc, jak każde koło z piskliwym uporem utrzymuje, że pozostałe trzy nie mają racji. Potem odwrócił się i przeszedł kilka ulic, żeby zorientować się, gdzie co jest, zwłaszcza dwa konkretne miejsca, od których chciał zacząć nazajutrz rano, i dwa, które wymagały uwagi już teraz, czyli bar, gdzie mógłby coś zjeść, i hotel, gdzie mógłby się przespać.

Jedno i drugie znalazł w historycznym centrum miasta. Zdrowe jedzenie, restauracyjki nie szersze niż na dwa stoły. Moteli nie było, było za to mnóstwo gospód i pensjonatów ze śniadaniem. Zjadł w kiszkowatym bistrze, bo przez okno uśmiechnęła się do niego kelnerka. Była chwila zakłopotania, kiedy przyniosła zamówienie, coś w rodzaju sałatki z rostbefem, którą uznał za najbardziej odżywczą, ale okazało się, że porcja jest malutka. Poprosił więc o drugą, na większym talerzu. Początkowo kelnerka źle go rozumiała. Myślała, że z pierwszą jest coś nie tak. Albo że zaserwowała ją na złym talerzu. Albo jedno i drugie. Załapała dopiero po chwili. Gość jest głodny. Chce podwójną porcję. Spytała, czy życzy sobie coś jeszcze. Zażyczył sobie większego kubka do kawy.

Potem wrócił do gospody, którą widział w bocznej uliczce w pobliżu urzędów miejskich. Mieli wolny pokój. Wakacje już się skończyły. Zapłacił – całkiem sporo – za coś, co właściciel nazywał apartamentem, ale co według Reachera było upstrzonym kwiecistymi wzorami pokojem z kanapą i łóżkiem zawałonym puchowymi poduszkami. Zrzucił je na podłogę i włożył spodnie pod materac, żeby się wyprasowały. Potem wziął długi gorący prysznic, położył się i zasnął.

• • •

Tunel miał ponad trzy kilometry długości. Patty sunęła palcem po mapie, śledząc jego kształt. Koła hondy toczyły się powoli po szarym asfalcie, bardzo dziurawym, bo w wielu miejscach nawierzchnię całkowicie zmyła woda, żłobiąc płytkie dziury wielkości stołu bilardowego, w których prześwitywał prążkowany beton albo żwir, ale w większości pełne liści wciąż mokrych po wiosennych roztopach, ponieważ ciemnozielony baldachim był gęsty i jednolity, nie licząc miejsca, gdzie na przestrzeni dwudziestu kilku metrów nie rośło ani jedno drzewo i gdzie zobaczyli fragment jasnorożowego nieba. Wąski kawałek innego rodzaju gleby? A może nagły uskok w skalnym podłożu albo jakaś hydrauliczna osobliwość, brak wody lub jej nadmiar. Jasnorożowy wycinek nieba szybko został za nimi i znów zniknęli

w ciemnym tunelu. Shorty jechał powoli, żeby nie dobijać amortyzatorów i oszczędzać silnik. Zastanawiał się, czy nie powinien włączyć świateł.

Po pewnym czasie zielony baldachim znów się przerzedził, zapowiadając, że prześwitów będzie coraz więcej, jakby mieli przed sobą dużą polanę, jakby dokąś dojeżdżali. W oddali droga wychodziła spomiędzy drzew i prostą linią przecinała niecały hektar płaskiej łąki, jak cienka, szara wstążka, raptem zupełnie naga i wystawiona na ostatnie światło dnia. Biegła w kierunku trzech sporych drewnianych budynków stojących jeden za drugim na długim, łagodnym zakręcie w prawo. Pierwszy dzieliło od ostatniego pięćdziesiąt metrów, tak na oko, a wszystkie były pomalowane czerwono-brązową farbą i wykończone jaskrawą bielą. Na tle zielonej trawy wyglądały jak klasyczne nowoangielskie domy.

Najbliższy okazał się motelem. Niski, długi, obity czerwono-brązowymi deskami, o spadzistym dachu pokrytym szarym asfaltowym gontem, był jak obrazek w książce dla dzieci. W elementarzu. M jak motel. W pierwszym oknie świecił się czerwony neon: *Recepcja*. Obok recepcji były żaluzjowe drzwi do jakiegoś magazynu czy przechowalni, potem drzwi z numerem i zaopatrzone w roletę szerokie okno, pod którym stały trzy plastikowe fotele ogrodowe, kolejne drzwi, kolejne okno, i tak dalej, aż do końca budynku. Wzór się powtarzał. W sumie naliczyli dwanaście pokoi, jeden obok drugiego. Ale nie stał przed nimi ani jeden samochód. Przed żadnym, jakby motel świecił pustkami.

– No i co?

Patty nie odpowiedziała. Shorty zatrzymał samochód. Dalej stał drugi budynek, krótszy od motelu, lecz o wiele wyższy i szerszy. Coś w rodzaju stodoły. Ale stodoły bez zwierząt. W oczy rzucało się to, że prowadząca do drzwi betonowa rampa lśniła czystością. Mówiąc bez ogródek, że nie walało się na niej gówno. Nie, to był chyba warsztat. Parkowało przed nim dziewięć quadów, maszyn podobnych do motocykla, tylko wyposażonych w cztery grube koła. Stały rzędami po trzy w jednym, równiutko, jak na

wystawie.

– Może to hondy – rzuciła Patty. – I ktoś z obsługi będzie umiał naprawić nasz wóz.

Trzeci i ostatni budynek wyglądał jak zwykły dom, tyle że bardzo duży. Opasywała go weranda, na której stały bujane fotele.

Shorty podjechał nieco bliżej i znów zahamował. Asfalt kończył się płytkim uskokiem. Dziesięć metrów przed pustym parkingiem. Za chwilę mieli wjechać na teren utrzymywany przez właściciela motelu i wprawnym okiem rolnika uprawiającego ziemniaki ocenił, że jest to plac pokryty w równej części żwirem i błotem, pełen chwastów zarówno żywych, jak i dawno uschniętych. Natychmiast wypatrzył co najmniej pięć, których wolałby nie widzieć na swoim polu.

Koniec asfaltu był jak próg. Jak ostateczna decyzja.

– No i co? – powtórzył.

– Pusto tu – odparła Patty. – Nie ma gości. To nie dziwne?

– Już po sezonie.

– Tak nagle, jak za pstryknięciem palcami?

– Hotelarze zawsze na to narzekają.

– To odludzie.

– Dobrze miejsce na krótki wypad za miasto. Spokój i cisza.

Patty długo milczała.

– W takim razie chyba okej.

– Moim zdaniem to albo nic.

Patty powiodła wzrokiem po motelu, od lewej do prawej. Klasyczne proporcje, solidny dach, gruby szalunek, świeża farba. Dobrze utrzymany, bez żadnych krzykliwych akcentów. Solidny. Jak w Kanadzie.

– Rozejrzyjmy się – zdecydowała.

Zjechali z asfaltu. Honda podskoczyła i z głośnym klekotem potoczyła się po nierównym parkingu w stronę recepcji. Shorty wyłączył silnik. Początkowo nie chciał, ale wyłączył. Tak było bezpieczniej. Na wypadek gdyby silnik się stopił i eksplodował. Jeśli nie odpali, cóż, szkoda. I tak dobijał już tam, gdzie dawno powinien był dobić. W razie czego zawsze mogli wynająć pokój.

Wieźli wielki kufer pełen rzeczy, które zamierzali sprzedać. Ale kufer mógł zostać w samochodzie. Poza tym nie mieli zbyt wiele do noszenia.

Wysiedli i weszli do recepcji. Za ladą siedział mężczyzna. W wieku jego i Patty, może parę lat starszy. Ładnie opalony, miał starannie uczesane krótkie, jasne włosy, niebieskie oczy, bielutkie zęby i przyklejony do ust uśmiech. Ale trochę do tego miejsca nie pasował. W pierwszej chwili Shorty pomyślał, że znalazł się tu jak te dzieciaki w Kanadzie, które bogaci rodzice wysyłają latem do jakiejś głupiej roboty na zadupiu, żeby wzbogaciły swoje CV, poszerzyły horyzonty albo się odnalazły. Takie tam bzdety. Ale ten był na to pięć lat za stary. I powitał ich z miną gospodarza mówiącą: Witajcie w moim domu. Jakby należał do niego motel i cała reszta.

Może i tak było.

Patty powiedziała, że chcą wynająć pokój, i spytała, czy ktoś od tych quadów nie mógłby zerknąć na ich samochód. Jeśli nie, to poprosiliby o numer do dobrego mechanika. Najlepiej takiego z lawetą.

Mężczyzna uśmiechnął się i spytał:

– A co się stało?

Mówił jak na filmie, jak młody makler z Wall Street, taki w garniturze i krawacie. Z niezachwianą pewnością siebie. Pewnie pijał na co dzień szampana. Chciwość popłaca. Rolnicy uprawiający ziemniaki nie przepadają za takimi typami.

– Silnik się przegrzewa – odparła Patty. – I wydaje dziwne odgłosy... stuka, klekocze.

Mężczyzna posłał jej inny uśmiech, skromny, lecz władczy uśmiech młodego pana wszechświata.

– W takim razie trzeba go obejrzyć. Wygląda na to, że brakuje chłodziwa albo oleju. Łatwo to naprawić, chyba że coś przecieka. Wtedy wszystko zależałoby od tego, jakich potrzeba części. Niewykluczone, że uda nam się jakąś dopasować. A jeśli nie, znamy kilku dobrych mechaników. Tak czy inaczej, najpierw trzeba zaczekać, aż silnik ostygnie. Proszę zaparkować przed pokojem, a rano zajrzemy pod maskę.

– Rano, to znaczy o której? – spytała Patty, martwiąc się, że są już bardzo spóźnieni. Jednocześnie pomyślała, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Wstajemy o wschodzie słońca – odrzekł mężczyzna.

– Ile kosztuje pokój?

– Święto Pracy mamy już za sobą, a ci, którzy przyjeżdżają tu fotografować jesienne liście, jeszcze nie ściągnęli, więc... powiedzmy, że pięćdziesiąt dolarów.

– Dobrze – zdecydowała Patty, chociaż dobrze wcale nie było. Ale znów pomyślała o zębach darowanego konia i o tym, co powiedział Shorty, że to albo nic.

– Damy państwu pokój numer dziesięć. Pierwszy, który odnowiliśmy. I szczerze mówiąc, jak na razie jedyny. Będziecie państwo pierwszymi mieszkańcami. Mamy nadzieję, że wyświadcycie nam ten zaszczyt.

Reacher obudził się minutę po trzeciej w nocy. Gwałtownie, natychmiast, jak za pstryknięciem włącznika, i tak dalej, wszystkie te oklepiane frazesy. Nie poruszył się. Nie napiął nawet mięśni rąk i nóg. Po prostu leżał, patrząc w ciemność, nasłuchując i próbując się maksymalnie skupić. Wyuczona reakcja? Nie. Prymitywny instynkt, który ewolucja wstrzyknęła głęboko w tylną część mózgu. Był kiedyś na południu Kalifornii. Mocno spał przy oknach szeroko otwartych na piękną noc i nagle się obudził, natychmiast, gwałtownie, jak za pstryknięciem włącznika, bo poczuł we śnie słaby zapach dymu. Nie papierosowego ani buchającego z płonącego budynku, tylko dymu z pożaru szalejącego na zboczu wzgórza ponad sześćdziesiąt kilometrów dalej. Węch pierwotny. Jak kiedyś, w obliczu ognia rozchodzącego się błyskawicznie po pradawnej sawannie. To, czyi przodkowie przeżyli, zależało od tego, kto obudził się najszybciej i najszybciej uciekł. I tak przez paręset pokoleń.

Teraz jednak nie poczuł dymu. Nie minutę po trzeciej nad ranem. Nie w tym pokoju. Więc co go obudziło? Na pewno nie widok, dotyk czy smak, bo zasłony były zaciągnięte, a on leżał w łóżku sam, z zamkniętymi oczami i pustymi ustami. Pozostawał dźwięk. Coś usłyszał.

Czekał na powtórkę. Ale słuch to ewolucyjna pięta achillesowa. Nieukończony produkt. Wytwór wciąż działający dwustopniowo. Najpierw cię budzi, a potem mówi, co się dzieje. Lepiej by było, gdyby robił to jednocześnie, od razu.

Nie słyszał nic. Istnieje niewiele dźwięków, które kiedyś doskonale rozpoznawał jaszczurczy mózg. Ciche kroki czy syczenie pradawnego drapieźnika? Mało prawdopodobne. Najbliższa leśna gałązka, na którą można by nastąpić i ze złowieszczym trzaskiem złamać, leżała kilkanaście kilometrów

za miastem. Ukryty w korze mózgowej prymitywny ośrodek strachu jest pobudzany obecnie przez bardzo niewiele rzeczy. A już na pewno nie przez odgłosy z królestwa dźwięków. Te nowsze mózg analizuje gdzie indziej, w swojej przedniej części, wyczulonej na wszelkiego rodzaju szmery czy kliknięcia towarzyszące współczesnym zagrożeniom, nie jest ona jednak na tyle dominująca i kompetentna, żeby obudzić kogoś z głębokiego, spokojnego snu.

Więc co go właściwie obudziło? Jedyнным prawdziwie prastarym dźwiękiem było wołanie o pomoc. Krzyk albo błaganie. Nie współczesny wrzask, okrzyk radości czy rehotliwy śmiech. Coś bardziej prymitywnego. Ktoś zaatakował moje plemię. Na skraju obozowiska. Pierwszy system wczesnego ostrzegania.

Ale Reacher nie usłyszał nic więcej. Powtórki nie było. Wstał i przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami. Nic. Wziął poduszkę i zasłonił nią judasza. Wciąż nic, żadnej reakcji. Nikt nie strzelił mu w oko. Wyjrzał. I zobaczył jasny pusty korytarz.

Rozsunął zasłony i wyjrzał przez okno. Nikogo. Tylko wyludniona ulica, ciemna i cicha. Wrócił do łóżka, uścił poduszkę i zasnął.

• • •

Patty też obudziła się minutę po trzeciej. Spała cztery godziny, lecz minutę po trzeciej do snu wdarł się jakiś dziwny podświadomy niepokój, który kazał jej otworzyć oczy. Źle się czuła, gdzieś w głębi, a przecież powinna czuć się dobrze. Po części martwiło ją to spóźnienie. Wiedziała, że w najlepszym razie dotrą na miejsce dopiero w połowie dnia. A połowa dnia to nie najlepsza pora na handel. No i te pięćdziesiąt dolarów za pokój. I zepsuty samochód. Naprawa może kosztować majątek. Jeśli okaże się, że trzeba coś tam wymienić. Albo dopasować. Samochody są dobre, dopóki nie nawalą. Ale przecież kiedy wyszli z recepcji, silnik odpalił. Recepcjonista nie sprawiał wrażenia zmartwionego. Miał krzepiącą minę. I nie wszedł z nimi do pokoju. Za co też dała mu plus. Nie znosiła, kiedy ktoś się jej

narzucał, pokazywał, gdzie jest włącznik i łazienka, oceniał wzrokiem jej rzeczy i służalczo czekał na napiwek. Recepcjonista tego nie zrobił.

Mimo to nie czuła się najlepiej. Nie wiedziała dlaczego. Pokój był ładny. I rzeczywiście świeżo odnowiony, w każdym zakamarku. Nowe płyty gipsowe na ścianach i suficie, nowe wykończenia, nowa wykładzina, świeża farba. Ale nic nadzwyczajnego. Z pewnością nie ekstrawaganckiego. Pewnie kropka w kropkę to samo, co było tu przedtem, tylko świeżutkie, gładkie i solidne, jak spod igły. Klimatyzacja chodziła i chłodziła, w dodatku cichutko. Pod ścianą stał płaski telewizor. Okno musiało być drogie, bo miało dwie grube szyby i roletę między nimi. Nie ciągnęło się za sznurek, żeby ją podnieść czy opuścić. Naciskało się guzik. Tak, nie oszczędzili pieniędzy. Jedyne problem polegał na tym, że się nie otwierało. Okno. Co na pewno zdenerwowałyby ją podczas pożaru. Poza tym lubiła odetchnąć świeżym powietrzem, zwłaszcza nocą. Ale ogólnie rzecz biorąc, pokój był jak najbardziej w porządku. Lepszy niż większość tych, jakie widziała. Pięćdziesiąt dolarów. Pewnie nawet nie przepłacili.

Jednak coś nie dawało jej spokoju. W pokoju nie było telefonu, a komórka wciąż nie łapała sygnału, więc pół godziny po tym, jak dostali klucze, poszli do recepcji, żeby zamówić coś gorącego przez telefon stacjonarny. Lecz siedzący tam facet uśmiechnął się z ubolewaniem i powiedział, że bardzo mu przykro, ale z miasta niczego tu nie dowożą, bo motel jest za daleko. Nikt nie chce przyjeżdżać. Dodał, że większość gości wsiada po prostu do samochodu i jedzie do jakiejś restauracji czy jadłodajni. Shorty omal nie dostał szału. Bo odebrał to tak, jakby tamten mu dopiekł, mówiąc, że większość gości ma sprawne samochody. Może przez ten pełen współczucia uśmiech. Ale potem recepcjonista zawołał: Moment, przecież mamy pizzę w zamrażarce! Może przyjdziecie do nas na kolację?

Kolacja była dziwna. Mroczny, stary dom, ona, Shorty, recepcjonista i trzech innych mężczyzn w jego wieku. Wyglądali tak samo jak on, nadawali na tych samych falach, jakby wszyscy

czterej wypełniali jakąś misję. I wszyscy czterej byli dziwnie podenerwowani. Po kilku minutach rozmowy doszła do wniosku, że są splukanymi współnikami, którzy zainwestowali w to samo przedsięwzięcie, pewnie w motel. Że kupili go i próbują rozkręcić interes. Ale wszyscy byli niezwykle grzeczni, uprzejmi i rozmowni. Recepcjonista miał na imię Mark. A pozostali – Robert, Steven i Peter. Najpierw wypytywali ich o życie w Saint Leonard, całkiem inteligentnie. Potem o ich zwariowaną wyprawę do Stanów. Shorty znów omal nie dostał szału. Myślał, że mają go za głupka, bo wyruszył w drogę niesprawnym samochodem. Ale Peter, ten od quadów, powiedział, że zrobiłby dokładnie to samo, z czysto statystycznych powodów. Honda jeździła bez awarii wiele lat. Dlaczego miałyby zakładać, że nagle przestanie? Wszystko przemawiało za tym, że spokojnie dowiezie ich do celu podróży. Jak dotychczas.

Po kolacji pożegnali się, wrócili do pokoju numer dziesięć i poszli spać. Ale cztery godziny później Patty obudziła się podenerwowana. Coś jej nie pasowało i nie wiedziała dlaczego. A może jednak wiedziała. Może po prostu nie chciała się do tego przyznać. Może o to chodziło. Bo tak, w głębi serca była zła na Shorty'ego. Nie sprawdził samochodu. Dureń. Głupek głupszy niż jego kartofle. Nie mógł wyłożyć kilku dolarów? Bo ile kosztowałyby wymiana oleju, w dodatku z kuponem rabatowym? Na pewno mniej niż pięć dych, które musieli zapłacić za pokój. No i dokuczał jej potem, mówiąc, że to dziwny motel i prowadzą go dziwni ludzie, co ich skonfliktowało, bo naprawdę uważała, że Mark, Robert, Steven i Peter są bardzo mili i niczym rycerze w lśniących zbrojach ratują ją z opresji, tarapatów, w które wpędził ją wyłącznie on, rolnik uprawiający ziemniaki, zbyt głupi, żeby przed wyruszeniem w podróż sprawdzić samochód. W podróż bardzo długą, liczącą prawie dwa tysiące kilometrów, aha, no i zagraniczną, w dodatku z kufrem pełnym cennych rzeczy.

Kretyn. Chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Wstała i na bosaka podeszła do drzwi. Przekreśliła gałkę i dla zachowania równowagi drugą rękę przycisnęła do futryny, żeby drzwi

otworzyły się bez hałasu, bo nie chciała obudzić Shorty'ego, przynajmniej nie teraz, ponieważ teraz była wściekła.

Ale drzwi się zacięły. Ani drgnęły. Sprawdziła, czy zatrask w gałce jest na pewno odblokowany, i spróbowała jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Zacięły się na amen. Może po wstawieniu źle je wyregulowano. Albo spęczniały od letniego upału.

Kretyn. Dupek. Właśnie teraz mógłby się jej przydać. Był przysadzisty jak strażacki hydrant i bardzo silny. Od przerzucania tych cholernych kartofli. Ale czy miała go teraz obudzić i poprosić o pomoc? Po jej trupie. Wróciła do łóżka, położyła się i wbiła wzrok w sufit, równy i gładki, wytrzymały i solidny.

• • •

Reacher obudził się o ósmej. Zza brzegów zasłon do pokoju wpadały jaskrawe smugi porannego słońca. W powietrzu żeglowały leniwie drobiny kurzu. Z ulicy dochodziły przytłumione odgłosy. Warkot samochodów, czekających, a potem ruszających. Pewnie spod świateł na skrzyżowaniu. Od czasu do czasu zatrąbił klakson, jakby kierowca stojący na czele kolumny zagapił się i spóźnił.

Wziął prysznic, wyjął spodnie spod materaca, ubrał się i wyruszył na poszukiwanie śniadania. Kilka kroków od gospody znalazł kawę i muffinki i nabrawszy sił na dłuższy rekonesans, trafił do miejsca, w którym, jak przypuszczał, serwowano niezłe jedzenie zamaskowane wieloma warstwami śmiesznej stylizacji. Szybko doszedł do wniosku, że on tego nie rozszyfruje i trzeba do tego kogoś bystrzejszego. Z grubsza rzecz biorąc, wystrój restauracji był współczesną wizją tego, gdzie i na czym mogli jadać dawni drwale, no i oczywiście tego, co mogli jadać, a według współczesnej wizji, której odzwierciedleniem było bardzo współczesne menu, jadali prawie wyłącznie potrawy smażone w głębokim tłuszczu. Z tego co wiedział, drwale jedli to samo co inni ciężko pracujący ludzie, czyli różne rzeczy. Ale ponieważ z ideologicznego punktu widzenia nie miał nic przeciwko smażeniu, zwłaszcza konsumowanej w stosownych

ilościach, postanowił tam zajrzeć. Wszedł i usiadł, miał nadzieję, że dziarsko i niecierpliwie, jakby za pół godziny musiał ściąć kolejne drzewo.

Jedzenie było dobre, regularnie dolewano mu kawy, więc siedział tam dłużej niż pół godziny, patrząc w okno, mierząc rytm gwarnej ulicy, czekając, aż ludzie w garniturach i kostiumach dotrą bezpiecznie do pracy. Potem wstał, zapłacił, zostawił napiwek i przeszedłszy dwie ulice, które zbadał już poprzedniego wieczoru, znalazł się tam, gdzie, jak założył, powinien zacząć. Czyli w archiwum miejskim, które miało własny numer i nazwę na gęsto zapisanej tablicy na ścianie ceglanego państwowego gmachu, gdzie mieściło się wiele instytucji. Sądząc po wieku i kształcie, kiedyś musiał być tam sąd. Możliwe, że nadal był.

Okazało się, że biuro, którego szuka, jest w jednym z wielu małych pomieszczeń na antresoli wielkiego holu wejściowego. Antresola wyglądała jak w luksusowym hotelu, z tym że wszystkie drzwi były do połowy ze staromodnego prążkowanego szkła. Na szybach widniały nazwy poszczególnych wydziałów napisane złotymi literami, a pełna nazwa archiwum zajmowała aż dwie linijki. Za drzwiami mieścił się pusty pokój z czterema plastikowymi krzesłami i wysoką do pasa ladą. Jak w miniaturowej wersji każdego ważnego urzędu. Do lady przytwierdzono dzwonek elektryczny z cienkim kablem biegnącym do pobliskiej dziury w ścianie, a obok dzwonka leżała kartka z odręcznie sporządzoną wskazówką: *Proszę dzwonić po obsługę*. Napis wykonano bardzo starannie, a kartkę przyklejono do blatu kilkoma długimi kawałkami taśmy, podwiniętej na rogach i brudnej, jakby długo skubały ją czyjeś znudzone lub zniecierpliwione palce.

Reacher zadzwonił. Chwilę później tylnymi drzwiami do pokoju weszła kobieta, oglądając się przez ramię, jakby z żalem, że opuszcza pomieszczenie o wiele większe albo ciekawsze. Szczupła i zgrabna, w szarym swetrze i szarej spódnicy, miała około trzydziestu lat. Podeszła do lady, ale przedtem jeszcze raz zerknęła na drzwi. Albo czekał tam na nią chłopak, albo nie lubiła

swojej pracy. Całkiem prawdopodobne były też obie te możliwości. Ale robiła, co mogła. Wykrzesła z siebie ciepły uśmiech, przybrała przyjazną pozę. Może niezupełnie jak sprzedawczyni w sklepie, gdzie klient ma zawsze rację, ale jak ktoś równy jemu, jakby ona i on mieli zaraz rozpocząć fantastyczną przygodę w krainie zagadek z odległej przeszłości miasta.

– Chciałbym zajrzeć do starych spisów nieruchomości – powiedział.

– Chodzi o spór własnościowy? – spytała kobieta. – Jeśli tak, niech zwróci się do nas pański adwokat. Tak będzie szybciej.

– Nie, z nikim się nie spieram. Mój ojciec się tu urodził. To wszystko. Wiele lat temu. Już nie żyje. Przejeżdżałem tędy. Pomyślałem, że wpadnę i zerknę na dom, w którym mieszkał.

– Zna pan adres?

– Nie.

– Pamięta pan, gdzie to w przybliżeniu jest?

– Nigdy tam nie byłem.

– Nie odwiedzał go pan? – spytała kobieta.

– Nie – odparł.

– Może dlatego, że pana ojciec wyjechał stąd za młodu.

– Mieszkał tu, dopóki nie wstąpił do piechoty morskiej. Miał wtedy siedemnaście lat.

– Ale pańscy dziadkowie mogli wyjechać, zanim ojciec założył własną rodzinę. Zanim odwiedzanie się weszło w modę.

– Mam wrażenie, że dziadkowie mieszkali tu do końca życia.

– Ale ich pan nie znał, tak?

– Byliśmy rodziną wojskowych – odparł. – Ciągle gdzieś nas przerzucano.

– Przykro mi.

– Nie pani wina.

– Nie, ale dziękuję za pańską służbę.

– To ojciec służył w piechocie, nie ja. Chciałem odszukać jego nazwisko w rejestrze urodzeń czy w czymś takim. Poznać pełne dane jego rodziców, żebyśmy mogli znaleźć dokładny adres, na przykład w rejestrze podatków od nieruchomości. Wtedy

mógłbym tam wpaść i zerknąć.

– Nie zna pan imion dziadków?

– Nazywali się chyba James i Elizabeth Reacherowie.

– Tak jak ja – powiedziała kobieta.

– Pani też nazywa się Reacher?

– Nie, Elizabeth. Elizabeth Castle.

– Miło mi panią poznać.

– Wzajemnie.

– Jestem Jack Reacher. Mój ojciec miał na imię Stan.

– Kiedy wstąpił do piechoty morskiej?

– Dobijałby teraz dziewięćdziesiątki, więc ponad siedemdziesiąt lat temu.

– Chyba powinniśmy zwiększyć margines o dziesięć lat i zacząć od osiemdziesięciu – zasugerowała Elizabeth. – Stan Reacher miałby wtedy około dziesięciu lat i wraz ze swoimi rodzicami, Jamesem i Elizabeth, mieszkał gdzieś w Laconii. Czy to dobre podsumowanie?

– Jakbym czytał pierwszy rozdział mojej autobiografii.

– Jestem pewna, że nasze archiwa cyfrowe sięgają teraz znacznie dalej, ponad osiem dekad wstecz. Ale obawiam się, że tak stare rejestry podatków od nieruchomości zawierają tylko nazwiska.

Elizabeth przekreśliła klucz i otworzyła klapę w blacie. Pod klapę były ekran i klawiatura. Nie ma to jak bezpieczeństwo, pomyślał Reacher. Pod nieobecność obsługi nikt tu niczego nie ukradnie. Nacisnęła klawisz i odwróciła wzrok.

– Zaraz odpali. Długo się mobilizuje.

„Odpali” – słyszał to określenie w kontekście technologicznym, ale w połączeniu z „mobilizuje” skojarzyło mu się ono z wojskiem, z piechotą zwierającą szyki przed atakiem.

Elizabeth zaczęła klikać i przewijać ekran, klikać i przewijać.

– Tak – rzuciła w końcu. – Rejestr podatków od nieruchomości sprzed osiemdziesięciu lat to tylko indeks z numerami akt. Jeśli chce pan szczegółowych informacji, musi pan poprosić o oryginalne dokumenty z archiwum. Ale to, niestety, trwa.

– Długo? – spytał.

- Bywa, że trzy miesiące.
- Czy w tym indeksie są nazwiska i adresy?
- Tak.
- Myślę, że to powinno wystarczyć.
- Jeśli chce pan tylko obejrzeć ich dom, to chyba tak.
- Nie zamierzam robić nic więcej.
- Nie jest pan ciekawy?
- Czego?
- Tego, jak żyli. Kim byli i czym się zajmowali.
- Jestem, ale nie na tyle, żeby czekać trzy miesiące.
- Dobrze, w takim razie tylko nazwiska i adresy.
- Zakładając, że dom jeszcze stoi. Ktoś mógł go zburzyć. Osiemdziesiąt lat to bardzo długo.
- Tu zmiany zachodzą powoli.

Elizabeth znów zastukała w klawiaturę i zaczęła przewijać ekran, początkowo bardzo szybko, przez pierwszą część alfabetu, potem dużo wolniej, wypatrując pewnie nazwisk na R. Następnie wróciła do początku, też bardzo powoli i tylko po to, żeby po chwili znów przesunąć ekran w dół i znów w górę, bardzo szybko, jakby chciała coś z niego wytrząsnąć. W końcu oświadczyła:

– Osiemdziesiąt lat temu nikt o nazwisku Reacher nie posiadał w Laconii żadnej nieruchomości.

Patty Sundstrom też obudziła się o ósmej rano, później, niż chciała, ale w nocy w końcu dopadło ją zmęczenie i spała głęboko jeszcze pięć godzin. Wyczuła, że miejsce obok niej jest puste, przewróciła się na bok i zobaczyła, że drzwi są otwarte. Shorty był na parkingu. Rozmawiał z jednym z tych z obsługi. Chyba z Peterem. Tym od quadów. Stali obok hondy. Honda miała podniesioną maskę. Jasno świeciło słońce.

Wstała i zgięta w pół potruchtała do łazienki. Żeby nie zobaczył jej Peter, w każdym razie ten przy hondzie. Wzięła prysznic i ubrała się w ciuchy z poprzedniego dnia, bo nie zabrała nic na zmianę. Wyszła z łazienki. Czuła coraz większy głód. Drzwi wciąż były otwarte. Słońce wciąż świeciło. Shorty został sam. Tamten zniknął.

Wyszła na dwór.

– Dzień dobry.

– Nie chce zapalić – burknął Shorty. – Facet pogmerał pod maską i teraz nie chce zapalić. Wczoraj wszystko było w porządku.

– Niezupełnie – zauważyła.

– Ale zapalił. A teraz nie chce. Gość coś spieprzył.

– Co zrobił?

– Nie wiem, gdzieś tu grzebał. Miał klucz francuski i kombinerki. Tylko pogorszył sprawę.

– Peter? – spytała. – Ten od quadów?

– Tak mówi. Jeśli to ich mechanik, to gratuluję. Pewnie dlatego mają ich aż dziewięć. Żeby jeden zawsze działał.

– Wczoraj samochód zapalił, bo silnik był gorący. Teraz jest zimny. To różnica.

– Ty co? – warknął Shorty. – Też bawisz się w mechanika?

– A ty nie?

– On coś zepsuł.

– Moim zdaniem stara się nam pomóc najlepiej, jak umie. Powinniśmy mu podziękować.

– Za to, że zepsuł nam wóz?

– Wóz był już zepsuty.

– Wczorajem zapalił za pierwszym razem.

Zmieniła temat.

– Miałeś kłopoty z drzwiami?

– Kiedy?

– Teraz. Jak wychodziłeś.

– Kłopoty?

– W nocy chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza, ale nie mogłam ich otworzyć. Zacięły się.

– Ja otworzyłem bez problemu.

Ze stojącej pięćdziesiąt metrów dalej stodoły wyszedł Peter z płócienną brązową torbą w ręce. Torba wydawała się ciężka. Narzędzia, pomyślała Patty. Będzie naprawiał samochód.

– Posłuchaj mnie, Shorty Fleck – powiedziała. – Ci panowie próbują nam pomóc i chcę, żebyś okazał im wdzięczność. A przynajmniej nie dawał im powodu do tego, żeby przestali nam pomagać, zanim skończą. Czy wyrażam się jasno?

– Jezu – mruknął Shorty. – Mówisz tak, jakby to była moja wina czy coś.

– No właśnie, czy coś – powtórzyła Patty i zamilkła, czekając na Petera z narzędziami. Podszedł do nich z wesołym uśmiechem, jakby chciał zatrzeć ręce i od razu zabrać się do roboty. – Bardzo dziękujemy za pomoc – powiedziała.

– Nie ma sprawy – rzucił.

– Mam nadzieję, że to nic skomplikowanego.

– Na razie stoi przed nami zimny trup. A jak zimny trup, to pewnie elektryka. Prawdopodobnie stopił się jakiś kabel.

– Da się go wymienić?

– Spróbuję coś dosztukować. Żeby obejść tę spaloną część. Ale prędzej czy później będziecie musieli oddać wóz do warsztatu. Inaczej część odpadnie i będzie kłopot.

– Długo potrwa to sztukowanie?

– Najpierw sprawdzimy, co się sfajczyło.

– Wczoraj zapalił – powtórzył Shorty. – Popracował parę minut i go zgasilem. Stygł całą noc, więc co się mogło stopić?

Peter nie odpowiedział.

– On tylko pyta – wtrąciła Patty. – Na wypadek gdyby nie udało się znaleźć tej stopionej części. Nie chcielibyśmy zabierać panu czasu. To bardzo miło, że chce nam pan pomóc.

– Nie, nie, to rozsądne pytanie – odparł Peter. – Kiedy gaśnie silnik, przestają pracować pompa i wiatrak chłodnicy. Ponieważ nie ma wymuszonego chłodzenia, gorąca woda podchodzi coraz wyżej i wyżej i w końcu sięga pokrywy cylindra. W pierwszej godzinie po zgaszeniu silnika temperatura powierzchniowa korpusu może nawet wzrosnąć. I jeśli dotykał go jakiś kabel...

Zanurkował pod maskę i znieruchomiał, jakby się nad czymś zastanawiał. Potem zaczął sunąć palcem po jakichś przewodach, ciągnąc za nie i w coś postukując. Spojrzał na akumulator. Wziął klucz i docisnął klemy.

Wreszcie cofnął się i wyprostował.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz.

Shorty usiadł za kierownicą, ale nogi zostawił na ziemi. Odwrócił się do deski rozdzielczej i położył rękę na stacyjce. Podniósł wzrok. Peter skinął głową. Shorty przekręcił kluczyk.

Samochód nie zareagował. Zupełnie. Żeby chociaż coś w nim kliknęło, zawarczało czy zakaszłało. Nie działało się absolutnie nic, jakby Shorty w ogóle nie przekręcił kluczyka. Silnik milczał. Jak zimny trup. Jak najzimniejszy trup, jakiego kiedykolwiek pochowano.

• • •

Elizabeth Castle oderwała wzrok od ekranu komputera i spojrzała w dal, jakby analizowała kilka możliwych scenariuszy i kroków, które mogłaby podjąć w zależności od swojego wyboru, poczynając zapewne od tego, że idiota Reacher pomylił miasta i powinna się go czym prędzej pozbyć, oczywiście grzecznie, niemniej szybko i sprawnie.

– Prawdopodobnie wynajmowali dom – powiedziała. – Tak jak większość ludzi. Właściciele płacili podatki. Będziemy musieli

poszukać gdzie indziej. Byli farmerami?

– Nie sądzę – odparł. – Nie pamiętam żadnych opowieści z cyklu „bladym świtem w trzaskający mróz musiałem wychodzić z domu, żeby nakarmić kury, a potem szedłem piechotą trzydzieści kilometrów do szkoły, przez głęboki śnieg i w obie strony pod górkę”. Bo farmer tak by mówił, prawda? Nie, nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

– W takim razie nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepszy bywa początek. Może od rejestru urodzeń?

– Rejestr urodzeń jest w urzędzie hrabstwa. W zupełnie innym budynku, daleko stąd. Może lepiej od spisów ludności? Pański ojciec powinien znaleźć się w dwóch, jako dwuletnie dziecko i jako dwunastoletni chłopiec.

– Gdzie je znajdę? – spytał Reacher.

– Też w urzędzie hrabstwa. Ale w innym miejscu, trochę bliżej.

– Ile oni mają tych biur?

– Sporo.

Kiedy Elizabeth podała mu adres wraz ze szczegółowymi – skręt po skręcie – wskazówkami, jak ma tam dojść, pożegnał się i wyruszył w drogę. Minął gospodę, w której nocował. Minął restaurację, gdzie zamierzał zjeść lunch. Szedł przez centrum na południowy wschód, miejscami mocno wytartymi chodnikami, które z powodzeniem mogły mieć osiemdziesiąt lat. Albo nawet sto. W większości sklepów, czystych i ładnych, sprzedawano głównie zastawy stołowe, naczynia kuchenne do gotowania, naczynia kuchenne do pieczenia oraz wszelkiego rodzaju przybory związane z przygotowywaniem i spożywaniem jedzenia. W niektórych można było kupić buty. W kilku torebki.

Budynek, którego szukał, niski i nowoczesny, tak rozłożysty, że zajmował chyba dwie średniej wielkości działki, wyglądałby lepiej na kampusie politechniki, wśród wypełnionych komputerami laboratoriów. I komputery pewnie tam były. Reacher dopiero teraz zdał sobie sprawę, że cały czas popełniał błąd, wyobrażając sobie półki uginające się pod ciężarem zalatujących pleśnią dokumentów, ręcznie spisanych i przewiązanych sznurkiem. Ale te dokumenty spoczywały

w oddalonym o trzy miesiące magazynie, bo już dawno je skopiowano, skatalogowano i zindeksowano na komputerze. Dzisiaj nie zdejmowało się ich z półek w kłębach kurzu ani nie woziło wózkiem do czytelnicy – dzisiaj wystarczy kliknąć myszką i włączyć drukarkę.

Współczesny świat.

Wszedł do recepcji, która mogłaby uchodzić za odleciane muzeum albo ekskluzywną klinikę dentystyczną. Za ladą siedział mężczyzna. Wyglądał tak, jakby zesłano go tam za karę, i kiedy Reacher powiedział „Dzień dobry”, gość bez słowa podniósł wzrok. Reacher wytłumaczył mu, że potrzebuje wyników dwóch starych spisów ludności.

– Skąd? – spytał tamten, jakby mu to wisiało.

– Stąd – odparł Reacher.

Facet zrobił tępą minę.

– Z Laconii – sprycyzował Reacher. – To takie miasto w New Hampshire. Stan New Hampshire, USA, Ameryka Północna, świat, Układ Słoneczny, galaktyka, wszechświat.

– Dlaczego dwóch? – spytał mężczyzna.

– A dlaczego nie?

– Z jakich lat?

Reacher mu powiedział – najpierw rok, w którym ojciec miał dwa lata, potem ten, w którym był dziesięć lat starszy, czyli miał lat dwanaście.

– Jest pan mieszkańcem naszego hrabstwa? – spytał mężczyzna.

– Dlaczego pan pyta?

– Pieniądze. Te materiały kosztują. Ale mieszkańcy hrabstwa mają prawo korzystać z nich za darmo.

– Jestem tu już od jakiegoś czasu – powiedział Reacher. – Na pewno nie krócej niż w innych miejscach. Przynajmniej ostatnio.

– Powód pańskich badań?

– To ważne?

– Mamy sporo rubryk do wypełnienia.

– Historia rodziny – odparł Reacher.

– Muszę zapisać pańskie nazwisko.

– Po co?

- Przepisy. Musimy, inaczej pomyślą, że zawyżamy liczby.
- Moglibyście zmyślać nazwiska cały dzień.
- Prosimy klientów o dowód tożsamości.
- Dlaczego? Czy te informacje nie są powszechnie dostępne?
- Witamy w realnym świecie – powiedział tamten.

Reacher pokazał mu paszport.

- Urodził się pan w Berlinie – skonstatował urzędnik.
- Fakt.
- W dodatku nie w naszym, tylko niemieckim.
- To jakiś problem? Myśli pan, że jestem zagranicznym szpiegiem, którego przysłano tu, żeby wysadził w powietrze coś, co wysadzono dziewięćdziesiąt lat temu?

Facet wziął jakiś formularz i napisał: *Reacher*.

- Boks numer dwa. – Wskazał drzwi po drugiej stronie holu.

Reacher wszedł do wytłumionego kwadratowego pomieszczenia, gdzie stały długie klonowe stoły podzielone przepierzeniami na stanowiska robocze. Światło było przyćmione, przy każdym stanowisku stało obite tweedem krzesło, na każdym był płaski monitor, a obok niego świeżo zatemperowany ołówek i cienki bloczek papieru opatrzone na górze jakąś nazwą, jak papeteria hotelowa. Podłogę wyłożono grubą wykładziną, ściany materiałem. Stolarka była świetnej jakości. Całość musiała kosztować co najmniej milion.

Usiadł w boksie numer dwa i ekran stojącego przed nim monitora natychmiast ożył. Zapłonął na niebiesko, równomiernie i jednolicie, nie licząc dwóch ikonek w prawym górnym rogu, które wyglądały jak znaczki pocztowe. Reacher nie znał się na komputerach, ale kilka razy miał z nimi do czynienia, poza tym wiele razy widział, jak obsługują je inni. Komputery były teraz nawet w tanich hotelach. Ileż to razy musiał czekać przy ladzie, podczas gdy recepcjonistka klikała myszką, przewijała stronę na ekranie i coś tam pisała. Minęły już czasy, kiedy kładło się na ladę kasę i od razu dostawało duży mosiężny klucz.

Poruszył myszką i przesunął strzałkę na ikony. Wiedział, że są to symbole plików. Albo katalogów. I że otworzą się, kiedy się na nie kliknie. Nigdy nie wiedział, ile razy trzeba to zrobić. Jedni

klikali raz, inni dwa razy. On zwykle dwa. Na wszelki wypadek i tak dalej. Być może to pomagało i chyba nigdy nie zaszkodziło. To tak jak strzelić komuś w głowę. Dwie kule nigdy nie zaszkodzą.

Ustawił strzałkę na środku ikonki po lewej stronie, kliknął dwa razy i ekran zmienił kolor z niebieskiego na stalowoszary, jak pokład okrętu wojennego. Na środku pojawiła się czarno-biała strona tytułowa raportu rządowego, jaskrawa jak z kserografu, napisana staroświeckim, napuszonym krojem pisma. Na górze był nagłówek: *Departament Handlu USA, R.P. Lamont, sekretarz Biura Spisu Powszechnego Ludności, W.M. Steuart, dyrektor*. Na środku napisano: *Piętnasty Spis Powszechny Mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Wyniki z okręgu Laconia w stanie New Hampshire*. Na dole zaś: *Sprzedaż w Intendenturze Głównej Dokumentów Rządowych, Waszyngton, D.C. Cena: jeden dolar*.

Spod dolnej krawędzi monitora wyglądała górna krawędź następnej strony. Trzeba będzie przesunąć ekran. Oczywiście sprawa. Przypuszczał, że robi się to za pomocą małego kółka zamontowanego na grzbiecie myszki. Między jej łopatkami. Tuż pod opuszką palca wskazującego. Wygodne. Intuicyjne. Odpuścił sobie wstęp, w którym opisywano głównie postępy metodologiczne, jakich dokonano od czasów poprzedniego – czternastego – spisu powszechnego. Ale nie były to przechwałki. Raczej przesłanie jednych maniaków z obsesją na punkcie statystyki do drugich. Już wtedy. Rzeczy, jakie trzeba wiedzieć, jeśli lubi się liczyć ludzi.

Potem ukazały się listy, nazwisk i starych zawodów, i nagle otworzył się przed nim świat sprzed prawie wieku. Wytwórcy guzików, kapelusznicy, rękawicznicy, żywicznicy, robotnicy rolni, maszyniści, nawijacze jedwabiu, cynownicy – był tam nawet dział zatytułowany *Rzadkie zawody dziecięce*. Optymistycznie podkreślono, że większość dzieci była czeladnikami. Albo pomocnikami. Kowali, murarzy, oporządcy maszyn, nalewaczy, rozlewaczy i wytapiaczy.

Ale nie było wśród nich ani jednego Reachera. Nie w Laconii w stanie New Hampshire. Nie w roku, kiedy Stan miał dwa lata.

Przesunął ekran do góry i zaczął od początku. Teraz większą uwagę zwracał na kolumnę *Dzieci na utrzymaniu*. Może doszło do jakiegoś makabrycznego wypadku i małego osieroconego Stana przygarnęli niespokrewnieni, lecz życzliwie nastawieni sąsiedzi. I odnotowali nazwisko chłopca w hołdzie dla jego prawdziwych rodziców.

Ale wśród *dzieci na utrzymaniu* nie było ani jednego Stana Reachera. Nie w Laconii w stanie New Hampshire. Nie w roku, kiedy Stan miał dwa lata.

W lewym górnym rogu ekranu widniały trzy małe guziki, czerwony, pomarańczowy i zielony, niczym małe sygnalizatory uliczne. Reacher kliknął dwa razy na czerwony i dokument zniknął. Kliknął na ikonkę po prawej stronie i znalazł tam wyniki szesnastego spisu powszechnego, który, choć przeprowadzony pod nadzorem innego już sekretarza i dyrektora, też szczyił się wielkimi postępami metodologicznymi, jakich dokonano od czasów spisu poprzedniego, czyli piętnastego.

I nic. Ani jednego Reachera.

Nie w Laconii w stanie New Hampshire. Nie w roku, kiedy Stan miał dwanaście lat.

Kliknął myszką na czerwony guziczek i dokument zniknął.

Shorty przekręcił kluczyk jeszcze raz, ale znów bez rezultatu. Dosłownie żadnego, nie licząc cichutkiego mechanicznego kliknięcia, odgłosu, jaki wydaje kluczyk obracający się w stacyjce. Dźwięku, którego kierowca nigdy nie słyszy, ponieważ zagłusza go momentalnie warkot ożywającego silnika. Tak jak huk wystrzału zagłusza trzask spustu.

Ale nie tego ranka. Silnik hondy zdechł. Jak stary schorowany pies, który odszedł nocą. W ogóle nie zareagował. Jakby coś z niego uszło. Coś się z nim stało.

– Chyba lepiej będzie, jeśli wezwiemy mechanika – powiedziała Patty.

Peter zerknął przez ramię. Patty odwróciła się i zobaczyła, że idzie ku nim trzech pozostałych. Wyszli z domu albo ze stodoły. Jak zwykle z tym najważniejszym na czele. Markiem, który meldował ich wczoraj w motelu. I zaprosił na kolację. Tym zawsze uśmiechniętym. Tuż za nim szedł Steven, a dalej Robert.

– I jak tam dzisiaj? – spytał Mark, gdy stanęli przy samochodzie.

– Kiepsko – odparł Peter.

– Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Zimny trup. Chyba coś się sfajczyło.

– Trzeba wezwać mechanika – powtórzyła Patty. – Nie chcemy zabierać wam więcej czasu.

– Wczoraj zapalił – wtrącił Shorty. – Za pierwszym razem.

– Tak, rzeczywiście – potwierdził z uśmiechem Mark.

– A teraz nie chce. Po prostu mówię, co widzę. Znam ten wóz. Mam go od lat. Jest humorzasty, ale zawsze odpala.

Mark długo milczał.

W końcu znów się uśmiechnął.

– Nie jestem pewien, co pan sugeruje.

– Nie wiem, może grzebiąc pod maską, coś tam zepsuliście – odparł Shorty.

– Uważa pan, że Peter coś zepsuł?

– Nie mam pojęcia, ale skoro wczoraj wieczorem silnik działał, a dzisiaj nie działa, to w międzyczasie musiało coś paść. To wszystko. Może przez Petera, a może nie, nie wiem. Po prostu mówię, co myślę. Zresztą to już nieważne. Ale pracujecie w tym motelu i grzebiąc pod maską, wzięliście na siebie odpowiedzialność za stan wozu. Są na to przepisy. Bezpieczne przechowywanie własności gościa i tak dalej.

Mark milczał.

– On tak tylko mówi – wtrąciła Patty. – Jest zdenerwowany.

Mark pokręcił głową, ledwo nią poruszając, jakby sprawa nie miała wielkiego znaczenia. Spojrzał na Shorty'ego.

– Stres to paskudna rzecz, zgoda. Każdy o tym wie. Ale wiemy też, że we wszystkich poczynaniach mądrze jest okazywać choćby minimum uprzejmości. Odrobinę szacunku. Trochę pokory. Poczucia odpowiedzialności. Nie dbał pan o samochód, prawda?

Shorty nie odpowiedział.

– Zegar tyka – ciągnął Mark. – Niedługo południe. W branży hotelarskiej jest to chwila, kiedy wczoraj staje się dzisiaj i będziecie nam winni kolejne pięćdziesiąt dolarów, których, jak widzę po twarzy Patty, nie chcielibyście lub nie możecie zapłacić, dlatego szybka odpowiedź pomogłaby wam dużo bardziej niż mnie. Ale szybka czy nie, wybór należy do was.

– Dobrze, samochód jest zaniedbany – przyznała Patty.

– Hej! – rzucił Shorty. – Ty co?

– Bo jest. Pewnie pierwszy raz ktoś zajrzał pod maskę. Odkąd go kupiłeś.

– Ja go nie kupiłem. Dostałem.

– Od kogo?

– Od wujka.

– No to pierwszy, odkąd wujek kupił go w salonie.

Shorty umilkł.

– Patty patrzy na to z perspektywy postronnej obserwatorki – zauważył Mark. – Co sugeruje dozę obiektywności. Dlatego jestem przekonany, że ma absolutną rację. To bardzo proste. Jest

pan zapracowany. Kto miałby czas? O niektórych rzeczach po prostu się zapomina.

– Chyba tak – zgodził się z nim Shorty.

– Musi pan jednak powiedzieć to na głos, własnymi słowami. Chcemy usłyszeć to z pańskich ust.

– Ale co?

– Żebyśmy mogli zacząć od początku, tym razem tak jak trzeba.

– Ale co zacząć?

– Musimy ustanowić przyjazne stosunki, panie Fleck.

– Bo? – nie zrozumiał Shorty.

– Na przykład wczoraj zaprosiliśmy was na kolację. Mniej więcej za godzinę, też na przykład, spytacie nas, czy nie moglibyście dostać czegoś na śniadanie. Bo jakie macie wyjście? W zamian prosimy jedynie o to, żebyście nie tylko brali, lecz także dawali.

– Co dawali?

– Żebyście otwarcie przyznali, że znaleźliście się w tym kłopotliwym położeniu z własnej winy.

– Ale po co?

– To będzie tak, jakby rzucił pan na stół kilka żetonów. Początek gry. Emocjonalna stawka naszych przyjaznych relacji. My się przed wami otworzyliśmy, gościliśmy was przy naszym stole i miło by było, gdybyście się nam zrewanżowali.

– Nie chcemy śniadania – prychnął Shorty.

– Nawet kawy?

– Napijemy się wody z kranu w łazience. Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Poproście nas o coś do jedzenia na lunch. Duma dumą, ale z dwóch posiłków nie zrezygnujecie.

– Podrzucicie nas tylko do miasta. Przyślemy lawetę po samochód.

– Niestety, podwózki do miasta nie ma w naszej ofercie.

– Więc wezwijcie mechanika.

– Wezwiemy – zapewnił go Mark. – Kiedy tylko powie pan to, o co prosimy.

– Chce pan, żebym się publicznie wypowiedział?

– A ma pan z czego?

– No dobra. – Shorty westchnął. – Mogłem się lepiej postarać. Ktoś mi powiedział, że japońskie samochody dużo znoszą. Że rok można sobie odpuścić. A potem porobiło się tak, że nie wiedziałem, czy to już, czy jeszcze nie. No i kilka lat nie jeździłem na przegląd.

– Tylko kilka? – spytał Mark.

– Chyba nigdy. Tak jak pan mówił, nie miałem czasu.

– Bardzo krótkowzroczna polityka.

– Najłatwiejsza.

– Nie na dłuższą metę.

– Chyba nie – przyznał Shorty.

– A nawet błąd.

– Pewnie tak.

– I właśnie to chcemy od pana usłyszeć, panie Fleck. Proszę powiedzieć na głos, że popełnił pan głupi błąd, który wpędził w kłopoty kilka osób. Że pan nas za to przeprasza, nas, a zwłaszcza Patty, która jest wobec pana wzruszająco lojalna. Dobrze pan trafił.

– Chyba tak.

– Więc proszę powiedzieć to na głos.

– Że dobrze trafiłem z Patty? – nie zrozumiał Shorty.

– Że popełnił pan błąd.

Shorty milczał.

– Przed chwilą chciał pan, żebyśmy wzięli na siebie odpowiedzialność za pański samochód – dodał Mark. – Ale to pan musi to zrobić. Bo nie my go zaniedbaliśmy. Silnik jest bardzo precyzyjnym urządzeniem i to nie my traktowaliśmy go jak kupę gówna. Nie my wyruszyliśmy w długą podróż, nie kopnąwszy nawet w opony. Nie my. Próbujemy to panu wytłumaczyć.

Shorty wciąż milczał.

Słońce świeciło coraz mocniej. Patty czuła, że rozgrzało jej czubek głowy.

– No mów – rzuciła. – Świat się od tego nie zawali.

– Dobra, już dobra – burknął Shorty. – Popełniłem głupi błąd, który wpędził w kłopoty kilka osób. Przepraszam wszystkich

zainteresowanych.

– Dziękuję – powiedział Mark. – Teraz pójdziemy zadzwonić do mechanika.

• • •

Reacher wracał tą samą drogą, mijając sklepy z torebkami, butami i naczyniami kuchennymi, restaurację, gdzie zamierzał zjeść lunch, i gospodę, w której spał, z powrotem do archiwum w pobliżu urzędów miejskich. Za wysoką do pasa ladą znów nikogo nie było. Więc zadzwonił po obsługę. Po krótkiej chwili zjawiła się Elizabeth Castle.

– O, to pan – powiedziała. – Witam ponownie.

– Dzień dobry.

– Poszczyściło się panu?

– Jak dotąd nie. Nie ma ich tam, ani w jednym, ani drugim spisie.

– Na pewno mieszkali w Laconii? W tym stanie? Może jakaś Laconia jest gdzie indziej? W Nowym Meksyku, Nowym Jorku czy New Jersey. Jest mnóstwo stanów na N.

– Dokładnie osiem – sprecyzował. – Łącznie z Nevadą i Nebraską.

– Więc może pomylił pan pierwsze litery? Może widział pan N plus coś tam, niekoniecznie Hampshire. Kiedyś pisano trochę dziwnie.

– Widziałem tę nazwę napisaną na maszynie. Przez kancelistów z piechoty morskiej. A oni są zwykle bardzo staranni. I wiele razy słyszałem, jak wypowiadał ją ojciec. Matka wbijała mu szpilę, zwykle dlatego, że brakowało jej romantycznych gestów, a on mówił: Cóż, jestem tylko zwykłym jankesem z New Hampshire.

– Hm... – powiedziała Elizabeth.

I dodała:

– Żaden spis ludności nie jest stuprocentowo dokładny. Z wielu dziwnych powodów. Głównie przez metodologię, chociaż ciągle ją poprawiają. Powinien pan z kimś porozmawiać. To pasjonat, wielki miłośnik spisów.

– To takie... nowe hobby?

– Raczej nie – odparła nieco ostrzej. – Jestem przekonana, że to

poważna praca naukowa o długiej, zaszczytnej historii.

– Przepraszam.

– Za co?

– Chyba panią uraziłem.

– Mnie? Nie jestem miłośniczką spisów ludności.

– Ale gdyby na przykład ten, o którym mówimy, był pani chłopakiem, poczułaby się pani urażona.

– Ale nie jest – rzuciła z oburzeniem, jakby myśl ta była zupełnie absurdalna.

– Jak się nazywa?

– Carter.

– Gdzie go znajdzie?

– Która teraz jest? – spytała i nagle rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu, którego tam nie było.

Reacher zauważył, że coraz mniej ludzi nosi zegarki. Komórki zastępowały wszystko.

– Prawie jedenasta – odparł. – Brakuje czterech minut i kilku sekund.

– Poważnie?

– Jak najbardziej. Założyłem, że pani też pyta poważnie.

– I „kilku sekund”?

– Sądzi pani, że to za dokładnie?

– Większość ludzi powiedziała by „za pięć jedenasta”. Albo „około jedenastej”.

– Ja też, gdyby spytała pani, która mniej więcej jest godzina. Ale pani nie spytała. Spytała pani: „Która teraz jest?”. I kropka. A teraz jest już za trzy jedenasta. Plus kilka sekund.

– Skąd pan wie?

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę?

– Teraz już za dwie i pięćdziesiąt sekund.

– Moment. – Elizabeth zniknęła za tylnymi drzwiami i niemal natychmiast wróciła z komórką. Położyła ją na ladzie. Ekran był czarny.

– A teraz?

– Chwileczkę – odparł.

I powiedział:

– Trzy, dwie... Punkt jedenasta.

Elizabeth nacisnęła przycisk na telefonie.

Ekran pojaśniał.

Była dziesiąta pięćdziesiąt dziewięć.

– Blisko – stwierdziła.

Cyferki się zmieniły. Na jedenastą.

– Jak pan to robi?

– Nie mam pojęcia – powtórzył. – Gdzie znajdę pani znajomego, tego miłośnika spisów powszechnych?

– Nie powiedziałam, że to mój znajomy.

– Współpracownik?

– Pracuje w innym wydziale – odrzekła. – Na zapleczu. Nie ma kontaktu z klientami, to zupełnie inny ekosystem.

– Więc jak można się z nim skontaktować?

– Dlatego pytałam o godzinę. Kwadrans po jedenastej zawsze robi sobie przerwę i idzie na kawę. Codziennie, jak w zegarku.

– Musi mieć silny charakter.

– Siedzi tam dokładnie trzydzieści minut, w kawiarni, tej zaraz za światłami. W ogródku, jeśli świeci słońce. Nie wiem, czy teraz świeci. Tutaj tego nie widać.

– Jak mu na imię? – spytał, wyobrażając sobie, jak bariści wołają gości po odbiór kawy. Może tam być tłoczno, pomyślał. Tabun urzędników i wszyscy jednakowo ubrani.

– Carter to właśnie imię – odparła.

– A nazwisko?

– Carrington. Proszę się odezwać, jestem ciekawa, jak panu poszło. Niech się pan nie poddaje. Rodzina jest ważna. Jeśli się nie uda, są jeszcze inne sposoby.

Patty i Shorty siedzieli w pokoju numer dziesięć. Sami, na nieposłanym łóżku. Mark zaprosił ich jednak na śniadanie. Już miał odejść, ale w ostatniej chwili odwrócił się i uśmiechnął szeroko z miną z cyklu „Przestańmy się wygłupiać i zostanmy przyjaciółmi”. Patty chciała z nimi pójść. Ale Shorty odparł „Nie”. Wrócili do pokoju i wypili trochę letniej wody z kubka na szczołeczkę do zębów w łazience.

– Poczujesz się jeszcze gorzej, kiedy będziesz musiał poprosić, żeby dali nam coś na lunch – powiedziała Patty. – Trzeba było od razu sobie odpuścić. A tak będziesz się tylko buzował i buzował.

– Ale przyznaj, że to było dziwne – odrzekł Shorty.

– Niby co?

– To co się stało.

– A co się stało?

– Sama widziałaś. Na własne oczy.

– Powiedz to swoimi słowami.

– Swoimi słowami? Zaczynasz gadać jak oni. Widziałaś, co się stało. Chciał się na mnie zemścić, Bóg wie za co.

– Widziałam, jak Peter dobrowolnie poświęcił swój czas, żeby nam pomóc. Od razu wziął się do roboty. Zanim się jeszcze obudziłam. A potem widziałam, jak mu przywaliłeś, mówiąc, że tylko pogorszył sprawę.

– Zgoda, silnik pracował wczoraj nie najlepiej, ale pracował. A teraz nie chce nawet zapalić. Więc co się stało? Ten facet musiał coś zepsuć.

– Wóz już był zepsuty – zauważyła Patty. – To, że wczoraj uruchomiłeś silnik, mogło być kroplą przepełniającą czarę.

– To było dziwne – mruknął Shorty. – To co kazał mi zrobić.

– Zmusił cię do tego, żebyś powiedział prawdę. Do tej pory bylibyśmy już w Nowym Jorku. Dobilibyśmy targu. A teraz będziemy musieli jechać tam, gdzie biorą wszystko jak leci.

Dostalibyśmy dużo więcej. Resztę drogi moglibyśmy przejechać z klasą.

– Przepraszam – burknął Shorty. – Naprawdę.

– Może mechanik coś poradzi.

– A może lepiej zostawmy w cholerę tego grata i chodźmy na piechotę. Zanim znów każą nam zapłacić pięćdziesiąt dolarów za pokój.

– Jak to na piechotę? – nie zrozumiała Patty.

– No, na nogach. Moglibyśmy dojść do głównej drogi i złapać okazję. Mówiłaś, że trzydzieści dwa kilometry stąd jest jakieś miasto. Jak miasto, to i autobus.

– Droga przez las ma ponad trzy kilometry. Niósłbyś kufer. Większy od ciebie. Nie możemy go tu zostawić. Poza tym ta „główna droga”, jak ją nazywasz, jest drogą boczną. Zupełnie pustą. Tak to zaplanowaliśmy, pamiętasz? Na okazję moglibyśmy czekać cały dzień. Zwłaszcza z kufrem. Duży bagaż odstrasza. Kierowcy nie chcą się zatrzymywać. Bo jak mają pełny bagażnik, to co?

– Dobra, może mechanik go uruchomi – ustąpił Shorty. – Albo przynajmniej podrzuci nas do miasta. Swoim wozem. Z kufrem. W mieście coś wymyślimy.

– Kolejne pięćdziesiąt dolarów to spory uszczerbek.

– Pięć dych to jeszcze nic. Kropla w morzu. Za to, co weźmie mechanik, moglibyśmy tu zostać przez tydzień. Ci faceci pobierają opłatę za dojazd, dasz wiarę? To tak, jakby brali kasę za to, że w ogóle żyją. Też bym tak chciał. Bo ja uprawiam ziemniaki, a oni je jedzą. Uwielbiają ziemniaki. Zapiekanę z serem i bekonem, frytki czy krokiety. A gdybym tak zażądał kasy tylko za to, że posadzę im worek kartofli? Że w ogóle o tym pomyśle?

Patty usiadła tak gwałtownie, że zakołysała się materac.

– Idę się przewietrzyć.

Podeszła do drzwi i pociągnęła za klamkę. I nic. Drzwi znów się zacięły. Sprawdziła zatrzask na gałce.

– W nocy też tak było.

Shorty wstał.

Przekręcił gałkę.

Drzwi się otworzyły.

– Może kręciłaś w złą stronę?

– A ile jest tych stron? – odparowała Patty. – Kręciłam w obie.

Shorty zamknął drzwi i cofnął się o krok.

Patty spróbowała jeszcze raz. Położyła rękę na gałce dokładnie tak samo jak przedtem, dokładnie jak przedtem ją przekręciła i pociągnęła.

Drzwi się otworzyły.

– Dziwne – powiedziała.

• • •

Słońce stało nad Laconią trochę niżej, jak na początku jesieni, ale wciąż było ciepło jak latem. Reacher przyszedł do kawiarni za skrzyżowaniem dziesiątą po jedenastej, pięć minut przed czasem, i usiadł przy małym żelaznym stoliku w rogu ogródka, skąd widział chodnik prowadzący do urzędu miejskiego. Carter Carrington... Reacher nie bardzo wiedział, kogo ma się spodziewać. Chociaż miał kilka wskazówek. Po pierwsze, Elizabeth Castle stwierdziła, że to absurd, kiedy zasugerował, że Carrington może być jej chłopakiem. Po drugie, powiedziała, że nie jest nawet jej dobrym znajomym. Po trzecie, faceta zesłano do biura na zapleczu. Po czwarte, zabroniono mu kontaktować się z klientami. Po piąte, miał świra na punkcie metodologii spisów powszechnych ludności.

Źle to wróżyło.

W ogródku była furtka prowadząca na parking. Ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Zamówił zwykłą czarną kawę w papierowym kubku, ale nie dlatego, że zamierzał szybko wyjść, tylko dlatego, że nie podobały mu się te, w których ją tu podawano, wielkie i ciężkie jak nocniki. Uważał, że nie nadają się do kawy, ale wyglądało na to, że innym jak najbardziej odpowiadają, bo ogródek szybko się zappełniał. Wkrótce zostały tylko trzy wolne miejsca. Jedno dokładnie naprzeciwko niego. Normalne. Smutna rzeczywistość. Ludzie woleli trzymać się od niego z daleka.

Od strony urzędu nadeszła kobieta, mniej więcej

czterdziestoletnia, energiczna, kompetentna, pewnie kierowniczką jakiegoś dużego wydziału. Rutynowym „Hej” i „Haj” pozdrowiła paru gości, prawdopodobnie współpracowników, rzuciła torebkę na wolne krzesło – oczywiście nie na to naprzeciwko niego – i podeszła do lady, żeby coś zamówić. Reacher obserwował chodnik. Z urzędu miejskiego wyszedł jakiś mężczyzna, który ruszył w stronę skrzyżowania. Nawet z oddali widać było, że jest wysoki i dobrze ubrany. Elegancki garnitur, biała koszula, dobrze zawiązany krawat i jasne włosy, krótkie, lecz niesforne. Jakby starał się coś z nimi zrobić i nie bardzo mu to wychodziło. Ładnie opalony, sprawiał wrażenie silnego, wysportowanego, pełnego wigoru i energii. Miał prezencję. Na tle starych kamienic wyglądał jak gwiazdor na planie filmowym.

Tylko że utykał. Bardzo lekko, na lewą nogę.

Kobieta wróciła do stolika z kubkiem i talerzykiem i usiadła na zarezerwowanym krześle, tak że pozostały jedynie dwa wolne miejsca, z których jedno natychmiast zajęła kolejna kobieta, pewnie kierowniczką innego ważnego wydziału, ponieważ rutynowym „Hej” i „Haj” pozdrowiła inną grupkę gości. W ogródku pozostało tylko jedno wolne krzesło, to naprzeciwko Reachera.

Wtedy wszedł tam gwiazdor w eleganckim garniturze. Z bliska wyglądał dokładnie tak jak z daleka, a nawet lepiej, bo był przystojny. Surowo przystojny, jak kowboj po studiach. Smukły, wysoki i sprawny, miał ze trzydzieści pięć lat. Reacher założył się ze sobą, że gość służył kiedyś w wojsku. Wszystko za tym przemawiało. W sekundę napisał w wyobraźni jego biografię: szkolenie oficerskie na jakimś zachodnim uniwersytecie, rana odniesiona w Iraku albo Afganistanie, szpital wojskowy Waltera Reeda w Waszyngtonie, a potem praca, stanowisko kierownicze, coś, co wymagało reprezentowania mieszkańców w sporach z władzami miasta. Miał w rękach papierowy kubek i papierową torebkę, nieco przetłuszczoną masłem. Powiódł wokoło wzrokiem i znalazł jedyne wolne krzesło. Ruszył w jego stronę.

Obie szefowe ważnych wydziałów zawołały chórkami:

– Cześć, Carter!

Mężczyzna pozdrowił je z uśmiechem, od którego padły pewnie trupem, i poszedł dalej. Usiadł naprzeciwko Reachera. Ten spytał:

– Ma pan na imię Carter?

– Tak – odparł tamten.

– Carter Carrington?

– Tak, miło mi pana poznać. A pan jest...?

Nie był poirytowany, tylko zaciekawiony. Mówił jak ktoś dobrze wykształcony.

– Pewna kobieta, Elizabeth Castle z archiwum miejskiego, zasugerowała, żebym z panem porozmawiał. Nazywam się Jack Reacher. Chciałbym spytać pana o stare spisy powszechne ludności.

– Chodzi o problem prawny?

– Nie, o sprawę osobistą.

– Na pewno?

– Jedynym problemem jest dla mnie to, kiedy stąd wyjadę, dzisiaj czy jutro.

– Jestem adwokatem, pełnomocnikiem miasta. I pasjonatem spisów powszechnych ludności. Z powodów etycznych muszę mieć absolutną pewność, z kim pan chce rozmawiać.

– Z pasjonatem – odparł Reacher. – Chodzi mi o pewne informacje.

– Z jakiego okresu?

Podał rok, w którym ojciec miał dwa lata, a potem rok, kiedy miał lat dwanaście.

– A pańskie pytanie? – spytał Carrington.

Reacher opowiedział mu więc całą historię, o dokumentach rodzinnych, boksie numer dwa w rejestrze urodzeń i o podejrzanej nieobecności Reacherów.

– Ciekawe – stwierdził Carrington.

– Dlaczego?

Carrington spojrział w dal.

– Pan też służył w piechocie morskiej?

– Nie, w wojskach lądowych – odparł Reacher.

– Niezwykłe. Prawda? Syn oficera piechoty morskiej nie

wstępuje do piechoty morskiej.

– W mojej rodzinie nie było w tym nic niezwykłego. Mój brat też służył w wojskach lądowych.

– A wracając do pana problemu, to są trzy możliwości. Po pierwsze, powodem tego, że nie znalazł pan ojca, mogą być wszelkiego rodzaju przypadkowe błędy. Ale ze statystycznego punktu widzenia dwa błędy z rzędu są mało prawdopodobne. Prawie niemożliwe. Idźmy dalej. Ani druga, ani trzecia możliwość nie jest pochlebna dla teoretycznych przodków teoretycznego zainteresowanego. Dlatego proszę założyć, że mówię czysto hipotetycznie. Ogólnie, o większości sytuacji i większości ludzi. Nie ma w tym nic osobistego, jest za to masa wyjątków. Dobrze? Więc proszę się nie obrażać.

– Dobrze, nie obrażę się.

– Niech pan skupi się na drugim spisie, kiedy pański ojciec miał dwanaście lat. Niech pan zignoruje ten pierwszy. Ten późniejszy jest lepszy. Mielśmy wtedy siedem lat wielkiego kryzysu i Nowy Ład. Liczenie było naprawdę ważne, ponieważ im więcej ludzi, tym więcej pieniędzy z podatków. Tego roku władze stanowe i federalne dosłownie szalały, żeby nikogo nie przeoczyć. Mimo to przeoczenia się zdarzały. Druga możliwość wiąże się z tym, że największy odsetek przeoczeń był w grupie najemców, ludzi mieszkających w zatłoczonych domach wielorodzinnych, wśród bezrobotnych, niewykształconych, tych o niskich dochodach i tych korzystających z opieki społecznej. Innymi słowy, wśród ludzi z marginesu.

– Często się zdarza, że ktoś nie lubi słuchać takich rzeczy o swoich dziadkach? – spytał Reacher.

– Większość woli to niż trzecią możliwość – odparł Carrington.

– Czyli?

– Dziadkowie ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości.

– Interesujące.

– To się zdarzało. Bo czy ktoś, na kogo wystawiono federalny list gończy, wypełniłby dobrowolnie formularz spisowy? Oczywiście, że nie. Inni nie chcieli się po prostu afiszować, uważając, że może to im zaszkodzić w przyszłości.

Reacher milczał.

– Gdzie pan służył? – spytał Carrington.

– W żandarmerii. A pan?

– Dlaczego sądzi pan, że w ogóle służyłem?

– Wszystko na to wskazuje. Pański wiek, wygląd, sposób bycia, zdecydowanie, to, jak się pan nosi, i to, że pan utyka.

– Zauważył pan.

– Do tego mnie wyszkolono. Byłem śledczym. Domyślam się, że ma pan protezę. Prawie tego nie widać, więc musi być dobra. A wojsko ma teraz najlepsze.

– Nie, nigdy nie służyłem w wojsku – powiedział Carrington. – Nie mogłem.

– Dlaczego?

– Urodziłem się z rzadką wadą. Ma długą, bardzo skomplikowaną nazwę, która oznacza brak kości piszczelowej. Cała reszta była w porządku.

– Więc od urodzenia chodzi pan z protezą – podsumował Reacher.

– Nie potrzebuję współczucia.

– Wcale panu nie współczuję. Świetnie pan sobie radzi. Chodzi pan niemal doskonale.

– Dziękuję. A jak było w żandarmerii?

– Dobra praca. Do czasu.

– Więc wie pan, jaki wpływ na rodzinę miewa przestępczość. Widywał pan takie przypadki?

– Zdarzało się – potwierdził Reacher.

– Pana ojciec wstąpił do wojska w wieku siedemnastu lat. Musiał mieć jakiś powód.

• • •

Patty Sundstrom i Shorty Fleck siedzieli w plastikowych fotelach ogrodowych pod oknem pokoju. Obserwowali wylot leśnej drogi i czekali na mechanika, który wciąż nie przyjeżdżał. Shorty wstał, podszedł do samochodu i spróbował jeszcze raz. Na jakiś czas wyłączył, a potem włączył – czasem to pomagało. Miał kiedyś telewizor, który raz na trzy razy odpalał bez dźwięku.

Wystarczyło go zgasić, znów włączyć i dźwięk powracał.

Przekręcił kluczyk. Nic. Cisza. Przekręcił jeszcze raz i jeszcze raz. Żadnej różnicy. Wrócił do fotela. Patty wstała, wzięła mapę ze schowka w samochodzie, wróciła i rozłożyła ją na kolanach. Znalazła miejsce, gdzie teraz byli, punkt na końcu długiej na dwa i pół centymetra, cieniutkiej jak żyłka drogi kończącej się na wystrzępionym bladozielonym placku. Terenie leśnym. Placek miał na oko osiem kilometrów wszerz i dwanaście wzdłuż. Żyłka urywała się mniej więcej na jego środku. Mniej więcej, bo trzy kilometry od wschodniej granicy, ale pięć od zachodniej. Wokół placka biegła ledwo widoczna linia, jakby cały ten teren należał do jednej nieruchomości. Może właściciele motelu kupili i las? Za lasem nie było nic oprócz dwupasmówki, z której skręcili, prowadzącej na południowy wschód, do miasta, którego nazwę napisano lekko pogrubionymi literami. Laconia, New Hampshire. Nie trzydzieści dwa, tylko prawie pięćdziesiąt kilometrów dalej. Wczoraj oceniła odległość zbyt optymistycznie.

– Może lepiej zrobmy, jak mówisz – powiedziała. – Zostawmy samochód i zabierzmy się lawetą do miasta. Laconia jest niedaleko międzystanówki I-dziewięćdziesiąt trzy. Moglibyśmy poprosić mechanika, żeby wyrzucił nas na rozjeździe. Albo wziąć taksówkę. Kosztowałyby mniej niż kolejna noc tutaj. Gdyby udało się nam dojechać do Nashua albo Manchesteru, mielibyśmy blisko do Bostonu, a tam wsiedlibyśmy do taniego autobusu do Nowego Jorku.

– Przepraszam – powtórzył Shorty. – Za wóz. Naprawdę.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

– Może mechanik go jednak naprawi. Może to jakiś drobiazg. Nie rozumiem, dlaczego nie chce zapalić. Może coś się tylko poluzowało. Miałem kiedyś radio. Nie chciało się włączyć, więc waliłem w nie pięścią i waliłem, aż zobaczyłem, że wtyczka wypadła z gniazdka. A zdechło jak honda.

Usłyszeli chrzęst kroków na żwirze i zza rogu wyszedł Steven. Skręcił w ich stronę. Minął pokój numer dwanaście, potem jedenaście i zatrzymał się przed nimi.

– Chodźcie na lunch – rzucił. – Nie bierzcie sobie do serca tego,

co mówił Mark. Jest zdenerwowany, nic więcej. Bardzo chce wam pomóc, ale nie może. Myślał, że Peter naprawi wóz w parę minut. Po prostu się zdenerwował. Lubi, kiedy wszystko idzie jak po maśle.

– Kiedy przyjedzie mechanik? – spytał Shorty.

– Jeszcze się do niego nie dodzwoniliśmy – odparł Steven. – Telefon nie działa. Od rana.

Reacher zostawił Carringtona w ogródku i wrócił do archiwum. Nacisnął guzik dzwonka na ladzie i po chwili zjawiła się Elizabeth Castle.

– Prosiła pani, żebym się zameldował.

– Znalazł pan Cartera? – spytała.

– Miły gość. Nie rozumiem, dlaczego nie chce pani z nim chodzić.

– Że co proszę?

– Kiedy zasugerowałem, że jest pani chłopakiem, pomyślała pani, że bredzę.

– Jakby chciał się ze mną umówić! – prychnęła. – Nie przemknęło mu to nawet przez myśl. Jest kawalerem, to najlepsza partia w mieście, mógłby wybierać i przebierać. Pewnie w ogóle nie wie, kim jestem. Co panu powiedział?

– Że moi dziadkowie byli albo biedakami, albo złodziejami, albo biednymi złodziejami.

– Na pewno nie.

Reacher tego nie skomentował.

– Chociaż wiem, że często tak bywało – dodała.

– To całkiem możliwe, nie musimy obchodzić się z tym jak z jajkiem.

– Prawdopodobnie nie zarejestrowali się też do głosowania. Myśli pan, że mieli prawa jazdy?

– Jeśli byli biedni, to chyba nie – odparł. – Albo jeśli byli złodziejami. A jeśli już, to lewe.

– Pana ojciec musiał mieć akt urodzenia. Jego nazwisko powinno gdzieś figurować.

Otworzyły się drzwi i wszedł Carter Carrington. Elegancki garnitur, uśmiech, niesforne włosy. Zobaczył Reachera i zupełnie niezaskoczony powiedział: „Witam ponownie”, jakby nie spodziewał się tu spotkać nikogo innego. Potem stanął przy

ladzie i wyciągnął rękę do Elizabeth.

– Pani Castle, prawda?

– Elizabeth.

– Carter Carrington. Miło mi panią poznać. Bardzo dziękuję, że przysłała pani do mnie tego dżentelmena. Ma bardzo ciekawą sytuację...

– Ponieważ nazwiska jego ojca brakuje w dwóch kolejnych spisach.

– Właśnie!

– Co nie wygląda na przypadek...

– Pod warunkiem że na pewno mówimy o właściwym mieście – zaznaczył Carrington.

– Mówimy – wtrącił się Reacher. – Widziałem tę nazwę wiele razy, na piśmie. Laconia w stanie New Hampshire.

– Ciekawe. – Carrington spojrział Elizabeth w oczy. – Powinniśmy umówić się kiedyś na lunch. Podoba mi się sposób, w jaki podeszła pani do tych dwóch spisów. Chciałbym to z panią przedyskutować.

Elizabeth nie zareagowała.

– W każdym razie proszę informować mnie na bieżąco – dodał Carrington.

– Pomyśleliśmy, że musiał mieć akt urodzenia – powiedziała Elizabeth.

– Ojciec pana Reachera? Niemal na pewno. Kiedy się urodził?

Reacher podrapał się w głowę.

– To zabrzmiało trochę dziwnie. W tym kontekście.

– Dlaczego?

– Bo czasem nie był tego pewny.

– Jak to?

– Raz mówił, że w czerwcu, innym razem, że w lipcu.

– Czy jakoś to tłumaczył?

– Mówił, że nie pamięta, bo urodziny nie są dla niego ważne. Nie rozumiał, jak można gratulować komuś tego, że ubył mu kolejny rok życia.

– Trochę to ponure – zauważył Carrington.

– Był żołnierzem piechoty morskiej.

– A co jest w dokumentach?

– Lipiec.

Carrington zamilkł.

– Co się stało? – spytał Reacher.

– Nie, nic.

– Uzgodniłem już z panią Castle, że nie ma potrzeby obchodzić się z tym jak z jajkiem.

– Dziecko niepewne swojej daty urodzenia jest klasycznym przykładem tego, że pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny – powiedział Carrington.

– Teoretycznie – zaznaczył Reacher.

– W każdym razie metryki układa się i przechowuje w porządku chronologicznym. Jeśli nie jest pan pewny dokładnej daty, poszukiwania mogą potrwać. Lepiej pójść inną drogą.

– Na przykład?

– Zajrzeć do archiwów policyjnych. Nie chcę być gruboskórny. Chodzi mi tylko o statystyczne prawdopodobieństwo. Poza wszystkim innym dobrze będzie wyeliminować tę możliwość. Podobnie jak pan, ja też nie chciałbym, żeby pańscy dziadkowie ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości. Wolałbym ciekawszy powód. Ale sprawdzenie na policji zajmie mniej czasu. Zdigitalizowane akta w naszej komendzie sięgają tysiąca lat wstecz. Poszła na to fortuna. Co prawda nie z naszych pieniędzy, tylko z funduszy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale poszła. Zbudowali nawet pomnik swojemu pierwszemu naczelnikowi.

– Do kogo powinienem się zgłosić? – spytał Reacher.

– Zadzwoń i uprzedź ich. Ktoś po pana wyjdzie.

– Będą chętnie współpracować?

– Jestem człowiekiem, który decyduje, czy miasto będzie ich popierało, czy nie. Oczywiście tylko wtedy, kiedy zrobią coś złego. Więc owszem, będą współpracowali, i to bardzo chętnie. Ale proszę tam pójść po lunchu. Poświęć panu więcej czasu.

• • •

Patty Sundstrom i Shorty Fleck zjedli lunch w dużym domu.

W niezręcznej atmosferze. Shorty był to sztywny jak kołek, to potulny jak baranek. Peter milczał. Albo urażony, albo zawiedziony, Patty tego nie wiedziała. Mówił tylko Mark. Był pogodny, beztroski i gadatliwy. Bardzo przyjacielski. Jakby rano nic się nie stało. Wyglądało na to, że postanowił znaleźć rozwiązanie dla ich problemów. Bez końca przeproszał ich za zepsuty telefon. Kazał im przytknąć głuchą słuchawkę do ucha, jakby chciał zrzucić z siebie część ciężaru, który go przytłaczał. Bał się, że nie wiedząc, co się z nimi stało, rodzina albo znajomi będą się o nich martwili. Czy spóźnią się na jakieś spotkanie? Czy chcieliby kogoś zawiadomić?

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy – odparła Patty.
- Naprawdę?
- Próbowałiby nas zniechęcić.
- Do czego? – spytał Mark.
- Tam, u nas, jest nudno. Shorty i ja chcieliśmy zmiany.
- Dokąd jedziecie?
- Na Florydę. Chcemy otworzyć własny interes.
- Jaki?
- Coś związanego z morzem. Ze sportami wodnymi. Na przykład wypożyczalnię sprzętu surfingowego.
- Musielibyście mieć kapitał startowy. Na ten sprzęt. Patty uciekła wzrokiem w bok i pomyślała o kufrze.
- Telefon długo będzie nieczynny? – spytał Shorty.
- Myśli pan, że jestem jasnowidzem? – odparł Mark.
- Nie, ale jak jest nieczynny, to jak długo? Tak średnio.
- Zwykle naprawiają w pół dnia. A mechanik samochodowy jest naszym dobrym znajomym. Poprosimy, żeby przyjechał najpierw do was. Przed kolacją wyruszylibyście w drogę.
- A jeśli awaria linii potrwa dłużej?
- To potrwa – odrzekł Mark. – Nie mam na to wpływu.
- Najlepiej by było, gdybyście podwieźli nas do miasta – powiedział Shorty. – Naprawdę. Dla nas i dla was. Mielibyście nas z głowy.
- Ale samochód by został.
- Przysłałibyśmy lawetę.

- A czy na pewno możemy wam zaufać?
- Obiecuję, że się tym zajmę – odparł Shorty.
- No dobrze, ale musi pan przyznać, że jak dotąd nie można było na panu polegać – zauważył Mark. – Nie w stu procentach.
- Daję słowo, że przyślę lawetę.
- A gdyby nie dotrzymał pan obietnicy? Prowadzimy tu interes. Zostalibyśmy z pańskim samochodem i musielibyśmy się go pozbyć. Co byłoby trudne, ponieważ to nie nasz wóz. Bez odpowiednich dokumentów niewiele byśmy zrobili. Nie mogliśmy nikomu go podarować. Ani nawet oddać na złom. Poszukiwanie innych rozwiązań kosztowałoby mnóstwo czasu i pieniędzy. Ale nie mielibyśmy wyjścia. Nie mógłby stać tu w nieskończoność i zaśmiecać parkingu. Proszę nie brać tego do siebie. W naszej branży najważniejsze są wizerunek i pierwsze wrażenie. Motel musi wabić, a nie odstręczać. Zardzewiały wrak przed recepcją byłby kiepską wizytówką. Bez urazy, panie Fleck. Jestem przekonany, że pan to rozumie.
- Mógłby pan pojechać z nami – zaproponował Shorty. – Do laweciarza. Od tego byśmy zaczęli. Dogadalibyśmy się z nim przy panu. Byłby pan świadkiem.

Mark, nieco zakłopotany, kiwnął głową i spuścił wzrok.

- Celna odpowiedź – przyznał. – Prawda jest taka, że trochę wstydzimy się jeździć do miasta. Zainwestowaliśmy w ten motel olbrzymie pieniądze. Sprzedaliśmy swoje samochody, cała nasza trójka. Zatrzymaliśmy tylko wóz Petera, ponieważ jest najstarszy i poszedłby za najmniejsze pieniądze. Jeździmy nim na zmianę. Rano nie chciał zapalić. Tak jak pański. Może to coś w powietrzu. Tak czy inaczej, obawiam się, że utknęliśmy tu wszyscy razem. Przynajmniej na jakiś czas.

• • •

Reacher zjadł w restauracji, którą wcześniej wybrał i która serwowała ekskluzywne, lecz rozpoznawalne posiłki w przyjemnej sali z obrusami. Wziął hamburgera z górą wszelkiego rodzaju dodatków i kawałek ciasta morelowego, do tego mnóstwo kawy. Potem wyruszył na poszukiwanie komendy.

Znalazł ją dokładnie tam, gdzie mówił Carrington. Hol wejściowy był wysoki, wyłożony płytkami i bardzo oficjalny. Za mahoniowym kontuarem siedziała kobieta w cywilnym ubraniu. Reacher podał jej swoje nazwisko i powiedział, że Carter Carrington obiecał zadzwonić i umówić go z kimś na rozmowę. Kobieta chwyciła za słuchawkę, zanim zdążył wypowiedzieć do końca jego nazwisko. Najwyraźniej uprzedzono ją, że przyjdzie.

Poprosiła, żeby zechciał usiąść, ale on wolał postać. Okazało się, że nie musiał czekać długo. Podwójnymi drzwiami weszło do holu dwoje detektywów. Kobieta i mężczyzna. Wyglądali na prawdziwych zawodowców. Początkowo myślał, że po prostu wychodzą z pracy. Spodziewał się jakiegoś urzędnika czy archiwisty. Ale nie, szli w jego stronę i kiedy się zbliżyli, mężczyzna rzucił:

– Pan Reacher? Jim Shaw, szef detektywów. Bardzo mi miło.

Szef detektywów. Reacherowi też było miło. Pełna współpraca, tak jak mówił Carrington. Facet nie żartował. Shaw, potężnie zbudowany mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat, miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, pomarszczoną irlandzką twarz i szopę rudych włosów na głowie. Każdy, kto mieszkał w promieniu dwustu kilometrów od Bostonu, od razu rozpoznałby w nim gliniarza. Był jak ze zdjęcia w książce.

– Mnie również – powiedział Reacher.

– Detektyw Brenda Amos – przedstawiła się kobieta. – Cieszę się, że możemy panu pomóc. W czymkolwiek pan sobie zażyczy.

Mówiła z południowym akcentem. Przeciągając samogłoski, lecz już bez fałszywej słodyczy w głosie. Pewnie z czasem zgorzkniała. Była szczupła, dziesięć lat młodsza od Shawa i dziesięć centymetrów niższa. Miała jasne włosy, ładnie zarysowane kości policzkowe i senne zielone oczy, które mówiły: Lepiej ze mną nie zadzieraj.

– Bardzo pani dziękuję. Ale naprawdę nie chodzi o nic wielkiego. Nie wiem, co dokładnie powiedział państwu pan Carrington, ale interesuje mnie fragment bardzo dawnej historii. Którego pewnie w ogóle nie ma. Sprzed osiemdziesięciu lat. Nie jest to nawet stara nierozwiązana sprawa.

– Pan Carrington wspomniał, że służył pan w żandarmerii wojskowej – powiedział Shaw.

– Dawno temu – potwierdził Reacher.

– Więc daje to panu prawo, żeby na dziesięć minut zająć nasz komputer. Bo tylko tyle to potrwa.

Przez wysoką do uda mahoniową bramkę weszli do dużej sali, gdzie przy stojących naprzeciwko siebie biurkach siedzieli ubrani po cywilnemu policjanci. Biurka ugięły się pod ciężarem telefonów, płaskich monitorów, klawiatur i drucianych koszyków z dokumentami. Było tam jak w każdym biurze na świecie, z wyjątkiem atmosfery znużenia i wiecznego przepracowania typowej dla każdego posterunku. Skręcili za róg, w korytarz z drzwiami po obu stronach. Przystanęli przed trzecimi po lewej. Przed gabinetem Amos. Wpuściła go do środka, a Shaw pożegnał się i poszedł dalej, jakby dopełniwszy wszystkich uprzejmości, uznał, że skończył swoją robotę. Amos zamknęła drzwi. Z zewnątrz gabinet sprawiał wrażenie starego i tradycyjnego, lecz w środku był nowiutki i wymuskany. Biurko, krzesła, szafki, komputer.

– Jak mogę panu pomóc? – spytała.

– Szukam nazwiska Reacher w starych aktach policyjnych z lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku.

– Chodzi o pańskich krewnych?

– O dziadków i ojca. Pan Carrington sądzi, że nie wypełnili formularza spisowego, ponieważ wystawiono na nich federalny list gończy.

– To jest komenda miejska. Nie mamy dostępu do akt federalnych.

– Mogli zacząć na małą skalę. Większość tak zaczyna.

Amos przysunęła bliżej klawiaturę i zaczęła coś pisać.

– Była jakaś inna pisownia? – spytała. – Nazwiska.

– Nie przypuszczam – odparł.

– Ich imiona?

– James, Elizabeth i Stan.

– Jim, Jimmy, Jamie, Liz, Lizzie, Beth?

– Nie wiem, jak się do siebie zwracali. Nie znałem ich.

- Stan to zdrobnienie od Stanley?
- Stanleya nigdy nie słyszałem. Zawsze był tylko Stan.
- Używali jakichś innych nazwisk?
- Nic mi o tym nie wiadomo.

Znów zastukała w klawiaturę, kliknęła myszką i zaczęło się czekanie.

Amos milczała.

- Pani też służyła w żandarmerii, prawda? – spytał.
- Co mnie zdradziło?
- Po pierwsze, akcent. Mówi pani jak ktoś, kto służył w wojsku. Z Południa, ale z lekkimi naleciałościami. Poza tym większość policjantów pyta, co i jak robiliśmy w żandarmerii. Z ciekawości zawodowej. A pani nie. Bo pewnie pani nie musi.
- Trafiona, zatopiona.
- Dawno pani odeszła?
- Sześć lat temu. A pan?
- Dawniej.
- W jakiej jednostce pan służył?
- Głównie w Sto Dziesiątej Dochodzeniowej.
- Miło. Kto nią wtedy dowodził?
- Ja.
- A po przejściu na emeryturę zajął się pan genealogią.
- Zobaczyłem drogowskaz. To wszystko. I zaczynam tego żałować.

Amos spojrzała na ekran.

- Coś mamy – powiedziała. – Sprawę sprzed siedemdziesięciu pięciu lat.

Kliknęła dwa razy myszką i wpisała hasło. Potem kliknęła jeszcze raz i nachyliła się do ekranu.

– Późnym wieczorem we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku na chodniku w centrum Laconii znaleziono pobitego do nieprzytomności młodego człowieka. Ustalono, że jest to miejscowy dwudziestolatek, znany policji awanturnik i chuligan znęcający się nad słabszymi, lecz jako syn miejscowego bogacza typek praktycznie nietykalny. Dlatego myślę, że na posterunku urządzono po cichu wielką balangę, jednak dla zachowania pozorów wszczęto śledztwo. To oczywiste, musieli udawać, że coś robią. Piszą tu, że nie spodziewając się niczego specjalnego, następnego dnia przepytali mieszkańców okolicznych domów. I trafili na żyłę złota. Znaleźli staruszkę, która widziała całe zajście przez lornetkę. Ofiara pobicia wdała się w sprzeczkę z dwoma chłopakami, spodziewając się najwyraźniej, że będzie górą, okazało się jednak, że to oni skopali tyłek jemu.

– Co ta staruszka robiła z lornetką? – spytał Reacher. – Późnym wieczorem?

– Piszą tu, że lubiła obserwować ptaki. Interesowały ją nocne migracje i przeloty ciągłe. Twierdziła, że potrafi rozróżnić ptasie kształty na tle nieba.

Reacher tego nie skomentował.

– W jednym z tych dwóch rozpoznała członka miejscowego klubu obserwatorów ptaków – ciągnęła Amos.

– Mój ojciec też lubił je obserwować.

Amos kiwnęła głową.

– Znała go osobiście, tego chłopaka. Nazywał się Stan Reacher i miał wtedy szesnaście lat.

– Była tego pewna? Moim zdaniem we wrześniu czterdziestego trzeciego ojciec miał piętnaście.

– Była pewna nazwiska, ale mogła mylić się co do wieku. Obserwowała ptaki z okna nad sklepem spożywczym, wychodzącego prosto na ulicę i spory kawałek nocnego nieba na wschodzie. Zobaczyła Stana Reachera z niezidentyfikowanym kolegą mniej więcej w tym samym wieku. Szli z centrum w jej stronę. Przecięli krąg światła pod latarnią, dlatego była pewna, że to on. Po chwili zobaczyła, że z naprzeciwka nadchodzi ten dwudziestolatek. On też przeciął krąg światła. Niestety, cała trójka spotkała się w półmroku między latarniami, było tam jednak na tyle jasno, że staruszka widziała, co się dzieje. Zeznała, że czuła się jak w teatrze cieni, ponieważ półmrok jeszcze bardziej podkreślał ruchy i gesty. Ci dwaj, dużo drobniejsi od dwudziestolatka, stali twarzami do niej. Dwudziestolatek plecami. Najpierw czegoś od nich zażądał. Potem zaczął grozić. Jeden z tych dwóch drobniejszych, prawdopodobnie bojaźliwy lub przestraszony, uciekł. Drugi został i nagle uderzył dwudziestolatka w twarz.

Reacher kiwnął głową. Nazywał to odwetem wyprzedzającym. Zaskoczenie to dobra rzecz. Mądry nigdy nie liczy do trzech.

– Staruszka zeznała, że ten niższy i drobniejszy bił dwudziestolatka, dopóki ten nie upadł, a wówczas zaczął kopać go w głowę i w bok. Dwudziestolatek z trudem wstał i próbował uciec, ale napastnik dogonił go i podstawił mu nogę tuż obok kręgu światła pod latarnią, dzięki czemu staruszka widziała wszystko dużo lepiej i nie miała wątpliwości, że chłopak skopał go tam jeszcze bardziej. Przestał równie nagle, jak zaczął. Zabrał swojego bojaźliwego kolegę i odeszli, jakby nic się nie stało. Staruszka cały czas robiła notatki, sporządziła nawet szkic sytuacyjny i następnego dnia przekazała to wszystko policjantom.

– Dobry świadek – stwierdził Reacher. – Prokurator pewnie ją wyciął. Co było dalej?

Amos przesunęła ekran.

– Nic – odparła. – Sprawa utknęła w martwym punkcie.

– Dlaczego?

– Brak ludzi. Trwała wojna, dwa lata wcześniej ruszył pobór do

wojska. Policja miała bardzo okrojone kadry.

– A ten dwudziestolatek? Dlaczego go nie zwerbowano?

– Bo miał bogatego tatusia.

– Nie rozumiem – powiedział Reacher. – Ilu potrzebowaliby ludzi? Mieli świadka. Aresztowanie piętnastoletniego chłopaka to nic trudnego. Nie musieli by ściągać SWAT-u.

– Nie mogli zidentyfikować napastnika i nie mieli ludzi, żeby się w tym grzebać.

– Jak to? Przecież staruszka знаła go z klubu obserwatorów ptaków.

– Bił się ten niezidentyfikowany. Stan Reacher uciekł.

• • •

Dali im kawy i odesłali z powrotem do pokoju numer dziesięć. Mark zaczekał, aż znaleźli się w połowie drogi do stodoły, aż stało się pewne, że nie zawrócą. Wtedy spojrzął na Stevena i rozkazał:

– Dobra, włącz telefon.

Steven pstryknął włącznikiem.

– A teraz pokaż te drzwi – rzucił Mark. – W czym problem?

– Nie chodzi o drzwi – odparł Steven. – Tylko o czas reakcji.

Przeięli hol i weszli do pomieszczenia trochę mniejszego, mimo to całkiem sporego. Było pomalowane na czarno. Miało zabite deskami okna. Na wszystkich czterech ścianach wisiały płaskie ekrany telewizyjne, a na środku stał obrotowy fotel otoczony czterema zestawionymi niskimi stolikami, na których roіło się od dżojstików i klawiatur. Wszystko razem tworzyło coś w rodzaju centrum dowodzenia. Ekrany pokazywały Patty i Shorty'ego na żywo: właśnie mijali stodołę, oddalając się od jednych ukrytych kamer i zbliżając do innych, z których kilka celowało w nich od przodu, w zbliżeniu, a kilka w szerszym planie. Na obrazach przekazywanych przez te ostatnie wyglądali jak dwa idące ludziki.

Robert przeszedł przez stół i usiadł w fotelu. Kliknął myszką i na ekranach ukazał się przyćmiony obraz z zaopatrzonej w noktowizor kamery do zdjęć nocnych.

– Nagranie z trzeciej nad ranem.

Obraz lekko drżał i był nieco zamglony, nie ulegało jednak wątpliwości, że przedstawia podwójne łóżko w pokoju numer dziesięć i śpiące w nim dwie osoby. Przekazywała go kamera ukryta w czujniku dymu i zaopatrzona w obiektyw typu rybie oko.

– Niby śpi, ale nie śpi – wyjaśnił Robert. – Myślę, że spała cztery godziny, a potem się obudziła. Ale nie poruszyła się. Nie drgnął jej nawet jeden mięsień. Leżała zupełnie nieruchomo, jak kłoda. Szczerze mówiąc, byłem wtedy trochę za bardzo wyluzowany, bo przez cztery godziny wiało nudą. No i myślałem, że wciąż śpi. Ale ona leżała i myślała. O czymś, co musiało ją mocno zdenerwować. Bo spójrz.

Przez chwilę obraz był ten sam, a potem nagle się zmienił, szybko i bez ostrzeżenia: Patty odrzuciła koc i zwinnie wstała, rozdrażniona, lecz opanowana i zdecydowana.

– Zanim zdążyłem usiąść i położyć palec na przycisku otwierającym drzwi, przekręciła już klamkę – ciągnął Robert. – Pewnie chciała się przewietrzyć. Musiałem podjąć decyzję: otworzyć czy nie. Postanowiłem nie otwierać, bo uznałem, że tak będzie logiczniej, bardziej konsekwentnie. Zaczekałem, aż Peter przyjdzie naprawiać samochód. Wtedy je otworzyłem, bo pomyślałem, że któreś z nich zechce wyjść i popatrzeć.

– Rozumiem – mruknął Mark.

Robert znów kliknął myszką i obraz zmienił się z nocnego na dzienny, filmowany z innego kąta. Patty i Shorty siedzieli obok siebie na niepostanym łóżku.

– W tym momencie jedliśmy śniadanie – powiedział Robert.

– A ja siedziałem tutaj, na dyżurze – dodał Steven. – Zobaczcie, co się dzieje.

Robert nacisnął przycisk PLAY. Nagranie było z dźwiękiem. Shorty próbował odwrócić uwagę od swoich wad, ciskając gromy na mechaników, którzy pobierali opłatę za przyjazd do klienta. „To tak, jakby brali kasę za to, że w ogóle żyją – mówił. – Też bym tak chciał”.

Robert zatrzymał nagranie.

– Zgadnijcie, co będzie dalej – zaproponował Steven.

– Mam szczerą nadzieję, że Patty wytłumaczy mu, że te dwa zawody bardzo różnią się od siebie w sensie ekonomicznym – odparł Mark.

– A ja, że zdzieli go w łeb i każe mu się zamknąć – odrzekł Peter.

– Pudło – powiedział Steven. – Patty znów się irytuje.

Robert nacisnął przycisk. Patty szybko wstała i rzuciła: „Idę się przewietrzyć”.

– Jest gwałtowna i nerwowa – zauważył Steven. – Wystartowała jak rakieta, w jedną i jedną dziesiątą sekundy. Policzyłem klatki. Nie zdążyłem nacisnąć guzika. Zareagowałem dopiero wtedy, kiedy do drzwi podszedł Shorty. Pomyślałem, że jeśli je otworzy, Patty dojdzie do wniosku, że są w porządku, że po prostu źle przekręciła gałkę.

– Da się coś z tym zrobić? – spytał Mark.

– W porę ostrzeżony, lepiej uzbrojony. Musimy się bardziej pilnować.

– Chyba tak. Inaczej ich spłoszymy.

– Kiedy podejmiemy ostateczną decyzję?

Mark długo się zastanawiał. W końcu odparł:

– Jeśli chcecie, możemy już teraz.

– Teraz?

– Po co czekać? Widzieliśmy wystarczająco dużo. Lepszych nie znajdziemy. Przyjechali z zadupia, nikt nie wie, gdzie są. Moim zdaniem jesteśmy gotowi.

– Jestem za – powiedział Steven.

– Ja też – poparł go Robert.

– Trzeci głos za – rzucił Peter. – Są idealni.

Robert kliknął myszką i przeszedł na obraz na żywo. Patty i Shorty siedzieli w plastikowych fotelach pod oknem pokoju, chwytając blade promienie zachodzącego słońca.

– Jednogłośnie decyzja – podsumował Mark. – Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Wyślijcie maila.

Na ekranie ukazała się strona poczty internetowej, upstrzona tłumaczeniami z różnych języków. Robert napisał trzy słowa.

– Okej?

– Wyślij.

Robert nacisnął klawisz.

Wiadomość brzmiała: *Numer dziesięć zajęty.*

– Nie rozumiem – powiedział Reacher. – Jasne, staruszka rozpoznała Stana, jednak policja nie mogła zmusić go do wydania tajemniczego kolegi. Ale wystarczyło zrobić tylko jeden dodatkowy krok. Jeszcze raz złożyć mu wizytę. Brak ludzi? Każdy policjant mógł tam wpaść w drodze po pączki.

– Stan Reacher był poza zasięgiem ich jurysdykcji – wyjaśniła Amos. – Czekaliby ich mnóstwo papierkowej roboty. A wtedy mieli tylko maszyny do pisania. Poza tym pewnie założyli, że chłopak i tak nic nie powie, bez względu na to, jak mocno go przycisną. Musieliby działać na obcym terenie, miejscowi patrzyliby im na ręce, policja, adwokat, może nawet rodzice. To raz. Dwa: mogli założyć, że tajemniczy kolega Stana zdążył już dać nogę i jest poza granicami stanu. Trzy: nie zamierzali płakać nad ofiarą pobicia. Dlatego najłatwiej było sobie odpuścić.

– Chwileczkę. Stan Reacher był poza zasięgiem czyjej jurysdykcji?

– Tutejszej policji.

– Policji w Laconii? Mówił, że się tu urodził.

– Może urodził się w szpitalu, ale mieszkał poza miastem, na farmie czy gdzieś.

– Nigdy nie miałem takiego wrażenia.

– No to w pobliskiej wiosce. Mógłby stamtąd dojeżdżać na spotkania klubu obserwatorów ptaków, do którego należała staruszka z mieszkania nad sklepem spożywczym. Miejscem jego urodzenia byłaby wtedy Laconia, bo jest tu szpital. Mówiąc, że się tu wychowywał, miał pewnie na myśli całą okolicę, miasto wraz z przyległościami. Tak jak mieszkańcy przedmieść Chicago mówią, że mieszkają w Chicago, chociaż wiele z tych przedmieść należy do zupełnie innego okręgu. W Bostonie jest podobnie.

– Czyli Laconia wielkomijska.

– Wtedy wszystko było bardziej rozproszone. Wszędzie

spotykało się małe manufaktury i fabryki. Parudziesięciu robotników mieszkających w wielorodzinnych domach. Jednoizbowa szkoła. Kościół. Uważano, że wszystko to należy do Laconii, niezależnie od kodu pocztowego.

– Proszę spróbować z samym Reacherem. Bez imion. Może mam tu kuzynów. Mógłbym spytać ich o adres.

Amos znów przysunęła bliżej klawiaturę, wystukała siedem liter i kliknęła myszką. W jej oczach rozbłysnął zmieniający się ekran.

– Tylko jeden wynik – powiedziała. – Siedemdziesiąt kilka lat po tym pierwszym. Pańscy krewni są bardzo praworzadni. – Kliknęła myszką jeszcze raz i przeczytała: – Mniej więcej półtora roku temu skierowano radiowóz do urzędu miejskiego, ponieważ ktoś się tam awanturował. Wrzeszczał, krzyczał i groził. Kiedy policjanci go uspokoili, wszystkich przeprosił i na tym się skończyło. Nazywał się Mark Reacher. Mieszkał poza naszą jurysdykcją.

– Wiek?

– Dwadzieścia sześć lat. Wtedy.

– Mógł być moim dalekim krewnym, który wiele razy się przeprowadzał. Co go tak zdenerwowało?

– Chodziło o pozwolenie na budowę – odparła Amos. – Uważał, że jego uzyskanie za długo trwa. Remontował motel gdzieś pod miastem.

• • •

Po półgodzinie na słońcu Patty poszła skorzystać z łazienki. Wracając, przystanęła przed toaletką naprzeciwko łóżka. Spojrzała w lustro i wydmuchała nos. Zwinęła chusteczkę i wrzuciła ją do kosza. Nie trafiła. Schyliła się, żeby spróbować jeszcze raz. W końcu była Kanadyjką.

I wtedy między brzegiem wykładziny i ścianą zobaczyła patyczek do czyszczenia uszu. Na pewno nie jej. Nie używała patyczków. Leżał w cieniu, na samym końcu wycięcia pod toaletką, za nogami taboretu. Rezultat niezbyt dokładnego sprzątnięcia, ale rzecz całkiem zrozumiała. Może nawet

nieuchronna. Może wcisnęły go tam kółka odkurzacza.

Tylko że...

– Shorty, chodź no tu! – zawołała.

Shorty wstał z fotela i wszedł do pokoju.

Drzwi zostawił szeroko otwarte.

Patty wskazała patyczek.

– Do czyszczenia uszu – powiedział Shorty. – Albo wycierania. Albo do tego i tego. Ma dwa końce. Widziałem takie w drogerii.

– Dlaczego tam leży?

– Ktoś nie trafił do kosza. Albo patyczek odbił się od brzegu i poturlał za nogi taboretu. Normalne. Sprzątaczkę takie coś olewają.

– To już lepiej wracaj na fotel – warknęła Patty.

Shorty wyszedł.

Patty dołączyła do niego dużo później.

– Zrobiłem coś nie tak? – spytał.

– Chodzi o to, czego nie zrobiłeś – odparła.

– Czyli o co?

– O to, że nie pomyślałeś. Mark mówił, że mieszkamy w pierwszym pokoju, który odnowili. Że dopiero co skończyli. Prosił, żebyśmy zrobili im ten zaszczyt i zostali jego pierwszymi mieszkańcami. Więc dlaczego leży tu używany patyczek do czyszczenia uszu?

Shorty kiwnął głową. Powoli, lecz zdecydowanie.

– Historia z ich samochodem też jest dziwna – powiedział. – Ten Peter to jakiś sabotażysta. Kiedy to w końcu załapią?

– A pokój? Dlaczego mieliby kłamać?

– Może nie kłamali. Może patyczka używał malarz. Do ostatnich poprawek czegoś cienkiego na ścianie. Oni tak robią. Wezwali go już po wstawieniu mebli. Takich rzeczy trudno uniknąć.

– Ty co? – warknęła Patty. – Nagle uważasz, że są w porządku?

– Nie, z hondą zawalili na całego. I jeśli ich wóz też nie chciał zapalić, to dlaczego nie wezwali mechanika?

– Bo telefon nie działał.

– Wtedy mógł jeszcze działać. Rano. Podpięlibyśmy się do nich i podzielili kosztami dojazdu. Tak byłoby rozsądnie.

– Skończ już z tymi kosztami dojazdu, dobrze? Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Oni dziwnie się zachowują.

– Mówiłem to od samego początku.

– Myślałam, że po prostu ci się nie podobają.

– Nie bez powodu.

– Więc co zrobimy?

Shorty rozejrzał się. Najpierw zerknął na wylot drogi przez las, potem na bagażnik hondy, gdzie stał kufer, od którego przysiadły amortyzatory.

– Nie wiem – odparł. – Może udałoby się zholować ją quadem? Jeśli klucz jest w stacyjce. Albo wisi na haczyku w stodole.

– Nie możemy ukraść quada.

– To nie byłaby kradzież. Tylko byśmy go wypożyczyli. Zaholowalibyśmy wóz na drogę, a quada zwrócili.

– A potem co? – spytała Patty. – Zostalibyśmy z bezużytecznym wrakiem na poboczu.

– Nie wiem, może przejeżdżałaby tamtędy pomoc drogowa. Albo zostawilibyśmy wóz i złapali okazję. Prędzej czy później przyjechałaby laweta z hrabstwa i zawiozła go na szrot.

– Czy my w ogóle mamy jakąś linę?

– Poszukalibyśmy w stodole.

– Wątpię, czy quad dałby radę go pociągnąć.

– To wzięlibyśmy dwa. I podczepili do hondy jak holowniki, takie, co wciągają okręt do portu.

– Zwariowałeś! – prychnęła Patty.

– Dobra, to może zaholujemy na drogę sam kufer?

– Znaczy się jak? Będziemy go za sobą wlec?

– Quady mają bagażnik.

– Za mały.

– To postawmy kufer na baku i kierownicy.

– Nie spodoba im się, że zostawiliśmy tu samochód.

– Pies ich drapał.

– Czy ty w ogóle umiesz jeździć quadem?

– Nie, ale to nie może być takie trudne. Zresztą jechalibyśmy powoli. Wtedy byśmy nie spadli. Z normalnym motocyklem to co innego.

– Zawsze to jakieś wyjście – stwierdziła Patty. – Chyba.

– Zaczekajmy do kolacji. Może naprawią telefon, przyjedzie mechanik i wszystko będzie dobrze. A jeśli nie, wieczorem zajrzemy do stodoły. To jak?

Patty nie odpowiedziała. Osunęli się w fotelach i siedzieli, wystawiając twarze do zachodzącego słońca. Drzwi do pokoju wciąż były szeroko otwarte.

• • •

– Kto przeoczył patyczek? – spytał Mark w oddalonym o pięćdziesiąt metrów centrum dowodzenia.

– My wszyscy – odparł Peter. – Sprawdziliśmy pokój i zatwierdziliśmy odbiór.

– W takim razie wszyscy popełniliśmy fatalny błąd. Są teraz poruszeni. Dużo za wcześnie. Musimy bardziej się pilnować.

– Shorty myśli, że malarz go zostawił. Patty mu w końcu uwierzy. Nie chce się denerwować. Chce być szczęśliwa. Wmówi sobie, że Shorty ma rację. Uspokoją się.

– Myślisz?

– Po co mielibyśmy ich okłamywać? Nie ma żadnego powodu.

– Podstawcie mi quada – polecił Mark.

Reacher wrócił do eleganckiego urzędu hrabstwa – do zeskanowanych wyników spisów ludności i wartych milion boksów – i zastał tam tego samego zgorzkniałego urzędnika. Znów poprosił o wyniki dwóch spisów: z roku, w którym ojciec miał dwa lata, i z tego, w którym był dziesięć lat starszy i miał lat dwanaście, tym razem jednak chodziło mu o wyniki dla pozostałej części hrabstwa, tej poza teoretycznymi granicami administracyjnymi Laconii.

– Nie da rady – odparł urzędnik.

– Dlaczego? – spytał Reacher.

– Chodzi panu o rejon w kształcie pączka z dziurką. Tak się nie da. Jest tylko rejon, większy rejon i jeszcze większy rejon. Na przykład miasto, hrabstwo i stan. Ale większy rejon zawsze zawiera ten mniejszy, a mniejszy ten jeszcze mniejszy. Czyli w największym zawsze mieszczą się dwa mniejsze. Co, jeśli się zastanowić, jest całkiem logiczne. W środku nie ma żadnych dziur. Miasto leży w hrabstwie, a hrabstwo w stanie.

– Rozumiem – powiedział Reacher. – Dziękuję za wyjaśnienie. W takim razie wezmę całe hrabstwo.

– Wciąż pan tu mieszka?

– Rano uzgodniliśmy, że tak. Jak pan widzi, przychodzę jeszcze raz, co znaczy, że nie opuściłem miasta wraz z całym swoim dobytkiem. Powiedziałbym nawet, że mój status administracyjny uległ wyraźnemu umocnieniu.

– Boks numer cztery – rzucił urzędnik.

• • •

Z oddali dobiegł warkot odpalanego silnika, ogłuszający jak ryk motocykla, więc wstali, podeszli do rogu, wyjrzeni i zobaczyli Petera jadącego quadem w stronę dużego domu. Pod stodołą równiutkimi rzędami parkowało ich teraz osiem.

– Od pierwszego kopa – powiedział Shorty. – Oby wszystkie tak zapalały.

– Jest za głośny – zauważyła Patty. – Nic z tego nie będzie. Od razu usłyszają.

Peter zatrzymał się przed domem. Zgasił silnik, wszedł do środka i powróciła cisza. Patty i Shorty cofnęli się za róg, do foteli.

– Płasko tu – rzucił Shorty.

– To może nam w czymś pomóc?

– Zamiast jechać, moglibyśmy pchać. Ze zgaszonym silnikiem. I kufrem na baku. Wieźlibyśmy go jak wózkem na meble.

– Dalibyśmy radę? – spytała Patty.

– Quad nie może być taki ciężki. Nigdy nie widziałaś, jak ktoś pcha motocykl? Nam byłoby jeszcze łatwiej, bo quad ma cztery koła i nie musielibyśmy trzymać go prosto. No i jest nas dwoje. Moim zdaniem to łatwizna.

– Ponad trzy kilometry w jedną stronę i ponad trzy z powrotem? Kufer zostałby na drodze, a my wrócilibyśmy tutaj. Co znaczy, że znów czekałby nas ponadtrzykilometrowy marsz przez las. W sumie prawie dziesięć kilometrów, w tym ponad sześć pchania quada. Masz pojęcie, ile by to trwało?

– Moim zdaniem jakieś trzy godziny – ocenił Shorty.

– Zależy od tego, jak szybko byśmy pchali. A tego nie wiemy.

– Dobra, powiedzmy, że cztery. Trzeba by zaplanować to tak, żeby o świcie było po wszystkim. Może spotkamy jakiegoś farmera jadącego na targ. Przecież ktoś musi tamtędy kiedyś przejeżdżać. Dlatego powinniśmy zacząć o północy. To dobra pora, tamci będą już spali.

– Zawsze to jakieś wyjście – przyznała Patty. – Chyba.

Silnik zawarczał ponownie, pięćdziesiąt metrów dalej, lecz po chwili warkot przybrał na sile. Brzmiał tak, jakby quad minął stodołę i jechał w ich stronę.

Wstali.

Silnik ryknął na całego i maszyna wypadła zza rogu w fontannach żwiru spod kół. Za kierownicą siedział Mark, wiózł duży karton przymocowany paskami do bagażnika. Zahamował,

wrzucił luz, przekręcił kluczyk w stacyjce i uśmiechnął się do nich uśmiechem młodego pana wszechświata.

– Dobre nowiny – rzucił. – Telefon działa. Mechanik przyjedzie z samego rana. Spóźniliśmy się i dzisiaj już nie zdąży. Ale wie, w czym problem. Miał z tym do czynienia. Pod maską, w miejscu, gdzie rurki grzewcze przechodzą przez górną deskę rozdzielczą, jest mały chip, który fajczy się, kiedy woda jest za gorąca. Przywiezie zapasowy ze szrotu. Chce za niego pięć dolarów. Plus pięćdziesiąt za robociznę.

– Świetnie – ucieszył się Shorty.

Patty milczała.

– Poza tym muszę, niestety, poprosić was o kolejne pięćdziesiąt za pokój – dodał Mark.

Zapadła cisza.

– Posłuchajcie – rzucił. – Chętnie byśmy o tym zapomnieli, ale ci z banku skopaliby nam tyłek. To jest interes. Musimy podchodzić do tego poważnie. Ale z waszego punktu widzenia to wcale nie takie straszne. Sto dolarów za motel, pięćdziesiąt parę za naprawę samochodu, więc w sumie będzie was to kosztowało niecałe dwieście dolarów. Mogło być dużo gorzej.

– Niech pan tu przyjdzie i spojrzysz – powiedziała Patty.

Kiedy Mark zsiadł, zaprowadziła go do pokoju i wskazała miejsce na nogi pod toaletką.

– Na co mam patrzeć?

– Sam pan zobaczy.

Mark spojrział.

I zobaczył.

– O Boże.

Schylił się i podniósł patyczek.

– Bardzo przepraszam. To niewybaczalne.

– Dlaczego powiedział pan, że nikt tu przed nami nie mieszkał?

– spytała Patty.

– Słucham?

– Bardzo pan to podkreślał.

– Bo naprawdę nie mieszkał. Na sto procent. Chodzi o coś zupełnie innego.

– Malarz go tam rzucił? – spytał Shorty.

– Nie.

– To kto? – drążyła Patty.

– Ci z banku kazali nam zadbać o marketing – wyjaśnił Mark. – Zamówiliśmy fotografa, żeby zrobił zdjęcia do nowej broszury reklamowej. Przyjechał z modelką z Bostonu. Pozwoliliśmy jej się tu umalować, bo to najładniejszy pokój. Nie wiem, chyba chcieliśmy zrobić na niej wrażenie. Była bardzo ładna. Oczywiście potem tu posprzątaaliśmy, ale jak widać, niedokładnie. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Ja też – powiedziała Patty. – Za pochopne wnioski. Jak wyszły zdjęcia?

– Przebrała się za turystkę, taką, która lubi wędrować. Włożyła bardzo duże buty i bardzo krótkie szorty. Za turystkę w gorący dzień, bo miała dość skąpy top. Stała na tle motelu. Nieźle to wyglądało.

Patty dała mu ciężko zarobione pięćdziesiąt dolarów.

– Ile jesteśmy winni za jedzenie?

– Nic – odparł Mark. – Przynajmniej tyle możemy dla was zrobić.

– Na pewno?

– Na pewno. To tylko pieniądze na życie, bank tych kwot nie widzi. – Schował do kieszeni banknot i patyczek. – À propos jedzenia: mam coś dla was.

Wrócili na parking i stanęli przed quadem, obok bagażnika i kartonu.

– Naturalnie zapraszamy was dzisiaj na kolację, a rano na śniadanie, ale doskonale zrozumiemy, jeśli zechcecie zjeść bez nas, tylko we dwoje. Dobrze wiemy, że podtrzymywanie rozmowy może być stresujące. Macie tu trochę jedzenia, specjalnie dobraliśmy składniki. Zapraszamy do nas albo otwórzcie karton i jedzcie do woli. Nie nalegamy ani na jedno, ani na drugie.

Rozpiął paski, zdjął karton z bagażnika, odwrócił się i podał go Shorty'emu.

– Dziękujemy – powiedziała Patty.

Mark uśmiechnął się, wsiadł na quada i odpalił nieznośnie głośny silnik. Zatoczył szeroki łuk na żwirowym parkingu i zniknął za rogiem.

• • •

Boks numer cztery wyglądał tak samo jak boks numer dwa, z tym że mieścił się na innym stole. Poza tym był identyczny. Stało tam identyczne obite tweedem krzesło, identyczny płaski monitor, a obok monitora leżały świeżo zatemperowany ołówek i cienki bloczek papieru opatrzonej na górze jakąś nazwą, jak papeteria hotelowa. Ekran jarzył się już na niebiesko, a w jego prawym górnym rogu, też tak samo jak przedtem, widniały dwie ikonki, jak znaczki pocztowe na kopercie. Kiedy Reacher kliknął dwa razy na pierwszą, ekran znów zmienił kolor na stalowoszary, jak pokład okrętu wojennego, a na środku pojawiła się czarno-biała strona tytułowa raportu rządowego, napisana staroświeckim, napuszonym krojem pisma. Widniało na niej dokładnie to samo, co widział już poprzednio, z wyjątkiem środkowego napisu, który głosił, że są to wyniki spisu powszechnego ludności z całego hrabstwa.

Przesunął ekran kółkiem między łopatkami myszki. Taki sam wstęp, taki sam opis postępów metodologicznych, jakich dokonano od czasów poprzedniego spisu powszechnego – opuścił to wszystko i od razu przeszedł do listy nazwisk. Szybko wpadł w rytm. Kręcąc kółkiem opuszką palca i wykorzystując jego rozpęd, przewinął na literę A, B i C, przyspieszył, a kiedy zamiast nazwisk na ekranie pojawiła się rozmyta smuga, zwolnił i przystanął na literze Q. Byli tam tylko Quaidowie, Quailowie, Quattlebaumowie i dwóch Queenów.

Przeszedł do litery R.

I prawie od razu ich znalazł. Na początku listy. James Reacher: mężczyzna rasy białej, dwadzieścia sześć lat, brygadzysta w fabryce cyny. Jego żona Elizabeth Reacher, kobieta rasy białej, dwadzieścia cztery lata, wykańczarka prześcieradeł. I Stan Reacher, wówczas ich jedyne dziecko, dwuletni chłopiec rasy białej.

Spis przeprowadzono w kwietniu i Stan miał wtedy dwa lata. Więc jesienią miałyby trzy, co znaczyło, że w ten wrześniowy wieczór czterdziestego trzeciego miał szesnaście. A nie piętnaście. Staruszka od ptaków wiedziała, co mówi.

– Ha! – mruknął Reacher.

Czytał dalej. Był tam także adres, ulica i numer domu w miejscowości o nazwie Ryantown. Dom wynajmowali za czterdzieści trzy dolary miesięcznie. Nie mieli radioodbiornika. I nie pracowali na farmie. Kiedy się pobrali, on miał dwadzieścia dwa lata, a ona dwadzieścia. Oboje umieli czytać i pisać. Nie mieli przodków wśród Indian.

Kliknął dwa razy na małą „sygnalizator uliczny” na górze dokumentu i ekran znów rozjarzył się na niebiesko. Kliknął na drugą ikonkę w kształcie znaczka pocztowego i otworzył wyniki spisu powszechnego przeprowadzonego dziesięć lat później. Przewiął prawie cały alfabet i tak jak poprzednio zwołnił na literze Q. Quaidowie i Quailowie wciąż tam byli, Queenowie też, lecz Quattlebaumowie zniknęli.

Nie zniknęli za to Reacherowie. W kwietniu tego roku James, Elizabeth i Stan mieli trzydzieści sześć, trzydzieści cztery i dwanaście lat. Ale dzieci im nie przybyło. Stan nie miał braci ani siostr. James zmienił pracę i był teraz robotnikiem drogowym, a Elizabeth w ogóle nie pracowała. Wciąż mieszkali pod tym samym adresem, ale czynsz zmalał do trzydziestu sześciu dolarów. Siedem lat kryzysu zebrało swoje żniwo, odciskając piętno zarówno na robotnikach, jak i właścicielach domów. James i Elizabeth wciąż umieli czytać i pisać, a Stan uczęszczał do szkoły. Kupili radio.

Reacher wziął świeżo zaostrojony ołówek, zapisał adres, wyrwał kartkę z cienkiego bloczka opatrzonego na górze jakąś nazwą, złożył ją i schował do tylnej kieszeni spodni.

•••

Zaparkował quada za stodołą i wszedł do domu. Telefon zadzwonił, kiedy tylko stanął w drzwiach. Mark podniósł słuchawkę i przedstawił się.

– Był tu ktoś o nazwisku Reacher – usłyszał. – Bada historię swojej rodziny. Wielki, twardy facet. Bardzo uparty. Jak dotąd sprawdził wyniki czterech spisów ludności. Chyba szuka starego adresu. Może to jakiś krewny. Pomyślałem, że cię uprzedzę.

Mark bez słowa odłożył słuchawkę.

Reacher wrócił do urzędu miejskiego. Dotarł tam pół godziny przed zamknięciem, poszedł do archiwum i nacisnął guzik dzwonka na ladzie. Chwilę później zjawiała się Elizabeth Castle.

– Znalazłem ich – powiedział. – Mieszkali poza granicami miasta, dlatego nie ma ich w pierwszym spisie.

– A więc teoria z listami gończymi upadła.

– Tak. Okazuje się, że byli dość praworządni.

– Gdzie mieszkali?

– W Ryantown.

– Chyba nie wiem, gdzie to jest.

– Szkoda, bo właśnie o to chciałem panią spytać.

– Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek słyszałam tę nazwę.

– To nie może być daleko, bo klub obserwatorów ptaków mieścił się tutaj, w Laconii.

Elizabeth wyjęła komórkę i przez chwilę robiła z nią coś rozłożonymi palcami. Potem pokazała mu ekran. Z powiększoną mapą. Rozszerzyła palce jeszcze bardziej, a gdy ukazały się na niej mniejsze obiekty, zaczęła przesuwając mapę wokół Laconii, badając graniczące z miastem tereny.

Żadnego Ryantown tam nie było.

– Niech pani spróbuje trochę dalej – zasugerował Reacher.

– Jak daleko szedłby chłopak na spotkanie klubu obserwatorów ptaków?

– Mógł mieć rower. Może w Ryantown było nudno. Na komendzie powiedziano mi, że w okolicy było mnóstwo osad czy kolonii z domami wielorodzinnymi, kościołem i praktycznie niczym więcej. Może mieszkał w takiej właśnie kolonii.

– Na pewno były tam ptaki – zauważyła Elizabeth. – Cisza, spokój. Musiało być ich więcej niż tutaj.

– Tak, ale ci z komendy mówią, że roilo się tam od małych fabryk i manufaktur. Więc okolica mogła być zadymiona.

– Dobrze, chwileczkę.

Elizabeth znów sięgnęła po komórkę. Ale tym razem niczego nie rozszerzała, tylko postukiwała w nią i coś pisała. Pewnie włączyła wyszukiwarkę albo weszła na stronę z historią Laconii i okolic.

– Tak – powiedziała. – Była tam fabryka cyny. Należała do niejakiego Marcusa Ryana. Ryan zbudował osiedle dla robotników i nazwał je Ryantown. Fabrykę zamknięto w latach pięćdziesiątych i osiedle opustoszało. Wszyscy wyjechali i nazwa zniknęła z mapy.

– Gdzie leżało? – spytał Reacher.

– Podobno na północny zachód stąd. – Elizabeth znów przywołała na ekran mapę i zaczęła ją szczypać, rozszerzać i przesuwac. – Gdzieś tutaj.

Na mapie nie było nazwy. Tylko pusty szary kształt i droga.

– Może pani pomniejszy?

Szary kształt zmalał do punkciku znajdującego się jakieś trzynaście kilometrów na północny zachód od Laconii. Na zegarze leżały między dziesiątą i jedenastą. Był jednym z wielu podobnych punkcików w pobliżu miasta. Wyglądały jak ruchliwe planety krążące wokół Słońca, trzymane na uwięzi przez siłę grawitacji, magnetyzm albo innego rodzaju silne przyciąganie. Tak jak przewidywała detektyw Brenda Amos, z powodów czysto praktycznych Ryantown przynależało do Laconii bez względu na to, co mówił kod pocztowy. Mijająca je droga biegła przed siebie jakby donikąd. Przez szesnaście albo i więcej kilometrów skręcała raz na północ, raz na zachód, a potem, też przez szesnaście kilometrów, biegła przez las. Ot, zwykła boczna droga, jak ta, którą jechał subaru z właścicielem firmy budowlanej. Bez trudu mógł ją sobie wyobrazić.

– Autobusy pewnie tam nie jeżdżą – powiedział.

– Niech pan wynajmie samochód – poradziła Elizabeth. – Jest tu kilka wypożyczalni.

– Nie mam prawa jazdy.

– Taksówkarze nie zechcą tam jeździć, za daleko.

Trzynaście kilometrów, pomyślał.

– Pójdę piechotą. Ale nie teraz. Kiedy bym tam doszedł, byłoby już ciemno. Może jutro. Ma pani ochotę na kolację?

– Słucham?

– Na kolację – wyjaśnił. – Trzeci posiłek dnia, spożywany zwykle wieczorem. Funkcjonalny, towarzyski, a czasem taki i taki.

– Nie mogę – odparła. – Jestem umówiona z Carterem Carringtonem.

• • •

Shorty zaniósł karton do pokoju i postawił go na toalecie przed telewizorem. Potem usiadł w fotelu obok Patty, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Patty milczała. Myślała. Tak już miała. Znał te objawy. Pewnie przetwarzała najświeższe informacje. Wiedział, że będzie je badała, roztrząsała i analizowała, aż wymyśli coś, co ją wreszcie zadowoli. I że długo to nie potrwa. Bo niby dlaczego miałoby potrwać? Przecież problem już zniknął. Sprawa z patyczkiem do czyszczenia uszu znalazła proste wyjaśnienie. Działał telefon. Wczesnym rankiem miał przyjechać mechanik. Straty? Niecałe dwieście dolarów. Pech, jasne, ale nie tragedia.

– Nie idźmy tam na kolację – powiedziała Patty. – Myślę, że Mark dawał nam do zrozumienia, żebyśmy nie przychodzili.

– Zapraszał nas.

– Z uprzejmości.

– Nie, chyba nie ściemniał. Patrzył na to z naszego punktu widzenia.

– Ty co? Teraz się z nim przyjaźnisz?

– Sam nie wiem – odparł Shorty. – To dziwak i dupek, któremu warto przetrzepać tyłek. Ale trzeba przyznać, że z mechanikiem pograł jak należy. Wy tłumaczył mu, w czym problem, i znalazł rozwiązanie. Znaczący, że traktuje nas poważnie. Może od początku oboje mieliśmy rację. Są dziwni, ale robią, co mogą, żeby nam pomóc. Czyli dziwni i uczynni, dwa w jednym.

– Wszystko jedno, zjedźmy tutaj.

– Mnie to pasuje. Mam dość ich pytań. Czuję się jak na

przesłuchaniu.

– Już ci mówiłam – rzuciła Patty. – Są uprzejmi. Grzeczne zainteresowanie to oznaka uprzejmości.

Wstali i weszli do pokoju. Drzwi zostawili szeroko otwarte. Przenieśli karton na łóżko i Patty przecięła paznokciem taśmę. Shorty rozchylił boczne klapki. W środku było mnóstwo różnych rzeczy, spakowanych ciasno i starannie. Batoniki zbożowe, batoniki energetyczne, woda, suszone morele, małe, czerwone pudełka rodzynek, wszystko ułożone porcjami według wzoru, który powtarzał się dokładnie dwanaście razy. Dwanaście porządnie spakowanych identycznych posiłków. Każdy składał się z butelki wody i jednej dwunastej zawartości kartonu.

Były tam również dwie latarki wepchnięte pionowo między paczki i pudełka.

– Dziwne – mruknęła Patty.

– To pewnie motel dla wędrowców – powiedział Shorty. – Jak na zdjęciu z tą modelką. Bo po co mieliby ją tak ubierać? Pewnie im te kartony rozdają. Albo sprzedają. Zabiera je każdy, kto lubi chodzić po górach czy lasach.

– Naprawdę?

– Batony są małe i dostarczają dużo energii. Bez trudu mieszczą się w kieszeni. No i woda.

– Ale latarki? – spytała Patty. – Po co?

– Żebyś nie musiała jeść po ciemku, kiedy zrobi się późno.

– Lepsza jest lampa.

– Może wędrowcy wolą latarki. Ci tutaj musieli to z nimi skonsultować i znają ich upodobania. W magazynie mają pewnie mnóstwo takich kartonów.

– „Składniki”. Tak powiedział.

– Wyważona dieta – dodał Shorty. – Pewnie zdrowa. Wędrowcom bardzo na tym zależy.

– Powiedział: „specjalnie dobraliśmy składniki”. To nieprawda. Niczego nie dobierali. To jest gotowe opakowanie, paczkowany towar. Jak z magazynu, sam mówiłeś.

– Możemy pójść do nich.

– Mówiłam, że nie chcę. Oni też nie chcą.

– No to musimy zjeść to.

– Dlaczego on używa takich górnolotnych słów? Mógł powiedzieć, że przywiózł nam trochę racji żywnościowych, które sprzedają tym, co lubią chodzić po lasach. Mnie by to wystarczyło. Zresztą darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

– Właśnie – zgodził się z nią Shorty. – Są dziwni. Ale i uczynni. Albo odwrotnie.

• • •

Reacher zjadł kolację samotnie, w małym, obskurnym barze bez obrusów. Nie chciał ryzykować i iść do bardziej eleganckiej restauracji, bo mogłoby się okazać, że wybrali ją Carter Carrington i Elizabeth Castle. Musiałyby wtedy przynajmniej podejść i przywitać się. Nie chciał zakłócać im wieczoru. Potem przez godzinę chodził po mieście, szukając sklepu spożywczego, a nad nim mieszkania z oknem wychodzącym na wschodnią część ulicy. Znalazł jedno. Spełniało wszystkie warunki i leżało na trasie do centrum miasta. Teraz mieściła się tam kancelaria adwokacka. A w sklepie sprzedawano spodnie i swetry. Stał plecami do okna i spojrzał na ulicę. Zobaczył spory kawałek nocnego nieba na wschodzie, a na dole pasmo lekko wypukłego asfaltu między dwoma rynsztokami, dwoma krawężnikami i dwoma chodnikami, tu i ówdzie oświetlone szeroko rozstawionymi latarniami.

Poszedł w tę samą stronę, w którą szedł dwudziestolatek. Po trzydziestu metrach przystanął. Bliżej byłoby bez sensu, bo staruszka nie musiałaby korzystać z lornetki. Widziałyby wszystko gołym okiem. Odwrócił się i spojrzał na okno. Wyobraził sobie, że jest jednym z tych niższych, drobniejszych chłopców. I że stoi przed nimi wysoki, barczysty typ, zasypując ich żądaniami i groźbami. W zasadzie żadna sprawa. Przynajmniej dla niego. Jako szesnastolatek był roślejszy niż większość dwudziestolateków. A nawet jako trzynastolatek. Biologia zawsze mu sprzyjała. Był szybki i groźny. Znał wszystkie sztuczki. Niektóre sam wymyślił. Ale wychowywał się

w piechocie morskiej, a nie w Ryantown w stanie New Hampshire. W porównaniu z nim Stan musiał być chłopakiem normalnej postury. Albo nawet drobnym. Metr osiemdziesiąt trzy w butach, osiemdziesiąt sześć kilo po kolacji z czterech dań.

Spojrzał na chodnik i wyobraził sobie ojca, który zaczyna się powoli cofać, potem odwraca się i ucieka.

• • •

Patty i Shorty zjedli pod oknem, w plastikowych fotelach – posiłek numer jeden i dwa – i posłusznie wypili po butelce wody. W kartonie zostało dziesięć porcji. Potem zrobiło się zimno, więc weszli do pokoju.

- Nie zamykaj drzwi – powiedziała Patty.
- Dlaczego? – spytał Shorty.
- Brakuje mi powietrza. W nocy omal się nie udusiłam.
- Otwórz okno.
- Się nie otwiera.
- Dmuchnie wiatr i się zatrzęsna.
- To zablokuj je butem – poradziła Patty.
- A jak ktoś wejdzie?
- Niby kto?
- Ktoś, kto będzie tędy przechodził.
- Tędy?
- Albo któryś z nich.
- Obudzę się. I obudzę ciebie.
- Słowo?
- Możesz na mnie liczyć.

Shorty zrzucił buty. Jeden wetknął między futrynę i drzwi, a drugim podparł drzwi od środka, żeby nie zatrzęsnał ich lekki nocny wiatr. Wiedział, że jest to prymitywny projekt inżynierski zwykłego rolnika, ale sztuczka mogła zadziałać.

Steven zadzwonił do Roberta, Robert do Petera, a Peter do Marka. Każdy z nich był w innym pomieszczeniu. Zebrali się na zapleczu i spojrzeli na ekran.

– Gdybyście mieli wątpliwości, wyjaśniam, że to są buty – powiedział Steven.

– Po co to zrobili? – spytał Mark. – Mówili coś?

– Patty brakuje powietrza. Konsekwentne zachowanie. Już o tym wspomniała. Moim zdaniem to nie problem.

Mark kiwnął głową.

– Opowiedziałem jej historyjkę o supermodelce, która malowała się w ich pokoju. Chyba uwierzyła. Powiedziałem, że rano przyjedzie mechanik. Zmyśliłem nawet coś o rurkach grzewczych. Uwierzyła i w to. Chyba już się uspokoiła. Dajcie sobie spokój z drzwiami.

– Musimy je zaraz zamknąć.

– Nie, nie dzisiaj. Nie wywołujmy wilka z lasu. Są odprężeni. Nie mają się czym martwić.

• • •

Reacher lubił zmiany, więc znalazł nowe miejsce na nocleg, ledwie ulicę od poprzedniego, elegancki pensjonat w wąskiej kamienicy ze świeżymi zdobieniami w przydymionych kolorach. Dostał pokój na najwyższym piętrze, do którego wchodziło się niskimi drzwiami na szczycie stromych, łamanych schodów. Wziął długi, gorący prysznic i położył się, wciąż ciepły i wilgotny.

Spał do trzeciej w nocy.

Obudził się dokładnie minutę po, gwałtownie, natychmiast, jak za pstryknięciem włącznika. Znów to samo. Ani dotyk, ani smak, ani zapach. Pozostawał dźwięk. Tym razem natychmiast wstał, wyjął spodnie spod materaca, naciągnął je, szybko się ubrał i zasznurował buty. Wyszedł z pokoju i zygzakowatymi schodami

zbiegł na dół.

Chłód, zimna, krucha cisza, wszędzie cegły, szkło, wąskie przejścia i buczenie przewodów elektrycznych. Reacher znieruchomiał. Ktoś zaszurał nogami po chodniku. Krótko, na lewo od niego. Dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów dalej. To nie były kroki, ktoś szurał nogami, stojąc w miejscu. Jedna, dwie osoby. Wciąż niewidoczne.

Reacher czekał.

Minutę później z oddali dobiegł zduszony krzyk. Kobiety. Mogła krzyknąć z radości. Albo w ekstazie. Albo i nie. Bo równie dobrze mogła być wzburzona czy rozwścieczona. Trudno powiedzieć. Ale krzyk był na pewno stłumiony. W specyficzny sposób, jakby ktoś zatkał jej usta.

Ulica wciąż świeciła pustkami.

Reacher zrobił kilka kroków w lewo i zobaczył lukę między sklepem z torebkami i sklepem z butami. Przejście prowadzące do wąskiego zaułka między dwoma budynkami. Po obu stronach były drzwi do mieszkań nad sklepami. Obok pierwszych po lewej stały dwie osoby. Mężczyzna i kobieta w pełnym zwarciu. Jak zapaśnicy mocujący się w ostrym świetle nagiej żarówki nad drzwiami. Mężczyzna był młody, prawie dzieciak, lecz rosły i krzepki. Kobieta, trochę starsza, miała jasne włosy. Była w szpilkach i czarnych rajstopach pod krótką, czarną kurtką, która podjechała do góry podczas szamotaniny.

Lubią się czy czubią?

Trudno powiedzieć.

Nie chciał psuć nikomu wieczoru.

Więc obserwował dalej.

Kobieta skrzywiła się, odwróciła głowę i powiedziała „Nie” cichym, stanowczym, trochę ochrypłym głosem, jakby splunęła albo mówiła do psa tonem, w którym pobrzmiwała nuta wstydu, zakłopotania i obrzydzenia. Odepchnęła mężczyznę, chciała odejść. Ale on jej nie pozwolił.

– Hej! – rzucił Reacher.

Odwrócili się do niego, oboje.

– Zabierz te łapy, pacanie – powiedział.

– To nie twoja sprawa – warknął tamten.

– Teraz już moja. Obudziliście mnie.

– Płyn stąd!

– Słyszałem, jak powiedziała „Nie”. Zostaw ją.

Chłopak odwrócił się bokiem do niego. W bluzie z nazwą słynnego uniwersytetu na piersi, duży i masywny, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył ze sto kilo. Może był sportowcem, lekkoatletą. Biła z niego młodość i podekscytowanie. Miał to spojrzenie w oczach – uważał się za świetnego faceta.

Reacher zerknął na kobietę.

– Wszystko w porządku?

– Pan z policji? – spytała.

– Kiedyś służyłem, ale w wojskowej. Jestem tu przejazdem.

Odsunęła się od chłopaka i stanęła metr dalej. Nie chciała mówić, ale patrzyła na Reachera tak, jakby prosiła, żeby został.

– Wczoraj w nocy też panią zaczepiał?

Kiwnęła głową.

– W tym samym miejscu?

Kobieta przytaknęła.

– Dokładnie o tej samej porze?

– Wtedy wracam z pracy.

– Pani tu mieszka?

– Do czasu, aż stanę na nogi.

Reacher spojrzał na jej szpilki, włosy i czarne rajstopy.

– Pracuje pani w koktajlbarze.

– W Manchesterze.

– A ten tu przylazł za panią do domu.

Kobieta kiwnęła głową.

– Dwie noce z rzędu?

– Tak.

– Sama mnie zaprosiła – odezwał się chłopak. – Więc bierz dupę w garść i daj naturze zrobić swoje.

– Nieprawda – zaprotestowała kobieta. – Nikogo nie zapraszałam.

– Kleiłaś się do mnie aż miło.

– Byłam tylko uprzejma. Tego oczekuje się od kelnerek.

Reacher przeniósł wzrok na chłopaka.

– To chyba zwykłe nieporozumienie – podsumował. – Łatwo je naprawić. Musisz tylko szczerze panią przeprosić, odejść i nigdy nie wracać.

– To ona już nie wróci – warknął tamten. – Przynajmniej nie do baru. Ojciec jest współwłaścicielem, każe ją wyrzucić.

Reacher spojrzał na kelnerkę.

– Co tu się wczoraj działo?

– Wpuściłam go. Powiedział, że tylko ten jeden raz, więc jakoś to zniosłam. Ale wrócił po jeszcze.

– Jeśli pani chce, mogę to z nim przedyskutować. Proszę iść do siebie. I przestać o tym myśleć.

– Ani się waż! – zaprotestował chłopak. – Nie beze mnie!

Kelnerka spojrzała na niego, potem na Reachera, znów na niego i znów na Reachera. Jakby wybierała. Jakby splukała się na wyścigach i nie wiedziała, na jakiego konia postawić ostatnią dwudziestkę. W końcu podjęła decyzję. Wyjęła klucze z torebki, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Chłopak patrzył przez chwilę na zamknięte drzwi, potem spojrzał na Reachera, który ruchem głowy wskazał wylot zaułka i rzucił:

– Spadaj, mały.

Chłopak patrzył na niego jeszcze przez chwilę, najwyraźniej intensywnie myśląc. A potem odszedł. Wyszedł z zaułka i zniknął mu z oczu. Skręcając w prawo. Co znaczyło, że jest praworęczny. I zechce zastawić zasadzkę, tak żeby Reacher wpadł prosto na jego prawy hak. Co zdradzało, gdzie się przyczaił, i to w miarę dokładnie. Półtora, najwyżej dwa metry za rogiem. Na wysokości okna wystawowego sklepu z torebkami. Ze względu na punkt obrotu. Podstawy geometrii. Stałe umiejscowienie w przestrzeni.

Ale nie w czasie. Prędkość – Reacher miał ją pod kontrolą. Podejdzie w miarę normalnym krokiem, tak zakładał chłopak. Pacan będzie pewnie trochę spięty i zniecierpliwiony. Ostrożny i czujny. Ale nieprzesadnie. I kiedy tylko zobaczy, że ktoś wychodzi z za rogu, wypuści ostrego haka. Gdyby Reacher szedł

zwykłym spacerkiem, trafiłby go dobrze i mocno. Nie był głupi. Pewnie uprawiał jakiś sport. Miał niezłą koordynację ręka–oko.

Dlatego zwykły spacerek odpadał.

Przystanął sześć kroków przed rogiem i zaczął. Czekał, czekał i czekał, a potem zrobił kolejny krok, powolny, szurając nogami po żwirze i ziemi. Znow przystanął i znów zaczął. Czekał, czekał i czekał, po czym zrobił jeszcze jeden krok, też powolny i złowieszczy, sunąc butami po kamkach. Znow zaczął i znów zrobił niespieszny krok w stronę rogu. Wyobraził sobie stojącego tam chłopaka, spiętego, z zaciśniętą pięścią. Wciąż trzymał postawę, trzymał i trzymał. Zaczynał mieć skurcze, mięśnie drżały mu i drętwiały.

Reacher zrobił czwarty krok, długi i leniwy. Stał teraz niecałe dwa metry od rogu. I znów czekał. I czekał. Nagle rzucił się przed siebie z uniesioną lewą ręką, otwartą dłońią i rozczapierzonymi palcami, jak w rękawicy baseballowej. Wypadł z za rogu i zobaczył chłopaka, który momentalnie ożył skonsternowany gwałtowną zmianą prędkości i długości kroku. A właściwie chciał ożyć, bo po długim oczekiwaniu poruszał się jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie i zamiast silnego ciosu, zadał niepewne dźgnięcie, spazmatyczny niewypał, który Reacher bez trudu wyłapał niczym stojący na drugiej bazie baseballista. Smarkacz miał dużą pięść, ale jego była większa, więc chwycił ją i ścisnął. Lekko, z umiarem, i choć nie zmiażdżył kości, tamten musiał skupić się teraz na tym, żeby nie otworzyć przypadkiem ust, nie jęknąć ani nie zaskowytac, na co jako świetny, ostry chłopak nie mógł sobie przecież pozwolić.

Reacher ścisnął pięść trochę mocniej. Głównie w ramach testu na inteligencję. Który pacan oblał, bo wolną ręką chwycił go za nadgarstek. Błąd. Bezproduktywny ruch. Zawsze lepiej jest spróbować u źródła problemu i uderzyć przeciwnika na przykład w głowę. Albo kciukiem w oko, albo gdzie indziej, tak żeby zwrócić jego uwagę. Ale on nie uderzył. Stracił okazję. Reacher dodał do uścisku lekki skręt nadgarstka. Jakby bawił się gałką klamki. Zablokował łokieć, więc chłopak musiał opuścić ramię, ale ponieważ Reacher nie przestawał wykręcać mu ręki, tamten

pochylał się coraz niżej i niżej, aż w końcu musiał też uwolnić jego nadgarstek i dla zachowania równowagi wyprostować wolną rękę.

– Mam cię uderzyć? – spytał Reacher.

Cisza.

– Zadałem proste pytanie. Wystarczy „Tak” albo „Nie”.

Chłopak dyszał, sapał i dreptał niepewnie w miejscu, próbując przybrać jak najwygodniejszą postawę. Ale jeszcze nie skowyczał. W końcu wychrypiał:

– Dobra, źle ją zrozumiałem. Przepraszam, dam jej spokój.

– A co z jej pracą? – spytał Reacher.

– Tylko żartowałem!

– A co z następną kelnerką, kolejną dziewczyną, której się nie poszczęściło i która szuka bezpiecznego zatrudnienia?

Brak odpowiedzi.

Reacher wykręcił mu rękę jeszcze mocniej.

– Mam cię uderzyć?

– Nie.

– „Nie” znaczy „nie”, prawda? Pewnie uczą was tego na tym wspaniałym uniwersytecie. Ale z twojego punktu widzenia sprawa była czysto teoretyczna. Aż do teraz.

– Weź przestań, co?

– Chcesz, żebym cię uderzył?

– Nie.

Reacher grzmotnął go w twarz, z pełną siłą, jak pociąg towarowy, ze zgrzytem i trzaskiem. W głowie chłopaka momentalnie zgasły wszystkie światła. Zwiotczał i do akcji wkroczyła grawitacja. Reacher wciąż trzymał go mocno za rękę, tak że cały ciężar ciała chłopaka spoczywał teraz na zablokowanym łokciu. W tej sytuacji mogły się zdarzyć dwie rzeczy. Pacan mógł przetoczyć się do przodu albo upaść tam, gdzie stał. Wszystko zależało od siły i elastyczności jego ścięgien.

Upadł tam, gdzie stał. Łokieć nie wytrzymał, ręka się podwinęła i Reacher go puścił. Pętał wylądował na chodniku pod witryną sklepu z torebkami, z prawą ręką w lewo, a lewą w prawo, jak swastyka. Oddychał. Trochę bulgotliwie, od krwi w gardle. Miał

roztrzaskany nos. Kości policzkowe chyba też. I kilka wybitych zębów. Głównie przednich górnych. Dzieciak jego dentysty mógł śmiało myśleć o studiach.

Reacher odszedł i wrócił do pensjonatu, łamanymi schodami na górę i przez niskie drzwi do pokoju, gdzie po raz drugi wziął długie, gorący prysznic i położył się, wciąż ciepły i wilgotny. Ubił poduszkę i zasnął.

• • •

Dokładnie w tej samej chwili obudziła się Patty. Kwadrans po trzeciej w nocy. Podświadomy niepokój znów przebił się na powierzchnię i pomyślała: Po co te latarki? Dlaczego akurat dwie? Dlaczego nie jedna albo nie dwanaście?

W pokoju panował rozkoszny chłód. Czuła zapach nocnego powietrza, bogaty i aksamitny. Po co ktoś miałby dodawać dwie latarki do dwunastu posiłków? I w ogóle dlaczego latarki? Co latarki mają wspólnego z jedzeniem? Przecież jedzenie i latarka nie idą w parze. Czy kiedykolwiek ktoś spytał kogoś: Hej, chcecie do tego latarkę? Shorty mówił bzdury. Nikt nie je lunchu po ciemku. I kropka. To jest lunch dla bogaczy z Bostonu, którzy w weekend chcą dać sobie w kość. Nikt z tych, którzy przyjeżdżają tu przed Świętem Pracy albo żeby fotografować jesienne liście, nie chciałby jeść batoników zbożowych na kolację. Czy na śniadanie. Na lunch tak, jako część męskiej przygody. Więc po co latarki? Lunch je się w środku dnia. A w środku dnia zwykle świeci słońce. Chyba że jest się grotolazem. Ale grotolazi mają na pewno własne, specjalistyczne. I drogie, takie na hełm.

W ogóle po co pakować je do kartonu z jedzeniem? Przecież latarka to nie to samo co serwetka czy nóż albo widelec.

I czy w ogóle je spakowano?

Może tylko wetknięto, jakby po namyśle? Patty zamknęła oczy i wróciła myślą do chwili, kiedy otwierali karton. Przecięła taśmę paznokciem, a Shorty podniósł klapki. Jakie odniosła wtedy wrażenie?

Dwie latarki wepchnięte pionowo między paczki i pudełka. Wepchnięte.

A więc początkowo ich nie było. Dodano je potem.

Po co?

Dwie latarki dla dwóch osób.

Każde z nich dostało latarkę i sześć pożywnych posiłków.

Dlaczego?

Macie tu trochę jedzenia, specjalnie dobraliśmy składniki. Zapraszamy do nas albo otwórzcie karton i jedzcie do woli.

Fałszywie to zabrzmiało. Co znaczy, że kłamali.

Tylko wtedy czy kiedy indziej też?

Patty odrzuciła koc, wstała i po cichu podeszła do telewizora, przed którym stał karton. Otworzyła go i pomacała w środku ręką. Jedna z latarek wpadła do dziury po dwóch pierwszych posiłkach. Wyjęła ją. Latarka była duża i ciężka. Zimna i twarda. Przytknęła ją do dłoni i zapaliła. Leciutko podwinęła palce i wypuściła smużkę srebrzystego światła, różowego od jej skóry. Latarka była markowa, wyprodukowana przez znaną firmę. Wyglądała tak, jakby wytoczono ją z kawałka aluminium najwyższej klasy, takiego, jakiego używają w kosmosie. Zamiast żarówki miała małe lampki ledowe, które wyglądały jak owadzie oczy.

Patty spojrzała na karton. Druga tkwiła tam, gdzie poprzednio, wciśnięta pionowo między lunche numer dziewięć, dziesięć, jedenaście i dwanaście. Wbita tak mocno, że pękło kilka leżących wokół niej batoników zbożowych. I wgięło się pudełko rodzynek. Musiano dodać ją później, bez dwóch zdań. Spojrzała na taśmę, którą przecięła paznokciem. Dwie warstwy. Jedna naklejona przez hurtownika, druga przez nich, gdy po dodaniu latarek ponownie zaklejali karton.

Kiedy jeszcze ich okłamali?

Trąciła nogą zgięty but Shorty'ego, leciutko uchyliła drzwi i przez wąską szparkę wyślizgnęła się na dwór. Odsłoniła reflektor latarki i buchnął jasny snop światła. Drobiąc na bosaka po kamykach, podeszła do hondy. Otworzyła drzwi od strony pasażera. Dźwignia otwierania maski była mniej więcej na wysokości piszczele. Widziała ją milion razy, szeroki, czarny wichajster. Pociągnęła za nią. Maską odskoczyła z metalicznym

brzęknięciem, które w stężalym bezruchu nocy zabrzmiało jak huk zderzenia dwóch samochodów na autostradzie.

Zgasiła latarkę i odczekała chwilę. Nikt nie nadszedł. W oknach nie rozbłysło ani jedno światło. Zapaliła latarkę i stanęła przed samochodem. Poruszyła zatrzaskiem, podniosła maskę, podparła ją metalowym prętem i wetknęła do dziury jego koniec. Pracowała w tartaku. Znała się na maszynach. Przesunęła się w lewo, potem w prawo i wreszcie zobaczyła to, co chciała zobaczyć.

Godzina prawdy.

Ale wie, w czym problem. Miał z tym do czynienia. Pod maską, w miejscu, gdzie rurki grzewcze przechodzą przez górną deskę rozdzielczą, jest mały chip, który fajczy się, kiedy woda jest za gorąca.

Patty pochyliła się. Latarkę trzymała palcami jak sondę medyczną. Powiodła światłem po komorze silnika.

Od razu znalazła tył deski rozdzielczej. Goły wytłoczony panel, usiany wgłębieniami od sztyftów wzmacniających, szary i brudny, częściowo pokryty cienką warstwą łuszczącego się materiału wygłuszającego. Przechodziło tamtędy mnóstwo rurek, drutów i kabli, przypuszczała, że głównie elektrycznych. Rurka z gorącą wodą musiała być gruba. Co najmniej dwa, dwa i pół centymetra średnicy, na pewno wzmocniona. Pewnie czarna, izolowana, przymocowana klamrą do korpusu silnika, a raczej do wymiennika ciepła, bo stamtąd szła woda. A obok niej musiała biec identyczna rurka powrotna, też czarna. Woda, to gorąca, to schłodzona, krążyła nimi tam i z powrotem. Bo pompowała ją pompa. Która stawała, kiedy stawał silnik, tak mówił Peter.

Patty wyciągnęła szyję, poświeciła w lewo i...

...zobaczyła dwie grube rurki wychodzące z wymiennika ciepła za korpusem silnika. Innych kandydatów nie było. Powiodła po nich światłem. Biegły bardzo nisko, tuż nad dnem komory. Przebijały przepierzenie i znikwały w kabinie, pod obudową dźwigni zmiany biegów i dolną deską rozdzielczą. Za wymiennikiem.

Pod maską, w miejscu, gdzie rurki grzewcze przechodzą przez górną deskę rozdzielczą...

Nieprawda. Sprawdziła jeszcze raz. Rurki nawet nie zbliżały się do górnej deski. Nie tam, nie pod maską. Wchodziły do kabiny pod miejscem na nogi, o wiele niżej. A w pobliżu rurek niczego nie było. Tylko grube metalowe części pokryte zapieczonym brudem. Żadnych kabli. Niczego delikatnego, co mogłoby się stopić pod wpływem wysokich temperatur. A już na pewno nie było tam czarnego pudełka z elektronicznym chipem.

Patty cofnęła się i wyprostowała. Popatrzyła na dom. Wciąż cisza i spokój. Stodoła tonała w upiornym blasku księżyca. Quady

były równiutko zaparkowane, wszystkie dziewięć. Patty zgasila latarkę i podrobiła z powrotem do pokoju. Podeszła do łóżka i obudziła Shorty'ego.

Usiadł spanikowany i rozejrzył się w poszukiwaniu intruzów.

Nikogo nie zobaczył.

– Co jest? – spytał.

– Rurki grzewcze nie przechodzą przez tył górnej deski rozdzielczej.

– Co?

– W samochodzie – wyjaśniła. – Biegną dołem, bardzo nisko, na wysokości dolnej części dźwigni zmiany biegów.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłam. Z latarką, tą od nich.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Dlaczego?

– Bo się obudziłam. Coś tu nie gra.

– Wyrwałaś z wozu deskę rozdzielczą?

– Nie, zajrzałam pod maskę. Patrzyłam z drugiej strony, od tyłu. I wszystko widziałam. W pobliżu rurek nie ma żadnego chipa.

– Może mechanik coś pokręcił – myślał na głos Shorty. – Albo mówił o hondzie z innego rocznika. Nasza jest bardzo stara. Poza tym te amerykańskie mogą się różnić od kanadyjskich.

– A może ten mechanik w ogóle nie istnieje? Może w ogóle go nie wezwali?

– Niby dlaczego?

– Bo chcą nas tu zatrzymać.

– Co takiego?

– Masz jakieś inne wyjaśnienie?

– Zatrzymać po co? Żeby ktoś tu mieszkał? Bo bank tak chce? Żeby wyciągnąć z nas więcej kasy?

– Nie mam pojęcia.

– Super, niezły sposób na prowadzenie interesu. Moglibyśmy wejść na TripAdvisora i coś napisać.

– Tylko że nie wejdziemy – osadziła go Patty. – Tu nie ma ani Wi-Fi, ani zasięgu, ani zwykłego telefonu.

– Przecież nie mogą przetrzymywać ludzi na siłę. Prędzej czy później ktoś zauważyłby, że zniknęli.

– Jasne, a my powiedzieliśmy im otwarcie, że nikt nie wie, gdzie jesteśmy.

– I że jesteśmy splukani – dodał Shorty. – I co, długo będziemy płacili im za pokój?

– Dwa dni. Śniadanie, lunch i kolacja. Sześć posiłków na głowę.

– Obłąd. A potem co? Wezwą mechanika?

– Musimy uciekać, Shorty. Zrobić to, co mówiłeś, to z quadem. Ubieraj się. Wychodzimy.

– Teraz?

– W tej chwili.

– Jest środek nocy.

– Sam mówiłeś. Oni teraz śpią. Teraz albo nigdy.

– Bo mechanik pokręcił coś przez telefon?

– Zakładając, że on w ogóle istnieje. I z powodu całej reszty.

– Po co dali nam latarki? – spytał Shorty.

– Tego też nie wiem.

– Jakby wiedzieli, że się nam przydadzą.

– Ale skąd?

Shorty wstał.

– Trzeba zabrać trochę żarcia. Do lunchu daleko nie zajdziemy. A o śniadaniu od razu zapomnij.

Ubrali się, skacząc z nogi na nogę, w półmroku, bo przez otwarte drzwi wpadało tylko światło księżyca. Spakowali się po omacku, wynieśli torby i postawili je przy samochodzie.

– Na pewno dobrze robimy? – spytał Shorty. – Na zmianę zdania nigdy nie jest za późno.

– Nie chcę tu być – odparła Patty. – Coś tu jest nie tak.

Do stodoły szli po trawie, nie po ziemi, bo uznali, że tak będzie ciszej. Potem szli po żwirze, jeszcze ostrożniej niż po trawie, do ustawionych w idealny kwadrat quadów, do najbliższej maszyny, tej, którą Peter podstawił Markowi. Silnik był jeszcze ciepły. Shorty chciał właśnie tę, bo widział, jak Mark wrzuca luz, i wiedział, że quad dobrze chodzi, ale przede wszystkim dlatego, że najbliżej parkował. Kto by chciał pchać takie bydło dziesięć

metrów więcej? Na pewno nie on. Wrzucił luz i naparł na kierownicę, początkowo zbyt lekko i trochę na skos, ale kiedy quad potoczył się posłusznie przed siebie, coraz szybciej i szybciej, Shorty zaczął nabierać wprawy.

– Nie jest źle – rzucił.

Zatrzymał maszynę, zmienił pozycję i znów pchnął, zataczając idealny łuk, jak na parkingu, skręcając, a potem jadąc prosto. Patty podbiegła z drugiej strony, zaczęli pchać razem i wkrótce quad nabrał całkiem przyzwoitej prędkości, jadąc główną ścieżką w kierunku motelu, bardzo cicho, jeśli nie liczyć tupotu butów, chrzęstu żwiru i cichego pykania kamyków strzelających spod miękkich gumowych opon. Ciężko sapiąc, minęli róg, minęli pokój numer dwanaście i pojechali dalej, prosto do hondy stojącej dokładnie naprzeciwko dziesiątki. Zatrzymali quada tuż za samochodem. Shorty otworzył bagażnik.

– Zaczekaj – szepnęła Patty.

Wyjrzała zza rogu i przez chwilę obserwowała dom. Ani światła, ani ruchu. Wróciła do hondy.

– Dobra.

Shorty stanął twarzą do bagażnika, pochylił się z szeroko rozłożonymi rękami, wsunął palce pod kufer, z dwóch stron, dźwignął przód, wyciągnął kufer do połowy i oparł go o brzeg bagażnika. Chwycił za rączkę, żeby ustawić go dokładnie na środku, w pełnej równowadze, bo wtedy kufer nic by nie ważył, a on mógłby zmienić pozycję, poprawić uchwyt, podrzucić kufer jak sztangę i przenieść go na quada.

Ale rączka pękła.

Shorty zatoczył się do tyłu.

– Cholera.

– Co dowodzi, że i tak nie dalibyśmy rady go przenieść – skonstatowała Patty. – Urwałaby się prędzej czy później.

– Jak wniesiemy go do autobusu?

– Musimy kupić sznur. Owiniemy go kilka razy i zrobimy nową rączkę. Trzeba poszukać stacji benzynowej albo sklepu żelaznego. I kupić. Sznur. W pierwszym sklepie, jaki zobaczymy.

Shorty podszedł do bagażnika, pochylił się i znów wcisnął palce

pod kufer. Stęknął, dźwignął, sapnął, odwrócił się i postawił kufer na quadzie, wzdłuż, przednią część na kierownicy, tylną na miękkim siedzeniu. Potem pchnął go lekko kilka razy i wyrównał. Kufer leżał dobrze, pewnie. Lepiej, niż można by się spodziewać. Shorty był zadowolony.

Zamknął klapę i przytroczyli torby do tylnego bagażnika. Zajęli pozycję. On z lewej strony, Patty z prawej, każde z jedną ręką mocno zaciśniętą na krótkim bocznym uchwycie, a drugą na rogu kufra, tak aby mogli pchać, świecąc jednocześnie latarką. A właściwie dwiema, dzięki czemu mieli coś w rodzaju prowizorycznego podwójnego reflektora, który ułatwiał sterowanie, poza tym cały czas mogli przytrzymywać kufer, on prawym przedramieniem, ona lewym, oczywiście zakładając, że oboje będą szli mocno pochyleni, a wszystko wskazywało na to, że inaczej nie da rady, ponieważ quad był teraz obciążony i musieli pchać go inaczej niż wcześniej. Pierwszy krok wymagał użycia pełnej siły, więc napięli się oboje jak strongmani w kablówce i pchnęli. Quad drgnął i potoczył się przed siebie, szybko jednak stwierdzili, że utrzymanie go w ciągłym ruchu wymaga prawie takiego samego wysiłku jak ruszenie go z miejsca, chociaż kiedy maszyna zjechała z podskokiem ze zwirowego parkingu na asfaltówkę, tę biegnącą przez las, zaczęło iść im lepiej.

Mieli przed sobą ponad trzy kilometry. Wjechali do tunelu, chłodnego, pachnącego zgniłymi liśćmi i wilgotną ziemią. Szli, sapiąc i pchając. Metodą prób i błędów nauczyli się, że najlepiej jest stale utrzymywać jak największą prędkość, tak żeby quad siłą rozpędu pokonywał długie, płytkie dziury w asfalcie. Co znaczyło, że cały czas musieli wypruwać z siebie żyły, ale lepsze to, niż wypychać przednie koła z dziury. Więc szli i pchali, niemal biegnąc, bardzo szybko, dając się ponieść sile rozpędu, bez żadnej frajdy, zdając sobie sprawę, że nie mają innego wyjścia, i zaciskając zęby.

– Muszę odpocząć – wysapała Patty.

Zaczekali, aż quad się zatrzyma. Przesunęli kufer trochę w lewo, potem trochę w prawo, żeby leżał dokładnie pośrodku. Cofnęli

się, wyprostowali i chwycili się za krzyże. Ciężko dysząc, poruszali głowami, żeby rozluźnić mięśnie karku.

– Daleko jeszcze? – spytał Shorty.

Patty spojrzała za siebie i przed siebie.

– Ponad dwa kilometry.

– Ile już idziemy?

– Ze dwadzieścia minut.

– Cholera, strasznie się wlecemy.

– Zakładałeś, że potrwa to cztery godziny. Trzymamy się planu.

Znów zajęli pozycje i pchnęli. Jak bobsleiści na szczycie wzgórza, z każdym krokiem szli coraz szybciej i szybciej. Nabrali prędkości i starali się ją utrzymać, podpierając ramionami trzęsący się kufer, nisko pochylając głowę, głęboko oddychając i zerkając przed siebie, żeby sprawdzić, czy quad jedzie prosto. Kilkaset metrów dalej zrobili kolejny odpoczynek. Potem jeszcze jeden. Minęła godzina.

– Powrót będzie łatwiejszy – powiedziała Patty. – Bez kufra.

Mijali miejsce, gdzie nie było drzew. Zobaczyli pasmo rozgwieżdżonego nieba.

– Już niedaleko – rzuciła. – Zaczekaj. – Pociągnęła za kierownicę i zaparła się nogami jak dzieciak, który chce zatrzymać domowej roboty wózek.

– Co jest? – spytał Shorty.

– Tam był kabel. Jak na stacji benzynowej. Żeby dzwonek zadzwonił. W poprzek drogi. Pewnie dzwoni tam u nich.

Shorty zatrzymał quada. Tak, pamiętał. Kabel. Płaski, obciążony gumą, jak wąż ogrodowy. Poświecił latarką w dal. Pusto. Pojechali dalej, dwa razy wolniej, z trudem pokonując dziury, jedną latarką świecąc przed siebie, drugą omiatając asfalt pod nogami.

Zobaczyli go sto metrów dalej.

Płaski, gumowy, w poprzek drogi.

Zatrzymali się metr przed nim.

– Jak to działa? – spytała Patty.

– W środku są pewnie dwa metalowe płaskowniki. Oddzielone czymś od siebie. Kiedy koło najeżdża na kabel, stykają się

i dzwoni dzwonek. Jakbyś nacisnęła guzik.

– Więc nie przejeździemy. Nie możemy.

– Ano nie.

Powstał problem. Shorty nie dałby rady dźwignąć quada. Ani przednich kół, ani tylnych. Może dwa centymetry, i to tylko na sekundę, a sekunda to za mało, żeby przetoczyć go nad kablem i postawić z drugiej strony.

– Daleko jeszcze? – spytał.

– Z trzysta metrów.

– Wezmę kufer i poniosę.

– Zaczekaj.

Patty kucnęła i wsunęła palce pod kabel. I podniosła. Po prostu podniosła kabel, bez najmniejszego trudu, najpierw na parę centymetrów, potem na pół metra. Mogła z nim robić, co chciała. Więc nieco go poluzowała. Pociągnęła lekko w lewo, potem w prawo, aż zrobił się bardzo luźny na środku.

– Gotowy? – rzuciła.

Podniosła kabel jak najłagodniej, na otwartych dłoniach, na wysokość głowy, szeroko rozłożonymi rękami. Shorty pochylił się nisko i przepchnął pod nim quada. Patty zaczęła, aż przejedzie na drugą stronę. Czuła się tak, jakby odprawiała ceremonię taneczną na hippisowskim ślubie.

– Dobra, już – powiedział Shorty.

Wtedy położyła kabel na jezdni, delikatnie i powoli, jakby się kłaniała. Potem znów wzięli się do roboty, ożywieni i bezpieczni. Ostatnie okrążenie, już niedaleko. Snopy światła z latarek chwiały się i podskakiwały, początkowo omiatając tylko drzewa, lecz po chwili spostrzegli, że majaczy przed nimi pustka innego rodzaju. Dwupasmówka. Z której zjechali tysiąc lat temu. Shorty spytał wtedy: „Okej?”. A ona nie odpowiedziała.

– Trzeba znaleźć dobre miejsce. Najlepiej tuż przy drodze. Żebyśmy mogli łatwo wyciągnąć kufer, kiedy złapiemy okazję.

Zatrzymali quada w miejscu, gdzie droga poszerzała się i łączyła z dwupasmówką. Wyglądało na to, że nie ma tam dobrych miejsc na ukrycie kufra. Po obu stronach drogi rosły gęste drzewa, a na ostatnim metrze pobocza gęste krzaki. Choć

wokół omszałych słupów z tablicami było ich jakby mniej. Może przed laty ktoś naruszył ziemię. Albo krzaki rosły tam wolniej. Może za jednym czy drugim znaleźliby dziurę, w której zmieściłby się kufer.

Patty poszła sprawdzić i w końcu uznała, że słup po prawej będzie lepszy niż ten po lewej. Głośno sapiąc, dopchnęli quada najbliżej, jak się dało. Shorty rozłożył szeroko ręce, zdjął kufer, stęknął, odwrócił się i upuścił go na krzaki. Miażdżąc niższe gałęzie, kufer potoczył się z trzaskiem w dół i znieruchomiał, całkiem dobrze ukryty. Patty odeszła kawałek dalej i poświeciła latarką, żeby zobaczyć, jak to wygląda w świetle reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Stwierdziła, że prawie nic nie widać. A już na pewno nie tyle, żeby ktoś przystanął i zajrzał za słup. Kierowca pomyślałby pewnie, że leży tam truchło jelenia. Była zadowolona.

Lecz nagle zmienił jej się głos.

– Shorty, chodź tutaj.

Shorty podszedł bliżej. Stanęli obok siebie na wąskiej asfaltówce i popatrzyli najpierw na drogę do motelu, potem na miejsce, które oświetlał chybotliwy snop światła, czyli omszały słup i leżący za nim ciemny kształt, praktycznie niewidoczny, chyba że wiedziało się, co to jest. Tak, Shorty też był zadowolony.

– No? – spytał. – Co mam zobaczyć?

– Pomyśl – powiedziała Patty. – Co widzieliśmy, zjeżdżając z tej drogi?

Shorty pomyślał. Wyobraził to sobie. Zrobił dwa kroki w lewo i stanął na środku asfaltówki, tam gdzie toczyły się wtedy koła hondy. Lekko przykucnął, żeby jego głowa znalazła się na wysokości głowy kierowcy. Co wtedy widział? Omszały słup z przybitą gwoździami tablicą, do której przymocowano kilka ozdobnych plastikowych liter i strzałkę. Litery układały się w słowo *Motel*.

Porównał to z tym, co widział teraz.

Coś się zmieniło, na pewno. Tylko co?

Patrzył, patrzył, wreszcie zobaczył. Nie było tablicy. Ani plastikowych liter, ani strzałki. Dosłownie nic. Tylko słup.

Podobnie po drugiej stronie drogi.

– Dziwne – mruknął.

– Myślisz?

– Więc co to jest? Motel czy nie motel? Według mnie motel, przecież biorą od nas kasę.

– Musimy uciekać, Shorty.

– I uciekamy. Zatrzymamy pierwszy samochód, jaki nadjedzie.

– Ale najpierw odstawimy quada do stodoły – zastrzegła Patty.

– Nie musimy. Nie jesteśmy im nic winni. Już nie. Robią nam jakieś dziwne numery z tablicami, a my mamy zwracać im quada? Zostawmy go tu i niech sami po niego przyjdą.

– Oni wstają o wschodzie słońca – przypomniała mu Patty. – Zobaczą, że jednego brakuje, i od razu wszystko się wyda. A jeśli quad będzie na miejscu, minie wiele godzin, zanim sobie o nas przypomną. Pomyślą, że jemy śniadanie. Sami, w pokoju. Nie będą mieli po co przychodzić, nie tak wcześnie.

– Trochę to ryzykowne.

– Zyskalibyśmy dużo czasu – ciągnęła. – Jak tylko zobaczą, że zniknęliśmy, od razu zaczną nas szukać. Musimy ten moment maksymalnie opóźnić. Żeby być jak najdalej stąd. A już na pewno nie możemy tu sterczeć z uniesionymi kciukami. Czas. Najważniejszy jest czas.

Shorty milczał. Popatrzył na pustą ciemną drogę, w jedną stronę i drugą.

– Wiem, że to dziwne – nie ustępowała Patty. – Wracać. Zwłaszcza że już tu jesteśmy. Ale sam widzisz, że nic nie jedzie. Jest za wcześnie. O świcie będzie lepiej.

Shorty wciąż się nie odzywał. W końcu zdecydował.

– Dobra, wracajmy.

– Jak najszybciej. Pamiętaj, teraz liczy się szybkość.

Zdjęli torby z bagażnika, ukryli je obok kufra, pchnęli quada i zatoczyli szeroki krąg na asfalcie. Na otwartej przestrzeni powietrze miało przyjemniejszy zapach. Ustawili quada przodem do wylotu leśnej drogi. Zajęli pozycję. I ruszyli. Znów ponad trzy kilometry przez las, w przeciwnym kierunku. Ale tak, Patty miała rację. Bez kufra pchało im się dużo łatwiej. Lżej, bo quad jakby

płynął po wodzie. Znow odtańczyli hippisowski taniec pod czarnym kablem i poszli dalej, szybkim krokiem, bez żadnego wysiłku. Nie zatrzymywali się ani nie odpoczywali.

Pokonanie trzech kilometrów zajęło im pół godziny z minutami. Zatrzymali się na skraju lasu. Droga biegła dalej, w świetle księżycy szara jak widmo, przez płaską łąkę w kierunku drewnianych budynków na długim, łagodnym zakręcie. Motel był ciemny i cichy. Stodoła też. Podobnie jak dom. Patty spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej. Godzina do pierwszego brzasku.

Wszystko grało.

Pchnęli quada i poszli dalej, najciszej, jak mogli, tak że słycać było tylko szum opon i plaskanie butów na końcówce asfaltu. Potem wjechali na parking przed motelem, gdzie zrobiło się głośniejsze, bo znów zachrząścił żwir, a spod kół zaczęły strzelać kamyki. Minęli recepcję, minęli pokoje numer jeden i dwa, zostawili za sobą zepsutą hondę i pojechali dalej, do końca budynku, gdzie mieścił się pokój numer dwanaście. Za motelem była stodoła, przed którą majaczyło osiem widmowych kształtów, osiem równiutko zaparkowanych quadów – miejsce dziewięć ziało pustką, jak dziura po wybitym zębie w uśmiechniętych ustach. Shorty spojrział na Patty i uniósł kciuk. Miała rację. Wystarczyłoby, żeby o świcie ktoś wyjrzał przez okno i od razu podniósłby alarm.

Ścięli trawiasty róg i powolutku potoczyli quada po wyżwirowanej części parkingu. Parkowanie było łatwe. Sprowadzało się do tego, że odpowiednio ustawili maszynę kierownicą do przodu i powoli pchnęli, aż zrównała się z pozostałymi. Zrobili krok do tyłu. Idealnie. Nie do wykrycia. Sprawa załatwiona. Najpierw po żwirze, potem po trawie na czubkach palców wrócili na ścieżkę, gdzie na chwilę przystanęli, żeby złapać oddech. Mieli do pokonania ponad trzy kilometry drogą przez las. Znowu. Ale tym razem nie musieli niczego pchać. Tym razem będą tylko szli, po prostu i zwyczajnie. I odejdą stąd na zawsze.

Otworzyły się drzwi. Gdzieś z tyłu. W domu. Dość daleko od nich. Ktoś zawołał:

– Hej, to wy?

Mark.

Shorty i Patty znieruchomieli.

– Hej!

Błysnęła latarka. Na ziemi wykwitły ich cienie, co znaczyło, że Mark świeci im w plecy.

– To wy?

Odwrócili się.

Szedł w ich stronę. Całkowicie ubrany. Jego dzień już się zaczął. Latarkę trzymał nisko, tak jak oni swoje, więc zamiast oślepić, trzy promienie światła grzecznie oświetlały ziemię.

Czekali.

Stanął przed nimi i powiedział:

– Co za zdumiewający zbieg okoliczności.

Oprócz latarki miał w ręce czystą kartkę papieru i ołówek.

– Naprawdę? – rzuciła Patty.

– Przepraszam, nie spytałem. Wszystko w porządku?

– Tak, jak najbardziej.

– Wyszliście na spacer?

– I to jest ten zbieg okoliczności?

– Tak, bo właśnie w tej chwili mam na telefonie mechanika – odparł Mark. – Zaczyna pracę o piątej, żeby zdążyć na poranną godzinę szczytu. A dzisiaj obudziła go nagła myśl. Przypomniało mu się, że jedziecie z Kanady. Poprzednio odruchowo założył, że jesteście wracającymi do domu Amerykanami. Ale dzisiaj zdał sobie sprawę, że możecie być przecież Kanadyjczykami podróżującymi przez Stany i jedziecie samochodem o kanadyjskiej specyfikacji. Wasz wóz byłby wtedy zaopatrzony w obowiązkowy pakiet zimowy z zupełnie innym wymiennikiem ciepła i nie miałby klimatyzacji. A wtedy jego diagnoza byłaby mylna, bo myślał o usterce typowej dla wozów produkowanych w USA. Tymczasem w kanadyjskich w podwyższonej temperaturze psuje się przekładnik rozrusznika. I pyta teraz, jakiej części ma szukać na szrocie. Właśnie tam jedzie. Kazał mi

spisać wasz numer VIN.

Jako dowód pokazał im kartkę i ołówek. I dodał:

– Ale oczywiście dla wszystkich zainteresowanych będzie dużo szybciej, jeśli sami z nim porozmawiacie.

Zbliżył do siebie dłonie, po czym je rozsunął, aby skonstrastować dużą odległość, jaka dzieliła ich od hondy, z odległością dzielącą ich od domu i telefonu, oczywiście dużo mniejszą. Wprost ogromna różnica. Niepodważalna logika. Shorty zerknął na Patty. Patty na Shorty’ego. Oboje mieli mnóstwo wątpliwości.

– Zaparzylibyśmy kawę – namawiał Mark. – I poprosilibyśmy go, żeby oddzwonił, kiedy tylko znajdzie tę nieszczęsną część. Ze złomowiska, a potem z trasy, kiedy będzie już tu jechał. Chcę, żebyście usłyszeli to bezpośrednio od niego, z pierwszej ręki. Doda wam trochę otuchy. Przynajmniej tyle możemy dla was zrobić. Dość już tego zwlekania i odkładania.

Wyciągnął rękę w dwornym geście. Serdecznie zapraszam.

Patty i Shorty ruszyli w stronę domu. On obok nich. Światło trzech laterek podskakiwało na ziemi, zmierzając w tym samym kierunku. Pod koniec Mark przyspieszył, otworzył kuchenne drzwi i wprowadził ich do korytarza, gdzie poprzedniego dnia pokazywał im zepsuty telefon. Teraz słuchawka leżała na krześle i czekała. W tradycyjny sposób.

– Ma na imię Carol – powiedział Mark. – Pewnie pisze się to inaczej, bo pochodzi z Macedonii.

Wskazał telefon, znów eleganckim gestem z cyklu: „Proszę bardzo, porozmawiajcie sobie”.

Patty podniosła słuchawkę. Przytknęła ją do ucha i usłyszała przestrzenny szum słabego połączenia komórkowego.

– Carol? – rzuciła.

– To ty, Mark?

– Nie, nazywam się Patty Sundstrom. Mój chłopak i ja jesteśmy właścicielami tej hondy.

– O rany, nie chciałem, żeby Mark was budził. To niegrzeczne.

Mówił z akcentem, który bez względu na to, skąd tak naprawdę Carol pochodził, w pełni zasługiwał na miano macedońskiego. Europa Wschodnia, pomyślała Patty. Albo Środkowa. Gdzieś

między Grecją i Rosją. Ktoś, kto powinien golić się dwa razy dziennie, ale się nie goli. Jak ciemny typ z jakiegoś filmu. Tylko że ma przyjazny głos. Lekki. Zatroskany i dający nadzieję. Energiczny. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

– Nie, już nie spaliśmy – powiedziała.

– Nie?

– Byliśmy na spacerze.

– Tak wcześniej?

– Chyba coś nas obudziło.

– Po akcencie poznaję, że jest pani Kanadyjką.

– Nasz samochód też.

– No właśnie. Zrobiłem złe założenie i omal nie popełniłem błędu. Uczyłem się zawodu w jugosłowiańskim wojsku i tak jak w wojsku we wszystkich krajach świata nauczyli mnie tam jednego: jeśli wszystko działa dobrze, to znaczy, że coś przeoczyłeś. To moja wina. Przepraszam. Ale chciałbym się upewnić: czy kiedykolwiek wymienialiście przewody grzewcze? Te rurki wychodzące z wymiennika.

– Wiem tylko, że biegną bardzo nisko – odparła Patty.

– Dobra, więc macie kanadyjski wóz, na sto procent. Dobrze wiedzieć. Jadę po przekaźnik rozrusznika. Potem muszę zapłacić rachunki. I wyskoczę na chwilę na szosę. Może mi się poszczęści i dojdzie do jakiejś stłuczki. Jeśli nie, przyjadę szybciej. Powiedzmy, za dwie, góra cztery godziny.

– Na pewno?

– Słowo harcerza – odparł mechanik. – Wymienimy przekaźnik i pojedziecie dalej.

Rozłączył się i Patty odłożyła słuchawkę na widełki.

– Jest już kawa – powiedział Mark.

– Mechanik będzie za dwie, góra za cztery godziny – powtórzyła.

– Świetnie.

– Na pewno będzie? – spytał Shorty.

– Dał słowo.

Ścieżką coś jechało. Usłyszeli chrzęst kamyków i wytężony warkot silnika. Wyjrżeli przez okno i zobaczyli Petera w starym

pick-upie. Był coraz bliżej. Zwolnił. I zaparkował.

– Czyj to pick-up? – spytał Shorty.

– Jego – odrzekł Mark. – Wczoraj wieczorem spróbował go uruchomić jeszcze raz. I udało się. A teraz pojechał na szosę, żeby go trochę odkurzyć i przegonić. Jeśli chcecie, podrzuci was do pokoju. Lepsze to niż spacer. Przynajmniej tyle możemy dla was zrobić. Pewnie jesteście zmęczeni.

Odparli, że nie chcą się narzucać, ale Peter się uparł. Pick-up miał czteroosobową kabinę, więc Shorty jechał z przodu, a Patty z tyłu. Zaparkowali obok hondy. Drzwi do ich pokoju były zamknięte i Patty pomyślała, że to dziwne. Dawała głowę, że ich nie zamykała. Może powiał wiatr i zatrzasnęły się. Ostatecznie nic ich nie blokowało, bo Shorty musiał włożyć buty. Ale prawie całą noc spędzili na dworze i nie pamiętała, żeby wiał wiatr. Pamiętała, że było duszno i bezwietrznie.

Wysiedli. Peter odprowadził ich wzrokiem do drzwi. Patty przekreśliła gałkę i weszła do środka. Weszła i natychmiast wyszła. Podniosła rękę, wskazała pick-upa i zawołała:

– Niech pan zaczeka!

Stała z boku i Shorty zajrzał do pokoju. Na środku leżał ich bagaż. Jakby sam wrócił. Kufer i dwie torby. Starannie ułożone, dokładnie obok siebie, jakby przyniósł je boy hotelowy. Kufer był przewiązany grubym sznurem. Podwójnym między skomplikowanymi węzłami na wierzchu. Ten podwójny tworzył prowizoryczną rączkę.

– Co to, do diabła, jest? – spytała Patty.

Peter wysiadł z pick-upa.

– Bardzo przepraszamy – odparł. – Naprawdę. Strasznie nam przykro, że was w to wplątaliśmy. Co za wstyd...

– Ale w co nas wplątaliście?

– Wszystko przez tę porę roku. Wakacje się skończyły i studenci rozpoczynają naukę. Aż się tu od nich roi. Bractwa stawiają przed nimi różne wyzwania. Każą im na przykład zdejmować przydrożne szyldy motelowe i ci durnie regularnie kradną nasze. Niedawno wpadli na nowy pomysł. To coś w rodzaju rytuału inicjacyjnego. Podczas nieobecności gościa muszą okraść jego

pokój. Czysta głupota, ale cóż... Przez parę lat tego nie robili i myśleliśmy, że im przeszło, ale wygląda na to, że nie. Znalazłem wasze rzeczy w przydrożnym rowie, za krzakami. Pewnie weszli tu, kiedy byliście na spacerze. Przepraszamy za tę niedogodność. Koniecznie dajcie nam znać, jeśli coś uszkodzili. Zawiadomimy policję. Dobra zabawa dobrą zabawą, ale to jest już absurdalne.

Patty nie odpowiedziała.

Shorty milczał.

Peter wsiadł do pick-upa i odjechał. A oni stali przez chwilę bez ruchu. Potem weszli do pokoju. Okrążyli kufer i usiedli na łóżku. Drzwi zostawili otwarte.

• • •

Jadalnia mieściła się w ładnej sali pół piętra pod poziomem ulicy, ale na poziomie małego ogródka za pensjonatem, równie ładnego jak pokój. Za kwadrans ósma gotów na kawę Reacher usiadł przy stoliku na środku sali. Był jedynym gościem, bo sezon już się skończył. Ubrany i po prysznicu czuł się dobrze i wyglądał dość porządnie, nie licząc skaleczenia na kłykcium. Od ciosu, który zadał w nocy temu gówniarzowi. Ani chybi znak po zębach. Nic poważnego. Ot, mały robaczek zakrzepłej krwi. Sęk w tym, że robaczek charakterystycznego kształtu. Reacher służył w żandarmerii trzynaście lat i jeszcze dłużej tam nie służył, dlatego patrzył na świat z dwóch różnych punktów widzenia. Skutkiem czego tam, gdzie było to możliwe, wolał unikać zamieszania. Zamówił śniadanie, wstał i wszedł do ogródka. Przykucnął, zacisnął prawą pięść i poskrobał nią o ceglany murek kwietnika. Tylko tyle, żeby znak po zębach stał się jednym z wielu innych. Potem wrócił do stolika, zanurzył róg serwetki w szklance wody i przetarł brudną dłoń.

Kwadrans później do jadalni weszła detektyw Brenda Amos. Pisząc coś w notesie. Towarzyszył jej mężczyzna w garniturze. Jego postawa i sposób bycia wskazywały, że ją oprowadza. Kierownik pensjonatu? Pewnie tak. Albo właściciel. „Ten pan jest w tej chwili naszym jedynym gościem” – Reacher usłyszał to, częściowo obserwując jego usta, częściowo podsłuchując.

Amos odruchowo zerknęła na niego i znów wbiła wzrok w notes. Po czym natychmiast zerknęła na Reachera ponownie. Spóźniona reakcja, klasyk w zwolnionym tempie, jak scena ze starego programu telewizyjnego. Spojrzała. Zamrugła. I powiedziała:

– Chciałabym z nim porozmawiać.

– Czy podać kawę? – spytał kierownik.

– Tak, chętnie! – zawołał Reacher. – Dwa dzbanuszki poprosimy.

Kierownik grzecznie skinął głową, choć po sekundowej zwłoce. Podać kawę policjantce to jedno. Podać kawę zwykłemu gościowi to zupełnie co innego. Usługa poniżej jego statusu. Z drugiej strony, cóż, klient nasz pan. Kierownik zniknął za drzwiami i Amos podeszła do stolika. Usiadła naprzeciwko Reachera.

– Właściwie to już piłam dziś kawę.

– Można wypić kilka – zauważył. – Żadne prawo tego nie zabrania.

– Nie zabrania także jedzenia pączków, a myślę, że nafaszerowali je dzisiaj LSD.

– Naprawdę?

– Albo jest to największe *déjà vu* w historii.

– Dlaczego?

– *Déjà vu*. Wie pan, co to znaczy?

– Rzecz już widzianą. To po francusku. Moja matka była Francuzką. Lubiła, kiedy Amerykanie używali francuskich zwrotów. Czują się wtedy częścią wielkiej wspólnoty.

– Dlaczego opowiada mi pan o swojej matce?

– A dlaczego pani opowiada mi o pączkach i LSD?

– Co wczoraj robiliśmy?

– My?

– Grzebaliśmy w starych aktach i wygrzebaliśmy sprawę sprzed siedemdziesięciu pięciu lat, dotyczącą dwudziestolatka, którego znaleziono nieprzytomnego na chodniku. Został zidentyfikowany i okazało się, że to awanturnik i chuligan znęcający się nad słabszymi, lecz jako syn miejscowego bogacza typek praktycznie nietykalny. Pamięta pan?

- Oczywiście – odparł.
- A dzisiaj przychodzę rano do pracy i czego się dowiaduję?
- Nie mam zielonego pojęcia.
- Że w centrum miasta znaleziono na chodniku nieprzytomnego młodego człowieka. Został zidentyfikowany i okazało się, że to awanturnik i chuligan znęcający się nad słabszymi, lecz jako syn miejscowego bogacza typek praktycznie nietykalny.
- Poważnie? – spytał.
- A potem przechodzę na drugą stronę ulicy, zaglądam do pensjonatu i widzę pana.
- Myślę, że to zupełny przypadek.
- Tak pan uważa?
- Właściwie to nie. Bo takie przestępstwa często się zdarzają.
- Co siedemdziesiąt pięć lat to dla pana „często”?
- Jestem pewny, że przez te lata było ich mnóstwo. Ci wszyscy bogaci chuligani prędzej czy później obrywają za swoje. Mogłaby pani wziąć pierwszą z brzegu starą sprawę i okazałoby się, że mam rację. A jestem tu, bo przecież to ja spytałem panią o tę sprawę sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. Dlatego to nie przypadek, tylko pewnik matematyczny, zwłaszcza że nie mieszkam w Laconii, o czym dobrze pani wie. Więc gdzie mógłbym być, jeśli nie w hotelu?
- W pensjonacie – sprecyzowała. – Dokładnie naprzeciwko miejsca przestępstwa.
- Chodźcie od drzwi do drzwi i sprawdzacie?
- Taką mamy pracę.
- Czy ktoś coś widział?
- A pan?
- Nie obserwuję ptaków – odparł. – A szkoda. Zaczęły się migracje. Mój ojciec byłby wniebowzięty.
- I nic pan nie słyszał?
- O której?
- Znaleziono go o siódmej. Zakładając, że napastnik był człowiekiem, a nie osiemnastokołową ciężarówką, został pobity nie wcześniej niż o piątej.
- O piątej spałem. Więc nie, nic nie słyszałem.

- Nic a nic? – drążyła.
- Poprzedniej nocy coś mnie obudziło. Ale to było o trzeciej i w innym hotelu.
- Co pana obudziło?
- Nie wiem, nie mogłem tego namierzyć. W każdym razie już się nie powtórzyło.
- Chłopak ma złamaną rękę – powiedziała.
- To się zdarza.

Kelnerka przyniosła dwa dzbanuszki kawy i dwie filiżanki. Reacher sobie nalał, Amos swojej nie ruszyła. Zamknęła notes.

- Jak podchodzicie do tego śledztwa? – spytał.
- Bez wielkich oczekiwań.
- Nie będziecie po nim płakać?
- To skomplikowane.
- Kto to właściwie jest?
- Brutalny prostak, który lubi terroryzować słabszych – odparła. – Z rodzaju tych, którzy mają wszystko co najlepsze, w tym ofiary i adwokatów.
- I to ma być skomplikowane?
- Boimy się o następstwa.
- Myśli pani, że skrzyknie swoich i będzie się mścił?
- Problem w tym, że jego ojciec już ich pewnie skrzyknął.
- Ten miejscowy bogacz? Kto to taki?
- Trochę to sparafrazowałam. Tak naprawdę pochodzi z Bostonu. Ale teraz mieszka w Manchesterze.
- I niby kogo skrzyknął? – spytał Reacher.

– Prowadzi finanse klientów, którzy nie chcą ryzykować i zostawiać za sobą papierowych śladów swojej działalności. Innymi słowy, pierze pieniądze dla tych, którzy tego potrzebują. Mógłby wypożyczyć od nich bandę typów spod najciemniejszej gwiazdy. I myślę, że wypożyczy. Ci ludzie mają swój kodeks. Ktoś zaatakował członka ich rodziny. Trzeba go ukarać, dla przykładu. Nie można okazać słabości. Stąd wiemy, że prędzej czy później przyjadą tu i będą rozpytywać. Nie chcemy kłopotów. Dlatego to takie skomplikowane.

Reacher nalał sobie drugą filiżankę kawy.

Amos go obserwowała. I nagle spytała:

- Jak skaleczył się pan w rękę?
- Uderzyłem pięścią w murek klombu – odparł.
- Trochę to dziwne, nie sądzi pan?
- Przecież nie zrzucę winy na klomb.
- Mówi pan tak, jakby zrobił to pan celowo.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę wyglądam na kogoś, kto celowo przyłożyłby pięścią w ceglany mur?

- Kiedy to się stało?
- Dwadzieścia minut temu.
- Schylił się pan, żeby powąchać kwiatki?
- Lubię kwiaty, jak każdy.

Cicho brzdęknęła komórka i Amos przeczytała wiadomość.

– Chłopak już się obudził, ale nie wie, kto go napadł. Nic nie pamięta.

- To się zdarza – skomentował Reacher.
- Kłamie. Pamięta, ale nie chce nam powiedzieć. Powie ojcu.
- Bo ci ludzie mają swój kodeks.
- Mam nadzieję, że ten, kto go pobił, wie, co go czeka.
- Jestem pewny, że wyjedzie z miasta. Tak jak ten przed siedemdziesięciu pięciu laty. Znowu *déjà vu* w pełnej krasie.
- Co pan zamierza dziś robić?
- Wyjechać. A właściwie wyjść.
- Dokąd?
- Do Ryantown – odparł. – Jeśli tam trafię.

• • •

Kupił mapę na starej stacji benzynowej na skraju miasta. Równie niejasną jak ta w telefonie Elizabeth Castle. Wydawało się, że niektóre drogi biegną w konkretnym kierunku i prowadzą tam w określonym celu, poza tym kilka obszarów zacieniono na szaro, jakby były kiedyś zabudowane, jednak żaden nie miał już nazwy, tak że nie dawało się odróżnić jednego od drugiego. Fabryka cyny – nie był pewny, gdzie je wtedy budowano, na jak ukształtowanym terenie. Szczerze mówiąc, nie był nawet pewny,

co właściwie robiły. Wytapiały cynę z rudy? Produkowały cynowe kubki, gwizdki i zabawki? Tak czy inaczej, na pewno potrzebowały dużo energii cieplnej, więc musiały tam być wszelkiego rodzaju piece i paleniska. Może nawet silniki parowe, taśmociągi i narzędzia. A jeśli tak, musiano dowozić tam paliwo, drewno albo węgiel. Potrzebowały także wody do wytwarzania pary. Spojrzał na mapę jeszcze raz, szukając dróg, rzek i strumieni, które spotykałyby się na zacienionym na szaro obszarze. Na północny zachód od Laconii, przynajmniej według badań historycznych Elizabeth Castle.

Znalazł dwa potencjalne miejsca. Jedno oddalone o trzynaście kilometrów od miasta i drugie leżące trzy kilometry dalej. Do obydwu prowadziły drogi, które odbijały od głównej szosy i nagle się urywały, bez powodu, który dałby się dzisiaj logicznie wytłumaczyć. Obydwa miały dostęp do wody, dość szerokich strumieni wpadających do tej samej dużej rzeki. Strumienie przecinały drogi, tworząc małe trójkąciki, na które kartograf naniósł ledwo widoczne szare kropczki. Małe fabryki i manufaktury, kilkudziesięciu robotników w domach wielorodzinnych, jednoizbowa szkoła i kościół. Tak powiedziała Amos. Obydwa miejsca pasowały jak ulał. Z tym że droga prowadząca i wychodząca z tego oddalonego o szesnaście kilometrów skręcała łagodnie na północ, oddalając się od Laconii. Podczas gdy ta prowadząca i wychodząca z tego leżącego trzy kilometry bliżej skręcała łagodnie na południe. W kierunku Laconii. Jakby stanowiła część miasta. Jakby się do niego przyznawała. Wyobraził sobie młodego chłopaka z lornetką podskakującą na szyi, który zdezelowanym rowerem wyjeżdża z osady. Z tej leżącej szesnaście kilometrów za miastem musiałby najpierw zmarnować kilka kilometrów, jadąc na północ, a potem wykonać niewygodny skręt w prawo, jakby pod prąd. Natomiast z osady leżącej trzy kilometry bliżej jechałby od razu we właściwym kierunku, przyspieszając na zakręcie i zmierzając prosto do centrum miasta. Który z nich powiedziałby, że mieszka w Laconii?

Wszystko było jasne. Ten z osady leżącej trzynaście kilometrów

za miastem zaoszczędziłby godzinę jazdy w obie strony. I jedną czwartą wysiłku. Reacher złożył mapę i wetknął ją do kieszeni. Ruszył przed siebie.

Daleko nie zaszedł.

Mark, Peter, Steven i Robert siedzieli w centrum dowodzenia, obserwując ekrany. Wszystkie pokazywały siedzących na łóżku Patty i Shorty'ego – pod różnymi kątami, w mniejszym lub większym zbliżeniu. Jedne w szerokim ujęciu, inne z bliska.

Drzwi wciąż były otwarte.

– Ale tym razem nie podparli ich butami – zauważył Steven. – Jeszcze ich nie zdjął.

– Trzeba było zablokować je zdalnie – powiedział Robert.

– Skąd mogliśmy wiedzieć? – mruknął Robert. – Normalni ludzie zamykają drzwi.

– Spokojnie – odezwał się Mark. – Nigdzie nie uciekną. Już nie. Ten kufer ich dobił. Poza tym znów wierzą w mechanika.

– Niedługo trzeba będzie je zamknąć. Musimy ich rozgrzać. Stan emocjonalny jest bardzo ważny. I odpowiednie zgranie w czasie.

– No to wymyśl coś.

Peter znów przeniósł wzrok na ekrany.

• • •

Reacher był już prawie dwa kilometry za starą stacją benzynową na skraju miasta, za długim, typowo nowoangielskim zakrętem przecinającym głęboki, prawdziwie bajkowy las. Nagle usłyszał za sobą szum opon na asfalcie. Koła zwolniły, jechały teraz spacerkiem. Dziesięć metrów za nim, trzymając odległość.

Przystanął i odwrócił się.

Zobaczył ciemnego sedana. Średniej wielkości i w nienagannym stanie, choć nie z najwyższej półki. Tam gdzie mógł być chrom, był zwykły lakier. Do tego zwykłe kołpaki, mysia tapicerka i antena na bagażniku. Nieoznakowany radiowóz. A w radiowozie Jim Shaw, szef detektywów z Laconii. Reacher poznał go na komendzie, jego i Brendę Amos. Rudowłosy Irlandczyk. W działaniu sprawiał wrażenie energicznego i pewnego siebie.

Był sam. Opuścił szybę. Reacher podszedł bliżej, przystanął półtora metra od samochodu i spytał:

– Mogę w czymś pomóc?

– Brenda powiedziała, że pójdzie pan w tym kierunku.

– Chce mnie pan podwieźć?

– Mogę, ale z powrotem do miasta.

– Dlaczego?

– Popytaliśmy i znaleźliśmy kobietę, która mieszka w zaułku, w którym wczoraj pobito chłopaka. Kelnerkę z koktajlbaru w Manchesterze. Współwłaścicielami koktajlbaru są ludzie, dla których pracuje ojciec chłopaka. Zadaliśmy jej wiele konkretnych pytań i w końcu powiedziała, co się stało. Wszystko, od początku do końca. Nie podała tylko rysopisu swojego wybawcy. Twierdzi, że była tak zestresowana, że zupełnie go nie pamięta.

– Zdarza się – powiedział Reacher.

– Ta kobieta kłamie – ciągnął Shaw. – Bo dlaczego miałyby mówić prawdę? Ochrania kogoś, kto oddał jej przysługę. Ale mamy inne dowody. Ten ktoś uratował ją tak, że hej, niech mi pan wierzy. Chłopak wygląda jak po zderzeniu z pociągiem towarowym. Dlatego od razu odpuściliśmy sobie niskich chuderlaków. Szukamy dużego faceta. Niemal na pewno praworęcznego. Kogoś, kto obudził się rano z poharatanymi kłykciami. Musi mieć poharatane. Taki cios zostawia ślady, trochę się na tym znam.

– Zadrapałem się o murek – powiedział Reacher.

– Tak, Brenda mi mówiła.

– Zupełnie przypadkowo, jak to w życiu.

– Ktoś bystrzejszy mógłby posklejać to wszystko w całość. Kelnerka wraca z pracy nocą, o przewidywalnej porze, bo w nocy prawie nic nie jeździ. Chłopak czeka na nią pod domem, więc dziewczyna wzywa pomocy, krzyczy i budzi kogoś, kto musi mieszkać w pobliżu, w promieniu kilkudziesięciu metrów od niej. Ten ktoś wstaje, wychodzi sprawdzić, co się dzieje, odciąga chłopaka i spuszcza mu łomot.

– Kelnerka już wam to powiedziała – zauważył Reacher. – Wszystko, od początku do końca. Nie musicie nic sklejać.

– Interesujący jest ten promień słyszalności – ciągnął Shaw. – Gdzie musiałby ten ktoś mieszkać, żeby wyraźnie usłyszeć krzyk, wstać i wybiec na ulicę? Naszym zdaniem bardzo blisko. Kelnerka twierdzi, że nie krzyknęła głośno, bo chłopak próbował zatkać jej ręką usta. Więc na pewno nie był to krzyk przeraźliwy, a skoro tak, jej wybawca musiał nocować dosłownie kilka kroków stamtąd, bo przybiegł na miejsce zdarzenia prawie natychmiast. Dlatego uważamy, że nie mógł mieszkać dalej niż przecnicę od zaułka.

– Trzeba by uwzględnić wiele zmiennych – podpowiedział Reacher. – Może na przykład wszystko zależy od tego, jak dobrze ktoś słyszy i jak szybko się ubiera. Albo jedno łączy się jakoś z drugim. Moglibyście przeprowadzić serię eksperymentów. Zatrudnić kogoś z uniwersytetu. Napisać artykuł do dziennika kryminalistycznego.

– Zdrowy rozsądek wskazuje, że krzyk słyhać by było tylko przez otwarte okno wychodzące na ulicę. W promieniu przecnicy od zaułka. Po rozmowach z okolicznymi mieszkańcami stwierdziliśmy, że w momencie zdarzenia zajętych było tylko sześć takich pomieszczeń. Wiele mieszkań przerobiono ostatnio na biura, w których w nocy nikogo nie ma. Ale i tak znaleźliśmy sześć osób godnych zainteresowania. I czego się dowiedzieliśmy?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Reacher.

– Pięć od razu wyklucziliśmy, ponieważ dwie okazały się kobietami, a trzy mężczyznami albo zniedołężniałymi, albo drobnej budowy ciała. Jeden miał ponad dziewięćdziesiąt lat, dwóch było po sześćdziesiątce. Żadne z nich nie mogłoby tak zmasakrować chłopaka. To musiał być ktoś inny.

– O piątej spałem – powiedział Reacher.

– Tak, wiem od Brendy. I wierzymy panu, bo był pan kiedyś wojskowym gliniarzem. A ponieważ ofiara pobicia to prostak i drań, mamy go gdzieś, chociaż godzina piąta jest już nieaktualna. Kelnerka wróciła do domu o trzeciej. Powiedziała Brendzie, że to samo zdarzyło się noc wcześniej. Pan z kolei zeznał, że noc wcześniej obudził się właśnie o tej porze. Ale wisi

nam to i powiewa, sęk tylko w tym, że, jak już wie pan od Brendy, tatusiek chłopaka będzie musiał zareagować.

– Tak, słyszałem.

– I o to właśnie chodzi. Musi pan dobrze pomyśleć. Może gówniarza rzeczywiście zaćmiło i nie pamięta, kto mu przyłożył. Ale pewności nie ma. A skoro my doszliśmy do tego bez zeznań świadków, tamci na pewno też dojdą. I będą szukali rosteo faceta z pokiereszowaną dłonią. Nie oszuka pan ich kryminalistyków pocieraniem ręki o mur nie dlatego, że nie mają muru, tylko dlatego, że nie mają kryminalistyków. Wolą inne metody i przyślą tu kogoś, żeby to załatwił. A my nie chcemy kłopotów.

– Ten pobity dzwonił już do ojca? – spytał Reacher.

– Najpierw zadzwonił do adwokata. A adwokat na pewno przekreślił do tatusia. Czyli że już wiedzą, mniej więcej od pół godziny. I zwołują ludzi. Dzwonią telefony na kartę, nie tylko w New Hampshire, w innych stanach też, niech mi pan wierzy. Pewnie nie podjęli jeszcze ostatecznej decyzji. Ale wkrótce podejmą. I przyjadą. Dlatego lepiej by było, gdyby tu pana nie zastali. Niech pan poszuka domu dziadków, popatrzy i pójdzie dalej. Niech pan idzie i nie wraca.

– Bo nie chcecie kłopotów?

– Pan by chciał?

– Nie. Uważam, że lepiej ich unikać. Nazwałbym to nawet zasadą.

– Więc gramy w tej samej drużynie?

– Nawet w tej samej lidze. Tylko na innych boiskach.

– Ja nie żartuję, panie Reacher – podkreślił Shaw. – Nie chcę kłopotów.

– Spokojnie, na pewno pójdę dalej. Chodzenie to moja specjalność. Pod warunkiem że najpierw znajdę Ryantown.

– Niech pan niczego nie żąda ani nie stawia warunków. I nie zastrzega, co musi pan najpierw zrobić. Mówię poważnie. W moim mieście nie będzie żadnych kłopotów.

– Ryantown nie jest pana – zauważył Reacher. – Jeśli mi pan nie wierzy, proszę spytać tego gościa z archiwum. Wyprowadzi pana

z błędu.

– Ryantown czy Laconia, dla tych z Bostonu to jedna cholera. Przyjadą tu jutro i zaczną rozpytywać. Widział ktoś dużego faceta z pokancerowaną ręką?

– Jutro? – spytał Reacher.

– Oni nie odpuszczają.

– Ale do jutra spacerowanie wiejskimi drogami jest prawnie dozwolone, tak?

– Właśnie w tym problem z warunkami i żądaniami – odparł Shaw. – Jutro też będzie pan spacerował. Może pan tak spacerować do końca świata. Ale kiedy przyjedzie tu dziesięciu bandziorów, wciąż nie będzie pan wiedział, czy znalazł pan Ryantown, czy nie. Tam nie ma teraz nic oprócz paru dziur w ziemi i diabli wiedzą, co w której było sto lat temu. Dlatego proszę mi zrobić wielką przysługę, dobrze? Niech pan znajdzie jakąś dziurę, powie: „Tak, w tym miejscu było Ryantown” i niech pan idzie dalej, najlepiej prosto przed siebie, na wschód, północ albo zachód.

Reacher kiwnął głową, zrobił parę kroków i nie odwracając się, pomachał mu na pożegnanie. Po chwili usłyszał sykliwy pisk układu wspomaganego kierownicy, a potem cichnący w oddali miękki szum opon. Szedł równym tempem, z prędkością mniej więcej sześciu kilometrów na godzinę, bez większego wysiłku, ponieważ poranek był chłodny, a na szosę padał cień. Mijając skrzyżowanie z drogą skręcającą w lewo, w kierunku szarego obszaru pozbawionego dostępu do wody, spojrzął na mapę. Tak, był tam gdzie trzeba, dokładnie na kursie. Mapa nie kłamała. Miał do pokonania jeszcze dziesięć kilometrów.

Poszedł dalej.

• • •

Już dawno wstał świt, ale Patty i Shorty wciąż leżeli na łóżku. A przedtem, jak zahipnotyzowani, wiele godzin gapili się na swój bagaż. Nagłym kaprysem losu wrócił na miejsce po długiej, z trudem wywalczonej podróży i po prostu nie mogli tego zrozumieć. Zrobiło się tak, jakby tej ponad trzykilometrowej

wyprawy przez las w ogóle nie było, ani wyprawy, ani ciężkiego kufra, ani niczego. A przecież była – wyprawa, kufer i cała reszta. Zgięci wpoł, zmarnowali tyle godzin. Tyle wysiłku. Wszystko na nic. Zerowy zysk. Ani metra zdobytego pola. Gorzka pigułka.

– Myślisz, że ta historia ze studentami to prawda? – spytała Patty.

– Zwariowałaś? – odparł Shorty. – Przecież sami go tam zawieźliśmy.

– Nie pytam o kufer. Pytam, czy studenci w ogóle tak robią.

– Nie wiem. Nie mam doświadczenia. Ale może i robią. W sumie to logiczne, bo przecież Peter nie wiedział, że zatargaliśmy tam kufer sami. On go tylko znalazł, w krzakach. Więc co mógł sobie pomyśleć? Że studenci znów zaczęli się wydurniać. Co dowodzi, że kiedyś naprawdę się wydurniali, bo inaczej by tak nie pomyślał.

– Krążysz w kółko – stwierdziła Patty.

– Tak?

– Nieważne. Ważne jest to, co powiedział.

– A co powiedział?

– Że od kilku lat studenci regularnie kradną im szyldy, te przy drodze – odparła.

– Może i kradną. Pewnie dlatego ich nie ma.

– Powiedział „regularnie”, czyli ciągle, cały czas, rok w rok. Prawda?

– Chyba tak.

– To tak, jakbyś ty powiedział, że regularnie podtapia ci to czterohektarowe pole w dolince.

– Bo podtapia, rok w rok.

– Właśnie. Jeśli mówisz „rok w rok”, to znaczy, że dzieje się tak od dłuższego czasu. A potem dodał, że studenci przez parę lat nie okradali pokoi, co znaczy, że przedtem okradali. Powiedzmy, że co najmniej przez rok, dwa semestry. Pewnie co semestr odbija im w inny sposób.

– Dobra, założmy, że trwa to od trzech lat – zgodził się z nią Shorty. – Minimum. Rok się wygłupiają, dwa lata odpoczywają.

– Tak, tylko że z tego, co mówił Mark, wynika, że mają ten motel

od niedawna. Że to ich pierwszy sezon. Jedno nie zgadza się z drugim.

Shorty długo milczał. W końcu powiedział:

– Ale rozmawiałeś z mechanikiem.

– Tak – potwierdziła Patty. – Rozmawiałam.

– I był prawdziwy.

– Tak – potwierdziła ponownie Patty. – Był.

– Opowiedz jeszcze raz.

– Wydawał się rozgarnięty, trzeźwo myślący i kumaty. Przyjacielski i uprzejmy. Mówił jak ktoś, kto dużo wie, ale się nie narzuca. Jest imigrantem. Może takim, wiesz, który miał kiedyś lepszą pracę, a teraz ma gorszą. W porównaniu z tą w swoim kraju. Wspomniał coś o jugosłowiańskim wojsku. Może kiedyś był na przykład podoficerem w dywizji pancerniej, a teraz musi jeździć lawetą. Coś w tym stylu. Ale się stara, robi, co może. Zobaczysz, to będzie najbardziej wypucowana laweta, jaką kiedykolwiek widziałeś. Ten facet chce znów wypłynąć. Klasyka gatunku.

– I usłyszałaś to wszystko w jego głosie?

– Nie, takie odniosłam wrażenie. Zadawał fachowe pytania. Wiedział o nas to, co powinien wiedzieć. Martwił się, że Mark nas obudził. Było mu przykro.

– Czyli w sumie co to za gość? – spytał Shorty. – W najgorszym wypadku – dodał rutynowo.

– W najgorszym wypadku może się okazać, że to jeden z tych wiecznie zajętych lawirantów, którym wszystko wisi, dopóki nie nadarzy im się okazja. Myślę, że tak naprawdę przeproszał nas za to, że nie wykrył usterki już wczoraj.

– Możliwe.

– Wkrótce się przekonamy – powiedziała Patty. – Obiecał przyjechać góra za cztery godziny.

• • •

Po kolejnych dwóch kilometrach las się skończył i zaczęła się szachownica pastwisk dla koni i krów. Reacher szedł przed siebie i świadomy pokonanej odległości, myślał o chłopaku na rowerze.

Wydawało się, że to kawał drogi. Ale może wcale nie? Czasy się zmieniły. Ośmiokilometrowy spacer albo trzydziestokilometrową przejażdżkę rowerem uważano kiedyś za coś zupełnie normalnego. Dla chłopaka mającego jakieś hobby trzynaście kilometrów nie stanowiło żadnej przeszkody. Trzynaście, a właściwie czternaście z małym hakiem, bo musiał dojechać do centrum miasta. Gdzie widziano go pewnego wrześnieowego wieczoru w 1943. Co tam właściwie robił? Staruszka od ptaków nie wspomniała, że miał lornetkę na szyi. Gdyby miał, pewnie by to zauważyła i zapamiętała. Więc musiał przyjechać w innym celu. A celów mógł mieć mnóstwo, jak każdy szesnastolatek. Z tym że 1943 był trudnym rokiem. Od dwóch lat trwała wojna. Wszystkiego brakowało i wszystko racjonowano. Ludzie byli ponurzy, zmartwieni i zapracowani. Trudno sobie wyobrazić, żeby w tych ciężkich czasach małe, konserwatywne miasteczko w New Hampshire zgotowało swoim mieszkańcom rozrywkę na tyle atrakcyjną, że w jesienny wieczór szesnastoletni chłopak wsiadł na rower, gotów przejechać czternaście kilometrów, żeby się tylko zabawić.

Staruszka nie wspomniała zresztą o rowerze. Ale może go gdzieś zostawił. I właśnie po niego szedł. Z kolegą. Kolega też mógł zostawić tam rower. I po drodze spotkali tego dużego.

Reacher szedł dalej. Wreszcie po lewej stronie zobaczył okolicę, gdzie powinien leżeć cel jego wyprawy. Zlustrował ją wzrokiem aż po horyzont. Gdzieś tam było kiedyś Ryantown. Prawdopodobnie. Zerknął na mapę. Niecałe dwa kilometry dalej droga skręcała łagodnie w lewo. Paręset metrów bliżej odchodziła od niej nieco węższa odnoga. Niewiele szersza niż droga prowadząca do jakiegoś gospodarstwa. Co mogło mu ułatwić sprawę albo nie. W najlepszym wypadku droga, ta węższa, prowadziła do starego, siermiężnego domu, najlepiej od dwustu lat zajmowanego przez tę samą rodzinę, do walącej się chałupy, w której przy kuchennej płycie siedział na wózku stary farmer z pledem na kolanach, gotów godzinami rozprawiać o sąsiadach mieszkających przed laty niecałe dwa kilometry na północ od niego.

Licz na najlepsze, ale nastaw się na najgorsze. Kreda Reachera nie zmieniało się od lat.

Poszedł dalej i skręcił w wąską odnogę. Bardzo szybko stwierdził, że jednak nie, droga nie prowadzi do wałacej się starej chałupy. Prowadziła do ładnego wielopoziomowego domu, który miał mniej więcej tyle lat co on. Dlatego musiano go zbudować długo po tym, jak Ryantown przestało istnieć. No i klops. Koniec marzeń o zdziwaczalym starym farmerze i jego wspomnieniach. Chyba że dom postawiono na miejscu wałacej się chałupy. Co było możliwe. Wielu ludzi tak robi. Może po prostu tę chałupę zburzyli. W dzisiejszych czasach nie nadawała się do zamieszkania, więc ją rozebrali. Albo wybuchł pożar i spaliła się. Bo kable były stare. Pewnie oryginalne, w jedwabnej izolacji. Ale wszystkim udało się uciec i zbudowali nowy dom, co znaczyło, że stary farmer z pledem na kolanach nie siedział już na wózku w kuchni, tylko w plastikowym fotelu z podnóżkiem w salonie. Ale byłby to nadal ten sam farmer. Opowiadałby te same historie. I wciąż chciałby je opowiadać.

Cóż, licz na najlepsze.

Reacher szedł dalej. Dom był harmonijnie zaprojektowany i bardzo zadbane, a nawet wypieszczony, bo chyba co roku go odmalowywano. Pod ścianami rosły sensownie dobrane rośliny, też zadbane i starannie przystrzyżone. Była tam również cienista wiata chroniąca czystutki pick-upa przed promieniami bladego porannego słońca. Wiata i biały płot ze sztachet, który otaczał całe domostwo, jakby nie była to zwykła działka, tylko podmiejski ogród.

Za płotem chodziły psy.

Dokładnie sześć, cała sfora. Jeszcze nie szczekały. Same kundle, wszystkie zaniedbane. Ani duże, ani małe. Setka wymieszanych ze sobą ras. Podeszły bliżej i stanęły przy furtce. Będzie musiał między nimi przejść. Nie bał się psów. Zawsze uważał, że pewna doza wzajemnego zaufania rozwiązuje większość problemów. Nie zamierzał ich gryźć. Więc dlaczego miałyby zakładać, że one chcą ugryźć jego?

Otworzył furtkę. Psy obwąchały go i odprowadziły ścieżką do

domu. Stał przed drzwiami, nacisnął guzik dzwonka i cofnął się na słońce. Czekał. Psy zbiły się w gromadę wokół jego kolan. Po dłuższej chwili wewnętrzne drzwi się otworzyły i za siatką wyrósł mężczyzna w dżinsach z wiejskiego sklepu i szarej koszuli. Szczupły, miał przytomny wyraz twarzy i krótko ostrzyżone siwe włosy. Mógł już chodzić do kina na ulgowe dla seniorów, lecz był za młody na chodzenie o lasce. Wokół jego kolan też kręciły się psy. Sześć kolejnych. Być może z poprzedniego pokolenia. Niektóre miały siwą sierść.

Reacher odczekał, aż mężczyzna przetestuje w myśli kilka alternatywnych powitań, próbując ustalić, jakie najbardziej pasowałyby do okoliczności, sytuacji, w której tu, na zupełnym odludziu, po cichu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w progu jego domu staje nagle obcy człowiek. Najwyraźniej nie udało mu się wybrać żadnego, ponieważ rzucił tylko:

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie tędy przechodziłem i chciałbym spytać pana o tereny leżące na północ stąd – zaczął Reacher. – Trochę o nich wiem, ale w moich informacjach jest dużo luk i pomyślałem, że może pan je wypełni.

– Jest pan akwizytorem? – spytał mężczyzna.

– Nie, proszę pana.

– Sprzedaje pan ubezpieczenia?

– Nie.

– Prawnik?

– Nie, absolutnie.

– Pracuje pan w policji albo jakiejś agencji rządowej?

– Nie, też nie.

– Gdyby pan pracował, musiałby pan mnie uprzedzić.

– Rozumiem, ale nie pracuję.

– W porządku. – Mężczyzna otworzył siatkowe drzwi i wyciągnął rękę.

– Bruce Jones.

– Jack Reacher.

Jones zamknął drzwi, te siatkowe.

Może po to, żeby stare psy zostały w domu, a młode na dworze.

– Co to za tereny? – spytał.

– Te w okolicy miejsca, gdzie następna droga dochodzi do rzeczki. – Reacher machnął ręką, wskazując północny zachód. – Trzy, trzy i pół kilometra stąd. Mogą tam być pozostałości małej fabryki i opuszczonego osiedla robotniczego. Pewnie ich nawet nie widać, bo zostały same fundamenty.

– Na mojej ziemi niczego takiego nie ma – oznajmił Jones.

– Długo pan tu mieszka?

– Nie tak szybko, mój panie. Najpierw niech pan powie, o co właściwie chodzi.

– Mój ojciec tam się wychował. Chciałbym rzucić okiem, to wszystko.

– W takim razie przykro mi, ale chyba panu nie pomogę. Z tego, co pan mówi, trzeba by natknąć się na to miejsce zupełnie przypadkowo. Zresztą nigdy o takim osiedlu nie słyszałem. Kiedy je opuszczono?

– Co najmniej sześćdziesiąt lat temu – odparł Reacher. – Może nawet więcej.

– Nie wiem, czyja to ziemia, ta przy rzeczce. Może ktoś wie coś o tych ruinach, a może nie, nie mam pojęcia. Jeśli sześćdziesiąt lat temu wygrodzili tam pastwisko, do tej pory pewnie całkiem zarosło. Duże było to osiedle?

– Chyba nie, hektar, może dwa.

– W takim razie mogło leżeć w każdym zagajniku, który pan tam zobaczy.

– Dobrze wiedzieć – powiedział Reacher. – Pójdę i sprawdzę. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas.

Jones kiwnął głową z tą samą przytomną miną, z jaką mu otworzył. Reacher zszedł z ganku, zrobił kilka kroków w towarzystwie sześciu cierpliwych psów i nagle usłyszał, że drzwi znów się otwierają z cichym chrobotem gumowej uszczelki. Otworzyły się także te siatkowe i kiedy się obejrzał, zobaczył, że Jones wystawia zza nich głowę, jednocześnie blokując nogą drogę ucieczki dla psów.

– Powiedział pan „fabryki”?! – zawołał.

– Tak, małej – potwierdził Reacher.

– Mogła mieć coś wspólnego ze skażeniem środowiska?
– Możliwe. To była fabryka cyny. Pewnie ciągle coś tam wyciekało.

– Niech pan wejdzie.

Siatkowe drzwi zaskrzypiały, otworzyły się na oścież, a kiedy Reacher wszedł, zamknęły z charakterystycznym trzaskiem, wydając odgłosy, które mimo ograniczonego doświadczenia zawsze kojarzyły mu się z latem w Nowej Anglii. Na podłodze zaskrobały psie pazury. Wraz z nim weszło sześć kundli, tych z podwórza. Otoczył go jedyny w swoim rodzaju zapach obcego domu. Czystego i zadbanego, tak jak na zewnątrz. Jones zaprowadził go do wnęki połączonej z jadalnią kuchni. Wokół nich kręciła się sfora dwunastu psów. Nie było tam saloniku. Ani plastikowego fotela z podnóżkiem czy staruszka z pledem na kolanach. Wnęką służyła Jonesowi za biuro. Była całkiem spora, ale w domu mieszkało już co najmniej drugie pokolenie właścicieli i wyglądało na to, że wszyscy członkowie rodziny pieczołowicie przechowywali każdy skrawek papieru. Jones otworzył najpierw wysuwaną szufladę na akta i przesunął palcami kilkanaście grubych, pękatych teczek wiszących na stalowych prowadnicach. Chyba niczego nie znalazł, bo odwrócił się i zaczął przesuwać i rozsuwać sterty kartonów archiwizacyjnych. Grzebał w nich i grzebał, w końcu otworzył ten, którego prawdopodobnie szukał: pudło pełne teczek, grubych i pękatych jak te w szufladzie. Szybko przejrzał pierwszą połowę, potem część drugiej.

Nagle znieruchomiał.

– Mam – rzucił.

Wyjął z teczki wyblakłą kartkę i podał ją Reacherowi. Była to kserokopia biuletynu sprzed ośmiu lat. Najwyraźniej kontynuacja cyklu, artykuł, który omawiał problem z gorączkową wprost dokładnością, zakładając, że czytelnik zna jego genezę. Reacher jej nie znał, lecz łatwo odgadł, o co chodzi. Problemem było Ryantown.

Artykuł nawiązywał do historii, konkretnie do początków fabryki cyny, a potem do okresu jej świetności, kiedy to – zgodnie

z ówczesnymi wyobrażeniami – buchająca ogniem, pełna kotłów z wrzącym metalem i tonąca w chmurach dymu, musiała wyglądać jak przedsiónek piekła w miniaturze, potwór, którego nie powstydziliby się sam mistrz Dante. Z tym że już w następnym zdaniu, w nawiasach, autor artykułu niechętnie przeproszał, że zamieszczona fotografia przedstawia nie fabrykę cyny w Ryantown, tylko jej siostrę z Massachusetts, i nadmieniał, że choć zdjęcie pochodzi ze zbiorów bibliotecznych i zrobiono je dziesięć lat wcześniej, zostało opublikowane bynajmniej nie po to, żeby kogokolwiek zwieść, tylko po to, żeby czytelnik mógł łatwiej wczuć się w nastrój i klimat, jakiego ów tragiczny temat z pewnością wymaga, dlatego jest ilustracją czysto symboliczną w przeciwieństwie do wymowy większości artykułów, które podchodzą do problemu zbyt dosłownie, zwykle z dużym dla niego uszczerbkiem.

Po przeprosinach autor przechodził do gorącego wówczas tematu, zdawało się, że w równej mierze politycznego, prawniczego i cokolwiek obłąkanego. Pisał, że choć brakuje ostatecznego dowodu, iż powolny rozkład materiałów ze starego fabrycznego wycieku doprowadził do skażenia wody w okolicznych gospodarstwach, dowód taki zostanie wkrótce przedstawiony. Pracują już nad tym najlepsi specjaliści na świecie. To jedynie kwestia czasu. Dlatego najważniejsza jest teraz gotowość. A propos gotowości: mamy wspaniałe nowiny! Długi łańcuch spadkobierców i cesjonariuszy Marcusa Ryana został wreszcie rozplątany i nie ma już najmniejszych wątpliwości, że stare akcje jego firmy zostały dołączone do innych bezwartościowych aktywów i po trwającym sześćdziesiąt lat tornadzie, w którym duże ryby pozjadały mniejsze, ich resztki trafiły do rąk właścicieli gigantycznej korporacji górniczej z siedzibą w Kolorado. Jest to przełom niezwyklej wprost wagi, ponieważ nareszcie ustalono sprawcę tragicznej katastrofy ekologicznej, która dotknęła kiedyś Ryantown. Pozwy są już napisane i gotowe do wysłania.

Pod spodem było wezwanie, żeby wszyscy zainteresowani obywatele przyszli na spotkanie w tej sprawie. A na końcu czyjś

aż zbyt oczywisty pseudonim i adres mailowy.

Reacher zwrócił kartkę i spytał:

– Co pan wtedy o tym sądził?

– Wodzie nic nie dolegało – odparł Jones. – Nigdy. Pamiętam, początkowo myślałem, że napisał to prawnik, który chce wykorzystać koniunkturę. Że znalazł jakąś wielką firmę czy korporację i chce wystąpić z pozwem zbiorowym, licząc na to, że tamci pójną na ugodę, żeby tylko się odczepił. Zatruta woda to kiepska reklama. Dostałby jedną trzecią odszkodowania. Ale potem zamilkł, przestał pisać. Pewnie nie znalazł dowodu i sprawa upadła. Nic dziwnego, bo woda zawsze była w porządku.

– Początkowo myślał pan, że to prawnik. A potem?

– Potem ktoś mi powiedział, że to tylko zdziwaczały stary dziadek, który mieszka osiem kilometrów stąd. Poznałem go, jest zupełnie nieszkodliwy. Nie chce pieniędzy. Chce tylko, żeby ktoś przyznał się do winy. Odbył coś w rodzaju publicznej spowiedzi. Chyba dużo to dla niego znaczy.

– Nie poszedł pan na to spotkanie? – spytał Reacher.

– Nie przepadam za takimi spędami.

– Szkoda.

– Dlaczego?

– W biuletynie nie wspomniano o bardzo ważnej rzeczy.

– O jakiej? – spytał Jones.

– O tym, gdzie leży Ryantown.

– Myślałem, że pan wie. Droga, rzeczka. Pana słowa.

– To tylko domysły. Poza tym z tego, co pan mówi, rośnie tam teraz pierwotny las. Tak jak w dwóch trzecich stanu, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie chcę spędzić tam całego dnia.

– Żeby zobaczyć miejsce, gdzie wychował się ojciec? Niektórzy by spędzili.

– A wie pan, gdzie się wychował pański? – spytał Reacher.

– Jasne – odparł Jones. – Tutaj.

– Czyli, jak widzę, w bardzo ładnej okolicy. A my ustaliliśmy przed chwilą, że Ryantown to teraz zarośnięta dziura w ziemi.

Jest pewna różnica.

– Chodzi o wartość sentymentalną. Ludzie lubią wiedzieć, skąd pochodzą.

– Teraz wolałbym wiedzieć, czego potrzebowałby ktoś, kto chce zbudować fabrykę cyny. Na pewno drogi i dostępu do wody. Czegoś jeszcze?

– Skąd mam wiedzieć?

– Zna pan tę ziemię.

– Najsensowniej by było zbudować ją przy drodze nad rzeczką. Niech pan szuka zagajnika o prostych brzegach. Sąsiedzi chcieli mieć pewnie bezpieczne pastwiska i odgradzili wałace się budynki na długo przed tym, jak weszły pierwsze samosiejki z nawianych przez wiatr nasion. Brzegi zagajnika będą biegły tam, gdzie kiedyś stały płoty. Zwykle jest odwrotnie.

– Dziękuję.

– Powodzenia – rzucił Jones.

Siatkowe drzwi zaskrzypiały i zatrzasnęły się.

Reacher odszedł. Do płotu odprowadził go cały tuzin psów.

Patty i Shorty przenieśli się na fotele pod oknem. Patty patrzyła przed siebie, na zepsutą hondę, kamienisty parking, płaską hektarową łąkę i ciągnące się za nią ciemne pasmo drzew, nieprzeniknionych jak ściana.

Spojrzała na zegarek.

– Dlaczego jest tak, że jeśli ktoś mówi, że będzie za dwie, góra cztery godziny, zawsze przyjeżdża nie po dwóch, tylko po trzech albo czterech?

– Choroba Parkinsona – wyjaśnił Shorty. – Im więcej mamy czasu na wykonanie jakiejś pracy, tym więcej czasu ta praca zabiera.

– Prawo – poprawiła go Patty. – A nie choroba. Choremu na parkinsona trzęsą się ręce.

– Myślałem, że jak przestaje się pić.

– Wtedy też. I nie tylko.

– Ile zostało mu czasu?

Patty znów zerknęła na zegarek i odjęła, co trzeba, od tego, co trzeba.

– Trzydzieści trzy minuty.

– Może mówił w przybliżeniu?

– Powiedział za dwie, góra cztery godziny. Według mnie dość dokładnie to sprecyzował. Obiecał, że wymieni przekaźnik i pojedziemy dalej. Dał mi słowo harcerza. Z tym swoim akcentem.

Shorty obserwował ciemne miejsce, w którym droga wychodziła z lasu.

– I mówił jak mechanik?

– Tak, bo powiedział, że musi zapłacić rachunki. I wyskoczyć na chwilę na szosę, bo może mu się poszczęści i dojdzie do jakiejś stłuczki. Czyli mówił jak fachowiec. Jak prawdziwy mechanik. Bo kto by powiedział, że jeśli będzie miał szczęście, to dojdzie do

stłuczki?

– Fakt – mruknął Shorty.

– Myślę, że jest prawdziwy. I przyjedzie.

Nie odrywali wzroku od drogi. Słońce wzeszło wyżej, jasno oświetlając pierwsze szeregi drzew. Stojące obok siebie grube, solidne pnie, rosnące między nimi cierniste krzaki i sterczące pod zwariowanymi kątami opadłe gałęzie.

– A teraz? – spytał Shorty. – Ile mu zostało?

Patty spojrzała na zegarek.

– Dwadzieścia cztery minuty.

Shorty umilkł.

– Dał słowo – dodała Patty.

Obserwowali drogę.

Mechanik rzeczywiście przyjechał.

Poczuł to, zanim zobaczyli. Stopniowo narastające basowe drżenie w oddali, coś jak silny dreszcz albo pełna napięcia scena filmu, jakby jakiś potwór rozpychał na boki olbrzymie masy powietrza. Potem usłyszeli ciężki, rytmiczny warkot wielkiego silnika i poddźwiękowe pulsowanie grubych opon spłaszczonych gigantycznym ciężarem. Jeszcze potem zobaczyli, jak potwór wyjeżdża z lasu. Laweta. Wielgachna. Przemysłowa. Do zadań specjalnych. Z rodzaju tych, które mogą ściągnąć z drogi osiemnastokołowego tira. Jaskrawoczerwona. Z rykiem silnika sunęła powoli na pierwszym biegu.

Patty wstała i pomachała ręką.

Z samego głosu mechanika wyczytała, że będzie to najbardziej wypucowana laweta, jaką Shorty kiedykolwiek widział, i rzeczywiście była. Jaskrawoczerwona jak ruchoma platforma na karnawałowej paradzie, nawoskowana i wyglansowana, ozdobiona złotymi paskami, prążkami i emblematami, miała wypolerowane na błysk chromowane klapki, pokrywki i dźwignie. Na bokach widniało imię właściciela wypisane dumnie ponadtrzydziestocentymetrowej wysokości literami, w których roilo się od zakrętasów i zawijasów. Karel, a nie Carol.

Laweta zjechała z podskokiem z szosy na parking.

– Kurczę – rzucił Shorty. – Bomba!

- Też tak uważam – zgodziła się z nim Patty.
- Nareszcie stąd wyjedziemy.
- Pod warunkiem że naprawi nasz wóz.
- Wszystko jedno, bez nas nie odjedzie. Zgoda? Albo naprawi wóz, albo nas zabierze. A te dupki niech gadają, co chcą. Dobra?
- Dobra.

Laweta zatrzymała się za hondą, warkot silnika przeszedł w dudniący pomruk i wysoko nad ziemią otworzyły się drzwi. Mechanik wysiadł, postawił nogę na pierwszym stopniu schodków i zeskoczył. Ani wysoki, ani niski, wydawał się zwinny, szybki i pełen wigoru. I miał ogoloną głowę. Gdyby zrobić mu zdjęcie, wyglądałby jak oskarżony na procesie przestępców wojennych. Albo jak porucznik, który z kamienną twarzą stoi za plecami zbuntowanego pułkownika w czarnym berecie. Ale się uśmiechał. Miał wesołe iskierki w oczach.

- Pani Sundstrom? – spytał. – Pan Fleck?
- Patty i Shorty – odrzekła Patty.
- Jestem Karel.
- Dziękujemy, że pan przyjechał.

Karel wyjął coś z kieszeni. Brudne czarne pudełko wielkości talii kart, z kikutami sterczących na boki przewodów.

– Mieliśmy szczęście, na szrocie – powiedział. – Stał na samym końcu, pod płotem. Dokładnie taki sam jak wasz. Nawet tego samego koloru. Pół roku temu wjechała mu w kufer wywrotka. Ale przód ocalał.

Potem uśmiechnął się krzepiąco i rozłożył ręce, żeby zapędzić ich do pokoju.

- Szybciotko, idźcie się spakować. To robota na dwie minuty.
- Już jesteśmy spakowani – powiedziała Patty. – Możemy wsiadać i jechać.
- Tak?
- Spakowaliśmy się wczesnym rankiem. A raczej wczoraj późnym wieczorem. Chcieliśmy być gotowi.
- Nie podoba się wam tutaj?
- Nie mamy czasu. Już dawno powinno nas tu nie być. Ale motel jest w porządku. Pana przyjaciele byli dla nas bardzo uprzejmi.

– Nie, to nie są moi przyjaciele – sprostował Karel. – Jestem tu nowy. Przyjaźnili się z poprzednim mechanikiem. Ale chyba się pokłócili. I zaczęli wzywać mnie. No i bardzo dobrze. Biorę, co się da. Jestem ambitny.

– Nie chciałem u nich pracować – przyznał się Shorty.

– Dlaczego?

– Są dziwni.

Karel uśmiechnął się.

– Mam ich na liście klientów. Im dłuższa lista, tym krótszy zastój.

– Może, ale i tak bym nie chciał.

– Dziewięć quadów i pięć samochodów. Gwarantowana robota. A jak jest robota, mogą sobie być trochę dziwni.

– Pięć samochodów? – powtórzył Shorty.

– Stan na dzisiaj. Plus traktorek ogrodowy.

– A nam powiedzieli, że mają jeden. Widzieliśmy go.

– Którego?

– Starego pick-upa.

– To rżęch, jeżdżą nim tylko tutaj, po okolicy. Każdy z nich ma mercedesa. SUV-a.

– Poważnie? – nie dowierzał Shorty.

– Wszystkie na maksa wypasione.

– Gdzie je trzymają?

– W stodole.

Shorty się nie odzywał.

– Mam pytanie – odezwała się Patty.

– Śmiało.

– Czy oni długo tu są?

– To ich pierwszy sezon.

– Zajrzy pan teraz do naszego samochodu?

– Po to tu jestem – odparł Karel.

Zręcznym, wprawnym ruchem otworzył maskę hondy. Pochylił się i wyciągnął w dół rękę, jakby chciał porównać nowy przekaźnik rozrusznika z tym starym. Potem cofnął się odrobinę i zmrużył oczy, żeby lepiej się przyjrzeć. W końcu zrobił krok do tyłu i wyprostował się.

- Przekaznik jest w dobrym stanie.
- Więc dlaczego wóz nie chce zapalić? – spytała Patty.
- To musi być coś innego.

Karel schował przekaznik do kieszeni i przesunął się trochę w bok, żeby zajrzeć pod maskę pod innym kątem.

– Niech pan przekręci kluczyk – powiedział. – Chcę usłyszeć, jak to brzmi.

Shorty usiadł za kierownicę i zaczął kręcić kluczykiem, od siebie i do siebie, od siebie i do siebie. Klik-klik, klik-klik, klik-klik.

– Dobra, wystarczy! – zawołał Karel.

Przeszedł na drugi koniec maski i pochylił się nad przykręconą do ramy stopką do mocowania akumulatora. Niemal wetknął tam głowę i wykręcił szyję, żeby zajrzeć pod spód. Wyciągnął rękę i pomacał czubkiem palca. Potem cofnął się, wyprostował i zastygł bez ruchu. Zerknął na las, zerknął w stronę pokoju numer dwanaście i cofnął się jeszcze dalej, żeby wyjrzeć za róg motelu. Popatrzył na stodołę, na dom, wrócił i zapędził ich na chodnik przed dziesiątką, cały czas oglądając się przez ramię, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie widzi.

– Czy któryś z nich grzebał w silniku? – spytał cicho.

– Peter – odparł Shorty.

– Po co?

– Powiedział, że dogląda quadów, więc poprosiliśmy, żeby spojrział.

– On nie dogląda quadów – powiedział Karel.

– Spieprzył coś?

Karel znów spojrział w lewo i w prawo.

– Przeciął przewód plusowy akumulatora.

– Jakim cudem? Przypadkowo?

– Nie, to niemożliwe – odrzekł mechanik. – Przewód jest miedziany, grubszy niż palec. Trzeba do tego dużo siły i szczypec, takich z ostrzem do cięcia prętów. Na pewno wiedziałby, co robi. A jeśli tak, byłby to celowy sabotaż.

– Miał szczypec – przypomniał sobie Shorty. – Widziałem. Wczoraj rano.

– To tak, jak odłączyć akumulator – tłumaczył Karel. – Nie ma prądu. Samochód jest sparaliżowany. Tak jak wasz.

– Chcę to zobaczyć – rzucił Shorty.

– Ja też – powiedziała Patty.

– Patrzcie pod spód.

Zrobili to po kolei, pochylając się nisko nad komorą silnika, wtykając tam głowę i wykręcając szyję. Zobaczyli gruby czarny kabel, wyraźnie przecięty na pół, z przesuniętymi końcami, błyszczącymi jak nowiutkie miedziane monety. Wrócili do Karela.

– Przykro mi, nie wiem, co powiedzieć. Prawie ich nie znam. Zakładam, że to tylko kawał. Bardzo głupi, bo naprawa nie będzie tania. Przewód jest gruby i sztywny. Żeby się do niego dostać, trzeba wymontować sporo innych elementów, jak podczas naprawy instalacji wodno-kanalizacyjnej.

– Niech pan nic nie naprawia – powiedziała Patty. – Niech pan nawet o tym nie myśli, tylko nas stąd zabierze. Teraz, natychmiast.

– Dlaczego?

– To nie jest kawał. Oni nas tu przetrzymują. Więżą. Nie chcą nas wypuścić.

– Więżą? – powtórzył Karel. – Dziwne.

– Ale prawdziwe. Oszukują nas. Cały czas okłamują.

– Okłamują?

– Powiedzieli, że jesteśmy pierwszymi gośćmi w tym pokoju, ale chyba tak nie jest.

– Bo nie jest – potwierdził Karel.

– Nie?

– Miesiąc temu ktoś tu mieszkał. Wiem na pewno, bo przywiozłem oponę gościowi spod dziewiątki.

– I że jest pan ich dobrym znajomym – dodała Patty.

– Wtedy widziałem ich drugi raz w życiu.

– Z tego co mówili, prowadzą ten motel co najmniej od trzech lat.

– Nieprawda. Zjawili się tu półtora roku temu. Pamiętam, bo wyklócali się o pozwolenie na budowę.

– I że telefon był wczoraj zepsuty. Ale daję głowę, że nie był. Chcieli nas tylko zatrzymać.

– Ale po co? – spytał Karel. – Dla pieniędzy?

– Myśleliśmy o tym – odrzekł Shorty. – Kasa nam się kończy. Prędzej czy później każdemu by się skończyła. I co by wtedy zrobili?

– Bardzo dziwne – powtórzył Karel.

Stał, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

– Niech pan nas zabierze – poprosiła Patty. – Błagam. Musimy się stąd wydostać. Zapłacimy panu pięćdziesiąt dolarów.

– A co z samochodem? – spytał Karel.

– Zostawimy go. I tak mieliśmy go sprzedać.

– Niewiele byście dostali.

– Właśnie. Dlatego pies drapał samochód. Musimy wyjechać. Musimy stąd uciec. Teraz, natychmiast. Jest pan naszą jedyną nadzieją. Oni nas tu więżą.

Patty patrzyła na niego i w końcu powoli kiwnęła głową. Potem kiwnęła jeszcze raz, przejmując dowodzenie. Cofnęła się, wyciągnęła szyję i ponad ich ramionami popatrzył w lewo i w prawo. Następnie zerknął na lawetę, zmierzył wzrokiem parking i zajrzał do pokoju, gdzie czekały równo ustawione torby i kufer.

– Dobra, pora wiać z więzienia – szepnął.

– Dziękujemy – powiedziała Patty.

– Ale najpierw muszę zadać wam krępujące pytanie.

– Czyli?

– Uregulowaliście rachunek? Jeśli nie, mógłbym mieć kłopoty, pomagając wam w ucieczce. Są na to przepisy.

– Zapłaciliśmy już wczoraj – odparł Shorty. – Doba hotelowa kończy się w południe.

– Dobra, dajcie mi pomyśleć. Lepiej dmuchać na zimne. Założyć najgorsze. Nie wiemy, jak zareagują. Dlatego będzie lepiej, jeśli nas nie zobaczą. Zgoda?

– Tak, dużo lepiej – przyznała Patty.

– Wy się nie pokazujcie, a ja obrócę lawetę, żeby stała przodem do drogi. Wtedy weźmiecie torby, wskoczycie do szoferki i ruszymy. A jak już ruszymy, nic nas nie zatrzyma. Nawet

mercedes się od nas odbije. Może być?

– Jasne, jesteśmy gotowi – odrzekł Shorty.

Karel spojrzął przez drzwi na kufer.

– Duży jest. Da pan radę go podnieść? Może panu pomóc?

– Nie, nie trzeba.

– Na pewno? Niech pan pokaże. Opóźnienie może wszystko zepsuć.

Patty weszła pierwsza. Wzięła torby, jedną w prawą rękę, drugą w lewą, i odsunęła się, żeby Shorty mógł zająć się największym i najważniejszym ciężarem. Shorty owinął pięści sznurem nowego uchwytu i dźwignął kufer piętnaście centymetrów nad podłogę. Stojący w drzwiach Karel otaksował go wzrokiem.

– Szybko może pan z tym chodzić?

– Spokojnie. Na pewno zdążę.

Karel spojrzął na niego, potem na Patty. Ona z torbami w rękach, on z kufrem, stali obok siebie między łóżkiem i klimatyzatorem.

– Dobrze. Zaczekajcie tu i nie wychodźcie, dopóki nie przestawię lawety. Zrobimy tak: Patty wyjdzie pierwsza. Wrzuci torby do szoferki i wsiądzie. Potem wyjdzie Shorty. Podniesie kufer, Patty wychyli się, wciągnie kufer do środka, Shorty wsiądzie i odjedziemy. Może być?

– Mnie to pasuje – odparł Shorty.

– Dobra. Bądźcie gotowi.

Karel nachylił się w progu, położył rękę na gałce i zamknął drzwi. Przez okno zobaczyli, jak truchta przez parking i wsiada do szoferki. Ryknął silnik, laweta drgnęła na jedynce, powoli skręciła w lewo i zniknęła im z oczu.

Czekali.

Laweta nie wracała.

Czekali dalej.

Wciąż nic.

Ani żadnego ruchu, ani choćby dźwięku. Za oknem roztaczał się ten sam widok co wcześniej. Honda, parking, trawa, ściana drzew.

– Coś go na chwilę zatrzymało – rzucił Shorty. – Pewnie te

dupki go zagadały.

– Nie ma go dłużej niż chwilę. – Patty postawiła torby i podeszła do okna. Wykręciła szyję i wyjrzała.

– Nic nie widać.

Shorty postawił kufer i też podszedł do okna.

– Wyjdę i wyjrzę za róg.

– Zobaczą cię. Pewnie stoją tam i gadają. Bo co innego mogą robić? Jak długo można przestawiać lawetę?

– Będę ostrożny – zapewnił ją Shorty.

Podszedł do drzwi. Przekręcił gałkę i pociągnął. Ale drzwi się zacięły. Ani drgnęły. Sprawdził, czy zatrask jest otwarty, i spróbował jeszcze raz. Bez skutku. Patty obserwowała go bez słowa. Pociągnął mocniej. Zaparł się ręką o ścianę, pociągnął ze wszystkich sił i...

Nic.

– Zamknęli nas – stwierdziła Patty.

– Ale jak?

– Muszą mieć tam jakiś guzik. Albo pilota. Przedtem też nas zamykali.

– To jakiś obłąd.

– A czy jest tu coś normalnego?

Znów wyjrzeli przez okno. Honda, parking, trawa, ściana drzew. Nic więcej.

Wtedy zamruczał silniczek, roleta opadła i pokój pogrążył się w ciemności.

Kiedy Karel wszedł do salonu, wszyscy stłoczyli się wokół niego, wesoło pokrzykując, pohukując i poklepując go po plecach. Steven zastukał w klawiaturę, włączył szybkie przewijanie i na ekranie monitora zatańczyły trzy rozedrgane postacie, biegające to tu, to tam i robiące wszystko na wspak. Steven włączył dźwięk i zaproponował:

– Hej, obejrzyjmy to jeszcze raz i spytajmy naszego bohatera, jak to jest być zdobywcą wielkiego szlema.

Puścił nagranie z normalną prędkością i Karel, ten na ekranie, uśmiechnął się krzepiąco, zapędzając Patty i Shorty’ego do dziesiątki. „Szybciutko – mówił – idźcie się spakować. To robota na dwie minuty”.

– Zamach, uderzenie i pudło – odezwał się Karel, ten w salonie, głosem jak irytujący sygnał z dalekich Bałkanów. – Pałkarz wyeliminowany.

„Już jesteście spakowani” – powiedziała z ekranu Patty.

– Od tego momentu musiałem improwizować – ciągnął mechanik. – Domyśliłem się, że prędzej czy później coś się wydarzy. Wiedziałem tylko, że muszę zwabić ich do pokoju i zamknąć drzwi. I w końcu mi się poszczęściło.

Robert, Steven i Peter znów zaczęli krzyczeć i pohukiwać, lecz Mark ich uciszył.

– Szczęście nie miało z tym nic wspólnego – powiedział. – To był popis prawdziwego mistrza. Powinniśmy zachować to nagranie na wsze czasy. Nauczyć się go na pamięć. Czułem się tak, jakbym słuchał i oglądał skrzypka wirtuoza. Dla ciebie to chyba nie pierwszozna, prawda, Karel?

W salonie zapadła cisza.

Trzy postacie, te na ekranie, stały teraz między hondą i chodnikiem przed pokojem numer dziesięć. Po cichu rozmawiały.

– Zdystansowałeś się od nas, udając, że prawie nas nie znasz, co automatycznie was zbliżyło – ciągnął Mark. – Wpadli w sidła, które sami na siebie zastawili. Zaczęli ci się zwierzać, a ty to wykorzystałeś, jeszcze bardziej podsycając ich najgorsze obawy co do pewnych niespójności, które zauważyli. Potem zaryzykowałeś, uległeś ich namowom i zgodziłeś się pomóc im w ucieczce. To był majstersztyk manipulacji emocjami. Doskonale skonstruowana huśtawka uczuć. Całe rano się martwili i nagle nabrali nadziei, która przeszła w euforię, kiedy stali z bagażami gotowi do drogi. A teraz są załamani świadomością całkowitej klęski.

Steven włączył przekaz na żywo. Patty i Shorty siedzieli bez ruchu na łóżku we wciąż ciemnym pokoju.

– Analizują swoje uczucia – odezwał się Karel. – Tak jest lepiej. Możecie mi wierzyć. Kiedy w końcu dadzą im upust, będzie dużo zabawniej, słowo harcerza. – Na razie – zakończył i wyszedł.

• • •

Reacher zobaczył skręt w lewo. Sto metrów dalej. Droga, ta boczna, odbijała od szosy na skos, a potem zataczała łuk, łagodnie i jakby niechętnie, i biegła prosto w stronę sadów jabłoniowych. Szedł dalej. Po pięćdziesięciu metrach musiał zejść na trawiaste pobocze, bo szosą śmignęła laweta. Wielka, olbrzymia, jaskrawoczerwona i nieskazitelnie czysta. Cała w złotych paskach, prążkach i emblematach. Zatrzęsa się pod nią ziemia. Odprowadził ją wzrokiem i skręcił.

Ta droga była węższa, lecz na tyle szeroka, że kiedyś mogły z niej korzystać prymitywne ciężarówki do przewożenia drewna, węgla lub cyny. W sadach ciągnących się po obu jej stronach drzewa uginały się pod ciężarem owoców. Czuł ich zapach. I zapach gorącej suchej trawy. Słyszał brzęczenie owadów. W górze, unosząc się na prądach termicznych, leniwie krążył jastrząb.

Osiemset metrów od miejsca „niechętnego odwrotu” od Laconii droga skręcała ponownie, tym razem zdecydowanie na zachód. Potem biegła prosto, przez kolejne sady jabłoniowe, w kierunku

malutkiej błyszczącej kropeczki, prawdopodobnie samochodu. Dalej ciągnęły się drzewa w innym odcieniu zieleni. Po paru minutach marszu Reacher stwierdził, że to rzeczywiście samochód. Ale błyszczał nie dlatego, że miał zadbane lakier, tylko dlatego, że stał na silnym słońcu. Bo wyglądał jak przechodzony stary rzech. W końcu okazało się, że to subaru, małe, takie, jakim jechał z właścicielem firmy budowlanej, który miał kłopot z inspektorem z miejskiego wydziału budownictwa, tylko dwadzieścia lat starsze. Pradziad tamtego. Stało przodem do drewnianego ogrodzenia, które biegło aż do miejsca, gdzie kończył się asfalt. Za ogrodzeniem był kolejny sad, potem kolejne ogrodzenie, a dalej zdziczałe drzewa o większych liściach.

W subaru ktoś siedział.

Za kierownicą. Mężczyzna. Nie poruszał się. Po prostu siedział i patrzył przed siebie. Reacher widział kołnierz jego dżinsowej kurtki i długi kucyk siwych włosów.

Przeszedł obok samochodu od strony pasażera, stanął plecami do mężczyzny i oparł się biodrem o ogrodzenie. Następne ciągnęło się sto metrów dalej. Mające za nim drzewa wyglądały na tutejsze, nowoangielskie. Rosły gęsto, lecz chaotycznie i były rachitycznie powykręcane, jakby musiały z czymś konkurować. I pewnie konkurowały, z samosiejkami.

Ogrodzenie było proste.

Obiecujące.

Mężczyzna otworzył drzwi.

– To pan rozmawiał z Bruce'em Jonesem.

Reacher odwrócił się.

– Myśli pan?

Kierowca subaru okazał się kościstym siedemdziesięcioletkiem, wysokim, lecz bardzo chudym. Kurtka wisiała na nim jak na wieszaku.

– Pokazał panu mój artykuł.

– To pan?

– We własnej osobie. Zadzwoił do mnie. Pomyślał, że zaciekawi mnie, że ktoś się tym interesuje. Więc przyjechałem.

– Skąd pan wiedział, że tu będę? – spytał Reacher.

– Przecież szuka pan Ryantown.
– I znalazłem?
– Jest przed panem.
– Wśród tych drzew?
– Tam, dalej, jest ich mniej – odparł chudzielec z kucykiem. – Całkiem dobrze widać.

– Na pewno niczym się nie zatruję?
– Cyna jest potencjalnie niebezpieczna. Ponad sto miligramów na metr sześcienny powietrza jest szkodliwe dla zdrowia i życia. Co gorsza, cyna wiąże się z pewnymi węglowodorami i tworzy związki cynoorganiczne. Niektóre z nich są bardziej zabójcze niż cyjanek. Dlatego tak się niepokoiłem.

– I jak to się skończyło?
– Chemia zawiodła.
– Mimo że pracowali nad tym najlepsi specjaliści?
– Ci z Kolorado, z korporacji, zakazali mi wstępu na ten teren. Twierdziłem, że należy do nich, więc poszli do sądu i zdobyli nakaz. Nie mogę przekraczać linii tego ogrodzenia.

– Szkoda. Mógłby mnie pan oprowadzić.
– Jak się pan nazywa?
– Reacher.

Chudzielec podał mu adres. Numer i nazwę ulicy. Dokładnie ten sam numer i tę samą nazwę, którą Reacher widział na ekranie monitora w boksie numer cztery, w wynikach spisu ludności hrabstwa przeprowadzonego, kiedy jego ojciec miał dwa lata.

– Mieszkali na parterze – powiedział starszy mężczyzna. – Zachowała się nawet część płytek. W kuchni. Przynajmniej były tam osiem lat temu.

– Potem już pan tam nie chodził?
– Z ratuszem nie wygrasz.
– Kto by się dowiedział? Może pan jednak pójdzie? Tylko ten jeden raz.

Chudzielec milczał.

– Chwila – rzucił Reacher.

Spojrzał przed siebie, za stumetrowy sad, na biegnące tam ogrodzenie i rosnące za nim drzewa.

– Jeśli to Ryantown, dlaczego droga kończy się tutaj?

– Kiedyś dochodziła aż do osady – odparł mężczyzna. – Formalnie rzecz biorąc, te sady założono bezprawnie. Pewnej zimy, jakieś czterdzieści lat temu, mróz rozsadził asfalt, a podczas następnej zniszczył podsypkę, więc kiedy nadeszła wiosna, sadownik wynajął buldożer, zerwał resztki asfaltu i posadził jabłonie. Latem przyjechali drogowcy z hrabstwa i naprawili, co się dało. Jesienią sadownik postawił ogrodzenie i sprawa została przypieczętowana. Ale powodzenia mu życzę ze sprzedażą tej działki. Bo jak zaczną grzebać w aktach, okaże się, że zdobycie tytułu własności wcale nie jest takie łatwe.

– Cóż, w takim razie do zobaczenia – powiedział Reacher. – Może się jeszcze spotkamy.

Usiadł na ogrodzeniu, przerzucił nogi na drugą stronę i zeskoczył.

– Niech pan zaczeka – zatrzymał go chudzielec. – Pójdę z panem.

– Nie boi się pan?

– A kto się dowie?

– Wolność albo śmierć. Widziałem ten napis na tablicy rejestracyjnej pana wozu.

Chudzielec stanął na dolnym drągu ogrodzenia i pokonał je sposobem Reachera. Szli przez sad ramię w ramię, mijając błyszczące zielone jabłka wiszące na wysokości oczu – jedno większe od piłki baseballowej, inne większe od softballowej – czasem potykając się na nierównościach, tam gdzie przed czterdziestu laty zbyt pośpiesznie sprzątano po zimie. Po stu metrach dotarli do drugiego ogrodzenia, za którym zobaczyli drzewa zupełnie innego rodzaju, ani ładne, ani równo posadzone, ani słodko pachnące dojrzałymi owocami. W zasadzie były to cuchnące badyle, kilkadziesiąt metrów dalej jeszcze cieńsze i jeszcze bardziej rachityczne, bo bez dobroczynnych skutków pracy buldożera i starannej pielęgnacji rosły w miejscu, gdzie znów pojawiała się stara droga, ta sprzed pierwszego ogrodzenia. Dlatego Reacher zdecydował, że pójdą prosto przed siebie. Tak było najlepiej, bo nawet gdyby mieli maczetę, nie

musieliby jej używać. Wystarczyłoby się trochę poprzebijać i poprzepychać. Chudzielec z kucykiem się z nim zgodził. Odwiedzał to miejsce po ośmiu latach, mimo to gęste chaszczki wciąż były najlepszą trasą.

– Kiedy coś zobaczymy? – spytał Reacher.

– Już widzimy. Niech pan spojrzy pod nogi. Idzie pan starą drogą. Od lat nietkniętą przez człowieka. To co pan widzi, to robota przyrody i pogody.

A przyroda i pogoda nie próżnowały. Pokonali ogrodzenie i zaczęli się przebijać przez gąszcz cienkich drzewek i bez przekonania rosnących krzaków. Szli po ziemi zniszczonej przez sześćdziesiąt lat deszczów, wybrzuszonej przez korzenie i usłanej wypchniętymi przez nie i odrzuconymi na bok brukowcami. Wkrótce dotarli do wewnętrznego kręgu osady, gdzie, niczym w dziurce w pączku, dosłownie wszędzie rosły rachityczne drzewka, bo ziemia wszędzie była tu zła. Ledwo widoczna droga skręcała w stronę miejsca, z którego dochodził szum wody. Strumień lub rzeczka, pomyślał Reacher. Może to tam? Fabryka cyny. Na brzegu. Albo nawet na strumieniu.

Chudzielec z kucykiem zaczął wskazywać w lewo i prawo. Prostokątne fundamenty czegoś wielkości małego garażu po lewej stronie. Pozostałości kościoła. Stojącego kiedyś tyłem do wszystkich i wszystkiego, do pokus i niegodziwości. Po prawej to samo. Wysokie na kilka centymetrów resztki fundamentów, w większości omszałych i zasypanych, wytyczające kawałek bujnie porośniętej ziemi, kiedyś niskiego pomieszczenia, którego nie wyłożono ani kamieniami, ani kamiennymi płytami, ani choćby zwykłymi brukowcami. Klepisko, które po paru deszczach ożyło i zaczęło rwać się do słońca. Szkoła, wyjaśnił chudzielec. Dużo lepsza, niż można by się spodziewać. Dzieciaki umiały czytać i pisać. Niektóre nawet myśleć. Nauczycieli wtedy szanowano.

– Był pan nauczycielem? – spytał Reacher.

– Przez jakiś czas – odparł chudzielec. – W innym życiu.

Fabryka stała w miejscu, gdzie droga dochodziła do rzeczki. Częściowo na brzegu, częściowo w wodzie. Pozostał z niej tylko

skomplikowany matrix omszałych masywnych fundamentów na wpół porośniętych rzesą. Jeden, całkiem solidny, był wielkości podstawy komina. Inny wielkości pokoju. Może podtrzymywał coś ciężkiego, jakąś maszynę. Kadzie, tygle i czerpaki. Chudzielec wskazał odpływ w posadzce, kanał prowadzący do płynącej w dole rzeczki.

Robotnicy mieszkali po drugiej stronie drogi, w dwóch sąsiadujących ze sobą budynkach. Z nich też pozostały jedynie fundamenty. W obu był biegnący centralnie korytarz, schody i drzwi po lewej i prawej stronie korytarza. Dwa domy po cztery mieszkania. W sumie osiem mieszkań. Ryantown w stanie New Hampshire. Liczba mieszkańców? Mniej niż trzydziestu.

– Reacherowie mieszkali prawdopodobnie na parterze – powiedział chudzielec z kucykiem. – W ostatnim mieszkaniu po prawej stronie. Najbliżej fabryki. Te mieszkania tradycyjnie zajmowali brygadziści. Być może pański dziadek też.

– Przez jakiś czas był robotnikiem drogowym. Ale adresu nie zmienił.

– Pod koniec wielkiego kryzysu fabrykę zamknięto na parę lat. Nie było sensu wyrzucać go na ulicę. Bo i po co? Żeby kogoś tu zakwaterować? A kto by chciał tu mieszkać? Tak czy inaczej, fabryka przestała pracować. Zaczęła dopiero z początkiem drugiej wojny światowej.

Reacher spojrział w niebo. Było pełne ptaków. Wyciął w myśli drzewa, odbudował stary komin i wyobraził sobie, jak było tu w 1943 roku, kiedy fabryka pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a niebo zasnuwał dym.

– Lepiej już pójdę – powiedział chudzielec. – Nie powinno mnie tu być. A pan niech zostanie, jak pan chce. Zaczekam w samochodzie. Podrzucę pana do miasta.

– Dzięki. Ale jeśli się pan znudzi, proszę jechać. Chętnie się przejdę. Lubię chodzić.

Chudzielec kiwnął głową i zniknął między drzewami. Reacher podszedł do domu po prawej. Ze wspólnego kiedyś wejścia nie zostało nic oprócz kamiennego stopnia, szerokiego i wysokiego. Sięgał aż za głęboki rynsztok na poboczu drogi. Rynsztok miał

kształt litery U i był wyłożony brukowcami, teraz w większości podważonymi i przesuniętymi przez korzenie. Reacher przeszedł nad nim i znalazł się w niegdysiejszym korytarzu. Cementowa podłoga już dawno popękała na nierówne płyty, sterczące z ziemi niczym kra na skutej mrozem rzece. W każdym pęknięciu rośło coś zielonego.

Z prawej ściany pozostały jedynie ceglane kikuty. Nisko, tuż przy podłodze. Wyglądały jak wybite do dziąseł zęby. W połowie ściany była kamienna podpora, też niska, lecz nietknięta. Drzwi ostatniego mieszkania po prawej stronie. Reacher wszedł do środka. W sieni rosły trzy drzewka. Choć pnie miały niewiele grubsze od jego nadgarstka, to szukając światła, wystrzeliły prawie sześć metrów w górę. Za drzewkami znów zobaczył rzędy ceglanych kikutów w miejscach, gdzie kiedyś były pokoje. Jak na architektonicznym planie mieszkania, nagle ożywionym i trójwymiarowym. Dwie sypialnie, salonik i kuchnia z kącikiem do jedzenia. Wszystko bardzo małe. Według współczesnych standardów ciasne i prymitywne. Brak toalety. Pewnie korzystali z wychodka.

Ocalałe płytki znalazł w kuchni, na wybrzuszonym fragmencie czegoś, co musiało być kiedyś podłogą. Wyglądały na typowy produkt komercyjny z tamtych czasów. Leżący pod nimi cement zmurszał i spurchłał, lecz jakimś chemicznym cudem wciąż trzymał. Wzór na płytkach wyblakł po sześćdziesięciu latach ekspozycji na żywioły, lecz przedstawiał chyba późnowiktoriański miszmasz jaskrawych kolorów, liści akantu, nagietków i karczochów hiszpańskich. Reacher wyobraził sobie, jak płytki musiały wyglądać z bliska, z perspektywy pełzającego po podłodze dziecka, jak te wszystkie barwy i wzory to zlewały się ze sobą, to nabierały ostrości. O ile pamiętał, jedynym kolorem, który považał jego ojciec, był brunatnozielony. Może właśnie dlatego.

Wszedł, znów przeciskając się między rosnącymi w sieni drzewami. Czysty absurd, bo mógł wyjść przez każdą ścianę. Najwyższa miała dziesięć centymetrów wysokości. Ale chciał wrócić śladami ojca i dziadków. Przed nieistniejącymi już

drzwiami prowadzącymi na drogę przystanął, a potem usiadł na wciąż istniejącym stopniu schodów. Jak mały dzieciak po burzy, który patrzy na płynącą u stóp rzekę deszczówki.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Odległy, dochodzący z prawej strony.

Krzyk. Mężczyzny. Który na pewno nie krzyczał z radości ani w ekstazie. Ale nie krzyczał też z gniewu czy oburzenia. Po prostu krzyczał. W oddali. Za sadem. Mniej więcej tam, gdzie stał samochód chudzielca z kucykiem. Reacher wstał i przeskakując wypchnięte z ziemi kamienie, wpadł między drzewa rosnące przy starej drodze. Minął szkołę, minął kościół i popędził w kierunku ogrodzenia.

Pięćdziesiąt metrów dalej, dokładnie w połowie sadu, zobaczył chudzielca. I młodszego o jakieś trzydzieści pięć lat i dwa razy cięższego byczka, który wykręcał mu ręce.

Reacher przeszedł przez ogrodzenie i ruszył w ich stronę.

Ktoś wysportowany pokonałby pięćdziesiąt metrów w pięć, sześć sekund, ale on celował w trzydzieści. Wolny spacer. Wolny, lecz demonstracyjny. Taki, który coś komunikuje. Długi krok, luźne ramiona, ręce z dala od boków, wysoko podniesiona głowa, oczy wpatrzone w przeciwnika. Wyuczone przed laty prymitywne sygnały. Byczek zerknął w bok. Jakby szukał pomocy. Pewnie nie przyszedł sam.

Reacher był coraz bliżej.

Byczek odwrócił się do niego i zasłonił chudzielcem jak żywą tarczą.

Reacher przystanął niecałe dwa metry od nich.

– Puść go – rzucił.

Tylko dwa słowa, lecz wypowiedziane wyuczonym przed laty głosem, z wieloma znaczącymi niedomówieniami ukrytymi w sylabie gasnącej na końcu zdania, zapowiedzią nieuniknionej katastrofy w razie jakiegokolwiek próby oporu. Byczek puścił chudzielca. Ale nie zamierzał ustępować pola. On? O nie, proszę pana, nigdy! I chciał, żeby przeciwnik o tym wiedział. Po prostu udał, że i tak zamierzał uwolnić ręce. Do ważniejszych zadań. Odepchnął chudzielca na bok, śmiałym krokiem podszedł bliżej i stanął niecałe półtora metra od Reachera. Ciemnowłosa, ogorzały i dobrze umięśniony od pracy fizycznej, miał dwadzieścia parę lat, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilo z hakiem.

– To nie twoja sprawa – warknął.

Co to jest? – pomyślał Reacher. Dzień świstaka?

– Popełniłeś przestępstwo w miejscu publicznym – powiedział.

– Zaniedbałbym swój obywatelski obowiązek, gdybym ci tego nie wytknął. Tak działa cywilizacja.

Byczek zerknął w bok i przeniósł na niego wzrok.

– To nie jest miejsce publiczne – odparł. – To sad mojego

dziadka. Nie macie prawa tu wchodzić. On dlatego, że ma zakaz, a ty dlatego, że to prywatny teren.

– To jest droga – zauważył Reacher. – Twój dziadek zawłaszczył ją bezprawnie czterdzieści lat temu. Kiedy był młodym, odważnym człowiekiem. Takim jak ty teraz.

Byczek znów zerknął w bok, lecz tym razem nie odwrócił głowy. Reacher spojrział w tamtą stronę i zobaczył mężczyznę idącego szybko między dwoma szeregami drzew na zboczu niewielkiego wzgórza. Wyglądał jak stojący przed nim osiłek, lecz pochodził z poprzedniego pokolenia. Najdalej z poprzedniego. A więc tatuś. Nie dziadek. W dzinsach ładniejszych niż dzinsy syna. I w czystszy podkoszulku. Tak samo zbudowany, lecz mocniej opalony, miał pięćdziesiąt kilka lat i siwe włosy.

Podszedł do nich i spytał:

– Co się tu dzieje?

– Może pan to wyjaśni? – odparł Reacher.

– Kim pan jest?

– Zwykłym obywatelem, który stojąc na publicznej drodze, chciałby o coś spytać.

– To nie jest droga publiczna – powiedział tatuś.

– Tak, mechanizm wyparcia zawsze przysparza problemów. Rzeczywistość ma gdzieś pańskie myśli i przekonania. Po prostu jest taka, jaka jest. Stoimy na drodze. Biegła tu kiedyś i wciąż biegnie.

– O co chciał pan spytać?

– Widziałem, jak pański syn zaatakował tego dużo starszego dżentelmena. W jakim świetle stawia to pana jako rodzica?

– W bardzo dobrym – odparł tatuś. – Co będą warte jabłka, jeśli ludzie pomyślą, że wyrosły na zatrutej wodzie?

– To było osiem lat temu – przypomniał mu Reacher. – Zresztą i tak nic z tego nie wyszło. Najlepsi naukowcy na świecie stwierdzili, że woda jest w porządku. Więc niech pan to w końcu przeboleje. A może mam pana do tego zmusić?

– Oni mają umowę z tą korporacją – wtrącił chudzielec. – W nakazie sądowym jest klauzula, która mówi, że dostaną kasę,

jeśli udowodnią, że tu byłem. Myślałem, że o niej zapomnieli, ale najwyraźniej wciąż pamiętają. Zobaczyli mój wóz.

– Jeśli udowodnią? – spytał Reacher. – Jak?

– Przed chwilą udowodnili. Wysłali zdjęcie. Po to tam poszedł, na wzgórze. Sygnał jest tylko tam.

– Prawo i porządek – odezwał się tatuś. – Właśnie tego ten kraj potrzebuje.

– To prawda – przyznał Reacher. – Oczywiście pomijając fakt nielegalnego zawłaszczenia wiejskiej drogi celem powiększenia sadu jabłoniowego.

– Rzygać mi się chce. W kółko pan to powtarza.

– Rzeczywistość skrzeczy, szanowny panie.

– Co pan w ogóle robił w tych chaszczach?

– Nie pana interes.

– To się okaże. Znam właściciela tych terenów.

– Niech pan wyśle mu moje zdjęcie.

– Dobry pomysł.

– Musiałby pan wyjąć telefon z kieszeni – powiedział Reacher. – A wtedy odebrałbym go panu i zniszczył. Pewnie dlatego nie może pan tego zrobić.

– Jest nas dwóch – zauważył tatuś. – I mamy dwa telefony.

– Dwóch to za mało, nie dalibyście rady. Chyba że wezwalibyście posiłki. Ale... Ojej, przecież nie możecie. Sygnał jest tylko na wzgórzu.

– Taki z ciebie chojrak? – warknął tatuś.

– Raczej realista – poprawił go Reacher.

– Masz ochotę to sprawdzić?

– Stanąłbym przed dylematem etycznym. Widok powalonego ojca mógłby wywołać u syna trwały uraz. Podobnie jak widok powalonego syna mógłby wywołać trwały uraz u ojca. Bo nie potrafił obronić potomka. Paskudne uczucie. Tylko tak myślę, bo nie mam dzieci. Ale mogę to sobie wyobrazić.

Tatuś milczał.

– Moment – rzucił Reacher.

Spojrzał w bok, na dwa rzędy drzew rosnących na zboczu wzgórza.

– Wysłał pan zdjęcie i już pan wracał. Musiał je pan zrobić jakiś czas temu. Więc dlaczego nasz wspólny przyjaciel wciąż tu był i dlaczego syn wciąż wykręcał mu ręce?

Cisza.

– Miałem dostać wycisk – odezwał się chudzielec z kucykiem. – Nauczkę. Wysłali zdjęcie i pieniądze mieli już w kieszeni. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że jest tu ktoś jeszcze.

– Moja obecność nie powinna mieć znaczenia – powiedział Reacher. – Prawda? A już na pewno nie dla kogoś zaangażowanego ideowo.

Spojrzał im prosto w oczy, najpierw tatusiowi, potem synowi.

– Tracimy czas, panowie – dodał. – Śmiało, dajcie mu wycisk.

Żaden się nie poruszył.

Reacher przeniósł wzrok na byczka.

– Spokojnie, on nie robi ci krzywdy. To starszy pan, ma siedemdziesiąt lat. Trącisz go piórkami i padnie. Nie ma się czego bać.

Byczek poruszył głową jak węszący pies.

– Są dwie możliwości – ciągnął Reacher. – Albo go uderzysz, albo pomyślę, że się go boisz.

Wciąż nic. Brak reakcji.

– A może masz wyrzuty sumienia? O to chodzi? Nie chcesz uderzyć staruszka? Tak, widzę, że nie chcesz. Ale hej, pomyśl o jabłkach! Musisz zrobić swoje, to zupełnie zrozumiałe. Chętnie ci pomogę. Mógłbyś najpierw dać wycisk mnie. Bo jak już spuścisz mi łomot, to bijąc staruszka, poczujesz się tak, jakbyś na to zasłużył. Będziesz spokojniejszy.

Wciąż brak reakcji.

– Nie? – rzucił Reacher. – Mnie też się boisz? Boisz się, że zrobię ci kuku? Coś ci powiem: to całkiem możliwe. Nie będę tego ukrywał. Musisz podjąć świadomą decyzję. Bo teraz naprawdę są tylko dwie możliwości: albo mnie uderzysz, albo pomyślę, że strach cię obleciał.

Cisza.

Reacher zrobił krok do przodu. Żeby zmniejszyć ryzyko. Nie ma to jak presja. Gdyby głupota wzięła górę i byczek spróbowałby

wyprowadzić cios, lepiej by było zdusić go w zarodku, zanim ręka nabrałaby rozpędu i powędrowała we właściwym kierunku. Pestka. Pod warunkiem że górę wzięłaby głupota. Reacher ważył czternaście, piętnaście kilo więcej od niego. Był osiem centymetrów wyższy i miał o trzynaście centymetrów dłuższe ręce. Byczek widział to.

Ale górę wzięła głupota.

Raptownym szarpnięciem odwiódł do tyłu prawą rękę, co Reacher wziął za pierwszą zapowiedź krótkiego prostego w twarz. Co z kolei dało mu wybór. Mógłby na przykład zareagować instynktownie, blokując cios zamasztywym ruchem lewego przedramienia i wypuszczając jednocześnie własny krótki prosty, który bez przeszkód dosięgnąłby celu. Takie rozwiązanie miałoby największy sens. Byłoby szybkie, mocne i elegancko gwałtowne. Ale mało przekonujące dla sądu. Wyobraził sobie, że stoi na miejscu dla świadków i składa zeznania. Albo występuje w charakterze biegłego. I uznał, że narracja powinna być troszkę dłuższa, inaczej nie przekonałby przysięgłych. Każde przestępstwo to nie tylko czyn, ale i zamiar, pomyślał więc, że aby dowieść swego ponad wszelką wątpliwość, dobrze by było wyraźnie uwidocznic oba te składniki.

Dlatego lekko odchylił głowę i gdy pięść tamtego śmignęła mu koło ucha w pełnej glorii ciosu doskonale widocznego i zadanego z oczywistym zamysłem, zaczekał, aż byczek ponownie ją odciągnie. Potem zaczekał jeszcze trochę, w sumie dość długo i wyłącznie po to, żeby przysięgli mieli nad czym debatować w sali narad, i dopiero wtedy prawym dolnym hakiem huknął go w podbródek. Byczek uniósł się jak w stanie nieważkości i z wyciszonym przez trawę szeleszczącym stukotem runął na plecy w tumanie kurzu i fontannie skrzącego się w słońcu pyłku kwiatowego. Zwiotczały mu kończyny, głowa opadła na bok.

Reacher spojrzał na chudzielca, dając mu znak, że mogą już iść.

Potem przeniósł wzrok na tatusia.

– Dam panu rodzicielską radę. Niech pan nie zostawia go na drodze. Ktoś może go przejechać.

– Nie zapomnę ci tego – rzucił tamten.

– I tym się właśnie różnimy – powiedział Reacher. – Bo ja już zapomniałem.

Podszedł do chudzielca i ramię w ramię pokonali pięćdziesiąt metrów dzielące ich od starego subaru.

• • •

Patty wstała w końcu z łóżka. Ruszyła do drzwi, gdzie był włącznik światła. Miała do zrobienia trzy kroki. Robiąc pierwszy, była pewna, że tamci nie odcięli prądu. Robiąc drugi, zmieniła zdanie. Skoro potrafili zdalnie zamknąć drzwi i spuścić roletę, na pewno potrafili wyłączyć prąd. Lecz zaraz znów zmieniła zdanie. Bo niby po co mieliby pozbawiać ich elektryczności? Dlatego robiąc krok trzeci, nabrała przekonania, że prąd jednak jest. Choćby ze względu na posiłki. Dali im ten karton, spodziewając się, że będą jedli po ciemku? Nagle przypomniała sobie o latarkach. Po co im latarki?

Żebyś nie musiała jeść po ciemku, kiedy robi się późno.

Słowa Shorty'ego. Może nie były takie głupie.

Pstryknęła włącznikiem.

Podziałało. Zapaliło się światło. Gorące i żółtawe. Nie zносиła włączać światła za dnia. Przekręciła klamkę. Drzwi wciąż były zamknięte. Nacisnęła guzik otwierania i opuszczania rolety. Bez skutku. Miedziany od światła Shorty obserwował ją z łóżka. Patty odwróciła się i rozejrzała. Popatrzyła na meble. Na torby i kufer wciąż leżące tam, gdzie je rzucili, kiedy zniknęła laweta. Na ściany, na wąską spoinę między ścianami i sufitem. Potem na sam sufit, śnieżnobiały i idealnie gładki. Nie było na nim nic oprócz czujnika dymu i osłoniętej kratką lampy nad łóżkiem.

– Co? – rzucił Shorty.

Patty znów spojrzała na kufer i torby.

– Były dobrze ukryte?

– Gdzie?

– W krzakach, Shorty, w krzakach.

– Chyba nieźle. Kufer jest ciężki. Od razu potoczył się w dół. Sama widziałaś.

– A potem Peterowi się poszczęściło. Odpalił samochód,

pojechał na przejażdżkę, żeby rozgrzać silnik, i szybko wrócił. Mimo to zdążył wypatrzeć w krzakach nasze rzeczy.

– Skręcając, mógł przypadkowo oświetlić je reflektorami. Albo z tyłu były lepiej widoczne. Jechał prawą stroną. Skręcał w lewo. Widział krzaki pod innym kątem. Ty patrzyłaś od drogi.

– I zdążył zrobić uchwyt – dodała Patty.

Shorty nie odpowiedział.

– Ze sznura, który zupełnym przypadkiem miał w samochodzie.

– Do czego ty zmierzasz?

– Nie tylko to – ciągnęła. – Pamiętasz, jak Karel mówił, że może mu się poszczęści i dojdzie do stłuczki? Powiedziałam ci wtedy, że mówi jak prawdziwy mechanik. I co? I po przyjeździe od razu wyskoczył z tym samym. „Mieliśmy szczęście, na szrocie”. To jego słowa.

– Może je często powtarza.

– Po co zrobili ten uchwyt?

– Żeby nam pomóc? – odparł Shorty.

– Żartujesz?

– Nie. Też tego nie rozumiem.

– Oni się z nami drażnią.

– Drażnią?

– Mówiliśmy, że trzeba kupić sznur, w pierwszym sklepie, jaki zobaczymy. Na uchwyt. A oni co? Wzięli sznur, ciach-mach i jest uchwyt. Zrobili to, żeby zademonstrować swoją władzę. I pokazać, że śmieją się z nas w kułak.

– Skąd wiedzieli, o czym rozmawiamy? – spytał Shorty.

– Z podsłuchu. Ukryli tu mikrofon. W tym pokoju.

– Obłąd.

– Masz inne wytłumaczenie?

– Ale gdzie ukryli?

– Nie wiem, choćby tam.

Spojrzeli na lampę, żółtą i gorącą.

– Rozmawialiśmy głównie na dworze. Za drzwiami.

– No to mikrofon musi być i tam. Tak Peter znalazł torby i kufer. Słyszeli, jak zastanawiamy się, gdzie je ukryć. Znali cały nasz plan. Wykraść tego cholernego quada, pojechać na drogę

i wrócić. Dlatego Mark powiedział, że pewnie jesteśmy zmęczeni. W innych okolicznościach byłaby to dziwna uwaga. Ale on dobrze wiedział, co robiliśmy. Bo nas podsłuchał.

– Mówiliśmy coś jeszcze? – spytał Shorty.

– Mnóstwo rzeczy. Powiedziałeś, że kanadyjskie samochody mogą różnić się od amerykańskich, i nagle słyszymy, że zaraz, chwileczkę, przecież kanadyjskie wozy różnią się od amerykańskich. Cały czas nas podsłuchiwali.

– Co jeszcze?

– Nieważne. Ważne jest to, co powiemy teraz.

– Czyli co?

– Czyli nic – prychnęła. – Nie możemy nic zaplanować. Bo nas usłyszą.

Przeszli przez ogrodzenie i ruszyli w stronę samochodu.

– Chyba pan trochę przesadził – powiedział chudzielec z kucykiem.

– Ależ skąd – odparł Reacher. – Uderzyłem go tylko raz. Z dobroci serca. Mniej nie da rady. Na pewno ma dobrego dentystę.

– Jego ojciec nie żartował. On tego nie zapomni. Ta rodzina ma tu swoją pozycję. Będą musieli coś zrobić.

Reacher spojrział na niego zdumiony.

Kolejne *déjà vu*.

– Oni uważają się za wielkie szczy. Będą się bali, że ktoś się wygada. Nie pozwolą, żeby ludzie śmiali się z nich za ich plecami. Dlatego będą pana szukać.

– Ale kto? Dziadek?

– Zatrudniają wielu robotników sezonowych. Praca za lojalność.

– Co jeszcze wie pan o Ryantown? – spytał Reacher.

Chudzielec nie odpowiedział od razu.

– Jest pewien staruszek, z którym powinien pan porozmawiać. Zastanawiałem się, czy w ogóle o tym wspominać. Bo szczerze mówiąc, myślę, że powinien pan wyjechać.

– Ścigany przez hordę rozwścieczonych zbieraczy owoców?

– To nie są mili ludzie.

– Co mi mogą zrobić?

– Powinien pan wyjechać – powtórzył chudzielec.

– Gdzie mieszka ten staruszek?

– Dzisiaj pan z nim nie rozmawia. Najwcześniej jutro. Musiałbym was umówić.

– Ile ma lat?

– Pewnie przekroczył już dziewięćdziesiątkę.

– I mieszkał w Ryantown?

– On nie. Jego kuzyni. Ale często tam jeździł.

- Pamięta kogoś? – spytał Reacher.
 - Twierdzi, że tak. Przeprowadzałem z nim wywiad w sprawie tej cyny. Pytałem o jego kolegów, tych, którzy chorowali. Podał mi listę nazwisk. Ale były to typowe choroby dziecięce. Nic rozstrzygającego.
 - Rozmawiał z nim pan osiem lat temu. Mogła mu się pogorszyć pamięć.
 - Możliwe.
 - Dlaczego najwcześniej jutro?
 - Mieszka w domu opieki. Na zupełnym odludziu. Mają tam bardzo ograniczone godziny odwiedzin.
 - Musiałbym gdzieś się przespać, w jakimś motelu.
 - Niech pan wraca do Laconii – poradził chudzielec. – Tam jest bezpieczniej. Więcej ludzi. Trudniej będzie pana znaleźć.
 - A gdybym wolał wieś sielską i spokojną? – spytał Reacher.
 - Trzydzieści parę kilometrów stąd jest motel. Podobno niezły. Ale nie wiem, czyby się panu spodobał. Brak dojazdu. Za daleko, żeby iść na piechotę. Lepiej by było w Laconii.
- Reacher nie odpowiedział.
- A jeszcze lepiej, gdyby pan w ogóle wyjechał – dodał chudzielec. – Mógłbym gdzieś pana podzucić. W ramach podziękowania za ratunek.
 - To była moja wina. Namówiłem pana. Wpakowałem w kłopoty.
 - I tak chętnie pana podrzucę.
 - W takim razie niech pan zawiezie mnie do Laconii – zdecydował Reacher. – I umówi z tym staruszką.

• • •

Wysiadł na rogu ulicy w centrum, a gdy chudzielec odjechał, spojrzął w lewo i w prawo, żeby zorientować się w terenie. Zorientował się i uśmiechnął. Był w połowie drogi między miejscami, gdzie w odstępie siedemdziesięciu pięciu lat znaleziono dwóch nieprzytomnych dwudziestolatków. Popatrzył na przechodniów. Fakt, kilku mogło przyjechać tu z Bostonu. Ale żaden nie wyglądał trefnie. Widział głównie pary. Kobiety

i mężczyzn o siwych włosach. Ludzi, którzy wybrali się pewnie na zakupy, żeby na koniec sezonu zapolować na zniżki. Nic podejrzanego. Na razie. Shaw powiedział, że jutro. Szef detektywów. A szef wie najlepiej.

Skręcił w boczną ulicę, gdzie poprzedniego dnia widział gospodę nie gorszą ani nie lepszą od innych. Kolejny wąski dwupiętrowy budynek pomalowany na artystycznie wyblakłe kolory. Zapłacił za pokój i poszedł go obejrzeć. Okno wychodziło na zaplecze. Z czego się ucieszył. Mniejszy promień rażenia. Kto wie, może nawet spokojnie prześpi noc. Jeśli coś go zbudzi, to najwyżej szop albo grasujący na śmietniku kojot. Albo pies sąsiada. Ale nic gorszego.

Znów wyszedł, bo wciąż świeciło słońce. No i zgłodniał. Przegapił lunch. W porze lunchu oglądał fragmenty starych płytek. Ich szczątki. W małej kuchni. Pewnie kiepsko wyposażonej. Jedli też pewnie kiepsko. Masło orzechowe, ser z grilla. Albo coś z puszki. Cynowej.

Za skrzyżowaniem wypatrzył kafejkę, która oferowała całodzienne śniadania, co, jak wiedział z doświadczenia, zwykle znaczyło, że pozostałe posiłki też są całodzienne. Wszedł do środka. Było tam pięć boksów, w tym cztery zajęte. W pierwszych trzech siedzieli goście, którzy wpadli odpocząć po wyczerpującym szale zakupowym, a w czwartym ktoś znajomy.

Detektyw Brenda Amos.

Całkowicie pochłonięta sałatką. Bez wątpienia długo oczekiwanym posiłkiem opóźnionym przez niekończący się chaos. Reacher był kiedyś glińiarzem. Wiedział, jak to jest. Ciągła biegania i dzwoniące telefony. Jedz i śpij, kiedy tylko możesz.

Podniosła wzrok.

Początkowo sprawiała wrażenie zdziwionej, choć tylko przez sekundę, a potem skonsternowanej.

Wzruszył ramionami i usiadł naprzeciwko niej.

- Shaw powiedział, że do jutra mam prawo tu być.
- A mnie, że obiecał pan wyjechać.
- Kiedy znajdę Ryantown.
- I znalazł pan?

– Podobno mieszka tu ktoś, z kim warto by porozmawiać. Sędziwy starzec. W wieku, w jakim byłby teraz mój ojciec. Jego rówieśnik.

– Porozmawiać dzisiaj? – spytała.

– Jutro.

– Tego się właśnie bałam. Pan nigdy stąd nie wyjedzie.

– Skąd to czarnowidztwo? Może nikt nie przyjedzie. Ten chłopak to dupek. Może doszli do wniosku, że zasłużył na lanie. Trudna miłość czy jak to tam dzisiaj nazywają.

– Nikt nie przyjedzie? – powtórzyła. – Niech pan nie żartuje.

– Ten starzec miał kuzynów w Ryantown. Często ich odwiedzał. Kto wie, może w coś się razem bawili czy grali. Z dziećmiakami sąsiadów. Na przykład w palanta. Albo rzucali piłką przez rzeczkę.

– Z całym szacunkiem, majorze, ale czy naprawdę to pana interesuje?

– Tak – odparł. – Chyba tak. Trochę. Przynajmniej na tyle, żeby zostać dzień dłużej.

– Nie chcemy tu kłopotów.

– Pełna zgoda, lepiej ich unikać.

– Do wieczora będą planowali – powiedziała. – O północy zaczną skrzykiwać ludzi. Rano już tu będą. To nie są duże odległości. Mają pana rysopis. Dlatego przed świtem Shaw postawi na nogi wszystkich ludzi. Zrobi z Laconii strefę wojny. Gdzie mieszka ten staruszek?

– W domu opieki gdzieś za miastem. Ktoś mnie tam zawiezie.

– Ktoś? Czyli kto?

– Ktoś, kto osiem lat temu myślał, że tutejsza woda jest skażona.

– A była?

– Najwyraźniej nie. To bardzo drażliwa sprawa.

– Gdzie ma pan na niego czekać?

– Dokładnie tam, gdzie mnie niedawno wyrzucił.

– O umówionej godzinie?

– Punktualnie o wpół do dziesiątej. Chodzi o godziny odwiedzin.

Musimy ich przestrzegać.

Amos potarła czoło.

– Dobrze – rzuciła. – Może pan jechać. Ale na moich warunkach. Do rana nie wyjdzie pan z pokoju. Nikt nie ma prawa pana zobaczyć, a o wpół do dziesiątej spuści pan głowę, pobiegnie prosto do samochodu, odjedzie i już nie wróci. Tak wygląda moja propozycja. Jeśli pan jej nie przyjmie, wywieziemy pana z miasta. Natychmiast.

– To niesprawiedliwe – zaprotestował Reacher. – Już zapłaciłem za pokój.

– Ja nie żartuję, majorze. To nie Dziki Zachód. Może dojść do tragedii. Spudłują i trafią kogoś innego. Niech pan patrzy na moje usta: Nie dopuścimy, żeby doszło tu do strzelaniny. Nigdy. To jest Laconia, a nie Los Angeles. Z całym szacunkiem, ale powinien pan zrozumieć i poprzeć nasze stanowisko. Nie wolno narażać na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi.

– Spokojnie – odrzekł Reacher. – Rozumiem wasze stanowisko i w całej rozciągłości je popieram. Zrobię tak, jak pani mówi. Jutro. Ale do jutra jeszcze daleko.

– Niech pan zacznie już wieczorem – poradziła Amos. – I dobrze to rozegra. Bezpiecznie. Choćby ze względu na mnie.

Podąła mu wizytówkę.

– W razie czego proszę dzwonić.

Patty zdjęła buty – była Kanadyjką – weszła na łóżko i stanęła na sprężystym materacu. Przesunęła się w bok, zadarła głowę i spojrzała na lampę.

– Proszę, podnieście roletę – poprosiła głośno. – Niech to będzie osobista przysługa. Dla mnie. Chcę zobaczyć słońce. Co wam szkodzi? Przecież nikt tu nigdy nie zagłada.

Potem zeszła na podłogę, usiadła na brzegu łóżka i włożyła buty. Shorty patrzył w okno, jakby oglądał mecz baseballowy na ekranie telewizora. Z taką samą wyteżoną uwagą.

Roleta ani drgnęła.

Wzruszył ramionami.

– I guzik – szepnął bezgłośnie.

– Zastanawiają się – odparła Patty, też bezgłośnie.

Czekali.

I nagle roleta powędrowała w górę. Zawarczał silniczek i do pokoju wpadła błękitna smuga jaskrawego popołudniowego światła, początkowo wąska, lecz z upływem sekund coraz szersza, aż w końcu pokój wypełnił się słońcem.

Patty zerknęła na sufit.

– Dziękuję.

Podeszła do drzwi, żeby zgasić żółte światło. Trzy kroki. Robiąc pierwszy, czuła się dobrze, bo lubiła słońce. Robiąc drugi, poczuła się jeszcze lepiej, bo namówiła ich, żeby oddali jej przysługę. Nawiązała z nimi kontakt. Uświadomiła im, że jest żywym człowiekiem. Ale robiąc krok trzeci, znowu poczuła się źle, bo zdała sobie sprawę, że dała im do ręki broń. Zdradziła, czego się boi.

Oparła łokcie o parapet, przytknęła czoło do szyby i spojrzała przed siebie. Widok był taki sam. Honda, parking, trawa, ściana drzew. Nic więcej.

• • •

W centrum dowodzenia na zapleczu domu Mark skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Zerknął na ekrany. Patty była zadowolona. Przeniósł wzrok na pozostałych.

– Posłuchajcie. Dzwonił sąsiad. Właściciel sadu trzydzieści parę kilometrów na południe stąd. Mieli tam dzisiaj kłopoty z jakimś facetem. Sadownik radzi, żebyśmy na niego uważali. Na wypadek gdyby tu przyjechał i chciał wynająć pokój. Nasłali na niego swoich. Chyba chcą dać mu nauczkę.

– Nie przyjedzie – zawyrokował Peter. – Zdjęliśmy drogowaskazy.

– Sadownik mówi, że to agresywny, potężnie zbudowany typ. Dokładnie to samo powiedział nasz przyjaciel z urzędu hrabstwa. Wielki dryblas o nazwisku Reacher. Bada historię swojej rodziny. Jak dotąd sprawdził wyniki czterech spisów ludności. Co najmniej dwa musiały wspomnieć o Ryantown, gdzie teoretycznie miałem kiedyś dalekich krewnych. Ruiny osady leżą teraz w rogu sadu. Ten gość szuka domu Reacherów. Łazi od działki do działki. Pewnie jakiś zwariowany hobbysta.

– Myślisz, że tu przyjedzie?

– Nazwisko mojego dziadka wciąż figuruje na notarialnym akcie własności. Ale znalazło się tam potem, już po Ryantown. Kiedy się wzbogacili.

– Tylko tego nam trzeba – mruknął Robert. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Za niecałe dwanaście godzin przyjeżdża pierwszy klient.

– On tu nie przyjdzie – uspokoił go Mark. – Pewnie jest z innych Reacherów. Nigdy o kimś takim nie słyszałem. Będzie się trzymał swojej gałęzi rodzinnej. Na pewno. Jak każdy. Nie ma powodu tu zaglądać.

– Właśnie podnieśliśmy roletę.

– I jej nie opuszczajcie – polecił Mark. – On nie przyjedzie.

– A jak staną w oknie i zaczną machać rękami? Ktoś ich może zobaczyć.

– Obserwujcie drogę i nasłuchujcie dzwonka.

– Po co? Przecież on nie przyjdzie.

– Ale może przyjechać ktoś inny. Każdy może tu zajrzeć. A teraz musimy maksymalnie zwiększyć czujność. Od tego zależy nasz zarobek. Dzisiejsza skrupulatność to jutrzejsze pieniądze.

Steven przełączył kamery i na bocznych ekranach ukazał się wylot drogi w dwóch różnych ujęciach, w zbliżeniu i z oddali.

Nic się tam nie poruszało.

• • •

Reacher posłuchał detektyw Amos. Wrócił do gospody i do wieczora siedział w pokoju. Nikt go nie widział. I bardzo dobrze. Problem stanowiła jedynie kolacja. W gospodzie, malutkiej i eleganckiej, nie było serwisu. Prawdopodobnie nie było tam żadnej obsługi gastronomicznej, tym samym jedzenia, nie licząc przywożonych skądś muffinek na śniadanie. Darmowych, w mieszczącym się w holu bufecie. Sęk w tym, że do śniadania było jeszcze daleko. Co najmniej dwanaście godzin. Jeśli nie czternaście. Można umrzeć z głodu.

Wyjrzał przez okno. Strata czasu, bo wychodziło na podwórze domu przy sąsiedniej ulicy. Ale wiedział, że ulicę dalej jest kafejka z całodziennym śniadaniem. Kto by go zobaczył, gdyby tam poszedł? W mieście wielkości Laconii, w dodatku o zachodzie słońca? Najwyżej dwóch, trzech przechodniów. No i goście w kafejce. Którzy widzieli go już w porze lunchu. Nie tak dawno temu. Niedobrze. Powiedzieliby: Tak, oczywiście, ciągle tu przychodzi, jest praktycznie stałym bywalcem. Ewentualne poszukiwania skupiłyby się na najbliższej okolicy i mała, elegancka gospoda pomalowana na artystycznie wyblakłe kolory stałaby się celem numer jeden. Najbardziej wyeksponowane miejsce. Oczywista lokalizacja. Przybytek wart natychmiastowych odwiedzin. Najlepiej porannych, kiedy każdy kulturalny człowiek jeszcze śpi.

Niedobrze.

Lepiej poszukać gdzieś dalej. Odwrócił się od okna i odtworzył w myśli plan miasta, część, którą do tej pory widział. Swoją pierwszy hotel, urząd miejski, urząd hrabstwa, komenda policji, drugi hotel, lokale, w których jadł i pił kawę, oraz sklepy

z butami, torebkami i garnkami, których witryny oglądał. Chciał zjeść kolację tam, gdzie jeszcze nie był. Dać się zauważyć dwa razy to wpadka dziesięć razy gorsza, niż dać się zauważyć raz. Taką wyznawał zasadę. Zawsze lepiej jest być kimś obcym. Pierwszy raz widzianym. Przypomniało mu się małe bistro z oknem przesłoniętym od dołu firanką i staromodnymi żarówkami, które świeciły jak pęta rozgrzanych drutów. Nieliczna obsługa, nieliczna, dyskretna klientela. Mijał je, lecz nie wszedł do środka. Sześć ulic dalej. Albo siedem. Lokalizacja daleka od ideału, mimo to uznał, że bez problemu doszedłby tam zygzakiem, bocznymi uliczkami, gdzie było spokojniej.

I bezpieczniej.

Zszedł na dół i w zapadającym zmierzchu ruszył na miasto. Pamięciowa nawigacja nie zawiodła. Zawahał się tylko raz, lecz gdy w końcu skręcił tam gdzie trzeba, wyszedł prosto na bistro. Nie sześć ulic ani siedem, tylko osiem. Dalej, niż myślał. Za długo przebywał na otwartej przestrzeni. Minęło go osiemnastu przechodniów. Nie wszyscy go widzieli. Ale kilku owszem. Nie zauważył wśród nich nikogo podejrzanego. Ot, zwykli ludzie.

Przed bistro przystanął i wspiął się na palce, żeby zajrzeć za firankę. Ocenić sytuację. Nie miał ochoty na nic konkretnego. Zjadłby cokolwiek. Ale spodobał mu się stolik w kącie sali, to, że siedziałby twarzą do drzwi, że panowała tam przyjazna krzątanina, ani mała, ani duża, czyli w sam raz, oraz to, że było tam kilkoro gości, ani za dużo, ani za mało, czyli też w sam raz. Co gwarantowało, że zostanie szybko obsłużony i nikt go nie zapamięta. Dobre miejsce. Na wpół pusta sala. W kącie wolny stolik na dwie osoby. Szybka, bystra kelnerka. Sześcioro gości. Świetnie. Idealnie pod każdym względem. Z wyjątkiem tego, że wśród sześciorga gości byli Elizabeth Castle i Carter Carrington.

Na drugiej randce. Pewnie romantycznej. Nie chciał im psuć wieczoru. Poczuliby się zmuszeni do tego, żeby go zaprosić. Mógłby odmówić, ale niczego by to nie zmieniło. Jadłby dwa stoliki dalej, więc byłiby skrepowani, mieliby wrażenie, że ich obserwuje. Zrobiłoby się dziwnie, sztucznie i nerwowo.

Ale dał słowo detektyw Amos. Postawiłby ją w niezręcznej

sytuacji. *Do rana nie wyjdzie pan z pokoju. Nikt nie ma prawa pana zobaczyć.* Szukać dalej? Czy mógł sobie na to pozwolić?

W końcu decyzja podjęta się sama. Z jakiegoś powodu Elizabeth Castle podniosła wzrok. I zobaczyła go. Jej usta ułożyły się w kształt pełnej zaskoczenia litery „O”, litera „O” natychmiast ustąpiła miejsca szczeremu uśmiechowi i Elizabeth pomachała do niego ręką, najpierw w geście powitania, a potem zaproszenia.

Wszedł do środka. Uznał, że w tej sytuacji będzie to działanie po linii najmniejszego oporu. Carrington wstał i uściśnął mu rękę, uprzejmie i nieco staromodnie. Elizabeth pochyliła się i wysunęła trzecie krzesło spod stolika. Carrington wskazał je otwartą dłonią niczym szef sali.

– Bardzo proszę.

Reacher usiadł. Plecami do drzwi, twarzą do ściany.

Działanie po linii najmniejszego oporu.

– Nie chcę psuć wam wieczoru.

– Niech pan nie będzie niemądry – zaproponowała Elizabeth.

– W takim razie gratuluję. Wam obojgu.

– Ale czego?

– Drugiej randki.

– Czwartej – poprawiła go Elizabeth.

– Serio?

– Wczoraj kolacja, dzisiaj przerwa na kawę, przerwa na lunch, a teraz znowu kolacja. I pomyśleć, że poznaliśmy się tylko dlatego, że szuka pan bliskich. Jak to miło, że pan tędy przechodził. To jest jak omen.

– Omen źle mi się kojarzy.

– Jego dobry odpowiednik.

– Dobry omen – wtrącił Carrington.

– Znalazłem Ryantown – powiedział Reacher. – Wszystko się zgadza. Według danych ze spisu dziadek był brygadzystą i mieszkał dokładnie naprzeciwko fabryki cyny. Którą na jakiś czas zamknięto, co tłumaczy, dlaczego pracował też jako robotnik drogowy. Kiedy fabrykę ponownie uruchomiono, wrócił na dawne stanowisko. Nie przeglądałem wyników następnego spisu. Mojego ojca już tam wtedy nie było.

Carrington kiwnął głową, rozmyślnie, a zarazem niechętnie, jakby miał mnóstwo do powiedzenia, ale nie chciał tego mówić ze względu na dobre maniere czy etykietę.

– Coś nie gra? – rzucił Reacher.

– Nie, skąd.

– Nie wierzę.

– No dobrze, nie gra – przyznał Carrington.

– Duże „coś” czy małe?

– Właśnie o tym rozmawialiśmy.

– Na randce?

– Umawiamy się, ponieważ pański przypadek nie daje nam spokoju. Dlatego to oczywiste, że o tym rozmawiamy. Pewnie będziemy rozmawiali w nieskończoność. Choćby ze względów sentymentalnych.

– Konkretnie co nie daje wam spokoju?

– Nie wiemy – odparł Carrington. – Stąd nasze zakłopotanie. Nie umiemy tego sprecyzować. Przejrzeliśmy oryginalne dokumenty. To naprawdę piękne spisy, jeden i drugi. Można poczuć atmosferę tamtych czasów. Dostrzec pewne prawidłowości. Od razu widać, kto był dobrym rachmistrzem spisowym, a kto leniwym. Widać błędy. Kłamstwa. Wśród mężczyzn głównie dotyczące umiejętności czytania i pisania, a wśród kobiet wieku.

– Więc uważacie, że z dokumentami jest coś nie tak?

– Nie, nie, mówią prawdę. Wszystkie formularze są pięknie wypełnione. Nie widziałem lepiej sporządzonych dokumentów. A spis z tysiąc dziewięćset czterdziestego powinien znaleźć się w panteonie najlepszych w historii.

– Więc skąd ta niepewność?

– Wspomniałem o atmosferze – odrzekł Carrington. – Że można ją poczuć. Znaleźć się w tamtym świecie, żyć życiem tamtych ludzi. Różnica jest tylko taka, że my wiemy, co się potem wydarzy, a oni nie. Stoimy trochę z boku. Znamy zakończenie filmu. Myślimy jak oni, ale zauważamy również tych, którzy w przyszłości zachowają się głupio albo mądrze.

– No i?

– W historii, którą mi pan opowiedział, jest coś nie tak.

- Ale nie w dokumentach.
- Nie, gdzie indziej.
- Ale nie wie pan gdzie.
- Właśnie.

Nadeszła kelnerka i zmienili temat. Reacher nie wrócił do tamtego. Nie chciał psuć im wieczoru. Pozwolił, żeby mówili o czymś innym, i włączył się do rozmowy, ilekroć mógł.

• • •

Zjadł tylko drugie danie i pożegnał się. Chciał, żeby deser zjedli sami. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Nie protestowali. Zostawił na stoliku dwadzieścia dolarów. Powiedzieli, że to za dużo, więc kazał im przekazać kelnerce, żeby zatrzymała resztę.

Wyszedł na ulicę i skręcił w prawo, by wrócić do gospody. Ciemność jeszcze bardziej pociemniała. Ruch zmalował niemal do zera. Ani jednego przechodnia. Sklepy były już zamknięte. Z tyłu coś nadjeżdżało. Powoli, trochę wolniej, niżby chciało, tak jak jeżdżą nocą wszystkie samochody we wszystkich miastach świata. Tylna część mózgu przekazała mu wiadomość, że przeanalizowawszy tysiąc informacji, jakie podszeptał jej instynkt, w tym danych na temat prędkości, kierunku, ewentualnych zamiarów i konsekwencji działania, doszła do wniosku, że mijający go samochód plasuje się w samym środku pola oznaczającego całkowity brak zagrożeń.

I nagle zobaczył coś, co poza to pole wykraczało.

Światła reflektorów. Z naprzeciwnika. Sto metrów dalej. Wielkie i oślepiające, wysoko zamontowane i szeroko rozstawione. Duży pojazd. Dokładnie naprzeciwno, jakby sunął środkiem ulicy, okrakiem nad środkową linią. W dodatku bardzo powoli. Ani jechał, ani stał, ani tak, ani siak. Co było niepokojące. Bo samochód nie pasował do kontekstu. Poruszał się jak w godzinie szczytu, tylko dużo wolniej, jakby kierowca nie tylko prowadził, ale i zajmował się czymś jeszcze. Przedstawiciel nowej generacji powiedziałby, że pewnie telefonem, ale Reacher uznał, że facet czegoś szuka. Wzrokiem. Dlatego jedzie środkiem ulicy. Na długich światłach. Widział w nich obydwa chodniki.

Szuka, ale czego?

Albo kogo.

Pojazd był duży. Radiowóz? Policjanci mieli prawo jeździć powoli środkiem ulicy. Szukać czegokolwiek albo kogokolwiek chcieli.

Światła reflektorów przygwoździły go do ściany. Omyły go, ostre, jaskrawe i błękitne, powędrowały dalej i nagle znalazł się w świecie wypełnionym półszarościami, oświetlonym jedynie przez blask odbity od wiszącej nad miastem nocnej mgły. Odwrócił się i zobaczył pick-upa, wysokiego, błyszczącego, eleganckiego i bardzo długiego, z dwoma rzędami siedzeń, długą paką i wielkimi chromowanymi kołami, które obracały się tak powoli, że całkowicie zrelaksowane, ledwo się toczyły.

Właściwa akcja rozgrywała się nie na zewnątrz, tylko w kabinie.

Doszło tam do wielkiego wybuchu radości, jak po wygraniu jakiegoś zwariowanego zakładu. Jakby właśnie zdarzyło się niemożliwe. W jego stronę zwróciło się pięć twarzy. Prosto w oczy spojrzało mu pięć par oczu. Otworzyło się pięć ust. Jedne się poruszały.

„To on” – mówiły.

Były to usta tatusia byczka z sadu.

Siedział w drugim rzędzie, za kierowcą. A więc nie na zwykłym miejscu dowódcy oddziału. Nie na tronie, jakim byłoby niewątpliwie miejsce pasażera, to z przodu. Pewnie bardziej widział się w roli frontowego żołnierza. Swojaka, jednego z chłopaków. Co mogło być zachęcające. Niska poprzeczka. A przynajmniej obniżona średnia. Pełny wgląd w listę pałkarzy przeciwnika. Miło wiedzieć, że jest wśród nich ktoś, kogo można łatwo wyautować.

Pozostali czterej urodzili się pokolenie później. Byli bardzo podobni do byczka z sadu. Taka sama budowa ciała, taka sama muskulatura i opalenizna. Przedstawiciele tego samego gatunku ludzkiego. Tylko biedniejsi. Z innego dziadka. Kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe? Ale robili wrażenie chętnych do pomocy. Zbliżała się pora zbiorów. Może potrzebowali na buty dla dziecka.

Pick-up zahamował, przysiadł na resorach i w nierównych odstępach czasu otworzyło się wszystkie czworo drzwi. Z kabiny wyskoczyło pięciu mężczyzn. Na asfalcie zastukotały obcasy butów. Dwóch obeszło maskę i stanęło ramię w ramię z trzema pozostałymi – wszyscy upiornie szarzy w odbitym półświecie – tatuś dokładnie pośrodku. Jak na starym, wyblakłym plakacie reklamującym czarno-biały film sprzed wielu, wielu lat. Dzieło z sentymentalnym scenariuszem. Matka umiera młodo i ojciec wychowuje ich wszystkich sam. Więc teraz chcą mu za to się odwdziżyć. Albo rozbita rodzina po raz pierwszy zwierza szyki w obliczu strasznego zagrożenia zewnętrznego. Słowem, dramatyczna szmira. Grali jak na scenie.

Reacher pomyślał o Brendzie Amos.

Nie chcemy tu kłopotów.

Ale cóż, mówiła o ewentualnych stratach ubocznych. Które w tym przypadku byłyby minimalne. Praktycznie zerowe. Pusta

ulica. Brak broni palnej. Brak jakichkolwiek działań zaczepnych. Przynajmniej na razie. Jak dotąd był to klasyczny pojedynek na spojrzenia. I pozy. W którym Reacher brał zresztą aktywny udział. Bo udając beztrosko odprężonego, stał swobodnie ni to uśmiechnięty, ni poirytowany, jakby właśnie stwierdził, że przed końcem pięknego skądinąd dnia musi zrobić coś niezmiernie wkurzającego i kłopotliwego. Skrzyżowane na piersi ręce, wysoko podniesione głowy, harde spojrzenia, zwarty mur ciał – stojąca przed nim piątka wciąż odgrywała numer z zastraszaniem i po paru sekundach zrozumiał, że ma przed sobą nie żywy obraz symbolizujący odnowioną solidarność, landszaft ze wzruszającym podtekstem, tylko coś ze znacznie mniej subtelnym przekazem. Chodziło o liczby. O nic więcej. Pięciu na jednego.

– Pojedziesz z nami – rzucił tatuś sadownik.

– Naprawdę? – upewnił się Reacher.

– Lepiej załatwić to spokojnie i po cichu.

Reacher nie odpowiedział.

– No więc?

– Zastanawiam się właśnie, gdzie by się to mieściło. Na skali od jednego do dziesięciu. Dziesiątka to wysokie, niemal całkowite prawdopodobieństwo tego, że z wami pojadę, a jedynka, że nie pojadę wcale, nawet za milion lat. Muszę przyznać, że przychodzą mi do głowy bardzo niskie cyfry.

– Jak chcesz – rzucił tamten. – Miałbyś parę siniaków mniej. Bo pojedziesz tak czy inaczej. Podniosłeś rękę na mojego syna.

– Tylko jedną – zaznaczył Reacher. – I tylko na chwilę. Lekko go trąciłem, to wszystko. Ma szczękę ze szkła. Powinien pan go lepiej pilnować. Wytłumaczyć mu, dlaczego nie powinien zadawać się z dorosłymi. Czystym okrucieństwem byłoby tego zaniechać. Oddałby mu pan niedźwiedzia przysługę.

Sadownik milczał.

– Ci tutaj są choć trochę lepsi? – ciągnął Reacher. – Oby. Inaczej ich też powinien pan uprzedzić. Grają teraz w pierwszej lidze.

Rząd ciał spazmatycznie zafalował. Gwałtowny oddech wypchnął skrzyżowane na piersi ręce, wyostrzyły się spojrzenia,

drgnęły głowy i ramiona.

Nie chcemy tu kłopotów.

– Nie musimy tego robić – dodał Reacher.

– Musimy – odparł sadownik.

– To ładne miasto. Po co tu rozrabiać?

– Więc jedź z nami.

– Dokąd?

– Zobaczysz.

– Już to przerabialiśmy. Prawdopodobieństwo tego, że pojedę, wciąż jest bliskie zera. Ale jestem otwarty na propozycje. Moglibyście mnie jakoś zachęcić.

– Że co? – nie zrozumiał tamten.

– Na przykład pieniędzmi – wyjaśnił Reacher. – Albo jakąś ciekawą ofertą.

– Ofertę już ci złożyłem: parę siniaków mniej.

Reacher kiwnął głową.

– Tak, rzeczywiście. Ale pojawia się kilka pytań.

Powiódł wzrokiem po twarzach czterech młodszych przeciwników i spytał:

– Gdzie się urodziliście?

Żaden nie odpowiedział.

– Radzę odpowiedzieć. Od tego zależy wasza przyszłość.

– Tutaj – odparł któryś. – W okolicy.

– I tu się wychowałeś?

– Tak.

– Nie w irlandzkiej części Bostonu, na Bronxie czy w czarnej części LA?

– Nie.

– Nie w slumsach pod Rio de Janeiro? Nie w Baltimore czy Detroit?

– Nie.

– Służyłeś w policji?

– Nie.

– A może siedziałeś w więzieniu?

– Nie.

– W wojsku też nie służyłeś?

– Nie.

– To może przeszedłeś tajne szkolenie Mossadu? Albo szkolenie SAS w Anglii? A francuska Legia Cudzoziemska? Też nie?

– Nie.

– Rozumiesz, że to nie będzie przypominało zbierania jabłek, prawda?

Chłopak nie odpowiedział.

Reacher spojrzał na sadownika.

– Widzi pan, w czym problem? Ta sprawa z siniakami po prostu nie wypali. Nie ma wewnętrznej logiki. To tylko iluzja optyczna. Oferuje pan brak czegoś, czego i tak nie jest pan w stanie zapewnić. Nie z nimi. Musi pan się lepiej postarać. Użyć wyobraźni. Jakoś mnie zachęcić. Kuszące byłyby na przykład pieniądze, duża kwota. Albo kluczyki do pick-upa. A może któryś z pańskich chłopców mógłby przedstawić mnie swojej siostrze? Tylko na jedną noc. On by wyszedł, a ja bym został.

Wiedział, że na to zareagują wszyscy, nie wiedział tylko, który zrobi to najszybciej, dlatego wciąż swobodny i rozluźniony, zaczął analizować możliwe sposoby odparcia ataku, zachowując jednocześnie pełną elastyczność w doborze przyszłego celu z nadzieją, że zanim podejmie ostateczną decyzję co do kierunku uderzenia, cel ów zdradzi swoje zamiary. Tak też się stało. Chłopak stojący po prawej stronie sadownika, wkurzony drwinami i obelgami, ruszył do przodu, a ponieważ ruszył, Reacher zrównał się z nim i wyprowadził cios. Ręce najszybszych bokserów poruszają się podobno z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, o wiele szybciej niż jego, ale jemu z powodzeniem wystarczyło trzydzieści. Stali metr od siebie i jego pięść pokonała tę odległość w jedną dziesiątą sekundy, a więc prawie natychmiast. Trafiła w twarz, a wtedy Reacher równie szybko ją cofnął, czystym, wprawnym ruchem, jak żołnierz na paradzie wojskowej, po czym wyprostował się swobodnie, jakby nigdy nic. Oł, jakby tylko mrugnął. A kto zarejestruje zwykłe mrugnięcie?

Nie ma to jak efekciarstwo.

Chłopak upadł.

Pięćdziesiąt metrów dalej z bistra wyszli Elizabeth Castle i Carter Carrington. On coś powiedział, a ona się roześmiała. Na opustoszałej ulicy dźwięk niósł się jak po wodzie. Ci z pick-upa spojrzeli przez ramię. Ale nie ten leżący. On nie zrobił nic.

Pięćdziesiąt metrów dalej Carter wziął Elizabeth za rękę i ramię w ramię skrzyli w lewo. Szli prosto na nich. Byli coraz bliżej. Jaskrawe światło reflektorów pick-upa uderzyło w nich tak jak poprzednio w Reachera. Ten obserwował ich przez chwilę, po czym spojrzął na sadownika.

– Teraz to pan musi dokonać wyboru – powiedział. – Nadchodzi pełnomocnik miasta. Bardzo wiarygodny świadek. Jestem gotowy zostać i kontynuować. A pan?

Sadownik spojrzął ponad jego ramieniem. Na nadchodzącą parę. Dobrze oświetloną. Która była teraz tylko czterdzieści metrów dalej. Stuk-stuk-stuk – stukały ich buty. Elizabeth znów się roześmiała.

Sadownik milczał.

Reacher kiwnął głową.

– Rozumiem. Nie lubi pan rezygnować. Jest pan grubą rybą. Wszystko jasne. Dlatego ułatwię to panu. Dopilnuję, żebyśmy się znowu spotkali. Jutro czy pojutrze. W każdym razie wkrótce. Wrócę tam. Do Ryantown. Na pewno. Mieście oczy szeroko otwarte.

I odszedł. Nie oglądając się za siebie. Przez chwilę panowała zupełna cisza, a potem usłyszał kilka cichych rozkazów, szuranie nogami, warkot silnika podjeżdżającego bliżej pick-upa oraz serię stęknień i głuchych stukotów, kiedy zbieracze jabłek podnosili i pakowali na siedzenie zamroczonego kumpla. Trzasnęły drzwi. Kilka sekund później Reacher skrzyli w boczną ulicę i hałasy ucichły. Nie słyszał nic aż do gospody, gdzie spędził resztę nocy. Obejrzał bezsensowny mecz Red Soxów, w którym grali o pietruszkę, i lokalne wiadomości. Potem położył się, zasnął i spał jak dziecko.

Obudził się minutę po trzeciej w nocy.

Minutę po trzeciej w nocy Patty wciąż nie spała. W ogóle nie zmrużyła oka. Shorty dotrzymywał jej towarzystwa, lecz w końcu wymiękł. Zdrzemną się, powiedział, tylko sekundkę. Sekundka trwała godzinę. Poza tym chrapał. Zjedli czwarty z sześciu posiłków. Wypili czwartą z sześciu butelek wody. Zostały im dwa posiłki i dwie butelki. Na śniadanie i lunch następnego dnia. A potem co? Nie wiedziała. Tak ją to męczyło, że minutę po trzeciej w nocy wciąż nie spała. Ani na chwilę nie zmrużyła oka. Bo nic z tego nie rozumiała.

Dali im ciepły, wygodny pokój z prądem i bieżącą wodą, ciepłą i zimną. Z prysznicem i toaletą. Z ręcznikami, mydłem i chusteczkami higienicznymi. Nikt ich nie napastował, a nawet nie dotknął. Nikt nie patrzył na nich pożądlivym wzrokiem, nikt się nad nimi nie znęcał i nikt im nie groził. Traktowano ich bardzo przyzwoicie. Z wyjątkiem tego, że uwięziono ich w pokoju. Dlaczego? Z jakiego powodu? W jakim celu? Kimże byli, ona i Shorty? Co komu po nich?

To ostatnie pytanie potraktowała bardzo poważnie. Oboje byli biedni, tak jak wszyscy ich znajomi. Okup? Wolne żarty. Nie znali żadnych tajemnic przemysłowych. Nie dysponowali żadną wyspecjalizowaną wiedzą. W Ameryce Północnej ludzie uprawiali ziemniaki i cięli drewno od stuleci. Może nawet tysiącleci. Wszystkie tajniki obydwu zajęć rozpracowano już dawno temu.

Więc dlaczego? Mieli po dwadzieścia pięć lat i byli zdrowi. Dlatego w pewnej chwili przyszło jej do głowy, że chodzi o nielegalne pobieranie narządów. Że może tamci chcą wystawić na sprzedaż ich nerki. Albo serca, płuca czy rogowki. I całą resztę, wszystko to, co nadaje się do przeszczepu. Choćby szpik. Lista była długa, jak ta w dokumentach na prawo jazdy. Ale doszła do wniosku, że jednak nie. Nikt nie zbadał im krwi, nawet nie

próbował. Nie zadawał z pozoru obojętnych pytań. Nie było ani przypadkowych skaleczeń, ani otarć, ani zadraśnień. Ani razu nie skorzystali z apteczki. Nie wyrzucili do kosza zakrwawionej gazy. Przecież nie można sprzedać nerek, nie znając grupy krwi dawcy. Biorca na pewno by o to spytał.

To ją trochę uspokoiło, lecz nie na długo. Bo wciąż nic z tego nie rozumiała. Kimże byli, ona i Shorty? Co komu po nich?

• • •

Reacher obudził się minutę po trzeciej. Tak jak poprzednio. Gwałtownie, natychmiast, jak za pstryknięciem włącznika.

Z tego samego powodu.

Coś usłyszał.

Dźwięk, który już się nie powtórzył.

Ani razu.

Wstał, podszedł nago do okna i wyjrzał. Nic. Ani śladu szopa czy grasującego na śmietniku kojota. Albo podekscytowanego psa sąsiada. Zwykła spokojna noc. Choć najwyraźniej niezupełnie, w dodatku znów minutę po trzeciej nad ranem. Kelnerka z koktajlbaru raczej nie poszła do pracy. Pewnie ją wyrzucili albo bała się szykan. A z nowej nie wróciłaby do domu dokładnie o tej samej porze. Poza tym chyba nikt nie czekałby na nią pod drzwiami. A już na pewno nie ten dupek. Duppek leżał w szpitalu. Zresztą zaułek, w którym mieszkała, był cztery ulice dalej. Po przekątnej, z mnóstwem różnych miejsc pomiędzy. Poza promieniem. Za daleko, żeby usłyszeć krzyk.

Dlatego musiała to być przypadkowa zbieżność czasu. Przypomniały mu się słowa Brendy Amos. *O północy zaczną skrzykiwać ludzie. Rano już tu będą. To nie są duże odległości.*

Czy minuta po trzeciej w nocy to już rano? Formalnie rzecz biorąc, tak. Wyobraził sobie noc w Bostonie, samochód, który tankuje paliwo i rozmywa się w ciemności. Czy w trzy godziny i jedną minutę dojechałby do Laconii? Bez trudu. Ze dwa razy. Wyobraził sobie kierowcę, który spokojnie i bez pośpiechu krąży ulicami i zapoznaje się z terenem. Budzi recepcjonistę w jednym hotelu i kierownika w drugim, wypytuje ich o „dużego faceta” ze

skaleczoną ręką, przeprasza, jeśli wielkolud u nich nie mieszka, wtyka im pięćdziesiąt dolarów do kieszeni, wraca do samochodu i jedzie dalej. Aż prędeż czy później natknie się na kogoś, kto powie: Tak, jasne, gość mieszka na najwyższym piętrze, w pokoju na końcu korytarza.

Wyjął spodnie spod materaca. Włożył je, zapiął koszulę i zasznurował buty. Wziął szczoteczkę do zębów z łazienki i schował ją do kieszeni. Był gotów do wyjścia.

Zszedł do holu. Bufet otwierano dopiero za trzy godziny. Przystanął w drzwiach i wyteżył słuch. Nic. Cisza. Wyszedł na ulicę i usłyszał odległy warkot samochodu. Na chodnikach? Nikogo. Doszedł do rogu. Tam też nic. I znów ten sam cichy warkot. Ten sam odgłos, tylko z innej strony. Daleko, a potem bliżej. Jakby samochód zawrócił i był teraz ulicę bliżej. Jakby zamiast jechać w konkretnym kierunku, ciągle krążył w kółko, zataczając coraz węższe kręgi.

Żeby nie przeciął mu drogi, Reacher przeszedł na skos cztery ulice i znalazł zaułek między sklepem z torebkami i sklepem z butami. Gdzie mieszkała kelnerka. I gdzie panował całkowity spokój. Bo nikogo tam teraz nie było. Tylko ciemne okna, mgła i cisza.

Znów to usłyszał, ten sam wóz. Daleko z tyłu. Szum opon na asfalcie, cichutki oddech silnika, przytłumiony stukot kół na wyboju. Trzy ulice dalej. Poza zasięgiem wzroku. Ulica naprzeciwko ostro zakręcała.

Zawrócił w kierunku gospody, przeciął kilka stożków żółtego światła i przystanął w cieniu. Wciąż go słyszał. Ten samochód. Trzy ulice dalej. Sunąc powoli, co jakiś czas skręcał, aby zatoczyć kolejny krąg.

Poszedł dalej. Samochód był coraz bliżej. Skręcił w prawo w bliższą ulicę i teraz dzieliły ich tylko dwie przecznice. Jeździł w kółko jak po gigantycznej spirali. Kogoś szukał, ale dość leniwie. A więc nieskutecznie. Mogłaby tu biegać cała banda wielkich facetów z poharataną ręką i nie wypatrzyłby ani jednego, nie tym sposobem. A gdyby wypatrzył, to tylko przez przypadek.

Więc nie, nikogo nie szukał. Na razie. Przeprowadzał tylko rozpoznanie. Było jeszcze wcześniej. Chociaż z drugiej strony zawsze warto się przygotować, to bardzo wskazane. Odrobina profesjonalizmu nigdy nie zawadzi. Trzeba zaplanować drogi ewakuacyjne. Oznaczyć trudne zakręty. Zmierzyć szerokość zaułków, sprawdzić, dokąd prowadzą.

Samochód skręcił w prawo, dwie przecznice za nim.

Reacher poszedł dalej. Miał do pokonania jeszcze dwie ulice. I problem ze zgraniem miejsca z czasem. Bo w którym miejscu będzie, kiedy samochód przejedzie w pobliżu gospody? Gdzie będzie samochód, gdy on dotrze do drzwi? W sumie jedno i to samo pytanie. Bo wszystko sprowadzało się do czasu, odległości i kierunku. Jak w strzelaniu do rzutków. Jaką wziąć poprawkę, żeby dobrze trafić?

Przystanął. Nie, źle to wymyślił. Lepiej trochę zaczekać. I dotrzeć do drzwi zaraz po tym, jak samochód odjedzie, a nie zanim przyjedzie. Tak nakazywał zdrowy rozsądek. Podszedł niespiesznie do rogu. Mrok i wciąż opustoszała ulica. Wszystko dobrze.

Z wyjątkiem tego, że samochód skrócił nagle dystans i był już przecznicę bliżej. Dużo za wcześniej w porównaniu z dotychczasowym schematem jazdy. Zaskakująco i nieprzewidywalnie. Wyjechał z ulicy naprzeciwko, omiótł reflektorami obydwa chodniki, oświetlił Reachera jak gwiazdora na planie filmowym i zatrzymał się pięć metrów przed nim. Cicho mrużący silnik i otwierające się drzwi, zupełnie niewidoczne w oślepiającym blasku. Zamierzał rzucić się w dół i w prawo, w stronę źródła odgłosu. Prosto w światło. Tak byłoby bezpieczniej. Kierowca był prawdopodobnie praworęczny. Zaskoczony nagłym atakiem wpadłby w panikę i wywołany strachem skurcz mięśni poderwałby uzbrojoną rękę do góry i w bok, zamiast pchnąć ją w dół i w stronę celu.

Jeśli w ogóle miał broń.

– Policja miejska! – zawołał ktoś zza ściany oślepiającego światła. – Proszę podnieść ręce do góry!

– Nic nie widzę – powiedział Reacher. – Niech pan zgasi światła.

Co było swojego rodzaju próbą. Prawdziwy policjant mógłby to zrobić, fałszywy na pewno nie. Reacher nie zrezygnował, wciąż zamierzał skoczyć w prawo. Gdyby mu się udało, otwarte drzwi zrobiłyby swoje. Uderzyłyby faceta i dalsza walka byłaby w miarę uczciwa.

Reflektory zgasły.

Reacher zamrugał i świat znów pograżył się w żółtawej poświacie, miękkiej we mgle i ostrej nad mokrą jezdnią. Stał przed nim czarno-biały radiowóz, czyściutki i nowiutki, wypełniony pomarańczowym blaskiem nowoczesnej elektroniki. Stojący za drzwiami mężczyzna był w policyjnym mundurze. Miał dwadzieścia kilka lat i identyfikator z nazwiskiem Davison na piersi. Choć czujny i zdecydowany, pewnie wolałby być nieco roślejszy. Starannie zaprasowane kanty i fałdy, pas z wzorowo ułożonym i zabezpieczonym wyposażeniem – był gotowy. Rutynowy nocny patrol choć raz okazał się interesujący.

– Proszę podnieść ręce – powtórzył.

– To niekonieczne – odrzekł Reacher.

– W takim razie proszę się odwrócić. Założę panu kajdanki.

– To też niekonieczne.

– Zrobię to zarówno dla pańskiego, jak i mojego bezpieczeństwa.

Pewnie ćwiczili to na zajęciach, pomyślał Reacher. Odgrywali scenki. Z psychologiem czy kimś takim. Dzisiejsze zadanie? Wymyślić odzywkę, która osłabiłaby opór aresztowanego, paraliżując najważniejsze ośrodki jego kory mózgowej swoją rażącą głupotą. Bo w jaki sposób kajdanki mogły zapewnić mu bezpieczeństwo? Ale nie, zamiast tego powiedział:

– Nie widzę ku temu podstaw.

– Podstawy nie są konieczne – odparł Davison.

– Czyżby doszło do kryzysu konstytucyjnego, a ja nic o tym nie wiem?

– Mamy pana na oku. Pańskie nazwisko padło podczas odprawy. Rozdano nam pański portret pamięciowy. Ma pan zakaz pojawiania się w miejscach publicznych.

– Kto prowadził odprawę? – spytał Reacher.

- Detektyw Brenda Amos.
- Powiedziała coś jeszcze?
- Że jeśli zobaczymy samochód z rejestracją z Massachusetts, mamy o tym natychmiast zameldować.
- I widział pan taki samochód?
- Jak dotąd nie.
- Pani detektyw poważnie to traktuje.
- Musi. Nie chce tu kłopotów. Powiesiłaby nas na najbliższym drzewie.
- Wracam do hotelu...
- Nie, proszę pana – przerwał mu Davison. – Detektyw Amos poinformowała nas, że służył pan w żandarmerii wojskowej. Dlatego chętnie okażemy panu gościnność.
- Więc wracam czy nie?
- Której zaraz pan nadużyje – dodał policjant czujnie, pogodnie i zdecydowanie. Był pewny siebie. Pewny swoich rozkazów, prawa i przełożonych.

Szczęśliwe lata.

Reacher pomyślał o kawie. Bufet w gospodzie otwierano dopiero za trzy godziny. A kawa jest nieodłącznym elementem każdej komendy.

– Nie musi mnie pan aresztować – powiedział. – Pojadę z panem dobrowolnie. Ale z przodu. Taką mam zasadę.

Wsiedli do radiowozu i pojechali. Z taką samą prędkością, z jaką Davison jechał poprzednio, powoli i ostrożnie, czujnie wypatrując zza rogów, posłusznie robiąc Bóg wie którą rundę ulicami miasta. Laptop na długim wysięgniku, różne schowki i uchwyty – w kabinie roіło się od sprzętu i Reacherowi było niewygodnie. Czyściutka deska rozdzielcza dosłownie lśniła. Wóz pachniał nowością. Miał najwyżej miesiąc.

Runda wreszcie się skończyła i skręcili w nieco szerszą ulicę, która prowadziła do komendy. Prosto jak strzała, mieli do pokonania tylko kilkaset metrów. Reacher znał te okolice. Davison jechał teraz szybciej. Zawadiacko. Z polotem. Jak pan nocnego wszechświata. Zaparkował przed drzwiami i wysiadł. Wysiadł i Reacher. Weszli do holu. Davison przedstawił sytuację

oficerowi dyżurnemu. A ten zadał tylko jedno pytanie:

– Mam go zamknąć i przetrzymać do wpół do dziesiątej?

Davison spojrzął na Reachera.

– Ma? – spytał.

– Nie, to niekonieczne – odparł Reacher.

– Na pewno?

– Ja też nie chcę kłopotów. Marzę tylko o kawie.

Posterunkowy przeniósł wzrok na dyżurnego.

– Zaprowadź go do jakiegoś pokoju i daj mu kubek kawy.

W tym momencie otworzyły się wahadłowe drzwi i do holu weszła Brenda Amos.

– Pójdziemy do mnie – rzuciła.

Pierwszy przyjechał na długo przed świtem. Powracający klient. Mieszkał w północnej części Maine, w drewnianym domu w samym środku lasu o powierzchni prawie dwudziestu jeden tysięcy hektarów, którego był właścicielem. Jak zawsze podróżował tylko nocą, wysłużonym kombi niewartym drugiego spojrzenia. Ale na wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś spojrział na nie drugi raz, kombi miało fałszywe tablice rejestracyjne z Vermontu. Korzystał z nawigacji w telefonie, choć oczywiście znał drogę. Już tu kiedyś był. Jak mógłby zapomnieć? Rozpoznał wylot bocznej drogi i dziurawy asfalt, potem zobaczył leżący na drodze czarny wąż. Kabel, który uruchamiał dzwonek i dawał tamtym czas na przygotowanie się do powitania.

Tym razem powitali go w recepcji. A właściwie powitał, bo przyszedł tylko Mark. Pozostali gdzieś przepadli. Pewnie obserwowali ekrany monitoringu. Oby. Mark zaproponował mu pokój numer trzy i odprowadził go wzrokiem do samochodu. Patrzył, jak klient parkuje. Patrzył, jak wnosi torby do pokoju. Zastanawiał się pewnie, w której są pieniądze. Nowo przybyły postawił je obok szafy i wyszedł na dwór. Mroczny przedświt, leciutka mgła – nie mógł się powstrzymać i skradając się ostrożnie, minął pokoje numer cztery i pięć. Zmierzał w stronę hondy civic, która przycupnęła w świetle księżyca niczym czarny garb. Wszedł na parking i stanął za nią, żeby popatrzeć z oddali na pokój numer dziesięć, żeby objąć go wzrokiem. Pierwsze spojrzenie. Pokój jest zajęty. Taką dostał wiadomość. Ale teraz sprawiał wrażenie wolnego. Opuszczona roleta, cisza i spokój. Ciemne okno. Zza którego nie dochodził żaden dźwięk. Jakby nic się tam nie działo.

Nowo przybyły stał tam jeszcze przez chwilę, a potem wrócił do pokoju numer trzy.

• • •

Reacher nalał sobie kawy z policyjnego dzbanka, a potem Amos zaprowadziła go do siebie. Do tego samego gabinetu, z zewnątrz starego i tradycyjnego, w środku nowiutkiego i wymuskanego. Biurko, krzesła, szafki, komputer.

– Prosiłam, żeby rozegrał pan to bezpiecznie, choćby ze względu na mnie – zaczęła.

– Coś mnie obudziło – wyjaśnił.

– Czy jeśli się ktoś obudzi, musi natychmiast wstać?

– Czasem musi.

– Oni mogli właśnie wjeżdżać do miasta.

– Otóż to – odparł. – Pomyślałem, że włożę chociaż spodnie. A potem wyszedłem się rozejrzeć. Ale nic nie zauważyłem oprócz posterunkowego Davisona, który znakomicie się sprawił. Z czym nie miałem żadnego problemu. Chętnie tu zaczekam. Przykro mi tylko, że musiała pani tak wcześnie wstać.

– Tak, mnie też – mruknęła Amos. – Zapomniał pan wspomnieć, że był pan też na kolacji.

– Skąd pani wie?

– Niech pan zgadnie.

Widzieli krew na asfalcie, pomyślał Reacher. Albo parę ulic dalej przypadkowo zatrzymali sadownika w pick-upie. Tatusia i zbieraczy jabłek. Na pewno.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Od Carringtona. Spotkaliście się w bistrze osiem ulic od gospody. Osiem ulic w jedną stronę, osiem w drugą. To miało być bezpieczne?

– Myślałem, że jest. Szedłem naokoło.

– Trzeba było do mnie zadzwonić. Dałam panu wizytówkę. Przywiozłabym panu pizzę.

– Dlaczego wypytywaliście o mnie Carringtona?

– Nie wypytywaliśmy. Potrzebowaliśmy opinii prawnej. Pana wyprawa na kolację wyszła podczas rozmowy.

– Opinii prawnej? Jakiej?

– Kogo można zatrzymać, zanim zrobi coś nie tak.

– I co powiedział?

- Źe niemal każdego – odparła. – Takie czasy.
 - Może nikt nie przyjedzie. Ten chłopak to zwykły dureń.
 - Niech pan nie żartuje. Przyjadą na sto procent.
 - Dobrze, ale może mają do zrobienia coś pilniejszego? I najpierw odbiorą pranie z pralni. O wpół do dziesiątej już mnie tu nie będzie. Przyjadą, zobaczą i wyjadą.
 - Mam szczerą nadzieję, że tak będzie.
 - Ja też.
 - Ale są i dobre wiadomości. Przynajmniej dla nas. Dla pana nie za bardzo.
 - Jakie? – spytał.
 - Po przeanalizowaniu sytuacji ryzyko ulicznej strzelaniny znacznie spadło. Uważamy, że to mało prawdopodobne. Shaw rozmawiał z Bostonem. Boston twierdzi, że do zamachu nie dojdzie tutaj. Zdejmą pana z ulicy, wpakują do samochodu, zawiozą do Bostonu i zrzucą z dachu wieżowca. Tak teraz robią. To ich znak rozpoznawczy. Podpis. Coś w rodzaju komunikatu prasowego. Wiadomość na pierwszej stronie. Taka z krwawym rozbryzgiem, dosłownie i w przenośni. Wolałabym, żeby się to panu nie przydarzyło.
 - Boi się pani o mnie?
 - Z czysto zawodowych pobudek.
 - Nie wsiądę do samochodu z kimś obcym za kierownicą – zapewnił ją Reacher. – Obiecuję.
- Amos nie odpowiedziała.
- Uchyliły się drzwi i ktoś wetknął głowę do gabinetu.
- Mamy meldunek o czarnym chryslerze trzysta z tablicami z Massachusetts. Jedzie od południowego zachodu i według bostońskiego wydziału komunikacji jest zarejestrowany na firmę spedycyjną z siedzibą na lotnisku Logana.
 - Gdzie się takie widuje? – spytała Amos. – Najczęściej. Statystycznie.
 - Głównie w wypożyczalniach limuzyn. To typowo gangsterki wóz.
 - Gdzie teraz jest?
 - Na południe od centrum. Jedzie za nim nasz radiowóz.

– Widać coś w środku?
– Nie, ma przyciemnione szyby.
– Nie za ciemne? Nie da się go za to zatrzymać?
– Da się. Zrobimy, co pani każe.
– Ale jeszcze nie teraz. Pilnujcie go. Demonstracyjnie. Niech was widzi.

Głowa zniknęła, drzwi się zamknęły.

– No i się zaczyna – mruknęła Amos.
– Nie – powiedział Reacher. – To nie on.
– Mało panu konkretów?
– Właśnie o to mi chodzi. To czarny, duży wóz z przyciemnionymi szybami. Błyszczący jak świcidelko. Wiadomo, że zarejestrowany w Bostonie. Na firmę spedycyjną z dużego lotniska międzynarodowego. Równie dobrze mógłby wozić na dachu wielki neon. To przynęta. Chce, żebyście za nim jechali. Będzie krążył po mieście cały dzień. Ani razu nie przekroczy dozwolonej prędkości, przed każdym skrętem będzie wrzucał kierunkowskaz i gwarantuję, że tylne światła ma w porządku. Tymczasem ten właściwy przyjedzie tu furgonetką elektryka. Albo hydraulika. Albo kwiaciarka. Czymś takim. Trzeba założyć, że tamci zachowają odrobinę zdrowego rozsądku. Ten prawdziwy wślizgnie się tu tak, że nikt go nie zauważy. Dzisiaj. Mam nadzieję, że po wpół do dziesiątej rano. Zresztą tak byłoby logicznie. O tej porze pani i pani ludzie będziecie na nogach od ponad sześciu godzin. Dopadnie was zmęczenie. On o tym wie. Dlatego zaczeka. Ale mnie już tu nie będzie.

– Widzę, że bardzo dużo zależy od tego, czy pana wczorajszy przyjaciel rzeczywiście się pokaże – zauważyła Amos.

– Chyba tak – zgodził się z nią Reacher.

– A się pokaże?

– Nie byłbym ani trochę zdziwiony, gdyby nie przyjechał. Co wcale nie znaczy, że moje zdziwienie będzie mniejsze, jeśli przyjedzie. To taki typ.

– Będzie punktualnie?

– Jak mówiłem.

– A jeśli zawali? Zostanie tu pan cały dzień. To dokładne

przeciwieństwo tego, co obiecałam szefowi.

Reacher kiwnął głową.

– Nie chcę stawiać pani w trudnej sytuacji. Przepraszam, jeśli już to zrobiłem. Dam mu pół godziny. Nie więcej. Jeśli nie przyjedzie do dziesiątej, wywieziecie mnie za granice miasta. Pasuje?

– Wywieziemy i co? – spytała.

– Shaw odetchnie. Znajdę się poza waszą jurysdykcją.

– Granica miasta to tylko linia na mapie. Mogą pana śledzić. Elektrycy dużo jeżdżą. Tak jak hydraulicy i kwiaciarze.

– Ale cała robota papierkowa spadnie na hrabstwo, a nie na miasto. Zawsze to coś.

– Pana ryzyko.

– Nie – odparł. – Ryzyko elektryka. To jego nazwisko będzie w papierach, nie moje. Jakie mam wyjście? Przecież nie poklepię go po plecach i nie odeślę do Bostonu z batonikiem. Nie w tej sytuacji. Co by ludzie pomyśleli?

– Przyślą kogoś innego. Jednego albo dwóch.

– Problem będzie miało hrabstwo. Wy nie.

– Nie powinien pan zostawać.

– I nie chcę – zapewnił ją Reacher. – Proszę mi wierzyć. Lubię być w ruchu. Ale nie znoszę, kiedy ktoś próbuje mnie przepędzić. Zwłaszcza ktoś, kto chce mnie zrzucić z dachu wieżowca. Nawiasem mówiąc, to świadczy o tym, że są ambitni. Bardzo pewni siebie. Jakbym był nieistotnym szczegółem.

– Niech pan zapomni o ego – poradziła Amos. – Ego przeszkadza w podejmowaniu dobrych decyzji.

– Właśnie zjechała pani wszystkich generałów w historii naszego kraju.

– Nie jest pan generałem. Niech pan nie popełni tego samego błędu.

– Nie popełnię. Wątpię, czy będę miał okazję. Czy nasze ścieżki znowu się przetną. Dzisiaj mnie tu nie będzie. Najdalej jutro. Ten gówniarz prędzej czy później wyjdzie ze szpitala. Do świąt wszyscy o tym zapomną. Życie potoczy się dalej. A ja będę gdzieś, gdzie jest ciepiej.

Amos milczała.

Znów otworzyły się drzwi – a właściwie lekko uchyliły, tak jak poprzednio – i do gabinetu zajrzała ta sama głowa.

– Chrysler jest już w centrum. Jeździ bez celu i jak dotąd przestrzega przepisów. Nasi wciąż siedzą mu na ogonie.

Głowa zniknęła, drzwi się zamknęły.

– Przynęta – powtórzył Reacher.

– Kiedy przyjedzie ten prawdziwy? – spytała Amos.

Reacher nie odpowiedział.

• • •

Drugi klient przyjechał środkiem transportu dużo bardziej skomplikowanym niż zdezelowane kombi pierwszego. Zrobił z tego wielkie przedstawienie. Peter pojechał SUV-em na małe lotnisko w pobliżu Manchesteru. Tak małe, że nie lądowały tam nawet awionetki należące do firm czy bogatych biznesmenów. Był to raczej trawiasty aerodrom dla hobbystów. Nie miał wieży, nie prowadził książki lotów, nie wymagał od pilotów zgłaszania planu lotu. Peter zaparkował na końcu pasa i otworzył okno. Musiał trochę zaczekać.

Pięć minut później usłyszał w oddali klekotliwy warkot i zobaczył światełko mrugające na tle bladego porannego nieba. Była to dwusilnikowa cessna, a przynajmniej coś, co ją przypominało. Nieważka na wietrze, długo podskakiwała w powietrzu, w końcu zeszła niżej, przyziemiła i niczym trzepoczący skrzydłami zdenerwowany ptak z przeraźliwym jazgotem silnika natychmiast wyhamowała. Peter mignął światłami i cessna potoczyła się w jego kierunku.

Była to taksówka powietrzna z Syracuse w stanie Nowy Jork, którą fikcyjna korporacja, należąca do grupy dziesięciu innych, wynajęła w imieniu pasażera z prawem jazdy z Illinois, niejakiego Hogana. Tuż przedtem Hogan przyleciał do Syracuse z Houston w Teksasie wycarterowanym gulfstreamem, maszyną, którą inna fikcyjna korporacja, należąca do grupy dziesięciu innych, wynajęła w imieniu pasażera z prawem jazdy z Kalifornii, niejakiego Hourihane'a. Oba prawa jazdy były

falszywe i nikt nie wiedział, skąd ów pasażer przybył do Houston.

Teraz wysiadł z samolotu i Peter pomógł mu przenieść bagaże do mercedesa. Trzy miękkie torby i dwa twarde kuferki. Peter pomyślał, że pieniądze są pewnie w którejś z miękkich toreb. Składka. Ważyła całkiem sporo, nawet w setkach.

Samolot zadygotał, z ogłuszającym rykiem silnika zatoczył w miejscu półkole, pomknął przed siebie i wzbił się w powietrze. Peter pojechał w przeciwną stronę; skręcał to w lewo, to w prawo i jak zwykle trzymał się bocznych dróg. Nowo przybyły siedział obok niego. Sprawiał wrażenie podekscytowanego. Trochę się pocił. Chciał coś powiedzieć. Peter to czuł. Ale nie powiedział. Nie od razu. Początkowo w ogóle się nie odzywał. Patrzył przed siebie, kiwając się czasem na boki, czasem do przodu i do tyłu. Delikatnie, skąpymi ruchami.

Wreszcie nie wytrzymał. Musiał się dowiedzieć.

Musiał zapytać.

– Jacy są?

– Idealni – odparł Peter.

Wstał jasny, czysty świt i posterunkowy przyszedł zebrać zamówienia na śniadanie, po które zamierzał pójść do jadłodajni dwie ulice dalej. Reacher zdecydował się na kanapkę ze smażonym jajkiem. Dostał ją już dziesięć minut później, wciąż gorącą w zatłuszczonej folii aluminiowej. Smakowała nie najgorzej. Była może trochę za bardzo gumowata. Ale na pewno pożywna. Proteiny, węglowodany, tłuszcz. Wszystko, czego potrzebował. Dolał sobie kawy z policyjnego dzbanka. Komenda świeciła pustkami. Dzienna zmiana miała przyjść dopiero za godzinę.

Z głośnika na czyimś biurku syczały się cicho komunikaty z centrali radiowej. Reacher podszedł bliżej, żeby posłuchać. Początkowo nie rozumiał tajemniczych sygnałów i kodów wywoławczych, pobrzmiwających w cichym oddechu trzasków i zakłóceń, ale szybko zorientował się, o co chodzi. Dyspozytor rozmawiał z załogami dwóch radiowozów. On sam siedział prawdopodobnie gdzieś w głębi korytarza, a radiowozy krążyły po centrum miasta. Jeden jechał tuż za czarnym chryslerem, a drugi za nimi, ulicę dalej. Podczas nocnej zmiany w teren wysyłano zwykle tylko jeden. Miasto buliło za nadgodziny.

– Skręcił na pas do okienka z kawą – zameldował czyjś głos, możliwe, że Davisona.

– To dobrze – powiedział dyspozytor. – Prędzej czy później będzie musiał się odlać. Wtedy go zobaczycie.

Po co? – pomyślał Reacher. Facet będzie miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, metr siedemdziesiąt w barach, zaczesane do góry tłuste ciemne włosy i złoty łańcuch na szyi. Będzie w ciemnym kaszmirowym płaszczu, różowej koszuli i dużych, ciemnych okularach. Jak filmowy gangster. Obwieszony wszystkimi możliwymi rekwizytami, żeby jak najbardziej rzuć się w oczy.

– Kamery na rozjeździe za miastem namierzyły samochód z rejestracją z Massachusetts – zameldował ktoś inny. – Granatową furgonetkę z zakładu czyszczenia dywanów perskich w Bostonie. Jedzie w kierunku centrum. Jeśli nie skręci, będzie tam za dziesięć minut.

– Na razie go zostawcie – polecił dyspozytor. – Będziemy mieli dużo śmieci. Wozy FedExu, UPS i tak dalej.

Eter dyszał i trzeszczał. Reacher widywał perskie dywany. Zwykle w starych domach. Albo bogatych. Albo w starych i bogatych. Wiedział, że są drogie. Często przekazywane z pokolenia na pokolenie jako pamiątki rodowe. Dlatego ich czyszczenie musiało być finezyjną operacją. Zapewne zajmowali się tym bardzo nieliczni fachowcy, ludzie mieszkający w różnych zakątkach kraju, daleko od siebie. Dlatego było zupełnie prawdopodobne, że znający się na rzeczy klient z Laconii zamówił tę usługę w Bostonie. Cena, bez wątplenia wysoka, bo poza wiedzą fachową eksperta zawierała na pewno odbiór i przywóz.

Tak więc wszystko grało i pasowało.

Tylko że...

Wziął dolewkę kawy i poszedł do gabinetu Brendy Amos. Która siedziała przy biurku z ręką na słuchawce telefonu, jakby właśnie skończyła rozmawiać albo nie mogła sobie przypomnieć, do kogo miała zadzwonić.

– Podśledzałem rozmowę dyspozytora – powiedział.

Kiwnęła głową.

– Przed chwilą dostałam najświeższy meldunek. Przynęta pojechała na kawę.

– A do centrum jedzie granatowa furgonetka.

– Tak, to też.

– Co pani na to?

– To zwykła furgonetka. Mogłabym podać sto powodów, dla których nie warto się nią zajmować.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć – poprawił ją Reacher.

– Bo?

– Ile perskich dywanów pani widziała?

– Kilka.

– Gdzie?

– U pewnej starszej pani, którą kiedyś odwiedzaliśmy. Mieszkała w dużym, starym domu. Kazano nam mówić do niej „ciociu”. Nie wolno nam było niczego dotykać.

– Właśnie. Grymaśna stara hetera. Bogata zrzęda. Bardzo dobrze zorganizowana. Ma mahoniowe meble i każe je polerować, ilekroć oddaje do prania dywan. Perski. A oddaje go, kiedy zdechnie jej kolejny labrador. Przy okazji każe też umyć porcelanowy serwis do herbaty po prababce. Jak pani myśli, o której najwcześniej bogata stara dama z New Hampshire wpuściłaby do domu czyściciela dywanów czy innego fachowca?

Amos nie odpowiedziała.

– Furgonetka przyjechała za wcześnie – wyjaśnił. – I to mi nie pasuje. Niedawno wzeszło słońce. Nie jedzie do klienta. Nie do klienta z Laconii.

– Chce pan, żebyśmy ją zatrzymali?

– Mnie tam wszystko jedno – odparł. – Przeżyję tak czy inaczej. Ale jeśli to on, mielibyście fajną zabawę. Na pewno ma broń. Najprawdopodobniej strzelbę, coś dużego, bo chce, żebym z nim pojechał.

– Jest pan wielkości zwiniętego dywanu – zauważyła. – Z dużego pokoju. Może tak przewożą teraz ludzi? Dzisiejsze samochody mają małe bagażniki.

Reacher nie wiedział, czy Amos żartuje, czy nie.

– Wszystko w pani rękach. Zatrzymacie go, sprawdzicie i uspokoi się pani.

– Jeśli rzeczywiście ma strzelbę, musiałabym wezwać SWAT.

Nie odpowiedział. Amos zastanowiła się, podniosła słuchawkę telefonu i rozkazała:

– Miejcie na oku tę granatową furgonetkę, tę od dywanów. Meldujcie, gdzie pojedzie.

• • •

Godzinę później dzień rozkręcił się na dobre. Przyszła nowa zmiana i w komendzie zapanował tłok. Ludzie się krzątali, ale

Reacher trzymał się na uboczu. Udało mu się zebrać garść fragmentarycznych informacji, po części z wciąż włączonego głośnika na biurku, po części od policjantów krzyczących do siebie przez całą salę, po części z pośpiesznych rozmów podsłuchanych na korytarzu. Kierowca przynęty wciąż krążył po centrum miasta, demonstracyjnie przestrzegając przepisów, uważając na każdym skrzyżowaniu i przy każdej okazji ustępując pierwszeństwa przechodniom i miejscowym kierowcom. Jak dotąd nie zatankował. Ani nie skorzystał z toalety. Policjanci nie wiedzieli, który z tych wyczynów jest bardziej imponujący. Opinie były podzielone.

Ale, niestety, zgubili granatową furgonetkę. Mieli w terenie tylko trzy radiowozy, jeden na ogonie chryslera i dwa na drogach dojazdowych w południowej części miasta, a furgonetka pojawiła się i momentalnie zniknęła. Natychmiast powstały dwie rywalizujące ze sobą teorie. Albo zaparkowała w dobrze ukrytym miejscu, w jakimś zaułku czy na podwórku, co automatycznie nadawało jej status pojazdu podejrzanego, albo przemknąwszy przez miasto, pojechała dalej na północny zachód, do jakiegoś pobliskiego osiedla, co automatycznie ten status jej odbierało.

Reacher zastanawiał się, czy sadownik ma w domu perski dywan.

– Już czas – przypomniała mu Amos.

– Może się jednak przejdę? – odrzekł. – To tylko parę ulic stąd. Będę szedł opłótkami.

– Nigdzie pan nie pójdzie. Odwiozę pana. Oznakowanym radiowozem. Tylko ostatni dureń zaatakowałby radiowóz.

– Boi się pani o mnie?

– Z czysto operacyjnych względów. Chcę, żeby pan wyjechał. Nieodwołalnie. Raz na zawsze. Natychmiast. Bo wtedy będę miała problem z głową. Żeby nie mieć wątpliwości, chcę zobaczyć to na własne oczy.

– Może potem zatrzymacie tego w chryslerze i powiecie mu, że już po wszystkim. Będzie wam wdzięczny. Pęcherz mu pewnie pęka.

– Zobaczymy.

– Powiedzcie mu, w którym kierunku pojechałem. I że chcę się z nim spotkać. Z nim i jego kumplem z furgonetki.

– Niech pan sobie odpuści – rzuciła. – To nie żandarmeria.

– Tak pani uważa?

– Zwykle.

Wykonała parę telefonów, a potem wzięła torebkę i zaprowadziła go na parking, gdzie czekał świeżo umyty radiowóz. Kluczyki były w stacyjce. Reacher jechał z przodu, znów w ciasnocie, bo przeszkadzał mu laptop na wysięgniku i te dziwne schowki. Mówił jej, gdzie skręcić, żeby trafić bez pudła na skrzyżowanie z szeroką ulicą, przy której mieściła się gospoda. Na róg, na którym wysiadł poprzedniego dnia. Przez całą drogę obserwował ruch. Ale nie zauważył granatowej furgonetki. Ani chryslera. Była godzina szczytu i w pewnej chwili utknęli w korku przed światłami. Amos zerknęła na zegarek. Mogli się spóźnić. Włączyła koguta i ominęła korek pasem dla jadących w przeciwnym kierunku.

I nagle, tuż przed sobą, zobaczyli przedpotopowe subaru. Przy krawężniku. Dokładnie tam, gdzie miało czekać. Dokładnie o umówionej godzinie. Za kierownicą majaczyła znajoma sylwetka. Niebieskie džinsy, chuda jak patyk szyja i długi kucyk siwych włosów.

– To on? – spytała Amos.

– We własnej osobie.

– Może w poprzednim życiu zrobiłam coś dobrego.

Skręciła i stanęła za subaru. Chudzielec gwałtownie podniósł głowę. Spojrzał w górne lustro. I nagle ruszył. Odjechał. Był i po chwili już go nie było. Zjechał z krawężnika i popędził przed siebie.

Na pełnym gazie.

– Co jest? – rzuciła Amos.

– Niech pani za nim jedzie – odparł Reacher. – Już, już, już!

Amos zerknęła na niego, nacisnęła pedał gazu i puściła się w pościg.

– Co to było? – spytała.

– Przestraszył się. Nie wyłączyła pani koguta. Myślał, że chce go

pani zatrzymać.

– Przecież nie jechał, tylko stał.

– To może sądził, że chce mu pani wlepić mandat.

– Za co? Blokował hydrant?

– Bo miał w samochodzie marihuanę. Albo tajne dokumenty. Czy coś takiego. Albo wziął panią za agentkę tajnego aparatu ucisku. Niech pani pamięta, że on nosi kucyk.

Jechali sto metrów za nim. Potem osiemdziesiąt, jeszcze potem dwadzieścia. Dzielne subaru bardzo się starało, ale nie miało szans z nowoczesnym samochodem policyjnym. Z włączonym kogutem i syreną. Nagle skręciło w prawo. Na dziesięć czy dwanaście pełnych napięcia sekund zniknęło im z oczu, ale oni też skręcili i zobaczyli, że chudzielec znów skręca, na końcu ulicy.

– Jedzie do domu – domyślił się Reacher. – Na północny wschód. Gdzieś tam.

Amos pojechała na skrót przez okolicę, którą dobrze знаła, i szybko wróciła na trasę tuż za subaru. Jednokierunkowa ulica, czerwone światło i mały korek w oddali. Dwa pasy. Pięć samochodów na lewym i sześć na prawym. Końcówka godziny szczytu. Światło zmieniło się na zielone, ale żaden pojazd nie ruszył. Ktoś zablokował skrzyżowanie. Ale nie granatowa furgonetka. Ani czarny chrysler. Subaru ostro zahamowało i skręciło na lewy pas. Jako szósty samochód stało teraz parę centymetrów za piątym. Amos zatrzymała się kilka centymetrów za nim. Po jego lewej stronie był chodnik, po prawej rząd samochodów dokładnie tej samej długości co ten po lewej i tak samo unieruchomionych. Stojących zderzak w zderzak, ciaśniej niż w Paryżu.

– Formalnie rzecz biorąc, popełnił kilka wykroczeń.

– Niech mu pani daruje – poprosił Reacher. – I wielkie dzięki, za wszystko.

Wysiadł, podszedł do subaru i zapukał w szybę od strony pasażera. Chudzielec z kucykiem ani drgnął. Uparcie patrzył przed siebie, za nic nie chcąc spojrzeć w prawo, w końcu jednak spojrział, choć niechętnie. Z zaskoczoną miną. Zerknął w lusterko, na migającego koguta. Był skonsternowany, nic z tego nie

rozumiał.

Reacher otworzył drzwi i wszedł.

– Podrzuciła mnie – wyjaśnił. – To wszystko. Nie chciała pana przestraszyć.

Światło znów się zmieniło i tym razem ruszyli. Chudzielec, jednym okiem spoglądając w lusterko. Amos zawróciła na skrzyżowaniu i pojechała z powrotem. Reacher odprowadził ją wzrokiem.

– Policja pana podwiozła? – mruknął chudzielec. – Czemu?

– Areszt ochronny. Wczoraj byli tu chłopcy sadownika.

To go chyba uspokoiło. Kiwnął głową.

– Mówiłem. Oni nie odpuszczają.

– Nie powinien pan być uciekać. Niemądra taktyka. Policja zawsze pana dopadnie.

– Był pan gliniarzem?

– W wojsku. Dawno temu.

– Wiem, to było głupie – przyznał chudzielec. – Ale stare nawyki trudno wykorzenić.

I umilkł. Po prostu jechał. Reacher obserwował ulicę. Granatowej furgonetki nigdzie nie było. Skręcili w lewo, potem w prawo. Zmierzali chyba na północny zachód. W kierunku sadu. I Ryantown. Gdzieś tam.

– Umówił się pan? – spytał Reacher.

– Tak, czekają na nas.

– Dziękuję.

– Wizyty zaczynają się o dziesiątej.

– Świetnie.

– Mortimer. Tak nazywa się ten staruszek.

– Dobrze wiedzieć.

Wjechali na szosę i trzy kilometry później skręcili w lewo, w drogę, którą Reacher widział poprzedniego dnia. Tę, która prowadziła na teren bez dostępu do wody. Pojechali nią na zachód, przez lasy i pola. Reacher patrzył w okno. Daleko po prawej było gospodarstwo Bruce'a Jonesa i jego dwunastu psów, potem sady i Ryantown, porośnięte chaszczami i upiornie.

– Daleko jeszcze? – spytał.

– Już prawie jesteście – odparł chudzielec.

Po kolejnych trzech kilometrach w oddali coś zamajaczyło. Po lewej stronie jakieś zabudowania, chyba nowe. Długie, niskie, otynkowane na biało budynki na dziewiczym polu. Budynki, asfaltowane ścieżki oznakowane bielutkimi liniami i niedawno posadzone drzewa, blade i wątłe w porównaniu z ich dorodnymi sękatymi sąsiadami. Budynki miały metalowe okna i aluminiowe rynny z długimi odpływami, które wypluwały wodę w rosnącą metr dalej trawę. Na bramie wisiała tablica. Coś o pomocy i opiece.

– To tu – powiedział chudzielec.

Zegar w głowie Reachera wskazywał dokładnie dziesiątą.

• • •

Trzeci klient był równie tajemniczy i zamknięty w sobie jak ten pierwszy. Mieszkał w dużym domu w małym miasteczku w rolniczym rejonie Pensylwanii. Początkowo jechał samochodem, cztery miesiące wcześniej oficjalnie zezłomowanym w zachodniej części stanu Nowy Jork. Przygotowywał się do wyprawy długo i starannie. Uważał, że od tego zależy dosłownie wszystko. Dokładnie przeanalizował i przećwiczył w myśli każdy etap podróży, wiele razy. Szukając błędów i ewentualnych przeszkód. Chciał być w pełni przygotowany. Postawił przed sobą dwa ząbujące się cele. Nie chciał dać się złapać i nie chciał się spóźnić.

Najważniejsze były oczywiście anonimowość, niewykrywalność i system zabezpieczeń. Musiało tak być. Zaczął od tego, że wsiadł do samochodu z lewą rejestracją i pojechał do znajomego, który prowadził komis na tyłach stacji serwisowej w Mass Pike na zachód od Bostonu. Znał go z innego kręgu osób, zwartego i zamkniętego. Ludzi o innych zainteresowaniach. Prawdziwych pasjonatów. Zaprawionych w bojach i doskonale zamaskowanych. Wiernych i pomocnych. Szczycili się tym. Traktowali to jak fetysz. Członek klubu chciał, członek klubu miał. Bez żadnych pytań.

Za dnia znajomy zajmował się handlem samochodami. Kupował

je na aukcjach, po leasingu. A potem sprzedawał. Wszystkie jak leci, czyste i kradzione, używane i sponiewierane, po stłuczkach i bez jednej ryski. Każdego dnia miał na placu co najmniej dwadzieścia. Tego dnia zaproponował mu trzy. Do wyboru. Furgonetki, zwyczajne i niewidoczne. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Furgonetka jest jak dziura w powietrzu.

Najlepsza, granatowa, wyglądała bardzo przyzwoicie. Miała złote napisy na drzwiach. Kupił ją niedawno od czyściciela dywanów, który splajtował. Czyściciel musiał mieć kiedyś bardzo ekskluzywną firmę. Perskie dywany. Stąd złote napisy i doskonale utrzymany wóz. Przybysz z Pensylwanii załadował do niej swoje rzeczy i odpalił silnik. Włączył GPS w telefonie. I wyruszył na północ. Przez pewien czas trasa wiodła autostradą, ale pod Manchesterem w New Hampshire zjechał z niej i bocznymi drogami dotarł do miasteczka o nazwie Laconia.

Gdzie wpadł w popłoch. Tak wielki, że omal nie zrezygnował. Zobaczył dwa radiowozy, z których obserwowano wszystkich wjeżdżających do miasta od południa. Obserwowano i wyraźnie szukano. Bo się na niego gapili. Policjanci. Jakby wszystko wiedzieli. Jakby ktoś ich wydał. Ogarnięty paniką, skręcił w boczną uliczkę i zaparkował na rampie załadunkowej na tyłach jakiegoś sklepu. Włączył tajny telefon i zajrzał do tajnego konta w tajnym serwisie pocztowym. Wszedł na stronę z napisami w kilku obcych alfabetach.

Odwołania nie było.

Nie było żadnych ostrzeżeń ani alarmów.

Wziął głęboki oddech. Wiedział, jak to działa. Każda społeczność miała system zabezpieczeń. Specjalny guzik alarmowy, który działał zawsze i wszędzie, bez względu na to, co jeszcze się waliło. Wystarczyło go nacisnąć i komputer wysyłał automatyczną wiadomość. Dla bezpieczeństwa zupełnie niewinną, lecz zrozumiałą dla wtajemniczonych. Coś jak szyfr. *Dzieci są dziś nie w sosie.* Coś w tym rodzaju.

Ale wiadomości też nie było.

Sprawdził jeszcze raz.

Nie, nie ma. Na pewno.

Wrócił na główną ulicę i pojechał dalej. Miasteczko szybko zostało w tyle. Radiowozy też. Odetchnął. Od razu poczuł się lepiej. A nawet bardzo dobrze. Przeżył przygodę, stawiał czoło niebezpieczeństwu. Jechał przez lasy, potem przez pola i pastwiska. W pewnej chwili zobaczył łagodny skręt w drogę prowadzącą przez sady, ale GPS kazał mu ją minąć. Szesnaście kilometrów dalej znów zaczął się las, który ciągnął się przez kolejne szesnaście kilometrów. Furgonetka pędziła przed siebie, niemal ocierając się o gałęzie drzew. Pod zielonym baldachimem, w tajemnym i tajemniczym świecie.

GPS uprzedził go, że za kilkaset metrów będzie ostatni skręt, po lewej stronie, w cieniutką jak nitka drogę wchodzącą dwa i pół centymetra w głąb lasu. Po chwili skręcił i furgonetka potoczyła się po dziurawej asfalcie. Przejechała przez gruby kabel, który włączał pewnie dzwonek w motelu.

Po trzech kilometrach wyjechał na polanę, prosto na motel. Przed pokojem numer trzy stało wysłużone kombi, równie anonimowe jak jego furgonetka. W ogrodowym fotelu przed piątką siedział jakiś mężczyzna. Albo ukrył gdzieś wóz, albo przyjechał innym środkiem transportu. Przed pokojem numer dziesięć stała niebieska honda civic. Z dziwnymi tablicami rejestracyjnymi. Chyba zagranicznymi.

Z Markiem spotkał się w recepcji. Pierwszy raz twarzą w twarz. Bo przedtem tylko do siebie pisali. Dostał siódmkę. Zaparkował. Obserwowany przez tego w fotelu, wniósł torby do pokoju, wyszedł i skinął mu głową. Ale skręcił w drugą stronę i przeciąwszy parking, stanął naprzeciwko pokoju numer dziesięć. Ważna sprawa. Coś jak ceremonia. Pierwsze spojrzenie. Trochę rozczarowujące, bo roleta była opuszczona. W środku panowała cisza. Nic się tam nie działo.

Reacher stwierdził, że dom starców jest tanią, lecz wygodną namiastką prawdziwego domu, takiego, w którym da się przyzwycić żyć. Podobał mu się. Nie, żeby zamierzał w nim zamieszkać. Wiedział, że tak długo nie pożyje. Ale inni mogli być zadowoleni. Jasny wystrój wewnątrz, pogodna atmosfera. Może nieco wymuszona. W recepcji powitała ich wesółka kobieta, która przemawiała do nich jak do pogrążonych w bólu po stracie kogoś bliskiego. Chociaż niezupełnie. Z nieco większym ożywieniem. Specyficznym tonem głosu. Jakby goście odwiedzający dom starców pochodzili ze specyficznej grupy demograficznej. Jakby nie byli jeszcze żałobnikami, ale wkrótce nimi zostać. Jakby byli żałobnikami *in spe*.

– Pan Mortimer czeka na panów w pokoju dziennym – powiedziała, wskazując ręką kierunek.

Długim, ładnym korytarzem doszli do podwójnych drzwi. Za drzwiami stał zwarty krąg foteli obitych łątwą do czyszczenia ekoskórą. W jednym z nich siedział wiekowy staruszek. Pan Mortimer. Miał rzadkie, zupełnie białe włosy i skórę tak bladą i przezroczystą, jakby w ogóle jej nie było. Z dziesiątkami odznaczających się żyłek i plam. Niezwykle chudy, miał duże uszy starego człowieka, pełne aparatów słuchowych. I cienkie jak ołówki nadgarstki. Mógł jeszcze siedzieć prosto i siedział, choć z dużym trudem.

W pokoju nikogo nie było. Ani pielęgniarki, ani salowej, ani opiekunki, ani odwiedzających. Ani lekarza. Innych starców też nie.

Chudzielec z kucykiem pochylił się, przykucnął i wyciągnął rękę.

– Miło znów pana widzieć – powiedział. – Pamięta mnie pan? Starzec uściśnął mu dłoń.

– Oczywiście – odparł. – Powitałbym pana jak trzeba, ale mam

nie wymieniać pana nazwiska. Ściany mają uszy, tak pan mówił. Bądź czujny, wróg nie śpi.

– To było dawno temu.

– I jak się skończyło?

– Nijak.

– Znów potrzebuje pan pomocy?

– Mój przyjaciel, pan Reacher, chciałby spytać pana o Ryantown.

Starzec w zamyśleniu skinął głową. Powoli podniósł wodniste oczy i zatrzymał je na Reacherze.

Skupił wzrok.

– Tak, mieszkali tam jacyś Reacherowie.

– Ich syn był moim ojcem. Miał na imię Stan.

– Niech pan usiądzie. Strzyka mnie w szyi.

Reacher usiadł w fotelu naprzeciwko niego. Z bliska Mortimer nie wyglądał młodziej. Ale wciąż tliła się w nim żywa iskra. Był słaby fizycznie, lecz nie umysłowo. Podniósł rękę, zgiętą i kościstą, jakby chciał go przed czymś ostrzec.

– Miałem tam kuzynów. – Mówił głosem cichym, piskliwym i mokrym od śliny. – Mieszkaliśmy niedaleko. Często my odwiedzaliśmy ich, a oni nas, a czasem nas tam podrzucano. Chce mnie pan spytać o ojca, wtedy małego chłopca, o dziadków pewnie też, ale muszę pana uprzedzić, że moje wspomnienia są fragmentaryczne. Ja tam tylko bywałem.

– Ale pamięta pan pewnie, które dzieci chorowały – powiedział Reacher.

– Tylko dlatego, że ciągle się o tym mówiło. Co rano, cholera, jak w jakimś biuletynie. Ktoś złapał to, ktoś inny tamto. Ludzie się bali. Można było zachorować na polio. Dużo dzieci wtedy umierało. Dlatego trzeba było wiedzieć, od kogo lepiej trzymać się z daleka. Albo odwrotnie. Jeśli miałeś różyczkę, musiałeś bawić się z dziewczynkami. Jeśli kładli gdzieś asfalt, wysyłano cię tam, żebyś nawąchał się zapachu smoły. Bo jak się nawąchasz, to nie zachorujesz na gruźlicę. Dlatego pamiętam, kto na co chorował. Ludziom wtedy odbijało.

– Czy Stan chorował?

W górę powędrowała ta sama koścista ręka. Tym samym gestem.

– Jego nazwiska w „biuletynie” nie było. O ile pamiętam. Zresztą nie wiem, czy go w ogóle znałem. Każdy miał kuzynów, a kuzyni to wyjeżdżali, to przyjeżdżali. Kiedy wilk podchodził do drzwi, wybuchała panika i robiło się jak na Times Square. Chcę przez to powiedzieć, że obsada ciągle się zmieniała. Ludzie pojawiali się i znikali, zwłaszcza dzieci. Pamiętam, że pan Reacher był brygadzystą w fabryce. Znaną postacią. Nieodłączną częścią osady. Ale nie przysięgłbym w sądzie, że ten czy tamten chłopak był jego synem. Wszyscy wyglądaliśmy tak samo. Nikt nie wiedział, gdzie który mieszka. Wybiegali z domów całą bandą. W tym, w którym mieszkał brygadzysta, było chyba dziewięciu chłopców. Na pewno nie mniej niż ośmiu. Jeden dobrze grał w piłkę. Podobno został nawet półzawodowcem w Kalifornii. To pana ojciec?

– Nie, ojciec obserwował ptaki.

Mortimer milczał. Jego stare, wyblakłe oczy spojrzały w odległą przeszłość i wzrok stracił ostrość. Po chwili uśmiechnął się smutno w zadumie, jakby na nowo odkrywał dziwne tajemnice życia.

– A wie pan, zupełnie o nich zapomniałem. O tych, którzy obserwowali ptaki. To niezwykle, że pan pamięta, a ja nie. Ależ ma pan pamięć.

– Nie, to nie pamięć – powiedział Reacher. – Nie mógłbym tego pamiętać. To późniejsze spostrzeżenie. Projekcja wsteczna. Musiał zacząć bardzo wcześnie, bo wiem, że jako szesnastoletni chłopak należał już do klubu. Ale użył pan liczby mnogiej. Czy to znaczy, że było ich więcej?

– Dwóch – odrzekł Mortimer.

– Dwóch?

– Jeden był chyba czyimś kuzynem i tylko tam przyjeżdżał, a drugi mieszkał w Ryantown na stałe. Ale zawsze trzymali się razem. Jak najlepsi przyjaciele. Z tego co pan mówi, któryś z nich musiał być pana ojcem. Tak, wciąż mam ich przed oczami. Muszę przyznać, że umieli nas zainteresować. Szczerze mówiąc, kiedy

się poznaliśmy, wziąłem ich za maminsynków i miałem ochotę im przyłożyć, ale po pierwsze, musiałbym ściągnąć tam oddział wojska, bo umieli się bić jak nikt, a po drugie, bardzo szybko zarazili swoim hobby innych, tak że po pewnym czasie wszyscy chcieli popatrzeć przez lornetkę. Zwłaszcza na ptaki drapieżne. Raz widzieliśmy orła, który porwał z ziemi coś wielkości szczeniaka.

– Stan miał lornetkę? – spytał Reacher.

– Jeden z nich. Nie wiem, czy on.

– Pewnie ten, który mieszkał tam na stałe.

– Tak, ale nie wiem, który to był. Przywozili mnie i wywozili. Przyjeżdżałem, a jeden z nich wyjeżdżał. Albo wyjeżdżali obaj. Nikt nie siedział tam bez przerwy. Wysyłali nas gdzieś, żebyśmy lepiej jedli, uniknęli epidemii czy po prostu zmienili otoczenie. Tak wtedy było. Ludzie ciągle się kręcili.

– Ciekawe, jakim cudem mógł pozwolić sobie na lornetkę. To były ciężkie czasy.

– Pewnie ją ukradł – odparł starzec.

– Myśli pan tak z konkretnego powodu?

– Bez urazy, panie Reacher.

– Nie ma sprawy.

– Byliśmy dobrymi dzieciakami. Nie włamalibyśmy się do sklepu. Ale i nie zadawaliśmy zbyt wielu pytań. Zwłaszcza kiedy coś samo wpadało nam w ręce. Inaczej nic byśmy nie mieli. Jeśli przyszło nam do głowy coś złego, to pewnie przez jego ojca. Ojca Stana. Brygadzystę z fabryki. Wszyscy mieliśmy co do niego wątpliwości. Pomyśleliśmy pewnie: Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Chociaż nie wiedziałem, który z nich był Stanem. Zadziałała potęga plotki. Ja tam tylko jeździłem. Miejscowi wiedzieli więcej.

– Jakie mieliście wątpliwości?

– Wszyscy się go bali – odparł starzec. – Ciągle krzyczał, wrzeszczał i bił kogo popadnie. Teraz sądzę, że pił. Myślał, że ludzie go nie lubią, bo jest brygadystą. Miał rację tylko w połowie. Pomylił powody. Dzieciaki przypisywały mu wszelkie zło. Jak postaci z bajki. Czarnobrodemu czy komuś takiemu.

Proszę nie brać tego do siebie, panie Reacher. Zadał pan pytanie.

– Miał brodę?

– Nikt nie nosił brody. W fabryce mogłaby się zająć ogniem.

– Pamięta pan, kiedy Stan zaciągnął się do piechoty morskiej?

Mortimer pokręcił głową.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Jestem chyba parę lat starszy od niego. Mnie już zwerbowano.

– Gdzie pan służył?

– W New Jersey. Nie potrzebowali mnie. Wojna się kończyła. I tak mieli za dużo ludzi. Zaraz potem znieśli pobór. Nie zdążyłem nic zrobić. Na każdej defiladzie z okazji Dnia Niepodległości czułem się jak oszust.

Starzec znów pokręcił głową i uciekł wzrokiem w bok.

– Pamięta pan coś jeszcze? – spytał Reacher.

– Nic ciekawego. To była biedna osada. Ludzie cały dzień harowali i całą noc spali.

– A Elizabeth Reacher? Żona Jamesa?

– Czyli pana babka.

– Tak.

– Coś szyła. To pamiętam.

– Jaka była?

Mortimer długo nie odpowiadał.

– Trudne pytanie – odezwał się w końcu.

– Dlaczego?

– Nie chciałbym być nieuprzejmy.

– A musiałby pan?

– Powiedzmy, że trzymała się na uboczu i na tym poprzestańmy.

– Nie znałem jej – powiedział Reacher. – Zmarła na długo przed moim urodzeniem. Wszystko mi jedno. Nie musimy owijać w bawełnę.

– Rozmawiać o pana dziadku to jedno. Był brygadzystą. Osobą publiczną. Ale rozmawiać o babce to zupełnie co innego.

– Była aż tak paskudna?

– Była twarda – odparł starzec. – Bardzo zimna. Nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechała. Nigdy nie słyszałem, żeby

powiedziała coś miłego. Zawsze miała ponurą minę. Zgorzkniała. Zasługiwali na siebie, ona i pański dziadek.

Reacher kiwnął głową.

– Coś jeszcze?

Tym razem Mortimer milczał tak długo, że Reacher pomyślał, iż starzec zapadł w śpiączkę geriatryczną. Albo umarł. Ale potem się poruszył. I znów podniósł zgiętą kościstą rękę. Tym razem jednak nie w geście ostrzeżenia. Tym razem prosił go o uwagę. Jak komik, który chce uciszyć widzów przed dowcipną puentą.

– Powiem jedno. Skoro już odświeżył mi pan pamięć. I skoro mogło chodzić o pańskiego ojca. Pamiętam, był raz wielki szum wokół jakiegoś rzadkiego ptaka. Ale takiego naprawdę rzadkiego. Pierwszy raz widzianego w New Hampshire. Ci chłopcy napisali o tym sprawozdanie dla klubu. Raport czy jak to się tam nazywa. Do protokołu. Jeden z nich był wtedy sekretarzem. Nie wiem który. Napisali o wszystkim, co mogło wpłynąć na dalsze losy tego ptaka, na jego być albo nie być. Raport musiał być bardzo dobry. Opublikował go chyba jakiś magazyn hobbystyczny. Associated Press napisało, że pierwszy raz Ryantown trafiło wtedy na łamy gazet poza granicami hrabstwa.

– Jaki to był ptak? – spytał Reacher.

– Nie pamiętam.

– Szkoda. To musiała być wielka sensacja.

Mortimer znów podniósł rękę.

Tym razem w geście podekscytowania.

– Może pan to sprawdzić – powiedział. – W archiwum klubu. Wszystkie stare księgi i kroniki są przechowywane w bibliotece. Mają tam duży zbiór. Zapiski ze wszystkich klubów i stowarzyszeń. Mówią, że to część historii. Kultury. Mnie bardziej podobała się wtedy telewizja.

– W której bibliotece?

– Miejskiej, w Laconii. Tam były te kluby.

Reacher kiwnął głową.

– Pewnie szukaliby tego ze trzy miesiące.

– Nie, wszystko jest na miejscu – powiedział starzec. – Mają tam dużą salę w podziemiach, taką z półkami jak szprychy w kole

rowerowym. Księgozbiór podręczny. Pokażą panu, co pan zechce. Niech pan tam idzie. Dowie się pan, co to był za ptak. Może to pana ojciec napisał ten raport. Bo mógł go napisać albo on, albo ten drugi chłopak. Ma pan pięćdziesięcioprocentową szansę.

- W bibliotece? Tej w centrum? – upewnił się Reacher.
- Innej tam nie ma.

• • •

Zostawili Mortimera w fotelu z ekoskóry i ładnym, długim korytarzem wrócili do recepcji, żeby wpisać godzinę wyjścia do księgi gości. Wesoła kobieta pożegnała ich spokojnie i z wdziękiem. Wsiedli do sfatygowanego subaru.

- Wie pan, gdzie jest ta biblioteka? – spytał Reacher.
- Chudzielec kiwnął głową.
- Pewnie.
- Da się tam zaparkować tuż przed wejściem?
- Po co?
- Żebym mógł szybko wejść i wyjść.
- Przecież nie pada – zauważył chudzielec.
- Nie dlatego.
- Nie, nic z tego. To duży budynek na osobnej działce. Wygląda jak zamek. Trzeba przejść przez park.
- Duży?
- Spory. Idzie się ze dwie minuty.
- Ile osób mogę tam spotkać?
- W parku? Dzisiaj jest ładny dzień, więc kilka na pewno. Ludzie lubią słońce. Zwłaszcza przed długą zimą.
- Jak daleko jest stamtąd do komendy?
- Widzę, że ma pan jakiś problem, panie Reacher.
- Reacher spojrział w okno.
- Jak się pan nazywa? Pan zna moje nazwisko, a ja pańskiego nie.
- Wielebny Patrick G. Burke – odparł chudzielec. – Tak oficjalnie.
- Jest pan duchownym?
- Chwilowo bez parafii.

- Chwilowo?
- Od czterdziestu lat.
- Jest pan Irlandczykiem?
- Moja rodzina pochodzi z hrabstwa Kilkenny.
- Był pan tam kiedyś?
- Nie. Niech pan powie, o co tu chodzi.
- Wściekli się na mnie nie tylko ci z sadu – odparł Reacher. – Wygląda na to, że wkurzyłem też kogoś z Bostonu. Inny typ ludzi. Którzy mogą inaczej zareagować. Policja nie chce, żeby doszło tu do masakry jak w dniu świętego Walentego. Mam zakaz powrotu do miasta.
- Co pan im zrobił, tym z Bostonu?
- Nie mam pojęcia – odparł Reacher. – Nie byłem tam od lat.
- Kim pan właściwie jest?
- Zwykłym facetem, który zobaczył drogowskaz. I chce jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę. Ale najpierw musi poczytać o tym ptaku.
- Dlaczego?
- Nie wiem. A dlaczego nie?
- Nie boi się pan tych z Bostonu? – spytał Burke.
- Nie bardzo. Nie przypuszczam, żeby kręcili się po bibliotece i czytali książki. Chodzi mi o policję. Obiecałem im, że nie wrócę. Nie chcę ich zawieść. Zwłaszcza tej, która mnie podwoziła. Ona też służyła w żandarmerii.
- Ale chce pan sprawdzić, co to był za ptak.
- Skoro już tu jestem...
- Wielebny Burke odwrócił wzrok.
- Co się stało? – spytał Reacher.
- Nigdy nie widziałem tam policji. W parku. Ani razu. Skąd by wiedzieli, że pan jednak wrócił?
- Teraz to pan chce wpakować mnie w kłopoty.
- Wolność albo śmierć.
- Tylko niech pan stanie najbliżej, jak się da.

• • •

Trzydzieści dwa kilometry dalej Patty Sundstrom znów zdjęła

buty, weszła na łóżko, zachwiała się na sprężynującym materacu, ostrożnie przesunęła w bok, zadarła głowę i spojrzała na lampę.

– Proszę, podnieście roletę – poprosiła głośno. – Niech to będzie osobista przysługa. Dla mnie. Poza tym tak byłoby przyzwoicie.

Czekali.

– Myślą dłużej niż wtedy – szepnął bezgłośnie Shorty.

Patty tylko wzruszyła ramionami.

Czekali dalej.

Ale wciąż nic się nie działo. Roleta ani drgnęła. Siedzieli w półmroku. Bez światła. Prąd był, ale Patty nie chciała zapalać lampy.

Nagle włączył się telewizor.

Sam z siebie.

Cichutko zatrzeszczał i zabuczał, kiedy ożyła elektronika, a potem na jasnoniebieskim ekranie pojawiła się pojedyncza linijka kodu, jak w komputerze programisty.

Po chwili przesunęła się na bok, zniknęła, a na ekranie pojawił się...

Mężczyzna.

Mark.

Widać było tylko głowę i ramiona. Jak u reportera czekającego na wejście na antenę. Stał na tle czarnej ściany, patrząc w obiektyw kamery.

Prosto na nich.

Otworzył usta i przemówił:

– Cześć. Musimy omówić prośbę Patty.

Jego głos dobiegał z głośnika, jak w prawdziwym programie telewizyjnym.

Patty milczała.

Shorty zamarł.

– Chętnie podniosę roletę, jeśli tego chcecie – powiedział Mark.

– Ale boję się, że tym razem widok może wam się nie spodobać. Dlatego chciałbym się upewnić, czy wyrażacie na to zgodę. Miałbym mniejsze wahania etyczne.

Patty wstała. Schyliła się, żeby zdjąć buty.

– Nie musi pani wchodzić na łóżko – powstrzymał ją Mark. –

Wszystko słyszę. Mikrofon jest gdzie indziej.

– Dlaczego nas przetrzymujecie?

– Wkrótce to omówimy. Na pewno przed wieczorem.

– Czego od nas chcecie?

– W tej chwili potrzebuję jedynie waszej zgody na podniesienie rolety.

– Dlaczego mielibyśmy się nie zgodzić?

– Czy to znaczy, że mam ją podnieść?

– Co z nami będzie?

– Wkrótce to omówimy. Na pewno przed wieczorem. Teraz chcę tylko, żebyście podjęli ostateczną decyzję. Roleta w górę? Czy w dół?

– W górę – odparła Patty.

Telewizor się wyłączył. Sam. Zgasł ekran, cicho zabuczały obwody i zapaliło się czerwone światełko czuwania.

Po chwili zawarczał silniczek i roleta powędrowała do góry, powoli i równomiernie, wpuszczając do pokoju coraz szerszą smugę ciepłego światła. Za oknem roztaczał się ten sam widok co poprzednio. Honda, parking, trawa, ściana drzew. Ale był piękny. Zwłaszcza w tym świetle. Patty oparła się łokciami o parapet i przytknęła czoło do szyby.

– Mikrofon jest gdzie indziej. Nie w lampie.

– Lepiej nie rozmawiajmy – ostrzegł ją Shorty.

– Powiedział, że nie muszę wchodzić na łóżko. Skąd wiedział, że chciałam? Skąd wiedział, że się schyliłam?

– Patty, za głośno mówisz.

– Tu jest nie tylko mikrofon. Tu jest kamera. Obserwują nas. Od samego początku.

– Kamera? – powtórzył Shorty.

– Bo skąd wiedział, że wstałam, żeby wejść na łóżko? Widział mnie.

Shorty rozejrzał się po pokoju.

– Ale gdzie? – spytał.

– Nie wiem.

– Jak może wyglądać?

– Nie mam pojęcia.

– Dziwne uczucie.
– Tak? – rzuciła Patty.
– Obserwowali nas, kiedy spaliśmy?
– Pewnie tak. Mogą to robić, kiedy chcą.
– Może jest w lampie? Może o to mu chodziło. Może chciał powiedzieć, że w lampie nie ma mikrofonu, tylko kamera.

Patty nie odezwała się. Odepchnęła się od parapetu i wróciła na łóżko. Usiadła obok Shorty'ego, objęła się za kolana i spojrzała w okno. Na honde, parking, trawę i ścianę drzew. Nie chciała się ruszać. Spróbowała zapanować nad mięśniami. Wszystkimi. Nawet nad oczami. Tamci ją obserwowali.

I nagle ktoś zajrzał do pokoju. Przez okno.

Stał na chodniku, wyciągał szyję i zaglądał jednym okiem. Potem się przesunął. Rosły mężczyzna o siwych włosach i opaleniznie kogoś bogatego. Stał dokładnie na wprost nich i patrzył. Jawnie, otwarcie i bez skrępowania. Na nią. Na Shorty'ego. I znów na nią. Potem odwrócił się i pomachał ręką. Jakby kogoś przywoływał. Coś powiedział. Patty nic nie słyszała, bo okno było dźwiękoszczelne. Ale powiedział chyba, że roleta się podniosła.

Radosnym, triumfalnym głosem.

W oknie pojawił się drugi mężczyzna.

I jeszcze jeden.

Patrzyli na nich we trójkę.

Stojąc ramie w ramie kilka centymetrów od szyby.

Gapili się, szacowali i oceniali. Ze zmrużonymi oczami i ściągniętymi ustami. W zadumie.

Na ich twarzach wykwitł powoli lekki uśmiech zadowolenia.

Najwyraźniej podobało im się to, co widzieli.

– Mark – rzuciła Patty. – Wiem, że mnie pan słyszy.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Mark, kim są ci ludzie?

– Wkrótce to omówimy – dobiegło z sufitu. – Na pewno przed wieczorem.

Zbudowana w stylu neoromańskim biblioteka okazała się ładnym gmachem z czerwonego i białego kamienia, który mógłby stać zarówno na uniwersyteckim kampusie, jak i w parku tematycznym. Tak jak mówił Burke, ze wszystkich stron otaczał ją ładnie zaprojektowany park pełen drzew, krzewów, trawników i klombów. Reacher wszedł na ścieżkę zaczynającą się tuż za bramą, przed którą zaparkował wielebny. W parku byli ludzie. Jedni spacerowali, inni siedzieli na ławkach, jeszcze inni leżeli na trawie. Nikt nie wyglądał podejrzanie. Nikt się nie wyróżniał. Ani śladu policji.

Na ulicy za parkiem i biblioteką stała biała furgonetka. Przy krawężniku. Dokładnie naprzeciwko subaru wielebnego Burke'a. Po drugiej stronie placu. Z boku miała jasnoniebieski napis, a każdą literę napisu ozdobiono śnieżną czapą. Naprawa i konserwacja klimatyzacji. Reacher szedł dalej. Wielebny powiedział „dwie minuty”. Przesadził. Raczej pięćdziesiąt sekund. Jak dotąd Reachera minęły cztery osoby, na ścieżce tak krętej i wąskiej, że prawie się o siebie otarli, a cztery inne zerknęły na niego, siedząc na ławce albo trawniku. Trzy kolejne w ogóle nie zwróciły na niego uwagi. Miały zamknięte oczy. Spały albo marzyły.

Schody i drzwi. Hol, w takim samym ozdobnym stylu jak fasada, też był wyłożony czerwonym i białym kamieniem. Chyba granitem. Znalazł schody do podziemi. Zszedł na dół i trafił do dużej sali pełnej półek rozchodzących się promieniście jak szprychy w kole rowerowym. Księgozbiór podręczny. Tak jak mówił starzec. *Pokaż panu, co pan zechce.*

Przy biurku siedziała kobieta. Na wpół ukryta za monitorem komputera. Trzydzieści pięć lat, długie, czarne włosy, kaskada loczków. Podniosła wzrok.

– Czym mogę służyć?

– Klub obserwatorów ptaków – odparł. – Powiedziano mi, że macie tu ich zapiski czy protokoły z zebrań.

Kobieta zastukała w klawiaturę.

– Tak, mamy. Z jakich lat?

Reacher nie wiedział, kiedy – i czy w ogóle – ojciec nie obserwował ptaków. Bo robił to od zawsze. Nie było żadnego „przed” ani „po”. Nawet w tym, co mówił. Jakby obserwował ptaki od urodzenia. Całkiem prawdopodobne. Wielu ludzi zaczyna uprawiać hobby w bardzo młodym wieku i uprawia je do końca życia. Dlatego mógł wstąpić do klubu bardzo wcześnie. Ale nie powierzono by mu obowiązku protokołowania. Nie takiemu szczeniowi. A ten magazyn hobbystyczny nie potraktowałby go poważnie. Nie wybrano by go na sekretarza. Jeśli już, to dużo później. Dlatego podał kobiecie kilka dat, poczynając od roku, kiedy ojciec miał czternaście lat, i kończąc na tym, kiedy wstąpił do piechoty morskiej.

– Proszę usiąść – powiedziała. – Zaraz przyniosę.

Usiadł przy stanowisku do pracy, jednym z wielu przytulonych do siebie na środku sali. Trzy minuty później bibliotekarka przyniosła protokoły. Trzy miesiące szybciej, niż Elizabeth Castle załatwiłaby mu dostęp do rejestru podatków od nieruchomości. Postanowił jej to wytknąć, jeśli się kiedyś spotkają.

Protokoły były w czterech dużych księgach w ciemnobrązowych marmurkowych okładkach, wyblakłych i poplamionych przez czas. Każda miała prawie cztery centymetry grubości i marmurkowe brzegi w pierzaste esy-floresy. Ponumerowane strony w linie były wypłowiałe, kruche i pokryte starannym pismem atramentowym, bladym już i słabo widocznym.

– Mam włożyć białe rękawiczki? – spytał.

– Nie – odparła kobieta. – To tylko mit. Przynoszą więcej szkody niż pożytku.

Gdy wróciła do biurka, otworzył pierwszą księgę, która musiała być kontynuacją poprzedniej, tej z roku, kiedy ojciec miał trzynaście lat. Na pierwszej stronie był protokół z następnego zebrania. Od razu, bez żadnego wstępu. Odbyło się na zapleczu

jakiejś restauracji. Ojca nie było na liście uczestników. Dużo czasu poświęcono na dyskusję na temat zmiany nazwy klubu. Nazywał się Lakońskie Stowarzyszenie Obserwatorów Ptaków, ale kilku członków uważało, że Lakońskie Stowarzyszenie imienia Johna Jamesa Audubona będzie brzmiało lepiej. Bardziej elitarnie i naukowo. Bardziej profesjonalnie, a mniej amatorsko. Doszło do długiej dyskusji, lecz nie podjęto żadnych decyzji.

Stana Reachera nie było także na następnym spotkaniu. Zmarnowano mnóstwo czasu na kogoś, kto wygłosił tyradę na temat przeformułowania zasadniczych celów działania klubu, które według niego powinny sprowadzać się do prowadzenia dokładnego rejestru fachowców od napraw lornetek. Uważał, że przyniosłoby to nieocenione korzyści członkom stowarzyszenia. Reacher cieszył się, że ojciec nie przyszedł. Jako młody chłopak musiałby mieć dużo więcej cierpliwości niż jako dorosły.

Odłożył na bok pierwszą księgę i spróbował z drugą. Identyczną. Otworzył ją na chybił trafił, mniej więcej w połowie. Gdzie znalazł esej na temat migracji kolibrów, zakwalifikowany jako *Raport* i bardzo starannym charakterem pisma sporządzony przez niejakiego A.B. Smitha bądź niejaką A.B. Smith. Był to artykuł naukowy, który najpierw podsumowywał dokonania innych, a potem przedstawiał nową teorię. Ponieważ kolibry urodzone w Ameryce Północnej mogą samotnie przelecieć ponad trzy tysiące kilometrów i wylądować w określonym miejscu wielkości chustki do nosa, pan – czy pani Smith – uważał, że ptaki te muszą mieć wrodzony instynkt, odziedziczony bezpośrednio po rodzicach i w tajemniczy sposób przekazywany na poziomie komórkowym za pośrednictwem nieznanego jeszcze mechanizmu. DNA, pomyślał Reacher. Dopiero za dwadzieścia lat. Znał zakończenie filmu.

Sięgnął po trzecią księgę. Tę też otworzył na chybił trafił, przerzucił kilka kartek i znalazł protokół z zebrania, na którym ojciec został wybrany na sekretarza klubu. Ot tak, od razu. Miał to czarno na białym: *Stan Reacher, nem con*. Skrót od łacińskiego *nemine contradicente*, co znaczyło, że nikt nie wyraził sprzeciwu, co z kolei znaczyło, że nikt inny nie chciał tej fuchy. Ale Stan

powoli zyskiwał kontrolę. Zebrania zaczęły przebiegać sprawniej. Więcej rozmawiano o ptakach niż o naprawie lornetek. Protokoły sporządzano starannym charakterem pisma. Ale nie było to pismo ojca. Nawet ojca w młodzieńczym wydaniu. Obowiązki protokolanta Stan musiał powierzyć komuś innemu. Po to piechota morska wymyśliła pisarzy kompanijnych, tak zawsze mówił. Zapisy były jednak bardzo w jego stylu. *Sekretarz uznał, że temat nie ma związku z dyskusją... Sekretarz ustanowił dwuminutowy limit czasu na wystąpienie.* Czyli morda w kubek i do roboty. Tak jak w późniejszym życiu. Po to piechota wymyśliła dowódców.

Znów przerzucił kilka kartek. Kolejne zebranie i jeszcze jedno. I kolejny *Raport*. Z kolorowymi mapami, rysunkami i diagramami. Kolumny atramentowego tekstu. Wykaligrafowany tytuł głosił, że chodzi o *Historyczne spostrzeżenie na temat Ryantown w New Hampshire*. Raport z poważaniem przedłożyli S. Reacher i W. Reacher.

Młodzi obserwatorzy. Dwóch Reacherów. Pewnie kuzynów. Tak jak mówił Mortimer. Wszyscy kisili się tam jak w beczce. Ich ojcowie mogli być mieszkającymi po sąsiedzku braćmi. Albo kuzynami, z drugiej, trzeciej czy czwartej linii, czy jak tam się tacy nazywają, kiedy nie wiadomo już, kto jest kim. A więc Stan i... kto? William, Walter, Warren, Wesley, Winston. Albo Winthrop, Wilbert i Waylon.

Myszołów włochaty. Tak nazywał się ten ptak.

Uważano, że zniknął z tych terenów na dobre, ale wrócił. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Żadnych problemów z identyfikacją. Trudno go było pomylić z innym. W jego nazwie kryła się jednoznaczna wskazówka. Pytanie brzmiało, dlaczego wrócił.

Według S. i W. Reacherów przyczyniły się do tego szkodniki. Osady takie jak Ryantown przyciągały tabuny myszy i szczurów, gdzie je regularnie truto, dlatego myszołowy albo nie miały co jeść, albo zdychały po zjedzeniu zatrutej padliny. Nieliczne ocalałe ptaki oczywiście odleciały i wróciły dopiero po wielu latach, kiedy rząd zaczął rekwirować wszystko na potrzeby

wysiłku wojennego. A rekwirował, co się dało, głównie stal, gumę, aluminium i benzynę – to oczywiste – ale wiele innych rzeczy też. Takich jak na przykład trucizna na szczury. Wojsko potrzebowało olbrzymich jej ilości. Do niesprecyzowanych celów. Trutki całkowicie zniknęły z rynku, tak jak wiele innych produktów. W rezultacie myszy i szczury w Ryantown mnożyły się i rosły jak na drożdżach, spasione i zdrowe. Nie wiadomo, gdzie myszołowy przetrwały ten chemiczny Armagedon, ale wróciły i zabrały się do roboty. Z poważaniem, S. i W. Reacherowie.

W. Reachera nie było na następnym zebraniu. Ani na poprzednim. Reacher przerzucił kilkanaście kartek do tyłu, kilkanaście do przodu i nie znalazł inicjału jego imienia. Ani razu. Ani w żadnej komisji, ani wśród członków, ani na liście uczestników organizowanych przez stowarzyszenie imprez i wypraw.

Kuzyn W. nie należał do klubu.

Reacher zamknął księgę.

– Znalazł pan to, czego szukał? – spytała bibliotekarka.

– To był myszołów włochaty. Ptak, którego widziano w Ryantown w New Hampshire.

– Naprawdę?

Była szczerze zaskoczona.

– Zabrakło trutek na szczury – dodał. – I szkodniki się rozmnożyły. To całkiem prawdopodobne. Wiarygodna teoria.

– Nie, nie, zdziwiłam się, ponieważ rok temu ktoś pytał dokładnie o to samo – powiedziała bibliotekarka. – Dobrze pamiętam. Chodziło o dwóch chłopców, prawda? Dawno temu widzieli myszołowa i wyjaśnili, dlaczego wrócił. Miesiąc później ich raport przedrukowało jakieś czasopismo.

Zastukała w klawiaturę.

– Więcej niż rok temu. Ornitolog z uniwersytetu. Czytał ten artykuł, ale ponieważ był to przedruk z rękopisu, chciał zobaczyć oryginał. Sprawdzić, czy czegoś nie pominięto. Trochę rozmawialiśmy. Znał jednego z autorów.

– Jednego z tych chłopców?

- Powiedział chyba, że jest spokrewniony z obydwoma.
- Ile miał lat? – spytał Reacher.
- Nie był taki stary. Ci chłopcy pochodzili oczywiście z poprzedniego pokolenia. Byli jego dziadkami, dziadkami ciotecznymi czy kimś takim. Rodzina przekazała mu najwyraźniej ich opowieści.
- Opowieści?
- Niektóre były bardzo ciekawe.
- Na jakim uniwersytecie pracował? – spytał Reacher.
- New Hampshire. W Durham.
- Może mi pani podać jego nazwisko i numer telefonu?
- Musiałabym mieć dobry powód.
- Niewykluczone, że jesteśmy spokrewnieni. Jeden z tych chłopców był moim ojcem.

Bibliotekarka zapisała namiary na karteczce. Reacher złożył ją na pół i schował do tylnej kieszeni, gdzie miał już wizytówkę Brendy Amos.

- Pomóc pani z tymi księgami? – spytał.
- Od noszenia jestem tu ja.

Podziękował jej i wrócił na górę, do głównego holu. Tam przystanął. Załatwił, co miał do załatwienia, zobaczył, co miał do zobaczenia. Mógł iść dalej. Pod wpływem kaprysu skręcił w stronę schodów mieszczących się w szerokiej wieży rodem ze starego zamku. Chciał ostatni raz popatrzeć na miasto, z okien na piętrze. Okazało się, że to dobry punkt obserwacyjny. Zobaczył subaru, małe i ciemne. Cierpliwie czekało sześćdziesiąt metrów dalej. Przeszedł na drugą stronę wieży i zobaczył furgonetkę tych od klimatyzacji, sześćdziesiąt metrów od biblioteki. Wciąż tam parkowała, z jasnoniebieskim napisem i literami w śnieżnych czapach.

A obok niej stało trzech mężczyzn. Małych z tej odległości. Z bliska chyba nie. Wszyscy mijający ich przechodnie byli mniejsi. Cała trójka miała na sobie jednoczęściowe kombinezony. Nie widział szczegółów. Musiałby mieć sprawną lornetkę. Jak ten gaduła z klubu obserwatorów ptaków, który chciał przeformułować cele działania klubu. Kombinezony sprawiały

wrażenie ciasnych. Z za krótkimi rękawami. Czy serwisanci urządzeń klimatyzacyjnych muszą być wysocy? Prawdopodobnie nie. Powinni być raczej mniejsi, bo mniejszym łatwiej jest na strychach i w szybach wentylacyjnych.

I chyba trochę się niecierpliwił.

Reacher podszedł do okna po lewej.

Drzewa, krzaki, a dalej cicha, spokojna ulica.

I policjant na chodniku tuż za skrzyżowaniem.

Samotny. Bez środka transportu. Spieszony. Przykucnął w specyficzny sposób, w jednoznacznej pozycji czającego się za rogiem uzbrojonego funkcjonariusza. Czekałego na dalsze rozkazy. Co sugerowało, że prowadzi skoordynowane działania. Ale skoordynowane z kim?

Reacher podszedł do okna po prawej.

Lustrzane odbicie obrazu z naprzeciwka. Drzewa, krzaki, cicha, spokojna ulica i policjant gotów błyskawicznie wyjść z za rogu i wymierzyć.

Wrócił do okna z widokiem na furgonetkę serwisu klimatyzacyjnego. Za furgonetką były rozchodzące się promieniście ulice. I mnóstwo parkujących samochodów, tanich podstawowych modeli. Centusie albo tajniacy w nieoznakowanych radiowozach. Ci trzej od klimatyzacji byli otoczeni. Ale nie przez przeważające siły. To, że z lewej i prawej czatowało tylko dwóch samotnych policjantów, sugerowało, że w innych miejscach też jest ich niewielu, prawdopodobnie dwóch kolejnych. W sumie czterech ludzi. Maksymalnie. Minioddział.

Podszedł do okna po lewej. Policjant przesunął się powoli w stronę rogu. Pewnie dostał rozkaz przez słuchawki. Reacher wrócił do okna po prawej. To samo. Lustrzane odbicie. Pełna synchronizacja. Jeszcze tylko parę sekund. Bardzo zły plan. To niemożliwe, żeby wymyśliła go Amos. Albo Shaw, który sprawiał wrażenie dość bystrego. Nie, to błąd jakiejś mundurowej szycy, pewnie kapitana.

Policjant, ten z prawej, wyszedł z za rogu.

Reacher podbiegł do drugiego okna.

To samo.

Fatalny plan.

Wrócił do środkowego w chwili, kiedy ci od klimatyzacji zrobili jedyną rzecz, jaką musieli zrobić. Wspięli się na duży kwietnik, zeskoczyli i znaleźli się w parku. Odwrócili sytuację do góry nogami. Jakby przewrócili podkoszulek na drugą stronę, bo teraz policjanci byli za nimi. A przed nimi ludzie, cywile, więc ryzyko strat ubocznych było tak duże, że zbrojna interwencja nie wchodziła w grę. Sprytny ruch. Mat w dwóch posunięciach.

Serwisanci szli dalej. Powoli. Nieustannie sprawdzając geometrię otoczenia. To nie był ich pierwszy występ. Policjanci zareagowali jak półprofesjoniści. Popędzili z powrotem bocznymi uliczkami, żeby znów zabezpieczyć flanki. Daleko z tyłu nadbiegło dwóch kolejnych. Rozdzielili się. Ale nie weszli do parku. Trzymali się ulicy. Chcieli utworzyć kordon. W kształcie kwadratu, z jednym policjantem na każdym boku, ponieważ zdrowy rozsądek mówił, że tamci muszą kiedyś wyjść.

Tymczasem szli dalej. Byli w połowie drogi do biblioteki. I wciąż szli powoli. Spacerkiem. Logiczne, bo zamierzali pewnie zmienić kierunek, pognać z powrotem i znów odwrócić sytuację do góry nogami. Policja nie była jeszcze gotowa i gdyby tak zrobili, niewykluczone, że udałoby im się bez przeszkód dobiec do furgonetki. A wtedy mogliby dać nogę z miasta. Czy trzy radiowozy dałyby radę ich zatrzymać? Mało prawdopodobne.

Ale nie zmienili kierunku. Szli dalej. Wciąż spacerkiem. Pokonali już trzy czwarte drogi do biblioteki. Reacher biegał od okna do okna. Policjanci zajęli już pozycje, po jednym na każdym boku kwadratu, wszyscy w pobliżu furtki, wszyscy z dobytą bronią. Musieli jednak zdawać sobie sprawę, że tamci niekoniecznie skorzystają z furtki. Wystarczyłby niski kwietnik. Dobrze o tym wiedzieli. Dlatego mieli oczy szeroko otwarte. Reacher widywał gorszych.

Tamci wciąż szli. Ciągłe spacerkiem. Mieli zapasowy transport? Mogli przyjechać trzema samochodami. I zaparkować w trzech strategicznie wybranych punktach. A może to czarny chrysler ich ubezpieczał? Ostatecznie miał trzy wolne miejsca. Ale nie było go widać, ani z jednego, ani z drugiego, ani z trzeciego, ani

z czwartego okna wieży.

Serwisanci wciąż szli. Ciągle spacerkiem. Byli już bardzo blisko. Może interesowali się architekturą. Albo romańską kolorystyką. Czerwonym granitem z New Hampshire, białym z Maine czy pokrywającymi je zawiłymi pasiastymi deseniami. Jak we Florencji albo Rzymie.

Reacher wykręcił szyję i zobaczył, jak podchodzą do drzwi, dokładnie pod nim. Wrócił na szczyt schodów w chwili, gdy weszli do głównego holu. Klasyczni przebierańcy. W za ciasnych kombinezonach. Pewnie wypożyczonych specjalnie na tę okazję. Tak jak furgonetka. Ktoś zrobił im przysługę.

Mieli po czterdzieści kilka lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, szerokie bary, wielkie ręce, wielkie stopy, grube karki i twarze z ustami zaciśniętymi jak pięści. Nie ich pierwszy występ, zdecydowanie. Dwóch miało ciemne włosy, jeden siwe. Szli przez hol spacerkiem. Może zamierzali wyjść z drugiej strony. Logiczne. Tak nakazywałaby geometria terenu. Była to najkrótsza droga przez park na ulicę.

Ale nie wyszli.

Zatrzymali się dokładnie na środku holu.

Może chcieli wypożyczyć książkę. Bo spodobały im się recenzje. A może nie. Może policja zatrzymała wreszcie kierowcę czarnego chryslera. Przynętę. Za wykroczenie drogowe popełnione w chwili dekoncentracji. Albo na podstawie starego nakazu aresztowania z Massachusetts. Kiedy on, Reacher, siedział w podziemiach, czytając o myszołowie włochatym. Szef detektywów pewnie znów wisiał na telefonie. Robiąc z Laconii strefę wojny, tak jak zamierzał.

Zasady wymagały, aby kierowcę w ostatniej chwili ostrzeżono, że zaraz go zdejmą. Dlatego serwisanci musieli założyć, że facet zacznie śpiewać i ich wyda. Zdroworozsądkowe podstawy operacyjne. Licz na najlepsze, ale nastaw się na najgorsze. Nie tylko Reacher miał takie credo. W tej sytuacji pozostawało im tylko jedno: wymyślić swój własny plan działania. Załoczony gmach publiczny był dobrym pierwszym krokiem. Biblioteka dawała im chwilę wytchnienia. W budynkach publicznych

policjanci są ostrożni.

W najgorszym wypadku był to także dobry krok drugi. Trzeci i czwarty. Mogliby tu przetrwać oblężenie. Mieli spory zapas zakładników. Najpierw wzięliby pewnie pracowników miejskich. Żeby zapewnić sobie przewagę. Podczas impasu, długiego i pełnego napięcia. Kamery telewizyjne na ulicach. Negocjatorzy przy telefonach. Pizza w zamian za najstarszą bibliotekarkę.

Prawdopodobne?

Nie bardzo.

Ale cóż, nastaw się na najgorsze.

Nie chcemy tu kłopotów.

Lepiej zdusić to w zarodku.

Zszedł trzy stopnie w dół. Schody były kamienne, kroki głośne. Znaczące. Serwisanci podnieśli wzrok. Instynktownie i z nawyku, początkowo zaskoczeni, po chwili nie wierząc własnym oczom.

Unióśł prawą rękę. Kłykciami w ich stronę. Ale chyba tego nie załapali. Pewnie nie wyciągnęli tych samych wniosków co Amos i Shaw. Nie zaszli tak daleko w swoim rozumowaniu. Wyglądało na to, że wolą polegać na podstawowych danych biometrycznych, takich jak wzrost i waga, kolor oczu i włosów czy to, w jakim ubraniu widziano go ostatni raz. Czyli – w jego przypadku – na kombinacji rzadko spotykanej w naturze.

I poznali go. A niedowierzali dlatego, że znaleźli się w niezręcznej sytuacji. Ich misja nie wypaliła i mogło być tylko gorzej. Ale wyszkolono ich tak, żeby nigdy nie rezygnowali. Byli tego typu ludźmi. Wyposażonymi w pradawny instynkt rywalizacji. Dlatego został na schodach. Żeby musieli spojrzeć na niego z dołu. A z dołu sprawiał wrażenie jeszcze większego. I niech sobie radzi z tym ich pradawny instynkt.

Stojących wokół nich ludzi natychmiast wymiotło. Rozpierzchli się na wszystkie strony. Też odruchowo, choć kierowani innego rodzaju pradawnym instynktem. Widział to setki razy. Na chodnikach przed barami. W nocnych klubach. Pierwszy przejaw agresji i nagle powstawała wielka dziura. Otwierała się przestrzeń, szerokie pole działania. I właśnie to stało się teraz. Hol nagle opustoszał. Nikogo tam nie było. Oprócz czterech

zainteresowanych stron. Trzech na dole i jednej na górze.

Broń zostawili w furgonetce, pomyślał. Kiedy opuszczali tonący okręt. Mają ciasne kombinezony. Uszyte na kogoś dużo drobniejszego. Materiał jest napięty. Byłoby widać każdy ciężki przedmiot ukryty w kieszeniach. Wyraźnie, jak w pełnym słońcu. Albo na zdjęciu rentgenowskim. Nie mieli nic. Z bliska sprawa była zupełnie oczywista.

Zszedł stopień niżej. I zobaczył w ich oczach przebłysk olśnienia. Nagłej radości. Wiedział dlaczego. Mogli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Był nie tylko cywilnym zakładnikiem, który gwarantował bezpieczną ucieczkę z miasta, ale także zwierzyną, na którą polowali z rozkazu szefa. Same dobre nowiny, z jednej i drugiej strony.

Mimo to lekko się zawahali. I znów odgadł dlaczego. Zostawili broń w furgonetce. Musieliby ująć go gołymi rękami. Atakując we trzech pod górę. Co z taktycznego punktu widzenia nie było trudne. Nie, problem polegał na szacunkowym rachunku strat. A rachunek opiewałby prawdopodobnie na trzydzieści trzy procent. Łatwo jest to napisać w notatce służbowej dotyczącej takich czy innych planów wojennych, biurokratycznym językiem, spokojnym i beznamiętnym. O wiele trudniej robi się wtedy, kiedy ktoś jest zaangażowany w to osobiście. Kiedy plany wojenne dotyczą jego. Ten stojący najbliżej schodów oberwałby kopniakiem w twarz. Na pewno, bez dwóch zdań. Dobrze o tym wiedzieli. To nie był ich pierwszy występ. Wybite zęby, pęknięta szczęka i tak dalej. Kto chciałby być na jego miejscu?

Dlatego zwlekali.

Więc im pomógł. Zszedł stopień niżej. Bardzo subtelna różnica. Bo niby wciąż nad nimi górował, wciąż był wyższy, ale teraz stał bliżej. Kto wie, może na tyle blisko, że mogliby zaatakować. We trójkę, wszyscy razem, jednocześnie. W takim ścisku i tłoku żaden nie znalazłby się najbliżej schodów. Ani najdalej, ani w środku. Powstałaby jedna zbita masa, nowy gatunek zwierzęcia, wielkiego, bo ważącego prawie trzysta kilo, bestii o sześciu rękach i nogach.

Co mogłoby wypalić, gdyby został tam, gdzie stał. Ale on nie

został. Kiedy zaatakowali, wszedł stopień wyżej i kopnął w twarz tego najbliższego. Potem obrócił się, uderzył łokciem tego po lewej, znów się obrócił i tym samym łokciem huknął w twarz tego po prawej. Sprawę dokończyły grawitacja i granit z New Hampshire. Cała trójka runęła do tyłu w płataninie bezwładnych kończyn. Zagrzechotały kości, głucho zastukały rozbite głowy. Ten ostatni wyglądał najlepiej. Wciąż się poruszał. Dlatego Reacher zszedł niżej i kopnął go w głowę. Tylko raz. Mniej nie mógł. Raz, za to mocno. Żeby zniechęcić go do dalszego udziału w polowaniu.

Wtedy otworzyły się drzwi i do holu weszła Brenda Amos.

Jako detektyw była oczywiście w cywilnym ubraniu, ale teraz odgrywało to pewną rolę. Nie była uzbrojoną policjantką, ostrzeżoną i skradającą się z bronią w ręku. Była zwykłą obywatelką, która weszła do biblioteki szybkim, beztroskim krokiem. Musiała zgłosić się na ochotnika. A nawet nalegać, żeby ją wysłano. Czemu nie? Ktoś musiał tu posprzątać. A ona służyła kiedyś w żandarmerii. Była w tym dobra. Miała torebkę. Droga. Pewnie z wyprzedazy. A w torebce odznakę i broń. Możliwe, że z zapasowym magazynkiem. Ale nic na to nie wskazywało. Inteligentna, wesoła i nierzucająca się w oczy, była zwykłą czytelniczką, która przyszła wypożyczyć książkę.

I nagle przestała nią być.

Zatrzymała się.

– Przypadek – rzucił.

Spojrzała na tych na podłodze.

Potem na niego.

Milczała. Domyślał się dlaczego. Nie wiedziała, jakie uczucia w niej dominują. Jestem zadowolona czy wściekła? Była wściekła, to oczywiste, na niego, lecz z drugiej strony, miała problem z głową, ponieważ w tej nowej sytuacji jej nieudolni podwładni, czterech policjantów w parku, zmienili się nagle w dywizję pancerną. Musieli jedynie założyć kajdanki trzem mężczyznom jęczącym na podłodze. Z czego zapewne bardzo się cieszyła. Przepęlniające ją uczucie zadowolenia było równie intensywne jak trawiący ją gniew. Na sto procent. Co z kolei sprawiało, że była jeszcze bardziej zła, tym razem na siebie, o to, że potrafi cieszyć się czymś tak strasznym.

– Przepraszam – dodał. – Chciałem tylko sprawdzić, co to był za ptak. Już idę.

– Musi pan.

– Przeprosić?

– Iść. To było miłe, ale niebezpieczne. Oni zareagują.

– Bo mają swój kodeks?

– Następnym razem przyślą lepszych.

– Oby.

– Mówię poważnie. Oboje na tym skorzystamy, pan i ja.

– Dowiedziałem się, czego chciałem. Wyjeżdżam.

– Czym?

– Subaru znajomego. Czeka na mnie. A przynajmniej czekało pięć minut temu. Mogła go pani wystraszyć. Tak jak poprzednio.

Amos wyjęła z torebki radionadajnik i zadała pytanie. Sekundę później czyjś głos, niewykluczone, że Davisona, przedarł się przez trzaski eteru i potwierdził, że tak, subaru wciąż parkuje przy krawężniku. Silnik jest zgaszony, kierowca siedzi za kierownicą. Amos podziękowała mu i rozłączyła się. Spojrzała na tych na podłodze.

– Po co oni tu przyszli?

– Pewnie chcieli zdjąć kombinezony w toalecie – odparł. – Potem, już po cywilnemu, rozeszliby się w trzy różne strony, i po krzyku. Albo zrobiliby małe zamieszanie. To co dałoby im największe szanse. Ale pomyślałem, że bezpieczniej będzie zastosować uderzenie wyprzedzające, na wypadek gdyby planowali coś gorszego.

Amos milczała. Domyślał się dlaczego. Jestem wkurzona czy zadowolona? Wciąż nie była tego pewna. Znów włączyła nadajnik i rozkazała policjantom zameldować się w bibliotece. Jak najszybciej. Opuścić pozycje. Powtarzam, opuścić pozycje i pędem do biblioteki!

Potem spojrzała na Reachera.

– A pan pójdzie prosto do samochodu. Natychmiast.

– I wyjedzie?

– Najszybszą trasą.

– I już nie wróci?

Nie odpowiedziała od razu.

– W każdym razie nieprędko.

Przeszedł nad czyjaś ręką i nogą i skręcił do drzwi, tych samych, którymi wszedł. Tą samą asfaltową ścieżką doszedł do furtki,

mijając po drodze ludzi siedzących na ławkach, spacerujących i leżących na trawie. Podszedł do subaru, grzecznie zapukał w szybę, otworzył drzwi i wsiadł.

– Dowiedział się pan czegoś? – spytał wielebny Burke.

– To był myszołów włochaty.

– Cieszę się, że już pan wie.

– Dziękuję.

– Widziałem policjantów w parku. Przed chwilą. Pierwszy raz w życiu. Nadbiegli ze wszystkich stron. I to zaraz po tym, jak powiedziałem, że nigdy ich tu nie ma.

– Pewnie wezwano ich do czegoś pilnego. Do niezapłaconego mandatu czy czegoś takiego.

– Jak pan chce, podrzucę pana na autostradę.

– Nie – odparł Reacher. – Wracam do Ryantown. Chcę się rozejrzeć, ostatni raz. Ale pan nie pojedzie. Wyrzuci mnie pan na końcu drogi. Nie powinien pan się w to mieszać.

– Pan też nie powinien jechać. Nie tam. Będą na pana czekali.

– Mam nadzieję. Obiecałem im, że wrócę. Lubię uchodzić za kogoś, kto zawsze dotrzymuje słowa.

– Autostrada byłaby lepsza – nie ustępował wielebny.

– Chyba nie zawsze tak pan myślał. Parę razy na pewno nie. Może nawet więcej niż parę razy. W różnych okresach życia. Poczynając od czterdziestu lat wstecz.

Burke nie odpowiedział. Odpalił silnik, włączył się do ruchu i skręcił w kierunku Ryantown. Reacher usiadł wygodniej i poczuł dotyk ściśniętej kartki papieru w tylnej kieszeni spodni. Tej od bibliotekarki. Z zamiarami na ornitologa z uniwersytetu w Durham. Z jego nazwiskiem i numerem telefonu.

Pogrzebał w kieszeni.

– Ma pan telefon?

– Mam, ale stary – odparł wielebny.

– Działa?

– Zwykle.

– Pożyczy pan na chwilę?

Chudzielec wyjął z kieszeni komórkę i podał mu ją na oślep, nie odrywając oczu od drogi. Fakt, była bardzo stara. Nie

przypominała tych płaskich jak ekrany telewizorów. Miała prawdziwe guziki, kształt trumny i była gruba jak baton czekoladowy. Reacherowi udało się ją włączyć. Sygnał był silny. Jeszcze nie wyjechali z miasta. Wybrał numer. Telefon dzwonił i dzwonił, w końcu odezwał się asystent ornitologa. Nie, szef jest na spotkaniu. Nie można mu przeszkadzać. Reacher zostawił wiadomość. Ryantown, myszołów, trucizna na szczury i dwóch Reacherów, w tym jego ojciec. Dodał, że numer, z którego dzwoni, będzie dostępny tylko przez następną godzinę, góra dwie, i że może zadzwoni potem.

Oddał komórkę wielebniemu.

– To mogła być cyna – powiedział Burke. – Nie trutka.

– Myszołowy wróciły w szczycie produkcji. Podczas wojny. Kiedy fabryka pracowała pełną parą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Właśnie, a wtedy jej głównym klientem był rząd. Musiano dokładnie nadzorować cały cykl produkcyjny. Zanieczyszczenia nie wchodziły w grę. Stawiano na czystość i jakość. Było dużo mniej odpadów.

– A ja myślę, że powodem była trutka.

– Bo tak napisał pana ojciec.

– Bo to ma sens.

– Po co rząd miałby rekwirować całą truciznę na szczury?

– Znam zakończenie filmu – odparł Reacher. – Wojsko przewidziało, że prędzej czy później będzie potrzebowało olbrzymich magazynów, setek tysięcy metrów kwadratowych powierzchni w setkach krajów, do przechowywania żywności i ubrań, przysmaków uwielbianych przez szkodniki, dlatego ktoś zamówił trutki z wyprzedzeniem, na wszelki wypadek, trutki i tysiące innych dziwnych rzeczy, które pewnego dnia ewentualnie mogły, choć nie musiały się im przydać. Wojsko tak robi. Jest w tym dobre. Część tych rzeczy wciąż gdzieś tam jest, w dziesiątkach krajów na całym świecie.

Wyjechali z lasu i minęli pierwsze pastwisko.

• • •

Czwarty gość wybrał drogę równie skomplikowaną jak drugi. On też postawił na prywatny transport powietrzny, który na pewnym poziomie jest wciąż bardzo anonimowy, jak zwykła taksówka. Co paradoksalne, nie na poziomie najwyższym – nie, jeśli lata się błyszczącymi gulfstreamami czy learjetami i korzysta z dobrze wyposażonych lotnisk – tylko na tym najniższym, brudnym i pokątnym, gdzie królują trawiaste lotniska i śmigłowe „skoczki kałużowe”, poobijane jak taksówka i tyle samo razy lakierowane, maszyny latające tak nisko, że od zasiadających za ich sterami nie wymaga się ani planów lotu, ani list ładunkowych. Na tym poziomie obowiązuje nawigacja wzrokowa. Rozmowy z wieżą nie są potrzebne. Nie ma nawet obowiązku posiadania radia.

Korzystając z kilku takich maszyn, można w zupełnej tajemnicy pokonać nieprawdopodobne wprost odległości. I taką właśnie strategię przyjął czwarty klient. Ostatni raz wylądował na lotnisku aeroklubu pod Plymouth w New Hampshire. Nikt nie widział, skąd wystartował po raz pierwszy. Steven próbował ustalić jego IP. Ale nie mógł. Raz wyglądało na to, że właściciel komputera pracuje w NASA w Houston w Teksasie, a innym razem, że mieszka na Kremlu w Moskwie. Albo w pałacu Buckingham w Londynie. Musiał mieć bardzo pomysłowe urządzenie, specjalnie zaprojektowane i wykonane dla kogoś, kto ceni prywatność i może sobie pozwolić na wszystko, co najlepsze. Czwarty klient najwyraźniej mógł. Steven wyjechał po niego na lotnisko i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była torba z pieniędzmi.

A raczej worek marynarski z miękkiej skóry. Nie najlepszej jakości. Bez monogramu. Anonimowy. Taki, z którym nie żał się rozstawać. Steven zauważył, że klienci płacą na dwa sposoby. Są tacy, którzy wolą liczyć, jeden gruby plik banknotów po drugim, podawać je po kolei, żeby wrażenie było bardziej namacalne. A inni po prostu rzucają torbę na stół. Głuchy stukot, trochę kurzu i wychodzą. Bez słowa. Nie oglądając się za siebie. Spokojnie i obojętnie. Stąd torby, z którymi nie żał się rozstawać.

Poza workiem czwarty klient miał jeszcze dwie miękkie torby,

od kompletu i lepszej jakości, oraz dwa kuferki. Steven pomógł mu się wyładować, ale kuferki klient niósł sam. Wysoki, smukły i dobrze zbudowany, około sześćdziesiątki, śnieżnobiałe włosy i czerwona jak cegła twarz. Był w dzinsach i znoszonych butach. Jest z zachodu, pomyślał Steven. Z Montany, Wyoming czy Kolorado. Na sto procent. Na pewno nie z Houston, Moskwy czy Londynu.

Zapakowali bagaże do mercedesa i pojechali na południe, szosą wśród drzew. Mężczyzna milczał. Pół godziny później skręcili w boczną drogę. Tę między omszałymi drogowskazami, na których nie było już strzałek i tablic. Podskoczyli na grubym kablu i znaleźli się w zielonym tunelu. Dziesięć minut później, trzy kilometry dalej, klient wnosił już torby do pokoju. Wniósł je i wyszedł, najpierw na chodnik, potem na parking, żeby rzucić okiem na innych mężczyzn, którzy stali nieopodal niczym komitet powitalny i jakby nigdy nic zbliżali się do niego, żeby się przywitać. Ci pierwsi. Ranne ptaszki.

Jak dotąd było ich trzech. Najpierw wszyscy skinęli do siebie głowami, żeby nawiązać pierwszy kontakt. Potem zaczęli rozmawiać. Początkowo o tym, jak tu przyjechali, na neutralny temat. Zdradzili kilka szczegółów. Byli tajemniczy, a jednocześnie po luzacku przyjacielscy. Jeden powiedział, że przyjechał samochodem. Volvo, kombi. Odwrócił się i wskazał wóz parkujący przed pokojem numer trzy. Dał też do zrozumienia, że przez większość roku mieszka w domu w środku lasu. Błady i żyłasty, miał na sobie czerwoną koszulę w szkocką kratę. Dobijał siedemdziesiątki. Chyba nie lubił dużo mówić, ale nie potrafił ukryć podekscytowania. Był trochę rozgorączkowany. Miał spoconą górną wargę.

Jest z Maine, pomyślał czwarty klient. Wspomniał, że jechał na południe, więc mieszka gdzieś na północy. Tablice rejestracyjne są z Vermontu, ale to fałszywki. Więc nie z Vermontu, tylko z Maine. Duży stan, dom w środku lasu.

Ten drugi nie zdradził, skąd jest, ale opowiedział im historię o wyczarterowanych samolotach i lewych prawach jazdy. Długą na tyle, że zawierała chyba wszystkie możliwe dźwięki

niezbędne do tego, aby udowodnić, że od dawna mieszka w Teksasie, choć się tam nie urodził. Miał około pięćdziesięciu lat i skrupowany typową dla tego stanu kurtuzją, był uprzejmy jak sprzedawca. Ale i podekscytowany. On też. Trochę rozgorączkowany. Rozedrgany.

Trzeci był przystojny jak gwiazdor filmowy i zbudowany jak sportowiec. Jak tenisista, smukły i wyluzowany. Należał do tych, którzy świetnie radzą sobie na studiach i którym od dwudziestu lat się nie pogorszyło. Był pewny siebie. Jakby władał całym światem. Jakby przywykł do tego, że wszyscy go podziwiają. Najpierw jechał nieistniejącym samochodem, potem przesiadł się do furgonetki. Tej tam. Perskie dywany. Sądząc po jego głosie, sposobie bycia, odległości i trasie, jaką pokonał, pochodzi z zachodniej części stanu Nowy Jork, pomyślał ten czwarty. Albo z Pensylwanii.

– Widzieliście ich? – spytał.

– Roleta jest podniesiona, ale schowali się do łazienki – odparł ten drugi.

– Jacy są?

– Wyglądają świetnie.

– A dokładniej?

– Tak że będzie naprawdę ciekawie.

Pałeczkę przejął ten z Maine.

– Mają po dwadzieścia pięć lat. Są silni i zdrowi. Blisko związani emocjonalnie. Widzieliśmy nagrania. On czasem ją denerwuje, bo wolniej myśli, ale ogólnie się dogadują. Wspólnie rozwiązują problemy.

– Tak, to ona jest mózgiem – zgodził się z nim ten drugi. – Bez dwóch zdań.

– Jak wyglądają?

– Zwyczajnie – odparł przystojny tenisista. – Nie są szpetni. Oboje są dobrze umięśnieni. On uprawia ziemniaki, ona pracuje w tartaku. To Kanadyjczycy, więc mieli dobrą opiekę zdrowotną. Można powiedzieć, że kawał z niej baby. Tak, to dobre określenie. Natomiast on nie jest kawałem chłopca. Podobno ma ksywę Krótki. Nie bez powodu. Jest przysadzisty. Ale przysadzisty tak

jak trzeba. Muszę przyznać, że byłem bardzo zadowolony, kiedy ich zobaczyłem.

- Ja też – wtrącił gość z Maine.
- Mówiłem – powtórzył ten drugi. – Wyglądają świetnie.
- Ilu jeszcze przyjedzie?
- Dwóch. Jeśli się wyrobią. W sumie będzie nas sześciu.

Czwarty klient kiwnął głową. Zasady to zasady. Termin to termin. Zegar tykał. Jeśli ktoś się spóźnił, nie było żadnych tłumaczeń. Żadnych wyjątków. Stąd taksówki powietrzne i powiązane ze sobą loty. Na nieprawdopodobne wprost odległości.

- Dlaczego w łazience nie ma okna? – spytał.
- Bo nie jest potrzebne – odparł ten drugi. – Są tam kamery. Idź do domu i popatrz.

Wielebny Burke uparł się, żeby podwieźć go do miejsca, gdzie zaczynał obowiązywać zakaz sądowy, czyli aż do czterdziestoletniego ogrodzenia, za którym kończyła się droga. Oznajmił, że na niego zaczeka. Reacher odparł, że nie musi. Ale Burke nie chciał go słuchać. Więc Reacher też się uparł i kazał mu przestawić samochód. Przodem, a nie tyłem do drogi. Żeby był gotowy do szybkiej ucieczki. Jedynka i gazu. W razie czego. W najgorszym przypadku. Zawracanie na wąskiej drodze wymaga kłopotliwych manewrów. Tam i z powrotem, od pobocza do pobocza, wiele razy. Ale w końcu się udało. Subaru stało teraz jak dragster na torze wyścigowym.

Reacher nalegał, żeby wielebny nie wyłączał silnika. Tak, zanieczyszczenie środowiska. Zgoda, benzyna jest droga. Ale lepsze to niż szarpanie się z kluczykiem. Czy brak zapłonu w chwili, kiedy jest najbardziej potrzebny. Żeby w razie czego dać nogę. Burke przyznał mu rację. Reacher podkreślił, że wielebny może w każdej chwili odjechać bez niego. Natychmiast, bez ostrzeżenia, z jakiegokolwiek powodu czy zupełnie bez powodu, kiedy tylko podszepta mu to instynkt.

– Niech pan nie przedobrzy – powiedział. – Nie przegnie. Nie zwleka ani sekundy.

Burke nie odpowiedział.

– Ja nie żartuję – dodał Reacher. – Jeśli tu przyjdą, to znaczy, że spuścili mi manto i przedarli się. Nie chcę, żeby spotkało pana to samo.

Wielebny przyznał mu rację.

Reacher wysiadł. Zamknął drzwi. Przełożył nogi przez ogrodzenie i ruszył przed siebie. Pogoda była taka sama jak poprzednio. Zapachy też. Dojrzałe owoce i gorąca sucha trawa. Owady brzęczały też tak samo. W górze, unosząc się na prądach termicznych, leniwie krążył jastrząb. A w oddali dwa inne. Za

daleko, żeby określić jakie. Młody Stan powiedziałby pewnie, że zachowują się jak typowe drapieżniki. Każdy włada swoim kawałkiem nieba. Moja ulica, twoja ulica. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Jak twardziele na całym świecie.

Szedł, patrząc przed siebie. Nie chciał zerkać na wzgórze, skąd tamci mogli go obserwować. Nie chciał dawać im satysfakcji. Niech to oni przyjdą do niego. Dlatego szedł dalej i był już w połowie sadu. Tam gdzie dał wycisk temu chłopaczkowi. Nie było żadnych śladów. Żadnych dowodów. Może tylko trochę zdartej butami trawy. Ci z seriali telewizyjnych pewnie by się czegoś dopatrzyli. Ale nie ci żyjący w świecie rzeczywistym. Szedł dalej.

Drugie ogrodzenie. Wciąż całe i nienaruszone. Wokoło cisza i spokój. Całkowity bezruch. Ciemniejsze liście rosnących przed nim drzew, mniej przyjemny zapach i chłodniejsze półcienie. Zerknął za siebie. Pusto.

Wspiął się na ogrodzenie i zeskoczył.

Ryantown w New Hampshire.

Znów szedł główną ulicą, tak jak poprzedniego dnia, wśród kołyszących się cieniutkich drzewek, potykając się czasem o sterczące kamienie, mijając ledwo widoczne ruiny kościoła i szkoły. Kierował się do domów mieszkalnych. Ich fundamentów po prawej stronie drogi. Do narożnej kuchni z ocalałymi fragmentami płytek. Wyobraził sobie dziadka, który niczym ogolony Czarnobrody krzyczy, wrzeszczy i bije kogo popadnie. I pewnie pije. Wyobraził sobie babkę, twardą, zimną i zgorzkniałą. Bez dobrego słowa na ustach. Wiecznie ponurą. Ciągłe poirytowaną. Gniewnie szyjącą prześcieradła, na których nigdy nie będzie spała.

Wyobraził sobie ojca pełzającego po podłodze. A może wcale nie pełzał? Może siedział cicho w kącie, patrząc w okno? Na tętniący życiem skrawek nieba.

Przypomniał sobie słowa Carringtona.

Pana ojciec wstąpił do wojska w wieku siedemnastu lat. Musiał mieć jakiś powód.

Stał tam długo, w końcu się pożegnał. Odwrócił się i poszedł tą

samą drogą. Kuchnia, sień, cienkie drzewka, korytarz, drzwi.

Wciąż nikogo. Wciąż spokój i cisza. Wrócił na drogę i przystanął przed szkołą. Nieco dalej droga skręcała w stronę kościoła. Bez drzew, które wyrosły tu w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat, widok byłby dość szeroki. Na spory kawał nieba. Może to właśnie stąd chłopcy obserwowali ptaki. I zobaczyli myszołowa. Może lornetka należała do szkoły, dla której kupiły ją władze hrabstwa. Wspólna własność. Do użytku tylko na miejscu. A może jakiś miły nauczyciel wypatrzył ją w sklepie ze starzyzną i wyłożył kilka dolarów.

Szedł dalej. Kościół i ogrodzenie. Granice osady. Przed nim rozciągał się sad. Który kiedyś przecinała droga biegnąca prościutko do czekającego sto metrów dalej subaru. Bo subaru wciąż tam parkowało. Wyraźnie widoczne w oddali. Między nim i samochodem znajdowały się tylko dwa ciekawe obiekty. Pierwszym był wielebny Burke, który stał za bagażnikiem po bezpiecznej stronie ogrodzenia i przeskakując z nogi na nogę, wymachiwał rękami.

Drugi obiekt był pięćdziesiąt metrów bliżej, w połowie sadu. W poprzek skradzionej drogi stało pięciu mężczyzn.

W górze leniwie krążył jastrząb.

Reacher wspiął się na ogrodzenie, zeskoczył i zostawiwszy za sobą omszałą gęstwinę nieokiełznanej przyrody, wszedł między równe rzędy starannie przyciętych drzew. Tamci ani drgnęli. Stali ramię przy ramieniu, lecz się nie stykali. Jak gotowi do występu śpiewacy. Jak kwartet fryzjerski o powiększonym składzie. Alt, dwa tenory, baryton i bas. Basem był pewnie ten pośrodku. Większy od reszty. Reacher widział go pierwszy raz. W przeciwieństwie do starszego mężczyzny po jego prawej ręce. Tatuś byczka. Środkowe pokolenie. Lepsze dżinsy, czystsza koszula, bardziej siwe włosy. Z pozostałymi trzema też miał do czynienia poprzedniego dnia. Wyłączając tego, który oberwał. Duże, zdrowe okazy, ale bez wojskowego przeszkolenia, bez wyroku i tajnych kursów w Mossadzie.

Szedł dalej.

Tamci czekali.

Burke wciąż podskakiwał i wymachiwał rękami jak obłąkany semafor. Reacher nie wiedział dlaczego. Na ostrzeżenie było za późno. Ze względu na geometrię liniową. Bo dostrzegłby problem, zanim dostrzegłby wielebnego. Co nie miało sensu. Może wielebny próbował udzielić mu jakiejś rady taktycznej? Zrób to, a potem tamto. Sęk w tym, że trudno go było zrozumieć. Zresztą rady na nic by się nie przydały. Nie rady Burke'a. Reacher nie wątpił, że wielebny jest człowiekiem o wielu talentach, ale nie miał raczej smykałki do mordobicia. Przynajmniej nic na to nie wskazywało.

Może był po prostu wzburzony.

Reacher szedł dalej.

Ten w połowie pięcioosobowego rzędu, wysoki i szeroki, wyglądał jak pocisk artyleryjski. Miał małą głowę osadzoną na byczym karku dziesięć centymetrów szerszym niż odległość od skroni do skroni. I ramiona opadające w dół płynnie i szybko, jak u jakiegoś stworzenia morskiego. Mocno wysklepiona szeroka pierś skracała mu optycznie ręce i nogi. Robił wrażenie młodego, silnego i sprawnego fizycznie.

Zapaśnik, pomyślał Reacher. Gwiazdor w szkole średniej, a potem w college'u. A teraz zbieracz jabłek. Czy istnieje coś takiego jak liga studenckich zapaśników? Jeśli tak, gość się do niej nie załapał. To jasne jak słońce.

Mimo to był wielki.

Zostało dwadzieścia metrów.

Powiększony kwartet wciąż czekał.

Zapaśnik patrzył prosto przed siebie. Malutkimi ciemnymi oczkami, głęboko osadzonymi w malutkiej głowie. Twarz miał bez wyrazu. Zupełnie obojętną. Pewnie dlatego nie odniósł sukcesu po college'u. Brakowało mu siły napędowej. Albo źle interpretował otaczający go świat. Tak czy inaczej, z fatalnym skutkiem. I teraz zbierał tego żniwo. Kumple na pewno go ostrzegli. Był tu na zastępstwie. To słowo-klucz. Wiedział, w co się pakuje. Mógł odmówić.

Piętnaście metrów.

Ten najstarszy, tatuś, zerkał raz w lewo, raz w prawo.

Podeksycytowany. Spodziewał się dobrej zabawy. Podeksycytowany, ale i trochę zdenerwowany. W głębi duszy. Zdenerwowany? Wiedział, że to głupota. Bo jak mogli przegrać? Niemożliwe. Z taką przewagą? Ale nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że coś jest nie tak. Miał to wypisane na twarzy. Między innymi dzięki Reacherowi, który robił wszystko, żeby utwierdzić go w tym przekonaniu. Długi krok, luźne ramiona, ręce z dala od boków, wysoko podniesiona głowa, oczy wpatrzone w przeciwnika. Wyuczone przed laty prymitywne sygnały.

Dziesięć metrów.

Tatuś nabierał coraz większych wątpliwości. Co było wyraźnie widać. Nagle zaczął opracowywać plan awaryjny. Myśleć nad zmianą taktyki. Na wszelki wypadek. Alternatywa zawsze się przydaje. Wyglądał tak, jakby miał zaraz wydać nowe rozkazy. Co sprawiło, że stał się celem uzasadnionego ataku, choć miał pięćdziesiąt kilka lat. Był wymoczkiem, ale i dowódcą. A zasady walki są jednoznaczne. On też będzie musiał wypić to piwo.

Reacher założył, że pozostali trzej uciekną. Albo przynajmniej się wycofają, pokazując wewnątrz uniesionych dłoni, jękając się i zapewniając, że to nie był ich pomysł. Lojalność ma swoje granice. Zwłaszcza lojalność w zamian za pracę u kogoś, kto i tak jest dupkiem.

Dlatego uciekną.

Pięć metrów.

Zawsze uważał, że liczy się nie tylko elastyczność, ale i plan działania, a z doświadczenia wiedział, że w ostatecznej rozgrywce wykorzystuje się zwykle pół jednego i pół drugiego. W tym przypadku plan działania zakładał, żeby nie zwalniając kroku, dotrzeć na miejsce z pełną prędkością i przyłożyć zapaśnikowi z byka. Co załatwiłoby sprawę. Zaskoczenie, przeważająca siła, ogólny szok i pełny szacunku podziw. Wszystkie kwadraciki odhaczone. Plus poręczna wolta etyczna. Dosłownie, ponieważ tatuś znalazłby się wtedy w idealnej pozycji, żeby oberwać lewym hakiem, słabszą ręką, a więc bardzo humanitarnie.

Okazało się jednak, że elastyczność jest lepsza. Z powodu zapaśnika, który przyjął nagle coś w rodzaju pozycji bojowej. Teatralną pozę. Jak na prośbę fotografa. No? A teraz mnie przestrasz. Zdjęcie na pierwszą stronę lokalnej gazety. *Idol szkoły średniej zdobywa puchar*. Gość się starał. Naprawdę. Wyglądał jak młody grubas udający niedźwiedzia grizzly. Krótkie, grube ręce, rozczapierzone jak szpony palce. Pełna gotowość. Ugięte kolana, szeroko rozstawione nogi.

Dlatego Reacher zmodyfikował plan. Spontanicznie. Akademia w West Point byłaby z niego dumna. Zachował wszystkie zasadnicze elementy, zmieniając jedynie szczegóły. Nie zwolnił kroku. Dotarł na miejsce z pełną prędkością. Ale zamiast zaprawić tłuściocha z byka, kopnął go w krocze. Nagła okazja, rozstawione nogi. W dobrym tempie zadał z rozpędu zamaszysty cios z dołu i trafił idealnie, prosto w punkt.

Piłka opuściłaby stadion.

Skutek był dwojaki, dobry i zły.

Dobry dlatego, że Reacher znalazł się dokładnie tam, gdzie powinien. W pozycji doskonałej do lewego haka. Który oczywiście wyprowadził. Według klasycznych standardów cios był trochę za krótki i zbyt toporny. Mało elegancki. Po prostu uderzył jak cepem. Ale liczył się skutek. Bach i tatuś zwałił się na bok. Jego dowódcze wpływy zostały ukrócone.

Zły dlatego, że zapaśnik nosił suspensorium. Ochraniacz. Bystry chłopak. A jednak umiał interpretować otaczający go świat. A jednak się przygotował. Mimo to zdrowo oberwał. Jak tępą, twardą foremką, która z pełną siłą uderza w twarde, żyłaste ciasto – pewnie tak się teraz czuł. Co go wcale nie obezwładniło. Wciąż trzymał się na nogach, ciężko stąpając i głośno sapiąc. Szok? Tak. Pełny szacunku podziw? Nie bardzo. Dlatego pozostali trzej nie uciekli. Nie wycofali się, pokazując wnętrza uniesionych dłoni. Mało tego, podeszli krok bliżej, zastosowali manewr blokujący, żeby Goliat mógł dojść do siebie.

Reacher pomyślał: Cholera. Kaprysy przypadku. Powinien był trzymać się pierwotnego planu. Facet nie miał na głowie kasku. Chciał zrobić krok do tyłu, żeby zresetować geometrię, ale się

powstrzymał. Tamci źle by to odebrali. Dlatego uderzył tego, który stał najbliżej. Mocno, w brzuch. Kiedy chłopaczysko zgięło się w pół i z twarzą na kolanach zaczęło charczeć i rzygać, uderzył go jeszcze raz, z góry, łokciem w tył głowy, i zbieracz jabłek upadł twarzą w trawę. Koniec gry, ale tylko na tym odcinku, więc Reacher zrobił krok w lewo, żeby zrównać się z następnym. Bez żadnej zwłoki. Staniem i gadaniem niczego by nie wskórał. Lepiej dobrze ich ustawić i wyeliminować.

Tyle że ten następny zatoczył się nagle w lewo. Odepchnięty na bok przez zapaśnika, który przebiwszy się przez własną linię obrony, parł przed siebie z wyciągniętymi rękami jak rozwścieczona wywrotka. Nagle rozstawił nogi. Lekko przykucnął. Znaleźli się twarzą w twarz. Jak przed pojedynkiem na ringu. Łypnął na niego spode łba. Gniewnie warknął.

No dobra, pomyślał Reacher. Jak chcesz.

O zapasach nie wiedział nic. Nigdy nie próbował się siłować. Nie odczuwał takiej potrzeby. Za dużo potu. Za dużo zasad i przepisów. Coś jak ostatnia deska ratunku. Nie dla niego. Uważał, że walkę należy wygrać lub przegrać, zanim przeciwnicy zaczną tarzać się po ziemi.

Wielebny Burke wciąż podskakiwał i wymachiwał rękami.

Spaślak poruszył się. Obrócił jak sztywny kloc i jego prawa stopa z głuchym łąknięciem wylądowała tuż przed miejscem, gdzie stała przed chwilą. Potem obrócił się w drugą stronę, też jak sztywny kloc, i z głuchym łąknięciem przestawił lewą nogę. Jak w sumo. Stał teraz pół kroku bliżej. Pięć centymetrów niższy, ale pewnie z dziesięć kilo cięższy. Wielki, konkretny facet. To na pewno. Same muskuły, wygładzone i opływowe, jak przepuszczone przez powietrze czy wodę. Jak samiec foki. Albo pocisk do mózdzierza.

Zastępstwo. Niezupełnie, pomyślał Reacher. Raczej udoskonalenie. Facet miał wzmocnić ekipę. Był fachowcem ściągniętym specjalnie na tę okazję. Może tatuś wypożyczył go od znajomego znajomego. Albo z klubu nocnego, gdzie tłuścioch robił za wykidajkę. W Manchesterze. Albo nawet w Bostonie. Może to jest właśnie to? Pierwsza liga zapaśniczych idoli

z college'u.

Reacher postanowił trzymać się z dala od jego rąk. Zapasy to głównie chwytanie, łapanie i obłapianie. Facet był pewnie w tym dobry. A przynajmniej doświadczony. Znał wszystkie sztuczki uzupełniające. Dziesiątki sposobów powalenia przeciwnika na matę. Czego Reacher wolał uniknąć. Walka w parterze byłaby problemem. Za duży ciężar. Czułby się jak na ławeczce, wyciskając wieloryba. Na szczęście grubas miał krótkie ręce. Niebezpieczna strefa była niewielka. A pole działania spore. Na pewno da się coś zrobić.

Ale konkretnie co? Reacher nie wiedział, pierwszy raz w życiu. Wciąż mógłby zaprawić go z byka, ale nie chciał ryzykować, bo musiałyby wejść w pole rażenia jego szponiastych łap. Poza tym kto wie, może gość odchyliłby się w bok i przyjął cios na szyję, która była pewnie równie wrażliwa jak opona samochodowa. Ciosy na korpus? Szybka kombinacja prawy-lewy-prawy, jak w walce z ciężkim workiem treningowym? Tak, ale ciało tłuściocha miało zwartą jak blok budowę i równie dobrze mógłby walić pięściami w kamizelkę kuloodporną. Z takim samym skutkiem.

Zapaśnik znów się poruszył. Znów wykonał ten teatralny manewr, tak jak przedtem. Sumo. Reacher widział to w telewizji. Popołudnie w jakimś motelu. Ziarnisty pomarańczowy obraz. Olbrzymi faceci w fikuśnych przepaskach na biodrach, obojętni, nieprzejednani i błyszczący od oliwy.

Grubas stał teraz pełny krok bliżej.

W górze leniwie krążył jastrząb.

Reacher za późno zrozumiał, co tamten zamierza. Bo spaślak runął na niego brzuchem naprzód, dokładnie tak, jak podczas pojedynku sumo, jak w telewizji, tylko że w telewizji ten drugi grubas zawsze robił to samo, skutkiem czego z głośnym plaśnięciem spotykali się na środku ringu. Tymczasem on stał w miejscu, co znaczyło, że całym impetem dysponował przeciwnik, a to z kolei, że Reacher miał za chwilę mocno oberwać. Jak oponą do traktora.

Uchylił się, obrócił i rozpaczliwym hakiem uderzył go w bok.

Trafił dobrze i mocno, więc zgodnie z trzecią zasadą dynamiki Newtona, tą o akcji i reakcji, odebrał mu trochę impetu, ale ponieważ tak wielkiego, w dodatku rozpędzonego cielska nie powstrzymałby nikt ani nic, Reachera momentalnie obróciło, odrzuciło i musiał znów się pochylić, żeby uniknąć zmierzającej ku niemu niedźwiedziej łapy. Zatoczył się do tyłu, młóćąc powietrze rękami i próbując odzyskać równowagę.

Zapaśnik zaatakował ponownie. Jak na kogoś zbudowanego jak mors był całkiem zwinny. Reacher odskoczył w bok i po drodze udało mu się trafić go w nerki. Cios był słaby, bez widocznego skutku, i tamten pewnie go nawet nie poczuł. Zaszurał nogami, odwrócił się na dwa takty i znów runął na niego brzuchem naprzód, zaciekle, robiąc szybki zwód najpierw w lewo, potem w prawo, wciąż szukając sposobu, żeby go obłąpić. Czego Reacher wolał uniknąć. Dlatego cofnął się o krok, potem o drugi i kiedy grubas znalazł się w zasięgu ręki, prawym prostym huknął go w twarz, mając wrażenie, że wali pięścią w ścianę pokoju bez klamek. Znów się pochylił – nisko, żeby uniknąć kontaktu z rozczapierzoną niedźwiedzią łapą, która przeleciała mu tuż nad głową – wyprostował się, okręcił, silnym lewym hakiem przyłożył przeciwnikowi w plecy i szybko odskoczył.

Zapaśnik ciężko dyszał. Musiał trochę pobiegać i przyjął na ciało dwa w miarę porządne ciosy, a nawet dwa i pół. Pewnie zaraz zeszytnieje. Reacher cofnął się jeszcze dalej. Ziemia była nierówna. Tuż obok leżało jabłko, błyszczące jak klejnot na spalonej słońcem trawie. Dwaj pozostali, ci z poprzedniego dnia, wyczuli krew i zaczęli podchodzić bliżej.

W górze wciąż krążył jastrząb.

Przegrupowali się i ustawili krok przed zapaśnikiem. Chcieli zabezpieczyć flanki. Albo szykowali się do pościgu. Myśleli, że ucieknie?

Pasibrzuch przyjął pozycję jak na ringu. Reacher czekał. Grubas zaatakował. Tak samo jak przedtem. Odepchnąwszy się lekko ugiętymi potężnymi nogami, runął na niego niczym rozpędzony gąsior, znów brzuchem naprzód, bo zamierzał wykorzystać go w charakterze tarana. Reacher chciał odskoczyć w lewo, ale

zaczepił o coś nogą, potknął się i tamten otarł się o niego ramieniem. Tylko się otarł, ale Reacher miał wrażenie, że przejechała go ciężarówka, w dodatku dwa razy, bo najpierw oberwał od spaślaka, a zaraz potem, z taką samą siłą, tylko skierowaną w przeciwnym kierunku, zderzył się z ziemią, najpierw prawym bokiem, potem głową, a na końcu, w plątaninie kończyn, całą resztą.

Gość był zwinny, więc natychmiast zawrócił. Reacher przetoczył się w lewo, ale ponieważ zrobił to za wolno, grubas kopnął go między łopatki, czym proces ten wydatnie przyspieszył. Na ziemi – rzadka pozycja jak dla Reachera. Choć nie całkiem mu obca. Pierwsza zasada głosiła, że trzeba natychmiast wstać. Migiem. Druga też. I trzecia. Pozostając na ziemi, stałby jedną nogą w grobie. Dlatego zaczekał, aż przeturla się na twarz, i wstał sprężynką, niczym wytrawny gimnastyk popisujący się po pięćdziesięciu pompkach. Teraz i on ciężko oddychał. I kipiał gniewem. Cios z buta na pewno nie należał do arsenału przepisowych chwytów zapaśniczych. Widocznie zmieniły się zasady.

No dobra, pomyślał. Jak chcesz.

Tamten znów przyjął pozycję wyjściową. Wtedy Reacher dostrzegł coś, co powinien był dostrzec dużo wcześniej. I co by dostrzegł, gdyby zasady gry zmieniły się odrobinę wcześniej.

Postanowił zaczekać.

Pasibrzuch ruszył do ataku.

Nisko, odepchnąwszy się lekko ugiętymi potężnymi nogami. Reacher zrobił krok do przodu i kopnął go w kolano z taką samą siłą jak w krocze, w dobrym tempie, z rozpędu, zamasyście i od dołu. Trafił idealnie, prosto w punkt. Poza tym zapaśnik dosłownie na niego wpadł, z całym impetem. Piłka opuściłaby nawet dwa stadiony. Rezultat był spektakularny. Kolana są słabym punktem każdego grubasa. Kolano to kolano. Zwykły staw. To po prostu kolano, nic więcej. Nie rośnie ani nie staje się silniejsze tylko dlatego, że ktoś przez cały semestr dźwiga ciężary na siłowni. Przeciwnie, podlega coraz większym obciążeniom.

W tym przypadku po prostu eksplodowało. Rzepka rozleciała

się na kawałki albo się przemieściła, możliwe, że rozrywając przy okazji ścięgnię czy coś tam, bo spaślak runął na ziemię jak marionetka z przeciętymi sznurkami, a ponieważ zasada numer jeden kazała mu natychmiast wstać, zerwał się z ziemi, stanął na jednej nodze i głośno wyjął, zaczął wymachiwać niedźwiedzimi łapami, żeby utrzymać równowagę. Jego kumple zrobili krok do tyłu. Jak na giełdzie. Cena akcji spada albo idzie w górę. Wielebny Burke przestał udawać semafor. Przywarł do ogrodzenia i obserwował ich z oddali.

W tym momencie Reacher postawił na brutalną skuteczność. Punkty za styl przestały mieć znaczenie. Więc kiedy grubas wyprowadził rozpaczliwy cios, chwycił go za pięść, szarpnął, pozbawił równowagi i zapaśnik znów upadł, ciężko i niezdarnie. Wówczas Reacher kopnął go w głowę, raz i drugi.

Potem wyprostował się i wypuścił powietrze. Wdech, wydech, wdech i wydech.

Pozostali dwaj cofnęli się o kolejny krok. Przystanęli i nerwowo przebierając nogami, robili wszystko, żeby wyglądać jak najpotulniej. Podnieśli ręce wnętrzem dłoni do niego, jakby się od czegoś odpychali. Poddawali się, ale także się dystansowali. Chcieli dać mu coś do zrozumienia.

To nie nasz pomysł.

– Skąd wystraszaście ten wór sadła? – spytał Reacher.

Kopnął pasibrzucha jeszcze raz, lekko, w bok, żeby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli.

Kumple tłuściocha milczeli.

– Lepiej powiedzcie – dodał Reacher. – Zależy od tego wasza przyszłość.

– Przyjechał dziś rano – bąknął chłopak po prawej.

– Skąd?

– Z Bostonu. Teraz tam mieszka, ale jest stąd. Znamy go z liceum.

– Zdobył jakieś puchary?

– Mnóstwo.

– Spadajcie.

I chłopcy spadli. Pobiegli sprintem na południe, dziarsko

pracując nogami i łokciami. Reacher odprowadził ich wzrokiem. Potem ominął pokonanych i ruszył przez sad. Wielebny czekał przy ogrodzeniu. Podniósł rękę, tę, którą wymachiwał. Trzymał w niej komórkę.

– Ciągle dzwoniła – powiedział. – Ale tu nie ma zasięgu. Odszedłem trochę dalej i złapałem dwie kreski. To ten ornitolog z uniwersytetu. Powiedział, że to jedyna okazja, żeby porozmawiać, bo do końca dnia jest zajęty. Więc wróciłem i próbowałem zwrócić pana uwagę.

– Widziałem.

– Zostawił wiadomość.

– W telefonie?

– Nie, u mnie.

Reacher kiwnął głową.

– Najpierw muszę zadzwonić do detektyw Amos.

Piąty klient był równie nierzucający się w oczy jak pierwszy i trzeci. Czuwający na zapleczu Mark, Steven i Robert usłyszeli dzwonek podłączony do grubego kabla w poprzek drogi. Spojrzeli na ekrany monitorów. Robert wyświetlił na nich wylot drogi w trzech różnych ujęciach. Czekali. Z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę trzy kilometry przejeżdżało się w cztery minuty, a z prędkością trzydziestu – w sześć. Czyli średnio w pięć, zależnie od umiejętności kierowcy i pojazdu, jakim jechał. W nawierzchni roiło się od dziur.

Według zegarów cyfrowych w prawym dolnym rogu monitorów temu kierowcy zajęło to dokładnie pięć minut i dziewiętnaście sekund. Zobaczyli pick-upa wyjeżdżającego zza drzew na jasną łąkę. Robert poruszył dżojstikiem i zrobił zbliżenie. Był to ford F150 z kabiną na dwie osoby i długą paką. Brudnobiały. Podstawowy model sprzed trzech, czterech lat. Wóz człowieka pracy. Narzędzie.

Robert dał jeszcze większe zbliżenie, żeby sprawdzić tablicę rejestracyjną. Pochodziła z Illinois, ale wiedzieli, że to pic. Facet mieszkał w Nowym Jorku. Jego służbowe IP było nie do wytropienia, ale do jego domowego Wi-Fi mógł wejść każdy. Zarządzał jakimś funduszem na Wall Street i należał do anonimowych milionerów, o których nikt nigdy nie słyszał. Mark bardzo chciał zrobić na nim wrażenie. Uważał, że Wall Street może stać się ich głównym rynkiem zbytu. Pracowali tam odpowiedni ludzie, którzy mieli odpowiednie potrzeby i odpowiednie pieniądze.

Patrzyli, jak klient jedzie przez łąkę i z lekkim podskokiem wjeżdża na motelowy parking. Widzieli, jak staje przed recepcją. I jak Mark wychodzi mu na spotkanie. Jak ściskają sobie ręce i wymieniają uprzejmości. Mark dał mu klucz i wskazał pokój. Jedenastkę. Najlepsza lokalizacja. Bardzo znacząca pod każdym

względem. Wasze łóżka prawie się stykają, głowa w głowę. Stoją symetrycznie, rozdziela je tylko ściana. Cieniutka, bo ledwie kilkucentymetrowej grubości. Tak, jedenastka była pokojem VIP-owskim, bez dwóch zdań. Tak wielkim zaszczytem się nie szasta. Ale Mark nalegał. Ciągle powtarzał, że psychografia jest bardzo ważna.

Robert kliknął myszką, zastukał w klawiaturę i ustawił ekrany tak, żeby mogli widzieć wszystko naraz, na każdym monitorze, zachodzące na siebie obrazy w różnych ujęciach, jak w nieudolnej próbie rzeczywistości wirtualnej. Widzieli, jak ten z Wall Street parkuje za zepsutą hondą. Widzieli, jak idzie przez parking, żeby zajrzeć przez okno do pokoju numer dziesięć. Zajrzał i nic nie zobaczył. Więc wrócił. Tak, wyglądał na kogoś z Wall Street. Porządna fryzura, wyrobione na siłowni mięśnie i ładna opalenizna, którą zdobył w solarium i podczas weekendowych wizyt w wynajętym dla żony letnim domu w Hamptons. Dobrze ubrany, chociaż starał się pewnie ubrać jak najgorzej. Żeby pasować do nijakiego pick-upa. Tylko że nie miał w szafie takich rzeczy. Przyjechał z dwoma kuferkami i miękkim nylonowym workiem. Kuferki i worek leżały na otwartej pace i były zakurzone po podróży.

A w szoferce, na miejscu pasażera, spoczywała plastikowa reklamówka z nowojorskich delikatesów wypchana albo kartoflami, albo zwitkami banknotów.

Tymczasem czterej pierwsi zbili się już w gromadkę. Zwierali szyki, przygotowywali się do rozmowy, choć na razie tylko przestępowali z nogi na nogę, czekając, aż ktoś coś powie. Nawiazywanie męskich przyjaźni. Bardzo żmudny proces. Robert podkreślił dźwięk. Frontowa ściana motelu była naszpikowana ukrytymi mikrofonami wspomaganymi czymś, co wyglądało jak talerz telewizji satelitarnej, choć w rzeczywistości było mikrofonem parabolicznym, wrażliwym jak uszy nietoperza i wycelowanym w goły kawałek ziemi pod oknem pokoju numer dziesięć. Dokładnie tam, gdzie zebrała się czwórka tych pierwszych. Zdecydowana nadwyżka środków elektronicznych, ale Mark się uparł. Ciągle powtarzał, że reakcja konsumentencka jest

niezmiernie ważna. Im bardziej szczerza i nieprzefiltrowana, tym lepiej. A najlepiej, żeby klienci w ogóle nie wiedzieli, że są podsłuchiwani.

Ich głosy były ciche i trochę zniekształcone. Ostrożne pozdrowienia, tak jak przedtem, te same opowieści podrózne o tym, że przyjechali tu punktualnie i bez ogona, te same opisy Patty i Shorty'ego, okazów zdrowych, silnych i robiących dobre wrażenie.

Ale potem w reakcji konsumenckiej zabrzmiała negatywna nuta. Zawiedziony Mark odwrócił wzrok. Na ekranach doszło do drobnej schizmy. Powstały dwie frakcje, które dzieliła bardzo ważna różnica. Klienci numer jeden, dwa i trzy widzieli Patty i Shorty'ego przez okno. Na żywo, we własnej osobie. Za szybą. Kiedy podniesiono roletę. Natomiast klienci numer cztery i pięć ich nie widzieli, bo Patty i Shorty uciekli do łazienki. Gdzie nie było ani jednego okna, cholera! Stąd żal i pretensje. Skoro mieli mieć równy start – to wolny kraj, równe szanse dla każdego i tak dalej – trzeba było zaczekać, aż przyjadą wszyscy i dopiero wtedy podnieść tę przekłętą roletę. Zorganizować coś w rodzaju ceremonii, ustawić ich przed oknem i uroczyście odsłonić kurtynę. A przynajmniej wstawić okno w tym pieprzonym kiblu! Jedno albo drugie.

– Okno w łazience? – powiedział Mark do kolegów. – Nie widzę takiej możliwości. W każdym razie nie ze zwykłą szybą. Dziwnie by to wyglądało. A szyba z innego materiału nie miałyby sensu. Nic by nie było widać.

– Można by zakleić szybę plastikową folią – zasugerował Steven. – Od zewnątrz. W jakieś wzory czy coś, żeby od wewnątrz nie można było nic zobaczyć. I w odpowiednim momencie ją zerwać.

– Próbujesz ominąć problem – zauważył Robert. – Zawaliliśmy sprawę z roletą. To proste. Facet ma rację. Powinniśmy byli poczekać, aż wszyscy przyjadą.

– Patty chciała zobaczyć słońce – przypomniał mu Mark.

– A kim my jesteśmy? Pracownikami socjalnymi?

– Jej nastrój może okazać się decydujący.

– A w jakim jest teraz?

– Uspokójcie się – rzucił Mark. – Bądźmy kreatywni. Co się stało, to się nie odstanie. Opuściliśmy roletę po przyjeździe trzeciego klienta. Trzech ich widziało, trzech ich nie zobaczy. Dokładnie połowa. Potraktujmy to jako nagrodę za punktualność. Jako pułap premiowy. Czy ofertę. Jak w dobrym marketingu.

– Jeśli ktoś jest punktualny, to znaczy, że przyjechał o czasie, a nie wcześniej. Nie powinniśmy ich dzielić.

– Za późno.

– Każdy błąd można naprawić. Jeszcze zdążymy.

– Naprawić? Jak?

– Włączysz mikrofon w dziesiątce i przypomnisz im, że ich ostrzegaliśmy, ale ponieważ nie wiedzieli, w co się pakują, dla ich komfortu psychicznego podjęliśmy jednostronną decyzję, żeby znowu opuścić roletę. I natychmiast to zrobimy. Usłyszą warkot silniczka i wyjdą z łazienki. Jednocześnie przeprosimy klientów numer cztery i pięć i zapewnimy ich, że właściwa ceremonia podniesienia rolety odbędzie się później. Kiedy Patty i Shorty się uspokoją. Kiedy wszyscy będziemy gotowi. Na przykład o zmierzchu. Moglibyśmy ją podnieść i zapalić światło w pokoju. Założę się, że siedzieliby już na łóżku. Byłoby jak u Saksa w Boże Narodzenie. Ludzie zjeżdżaliby się z całej okolicy.

– To nie rozwiązuje problemu – stwierdził Mark. – Bo i tak trzech widziałoby ich raz, a trzech pozostałych dwa razy. A to nie to samo.

– Nic innego nie wymyślimy – powiedział Robert. – Niech to będzie rodzaj gestu z naszej strony. Inaczej możemy mieć problem. Wiesz, jak jest w chatroomach. Wieści się rozchodzą, mogą przesądzić o przyszłości. Moim zdaniem powinniśmy to naprawić.

Mark długo milczał.

Potem zerknął na Stevena, który powiedział:

– Moim też.

Mark kiwnął głową.

– Dobrze.

Robert nacisnął guzik z napisem *Pokój 10* i opuścił roletę.

• • •

Głos popłynął z sufitu. Tak jak przedtem. Głośny jak w pokoju.

– Słuchajcie, bardzo was przepraszam. Szczerze. To wyłącznie moja wina. Mówiąc, że widok może się wam nie spodobać, nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Dlatego znów opuściliśmy roletę i nie podniesiemy jej, dopóki tego nie zażądacie. Jestem przekonany, że poczujecie się teraz swobodniej. Jeszcze raz przepraszam. Postąpiłem bezmyślnie.

– Czego od nas chcecie? – spytała Patty. – Co z nami będzie?

– Wkrótce o tym porozmawiamy. Na pewno przed wieczorem.

– Nie możecie trzymać nas tu w nieskończoność.

– Nie zamierzamy – powiedział Mark. – Słowo. Sami zobaczycie.

Coś cicho kliknęło i sufit umilkł.

– Wierzysz mu? – spytał w ciszy Shorty.

– Ale konkretnie w co?

– W to, że opuścili roletę.

Patty kiwnęła głową.

– Słyszałam warkot.

Shorty wstał sztywno z podłogi i uchylił drzwi, tylko na centymetr. To wystarczyło. Dienne światło zniknęło. W pokoju panował półmrok.

– Wracam – rzucił. – Tu jest niewygodnie.

– Oni znów ją podniosą.

– Kiedy?

– Kiedy nie będziemy się tego spodziewali.

– Dlaczego?

– Bo z nami pogrywają.

– Zaraz podniosą?

– Raczej nie. Trochę odczekają. Żebyśmy nabrali pewności siebie.

– Więc chwilowo jest bezpiecznie – skonstatował Shorty. – A potem zasłonimy okno. Przybijemy prześcieradło do futryny.

– Mówisz poważnie?

– Czemu nie?

Kiedyś Patty zaprotestowałaby choćby przez wzgląd na dobre

manierę. Jako Kanadyjka. Bo przecież zniszczyliby prześcieradło i ścianę. Ale teraz spytała:

- A masz młotek i gwoździe?
- Nie.
- No to nie gadaj, bo ci się zęby spocą.
- Przepraszam – bąknął Shorty.

Postał trochę pod drzwiami, a potem wszedł do pokoju. Od siedzenia na zimnych kafelkach podłogowych i opierania się o te na ścianie bolały go plecy i tyłek. Położył się na łóżku i spojrzał na sufit. Gdzieś tam ukryli kamerę. Której nie widział. Tynk był zupełnie gładki, wszędzie. Więc musieli zamontować ją w lampie albo w czujniku dymu. Na pewno. Nie, w lampie nie. Za gorąco. Kamery szpiegowskie są delikatne. Obwody scalone, malutkie nadajniki i tak dalej.

Spojrzał na czujnik. Skoro nie w lampie, to tam. Wyobraził sobie, że czujnik patrzy na niego. A potem, że roztrzaskuje go młotkiem. Że szczątki czujnika spadają jak deszcz na łóżko. I że wciąż trzyma w ręce młotek. Co roztrzaskałby potem?

Wstał i wrócił do łazienki. Zamknął drzwi. Odkręcił kran nad umywalką i puścił wodę. Patty obserwowała go z podłogi. Shorty pochylił się, zbliżył usta do jej ucha i szepnął:

- Tak sobie myślę... A gdybym miał młotek?
- To co? – odparła Patty. – Przybiłbyś prześcieradło do futryny?
- Nie. Potem.
- Nie wiem.
- Mógłbym przyjść tutaj. Łazienka jest z tyłu, a wszystko dzieje się od frontu, tak? Cały ten cyrk z podnoszeniem rolety i zaglądaniem do pokoju. Może tyłu nikt nie obserwuje. Ściana to tylko kafelki, półtoracentymetrowa płyta gipsowo-kartonowa, piętnastocentymetrowa dziura między słupkami konstrukcyjnymi, możliwe, że zapchana watą termoizolacyjną, folia przeciwwilgociowa i cedrowe deski elewacji przybite co czterdzieści centymetrów do drewnianego rusztu.

- I co z tego? – nie zrozumiała Patty.
- Gdybym miał młotek, mógłbym się przez nią przebić. I byśmy uciekli.

– Przez ścianę?

– Dobremu specowi od wyburzania zajęłoby to sekundę – zapewnił ją Shorty. – To rutynowa sprawa.

– Więc szkoda, że nie masz młotka.

– A gdyby tak spróbować kufrem? Moglibyśmy go rozhuścić na tym nowym uchwycie i uderzyć nim w ścianę jak taranem. Na trzy, no wiesz. Kafelki odskoczyłyby od razu. Wszystkie, całą płachtą. A wtedy rozwaliłbym kopniakiem resztę.

– Cedrowych desek nie rozwalisz.

– Nie muszę. Są przybite gwoździami do drewnianego rusztu i wystarczy huknąć w nie nogą. Z gwałtownie przyłożoną siłą skierowaną od wewnątrz na zewnątrz. Odpadną same. Musiałbym tylko przebić się przez płytę gipsową, co też jest łatwe. Gips jest kruchy.

– Dużą zrobiłbyś dziurę? – spytała Patty.

– Miałyby trzydzieści, trzydzieści pięć centymetrów szerokości. Moglibyśmy przecisnąć się bokiem.

– Z kufrem?

– Coś za coś – odparł Shorty. – Musimy myśleć realistycznie. Kufer zostałby tutaj, dopóki nie zarekwirowalibyśmy jakiegoś środka transportu.

Patty przez chwilę się nie odzywała.

W końcu spytała:

– Czyli czego?

– Niektórzy z tych, co zaglądali przez okno, musieli przyjechać tu samochodem. Co znaczy, że ich samochody stoją teraz na parkingu. A jeśli tamci odbierali ich SUV-em, SUV też gdzieś tam jest, ciepłutki i gotowy do drogi. Jeśli go nie znajdziemy, poradzimy sobie i tak, bo w stodole jest kilka innych wozów. Stodoła jest kilka kroków stąd i założę się, że wszystkie kluczyki wiszą rządkiem na eleganckiej małej deseczce.

– A więc najpierw zniszczymy ich własność, a potem ukradniemy im samochód – podsumowała Patty.

– Żebyś wiedziała!

– To szaleństwo, tak jak z tym quadem.

– Pomysł z quadem był dobry. I zadziałał. Sama widziałaś.

Działał doskonale, od początku do końca. Nie zadziałało coś innego. Nie wiedzieliśmy, że są tu kamery i mikrofony. Że tamci nas oszukują.

– Czysto teoretycznie: ile czasu zajęłoby zrobienie dziury w ścianie?

– Nie tak dużo – odparł Shorty. – Pod warunkiem że zrobimy małą, tuż nad podłogą. I się przez nią wyczołgamy.

– Nie tak dużo, czyli ile minut?

Shorty zamknął oczy i wyobraził sobie całą procedurę. Osiem kopnięć. Sześć czubkiem buta, żeby rozbić gipsową płytę w strategicznych miejscach, i dwa potężne kopnięcia całą podeszwą, żeby zrobić dziurę. Powiedzmy, że w sumie osiem sekund. Potem czas potrzebny do usunięcia waty termoizolacyjnej, co zrobiliby błyskawicznie, garściami, jak pies grzebiący w ziemi w poszukiwaniu skarbu. Powiedzmy, że też osiem sekund. Albo dziesięć. Dla pełnego bezpieczeństwa dwanaście. W sumie dwadzieścia sekund. Ale potem natrafiłby na elewację. Deski nie puściłyby tak łatwo. Przybito je dużymi gwoździami, pewnie z pistoletu. Problemem był kąt natarcia. Musiałyby użyć bardzo dużej siły i kopać nisko, jak w karate, w dodatku przez wąski otwór. Trochę w bok i w dół. Niewygodnie. W takiej pozycji trudno jest wykorzystać całą siłę. Lepiej położyć się na plecach. Gwałtowny ruch nogą w dół przełożyłby się na maksymalną siłę skierowaną na zewnątrz. Jeden kopniak, drugi... Co najmniej osiem.

– Około minuty – odparł.

– Nieźle – oceniła Patty.

– Pod warunkiem że kafelki odpadną.

– A jeśli nie?

– Musielibyśmy je zrywać kafelek po kafelku. Żeby dostać się do płyty gipsowej. Potem wystarczyłaby minuta. Dobra, powiedzmy, że dwie, bo bylibyśmy zmęczeni kafelkami.

– Czyli w sumie ile minut?

– Miejmy nadzieję, że odpadną – rzucił Shorty.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Jestem za.

– Kiedy? – spytała Patty.

– Teraz. Pobiegniemy prosto do quadów. Są lepsze od samochodów. Moglibyśmy uciec przez las. Byliby bez szans.

– Chyba że wsiedliby na innego quada. Mają ich dziewięć.

– Mielibyśmy przewagę – zauważył Shorty.

– Umiesz jeździć quadem?

– A co w tym trudnego?

Patty długo milczała.

– Krok po kroku – powiedziała w końcu. – Najpierw sprawdzimy, czy kufrem da się rozbić kafelki. Czy odpadną całą taflą. Jeśli odpadną, podejmiemy ostateczną decyzję. Jeśli nie, i tak możemy próbować dalej.

Shorty otworzył drzwi i spojrzął na kufer. Wciąż stał tam, gdzie zostawili go wiele godzin temu. Po tym, jak Karel odjechał lawetą.

– Zobaczą, że go biorę – szepnął. – Przez kamerę.

– Nie wiedzą, co w nim jest – odszepnęła Patty. – Chyba wolno nam zabierać własne rzeczy do łazienki. Mogą być nam potrzebne. Do pokoju ciągle ktoś zagląda przez okno, więc postanowiliśmy spać tutaj. To zupełnie naturalne.

Shorty zawahał się. Kiwnął głową. I wszedł do pokoju. Ze stoickim spokojem. Zupełnie naturalnie. Podszedł do kufra, podniósł go i wrócił do łazienki. Postawił kufer i zamknął drzwi. Dopiero wtedy wypuścił powietrze i potrząsnął ręką, żeby złagodzić ból dłoni.

Wybrali miejsce. Na lewo od umywalki. Bez gniazdek, a więc bez ukrytych w ścianie kabli, które mogły pokrzyżować im plany. Bez kabli i rur. Rury wodno-kanalizacyjne biegły po drugiej stronie łazienki. Świetnie. Pestka.

Przyciągnęli kufer bliżej, kilka razy go popchnęli, aż znalazł się tam gdzie trzeba. Stanęli naprzeciwko siebie, ona po jednej stronie, on po drugiej. Pochylili się i czterema rękami chwycili za sznur. Podnieśli kufer piętnaście centymetrów, żeby ominąć listwę przypodłogową. Cofnęli się o krok i zaczęli huścić kufrem, łagodnie i stopniowo, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Był duży i solidny. Bardzo stary. Ze sklejki obciągniętej grubą skórą,

wzmocniony narożnymi okuciami. Szybko się zgrali, wpadli w rytm i pozwolili, żeby pracował za nich ciężar. Za każdym zamachem cofali jedną rękę i wyciągali drugą, żeby kufer poruszał się równolegle do podłogi, jak tłok w silniku. Chcieli, żeby uderzył całą powierzchnią bocznej ścianki.

– Gotowa? – spytał Shorty.

– Tak – odparła Patty.

– Na trzy.

Do tyłu i do przodu, jeszcze raz do tyłu i znów do przodu. Na trzy, kiedy kufer nabrał maksymalnego impetu, zrobili krok w bok, żeby nadać ciężarowi jak największe przyspieszenie.

Kufer grzotnął w ścianę.

Rezultat odbiegał od ich oczekiwań.

Shorty instynktownie przewidywał, że płyta gipsowa choć trochę się zapadnie i gładź pęknie. Do gładzi były przyklejone kafelki. Gdyby odpadła, kafelki odpadłyby wraz z nią. Całą taflą. Zajęłaby się tym grawitacja.

Nic z tego.

Zamiast odpaść, kilkanaście kafelków rozleciało się na kawałki. Jedne fragmenty spadły na podłogę, inne pozostały na ścianie i małe, wielkości monety, wciąż siedziały mocno na małych jak moneta grudkach lepidła. Fuszerka. Kafelkarz rzucał na płytki trzy, cztery pacynki kleju i przyciskał je do ściany. Wszystkie, jedną po drugiej. Po uderzeniu kufrem puste miejsca między grudkami po prostu się zapadły i kafelki popękały. Natomiast płyta nie ustąpiła.

Postawili kufer. Shorty wcisnął kciuk między dwa ocalałe fragmenty. Gładź wciąż tam była, sucha, gładka i kremowa. Sztywna i twarda. Podrapał paznokciem. Drobny proszek. Nacisnął mocno kłębem kciuka, potem kłykciami i wreszcie jeszcze mocniej całą pięścią. Płyta nie puściła. Ani na milimetr. Była jak z kamienia.

– Dziwne – mruknął.

– Próbujemy jeszcze raz? – spytała Patty.

– Chyba tak. Tym razem pełną parą.

Cofnęły się na tyle, na ile pozwalała szerokość łazienki. Do tyłu

i do przodu, jeszcze raz do tyłu i znów do przodu, porządnym, na metr długim łukiem. Na trzy zrobili niezdarny krok w bok i ze wszystkich sił grzmotnęli kufrem w ścianę.

Z tym samym rezultatem. Znów odpadło kilka samotnych skorup. Nic więcej. Jakby walili w beton. Wstrząs omal nie rozerwał im nadgarstków.

Odsunęli kufer i Shorty opukał ścianę. Badawczo, tu i tam, jakby pukał do drzwi. Wydawała dziwny odgłos. Jakby była ni to pusta, ni to czymś wypełniona. Pół na pół. Cofnął się i kopnął. Raz i drugi, jeszcze mocniej. Ściana zatrzęsa się i zadygotała. Cała, jak wielka lita płyta.

– Dziwne – powtórzył.

Podniósł z podłogi ostry kawałek kafelka i poskrobał nim gładź. Zrobił długi rowek i pogłębił go, drapiąc i dźgając. Potem zrobił drugi i jeszcze jeden, aż powstał szeroki trójkąt obejmujący kilka fragmentów wciąż przyklejonych i omijający kilka innych. Znów się cofnął i znów kopnął, mocno, starannie celując. Trójkątny fragment gładzi odpadł, odsłaniając kartonową powierzchnię nowiutkiej płyty gipsowej. Shorty zaatakował ją ostrym kawałkiem kafelka, wściekle, siekąc, dziobiąc i kłując w chmurze pyłu i poskręcanych zwitków zerwanego papieru. Wreszcie cofnął się i sfrustrowany kopnął raz, drugi i trzeci. Kopał jak oszalały i rozniósł płytę na kawałki. Starł ją na proch. Unicestwił.

Ale się nie przebił. Nie mógł. Płytę wzmocniono czymś w rodzaju grubej stalowej siatki, która ukazywała się stopniowo, w miarę jak niszczył płytę. Wisiała w chmurze pyłu, gęsta i upiornie biała, wzmocniona grubymi jak palec stalowymi włóknami biegnącymi z góry do dołu i z boku na bok. Miała zniechęcające kwadratowe oczka, w których mieścił się kciuk, ale nic więcej.

Ostrym kawałkiem skorupy Shorty wyciął więcej płyty i znalazł miejsce, w którym do siatki, z drugiej strony, przyspawano jasnozielony przewód uziemiający. Coś w rodzaju połączenia elektrycznego. Bardzo porządnie zrobionego. Metr dalej znalazł drugi. Identyczny. Przyspawany do siatki kabel.

A potem znalazł miejsce, gdzie siatka była przyspawana do

więziennej kraty.

Nie miał żadnych wątpliwości. Poznał ją po wielkości, kształcie i odstępach między prętami. Pokazywali takie we wszystkich filmach kryminalnych. W ścianę wbudowano więzienną kratę. Wielką, od sufitu do podłogi. I przyspawano do niej siatkę, jak kurtynę. Jak przybite do futryny prześcieradło. Wiedział po co. Domyślił się tego, widząc przewody uziemiające. No i przypomniał mu się Mały Elektronik, zestaw dla majsterkowiczów, który dostał kiedyś na Gwiazdkę. Jako dzieciak. Od wujka. Zresztą tego samego, który wiele lat później podarował mu hondę. Siatka niczego nie wzmacniała. Siatka zrobiła z pokoju klatkę Faradaya. Rozpraszała każdy próbujący się do niej dostać sygnał radiowy i starannie przyspawanymi przewodami kierowała go do ziemi. Sygnał, sygnał i po sygnale. Podobnie z tymi, które chciały się z niej wydostać. Nieważne jakimi. Komórkowymi, satelitarnymi, sygnałami z pagera, walkietalkie czy z radia policyjnego. Nic z tego. Prawa fizyki. Nie da się ich obejść. Pokój numer dziesięć był elektroniczną czarną dziurą.

Sygnał nie mógł wydostać się na zewnątrz, bo uniemożliwiła to siatka.

Człowiek nie mógł wydostać się na zewnątrz, bo uniemożliwiła to kraty.

Patty zajrzała do ściany ponad jego ramieniem.

– Co to jest?

Shorty próbował wymyślić coś wesołego, ale nie mógł, więc nie odpowiedział.

Na skrzyżowaniu skręcili w kierunku Laconii. Lecz nie dojechali do miasta. Zrobili tylko kilka kilometrów, co wystarczyło, żeby komórka wielebnego złapała sygnał. Zaparkowali na poboczu szerokiego zakrętu w lewo. Przed nimi ciągnęły się pola i drzewa, a za drzewami majaczyło chyba miasto, ledwo widoczne we mgle. Reacher wyjął z kieszeni wizytówkę Brendy Amos i wybrał numer. Po dwóch sygnałach włączyła się poczta głosowa. Amos nie było w biurze. Reacher rozłączył się i wybrał numer jej komórki. Pięć sygnałów i w końcu odebrała.

– Ciekawe.

– Co takiego? – spytał.

– Dzwoni pan z komórki wielebnego Burke’a. Wciąż mu pan towarzyszy. I jest pan niedaleko.

– Skąd pani wie, czyja to komórka?

– Rano widziałam tablice rejestracyjne jego samochodu. Sprawdziłam w hrabstwie. I już wszystko o nim wiem. To awanturnik.

– Dla mnie jest bardzo miły.

– W czym mogę panu pomóc?

– Coś kazało mi pomyśleć o tych z Bostonu. To chyba u was utarty zwyczaj. Zastanawiałem się, jak sobie radzicie.

– Bo?

– Czy któryś już się pokazał?

Amos nie odpowiedziała.

– Ani jeden? – drążył Reacher.

– Shaw znów rozmawiał z policją w Bostonie – odparła. – Proszę nas o przysługę. W mieście krążą plotki, że pięciu tamtejszych bandziorów pojechało gdzieś na gościnne występy. W Bostonie ich nie ma. Ich nieobecność rzuca się w oczy. Logika wskazuje, że są tutaj. Jeśli tak, znamy pierwszą czwórkę. To kierowca chryslera i tych trzech z biblioteki. Martwi nas piąty.

Wyjechał z Bostonu dużo później. Zakładamy, że tamci wszczęli alarm i ruszył im na pomoc. To czyściciel. Ostateczna sankcja.

– Już tu jest?

– Nie wiem. Wciąż obserwujemy, ale możemy coś przeoczyć.

– Kiedy wyjechał z Bostonu?

– Na tyle dawno, że już powinien tu być.

– I ma mój rysopis.

– To już bez znaczenia. Prawda?

Milczała.

– Niech pan tylko nie mówi, że pan wraca – rzuciła po chwili. – Bo pan nie wraca, majorze. Niech pan się nie waży! Niech pan trzyma się od tego z daleka!

– Spokojnie, żołnierzu – powiedział. – Spocznijcie. Nie zamierzam wracać. Będę trzymał się z dala od miasta.

– Więc nie musi pan przejmować się rysopisem.

– Zastanawiałem się, co w nim właściwie jest. W tym rysopisie. Co dokładnie widział ten chłopak. Oświetlenie było kiepskie, jak to w zaułku. Nad drzwiami świeciła lampa, tyle że osłonięta. Stożkowatym kloszem. Ale założmy, że dobrze mi się przyjrzał. Chociaż był środek nocy i wściekły rwał się do bójki, a potem padł i stracił przytomność. Dlatego myślę, że jego spostrzegawczość trochę wtedy szwankowała. Co w tej sytuacji mógłby potem powiedzieć? Mówił z trudem, bo go bolało. Stracił kilka zębów. Na pewno miał posiniaczoną twarz. Może i pękniętą szczękę. Więc co by wymamrotał, jakie słowa? Myślę, że te najbardziej oczywiste. Duży, kudłaty facet o jasnych włosach. Tak by powiedział.

– No i?

– Tylko że w pewnym momencie zagadałem do tej kelnerki. Spytała, czy jestem z policji. Odparłem, że kiedyś służyłem w żandarmerii. Chłopak mógł to zapamiętać. I dodać do rysopisu, bo takie rzeczy zwykle się dodaje. Żeby rysopis był bardziej soczysty. Żeby opisać nie tylko wygląd, ale też rodzaj człowieka. Co byłoby dla niego ważne. Musiał zachować twarz. Żeby móc potem powiedzieć: Tak, oberwałem, ale biłem się ze świetnie wyszkolonym zabójcą z sił specjalnych. Co usprawiedliwiłoby

porażkę. Byłoby jak medal za odwagę. Dlatego myślę, że powiedział: Wielki, kudłaty facet o jasnych włosach. Służył w wojsku. Dokładnie to zobaczyli ci z biblioteki. Wystarczyło odhaczyć trzy kwadraciki. Postura, włosy i wojsko. Tak im powiedziano. Nie wdając się w szczegóły czy niuanse.

– Ale dlaczego mi pan to mówi? – spytała Amos.

– Dlatego, że ten rysopis pasuje do Cartera Carringtona.

Amos nie odezwała się.

– Na tyle, że może zrobić się niezręcznie – dodał. – Carrington jest wyższy i roślejszy niż przeciętny mężczyzna. Ma imponującą posturę. Bałagan na głowie. I specyficzny wygląd. Myślałem, że służył w wojsku. Okazało się, że nie, ale mógłbym przysiąc, że służył. Obstawiałem nawet, gdzie zaliczył szkolenie.

– Uważa pan, że powinniśmy go ostrzec?

– Uważam, że powinniście postawić radiowóz przed jego domem.

– Serio?

– Niech pani zleci to posterunkowemu Davisonowi. To zdolny chłopak. Nie chciałbym, żeby stało się coś złego. Przeze mnie. Nie chcę mieć Carringtona na sumieniu. Jest miły. Ma nową dziewczynę.

– Musielibyśmy zdjąć ze służby wielu ludzi – powiedziała.

– Carrington jest tylko niewinnym widzem. W dodatku kimś, kto was reprezentuje i broni.

– Z miejsca by odmówił. Właśnie dlatego. Powiedziałyby, że nie chce, żeby traktowano go specjalnie. Fatalnie by to wyglądało. Ostatecznie to nie jemu grozi niebezpieczeństwo, tylko komuś, kto może, choć nie musi, być do niego podobny. Ludzie powiedzieliby, że jest próżnym, skorumpowanym tchórzem. Nie pójdzie na to.

– W takim razie niech mu pani powie, żeby wyjechał.

– Nie mogę. Nie jesteśmy w aż tak dobrych stosunkach.

– Mnie pani powiedziała.

– To co innego.

– Niech mu pani powtórzy, że w historii, którą mi opowiedziałem, jest coś nie tak.

– To znaczy?

Zaczekał, aż minie go ciężarówka. Laweta. Jaskrawoczerwona i wypucowana. Ze złotymi paskami, prążkami i emblematami. Olbrzymia. Z rodzaju tych, które mogą ściągnąć z drogi osiemnastokołowego tira. Jechała z rykiem na północ, powoli, na niskim biegu. Zdał sobie sprawę, że już ją widział. Subaru zakołysało się od podmuchu powietrza. Po chwili warkot rozmył się w oddali.

Reacher przytknął telefon do ucha.

– Carrington się domyśli. Zrozumie. Niech mu pani powie, że kryzys dla jednych może być okazją dla innych. Niech wyjedzie na krótki urlop. W jakieś romantyczne miejsce. Już po Świącie Pracy, ceny spadły.

– On pracuje – zauważyła. – Może być zajęty.

– Niech mu pani powie, że chętnie posłucham wykładu na temat metodologii sporządzania spisów powszechnych. I że on powinien posłuchać wykładu na temat metodologii przeżycia.

– Czułam się dobrze, dopóki mi pan tego nie powiedział. Zgoda, mamy tu jakiegoś bandziora, ale co z tego, skoro jego potencjalna ofiara zniknęła? A teraz mówi pan, że jednak nie, w każdym razie nie do końca, bo może pojawić się inna.

– W razie czego niech pani do mnie zadzwoni. Będę pod tym numerem przez parę godzin. Chętnie wrócę, żeby wam pomóc. Jeśli pani chce, niech pani pozdrowi ode mnie detektywa Shawa i mu to przekaże.

– Niech pan nie wraca. Pod żadnym pozorem.

– Nigdy?

– W każdym razie nieprędko.

Reacher rozłączył się.

• • •

Minęła pora lunchu, wielebny zgłodniał i oświadczył, że chce coś przekąsić. Reacher zaproponował, że za niego zapłaci w ramach podziękowania za szoferowanie. Pojechali na wschód, w kierunku jeziora, gdzie – jak twierdził Burke – był sklepik z przynętą, kanapkami i wodą sodową, na początku ścieżki

wydeptanej przez wędkarzy. Droga okazała się całkiem niezła, a miejsce zgodne z opisem. Przed sklepikiem, małą budą, stała przenośna lodówka, a w środku głośno mruczące chłodzone gabloty pełne jedzenia dla ludzi i ryb. Była tam także szeroka na metr lada zastawiona kanapkami z białego pieczywa z sałatką z kurczaka lub tuńczyka i hot dogami, za które płacono się po trzy dolary bez jednego centa i w ramach tej ceny dostawało się jeszcze chipsy i butelkę zimnej wody. Za napoje gazowane płacono się ekstra.

– Przecież mówiłem, że ja stawiam – powiedział Reacher. – Trzeba było wybrać coś droższego.

– I wybrałem – odparł Burke.

On wziął tuńczyka, Reacher kurczaka. Obaj poprzestali na zimnej wodzie. Jedli na zewnątrz, przy ciemnobrązowym stole piknikowym na początku ścieżki.

– Dobra, co powiedział ten ornitolog? – spytał Reacher.

Wielebny długo nie odpowiadał.

O czymś myślał. W końcu odparł:

– Oczywiście chciał rozmawiać z panem. Był bardzo podekscytowany. Nie zdawał sobie sprawy, że Stan miał dzieci.

– Kim on właściwie jest? Powiedział?

– Przecież pan wie. Dzwonił pan do niego. Jest profesorem na uniwersytecie.

– Ale co ma wspólnego z Laconią?

– Szczegółowo to wyjaśnił. Najkrócej mówiąc, musi pan cofnąć się w czasie o cztery pokolenia ze strony ojca. Nie chodzi o Stana ani o pańskiego dziadka, ani nawet pradziadka, tylko o prapradziadka, który miał siedmiu braci, a ci wiele dzieci, wnuków, prawnuków i praprawnuków. Wśród nich jesteście wy, on i pan.

– My i dziesięć tysięcy innych – dodał Reacher.

– Chciałby porozmawiać z panem o Stanie. Czuje się z nim związany, bo też obserwuje ptaki. Chce się z panem spotkać. Ma jakiś pomysł, który chciałby z panem omówić.

– Pięć minut temu nie wiedział nawet, że istnieje.

– Bardzo nalegał.

- Podobał się panu?
- Trochę za bardzo napierał – odparł wielebny. – W końcu pozwoliłem sobie powiedzieć, że według mnie wkrótce pan wyjedzie, bo nie należy pan do tych, którzy zapuszczają korzenie, dlatego trudno was będzie umówić choćby ze względu na problemy z harmonogramem.
- Ale?
- Powiedział, że musicie się spotkać.
- No i?
- Jutro przyjeżdża.
- Gdzie? – spytał Reacher.
- Nie umiałem zaproponować konkretnego miejsca. Uważałem, że nie powinienem decydować za pana. Nie znałem pana preferencji. W końcu to on coś zaproponował. Boję się, że pozwoliłem sobie przyjąć tę sugestię w pańskim imieniu. Ponaglał mnie, pospieszał. Po prostu mnie zażył.
- Ale co zaproponował? – spytał Reacher.
- Ryantown.
- Poważnie?
- Wie, gdzie to jest. Prowadził tam badania. Sprawdziłem go. Spytałem o kilka rzeczy i doskonale się orientuje.
- Jutro o której?
- Będzie tam o ósmej rano.
- W leśnych ruinach.
- Powiedział, że to stosowne miejsce.
- Chyba na pojedynkę.
- „Stosowne” to jego określenie, nie moje. I to on zaproponował Ryantown.
- Podobał się panu? – spytał ponownie Reacher.
- To ważne?
- Chciałbym usłyszeć pana opinię.
- Niby jak miałbym ją sobie wyrobić?
- Słyszał pan jego głos. Musiał go pan choć trochę wyczuć.
- Ja tylko przekazuję wiadomość – powiedział Burke. – Obiecałem, więc przekazuję. Niech pan nie prosi mnie o komentarze. To nie moja sprawa.

- Założmy, że pana.
- Nie mnie wygłaszać opinie. Nie chcę na pana wpływać.
- Kiedy ktoś tak mówi, to zwykle chce.
- Był bardzo przejęty.
- To dobrze czy źle? – spytał Reacher.
- Dobrze i źle.
- To znaczy?
- Niech pan posłucha – odparł wielebny. – Gość pracuje na uniwersytecie. Jest profesorem. Akademikiem. Ja też kiedyś uczyłem, niech pan pamięta. Ale teraz jest inaczej. Naukowcy muszą się cały czas promować. Kiedyś wystarczyło trzymać się zasady „publikuj albo znikaj”, ale dzisiaj to za mało. Trzeba występować w mediach społecznościowych. Codziennie mieć coś nowego. Boję się, że on chce zdobyć pana zdjęcie. Pana w Ryantown, do bloga czy artykułu w internecie. Oczywiście nie na tym zależy mu najbardziej, ale zależy. Albo liczy na to, że zdjęcie pomoże mu wznowić badania. Albo trochę na to, trochę na to. Zupełnie mu się nie dziwię. Musi dokarmiać bestię, inaczej przepadnie w oczach studentów. Jak cię widzą, tak cię piszą. Dlatego tak wcześnie przyjeżdża. Poranne światło jest bardzo nastrojowe. Będzie pan spoglądał posepnie w niebo, wypatrując ptaków.
- Wielebny, jest pan okropnym cynikiem – stwierdził Reacher.
- Dzisiaj tak trzeba.
- Przecież każdy robi zdjęcia. I zamieszcza je w internecie. To nic strasznego. A już na pewno nie powód, żeby się z kimś nie spotkać. Przesadza pan. Próbuje mnie pan zniechęcić. Nie chce pan powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi.
- Burke długo milczał.
- Jeśli się spotkacie – odezwał się w końcu – powie panu coś, co może pana zdenerwować.
- Nie jestem ze szkła, nie pękne – zapewnił go Reacher.
- Nie o takie zdenerwowanie chodzi.
- Tylko o jakie?
- Słyszałem, jak mówi. Początkowo myślałem, że czegoś nie rozumie i chwilami bredzi. A potem, że opowiadając o przodkach,

używa jakiegoś żargonu.

– Ale czego nie rozumiał?

– Cały czas mówił o Stanie w czasie teraźniejszym. Stan jest tym, Stan jest tamtym. Stan jest tu, Stan jest tam. W pierwszej chwili pomyślałem, że mówią tak pewnie wszyscy ci, którzy mają świra na punkcie genealogii. Żeby ożywić temat. Ale on nie przestawał. Więc w końcu go spytałem.

– O co?

– Dlaczego tak mówi.

– I co powiedział?

– Uważa, że Stan żyje.

Reacher pokręcił głową.

– Obłąd. Umarł wiele lat temu. Był moim ojcem. Byłem na jego pogrzebie.

– Właśnie. Dlatego pomyślałem, że się pan zdenerwuje. Ten gość albo się myli, albo coś mu się pokręciło. Albo to jakiś wariat. Co dla kogoś pogrążonego w żałobie może być stresujące. Chodzi o pana uczucia.

– Umarł trzydzieści lat temu – powiedział Reacher. – Już się z tym pogodziłem.

– Trzydzieści lat temu?

– Mniej więcej. Dowodziłem wtedy kompanią dochodzeniówki w Niemczech Zachodnich. Pamiętam, jak leciałem samolotem. Pochowano go na cmentarzu w Arlington. Matka tak chciała, bo walczył w Korei i Wietnamie. Uważała, że na to zasługuje.

Wielebny milczał.

– Co znowu? – spytał Reacher.

– To na pewno przypadek.

– Ale co?

– On twierdzi, że według rodzinnych opowieści Stan Reacher bardzo długo pracował poza domem i nie było z nim żadnego kontaktu. Ale kiedy przeszedł na emeryturę, wrócił do New Hampshire.

– Kiedy?

– Trzydzieści lat temu – odparł wielebny. – Mniej więcej. To jego słowa. Cytat.

– Obłąd – powtórzył Reacher. – Byłem na jego pogrzebie. Facet się myli. Muszę do niego zadzwonić.

– Nic z tego. Jest zajęty do końca dnia.

– Wrócił do New Hampshire i niby gdzie zamieszkał?

– U wnuczki krewnego.

– Gdzie dokładnie?

– Może się pan tego dowiedzieć z pierwszej ręki. Jutro.

– Jadę do San Diego i nie mogę tam dojechać. Muszę się zbierać.

– Zdenerwował się pan? – spytał wielebny.

– Nie, skąd. Tylko nie wiem, co robić. Nie chcę marnować czasu na rozmowy z idiotą.

Burke popatrzył w dal.

– Już nie będę pana zniechęcał. Bałem się, że dozna pan szoku, ale skoro nie, myślę, że mimo wątpliwości powinien pan uwierzyć mu na słowo. Może to tylko zwykła pomyłka. Podobne nazwiska czy coś w tym rodzaju. A rozmowa może być ciekawa, kto wie? Choćby tylko o Ryantown. On dużo wie. Prowadził tam badania.

– Musiałbym przenocować w jakimś motelu. Nie mogę wrócić do miasta.

– Motel tu jest. Trzydzieści kilometrów stąd. Mówiłem panu. Podobno niezły.

– W środku lasu.

– Właśnie.

– W tych okolicznościach to idealne miejsce – przyznał Reacher.

– Podrzuci mnie pan? Dam panu pięćdziesiąt dolarów na benzynę.

– To za dużo – zaprotestował wielebny.

– Przejechaliśmy sporo kilometrów. Opony, eksploatacja plus koszty stałe. Ubezpieczenie, serwis, naprawy i tak dalej.

– Wystarczy dwadzieścia.

– Załatwione – powiedział Reacher.

Wstali od stołu i wrócili do samochodu.

• • •

Karel przyjechał jako szósty i ostatni. Rano jak zwykle

pracował. Zaczął wcześniej, na szosie, gdzie od razu poszczęściło mu się z niegroźną stłuczką i gdzie zaraz poszczęściło mu się po raz drugi, ponieważ firmy ubezpieczeniowe obu poszkodowanych wynajęły go do zholowania uszkodzonych samochodów. Co pozwoliło mu zamknąć bilans dnia. Reszta była jedynie dopełnieniem szczęścia, czystym zyskiem. Na inne stłuczki co prawda się nie załapał, załapał się za to na trzy awarie. Super, bo o tej porze roku to rzadkość. Przez chwilę myślał, że trafi mu się i czwarta, bo kiedy zrobił sobie fajrant i jechał już na północ, zobaczył na poboczu stare subaru. Ale nie, nic z tego. W środku siedziało dwóch mężczyzn, jeden z telefonem przy uchu, pewnie podziwiali widok. Z rury wydechowej ulatywała strużka niebieskawych spalin. Zdezelowane subaru było na chodzie.

Trzydzieści dwa kilometry dalej zwolnił i ostro skręcił w lewo, w wąski prześwit. Wylot bocznej drogi, niewiele szerszy od lawety. O burty samochodu otarły się liście i gałęzie drzew, wielkie koła zaczęły podskakiwać na dziurawym asfalcie. Zwolnił jeszcze bardziej i ledwo się teraz toczył, z nieznośnym bólem, jakby wrywano mu zęby, na najniższym biegu. Zobaczył kabel. W poprzek drogi. Dzwonek ostrzegawczy. Każda z trzech osi musiała przejechać oddzielnie. Łup, łup, łup! Takie mieli hasło. Dlatego tak bardzo zwolnił.

Przejechał, zatrzymał się i zaciągnął hamulec. Zgasił silnik. Otworzył drzwi, napierając nimi na gąszcz liści, i zrzucił torby na ziemię. Potem przecisnął się bokiem, zeskoczył i nacisnął guzik na kluczyku. Wziął torby, przeniósł je dziesięć metrów dalej i porządnie ustawił na drodze. W końcu odwrócił się, żeby popatrzeć. Laweta tkwiła między drzewami jak wielki korek. Po bokach nie było miejsca. Nie ominąby jej żaden samochód. Ani nawet quad. Co najwyżej piechur, ramieniem naprzód, rozgarniając siekące twarz gałęzie.

Blokada doskonała.

Teraz musiał tylko zaczekać. Cztery minuty później nadjechał Steven czarnym SUV-em. Mercedesem. Wyjrzał przez okno i popatrzył na lawetę. Na lewy bok, na prawy, na górę i na dół.

Oceniał ustawienie. Jakby można ją było ustawić inaczej. Karel wrzucił torby do SUV-a. Steven wycofał do dziury między drzewami i zawrócił. Ruszyli.

– Jak tam? Wszystko gra?

– Shorty rozwalił łazienkę – odparł Steven.

– Mała strata.

– Mark chce, żebyś oddał mu przysługę. Zawaliliśmy z roletą i powstało napięcie między tymi, którzy ich widzieli, i tymi, którzy przyjechali później. Dostaliby szału, gdyby okazało się, że z nimi rozmawiałeś. Albo siedziałeś z nimi w pokoju. Albo ich dotykałeś.

– Nikogo nie dotykałem – sprostował Karel. – Ani z nikim nie siedziałem. Stałem za drzwiami. Ale tak, rozmawiać, rozmawiałem. Jasne.

– Mark prosi, żebyś udał, że widzisz ich pierwszy raz. Chce to zrównoważyć, żeby było po równo, trzech na trzech. Uważa, że tym sposobem opanuje sytuację.

– Rozumiem – powiedział Karel.

Wyjechali z lasu na łąkę. Peter czekał w recepcji i przydzielił mu dwójkę. Czemu nie? Pokój nie miał znaczenia. Karel wniósł torby. Przywitał się z pozostałymi. Stanęli w grupie i kręcąc się niecierpliwie, zaczęli wymieniać opowieści podrózne. Udał, że jest tu pierwszy raz. I że jest Rosjaninem, tak dla zabawy. Z rozszerzonymi oczami wypytywał ich o Patty i Shorty'ego, jakby nigdy ich nie widział, i w głębi ducha stwierdził, że zgadza się z kilkoma opiniami. Potem tych dwóch, którzy ich nie widzieli, znów zaczęło mieć pretensje, ale złagodził je, biorąc ich stronę. Teraz było trzech na trzech, co uspokoiło sytuację. Mark miał rację.

Peter wystawił głowę zza drzwi i zaprosił wszystkich do domu, na kawę, odprawę wstępną i oglądanie nagrań z ostatnich trzech dni. Więc poszli. Spacerkiem. Zadowoleni. Bo powoli zaczęli wierzyć. Zespół był w komplecie. Przyjechała cała szóstka. Byli odcięci od świata. Wszystko działa się naprawdę. W głębi ducha obawiali się, że może to jakieś oszustwo. Ale nie. Od punktu kulminacyjnego dzieliły ich tylko godziny. Czysta ulga, która

wezbrała w nich jak morski przypływ, szybko ustąpiła miejsca przyprawiającemu o zawrót głowy podnieceniu, nad którym próbowali zapanować, bo choć zapierało dech w piersi i ścisnęło w gardle tak bardzo, że musieli przełykać ślinę, wciąż nie mieli ostatecznej pewności i bali się rozczarowania. Nie chcieli chwalić dnia przed zachodem słońca.

Ale tak, powoli zaczęli wierzyć.

Jechali tą samą drogą na zachód, w kierunku Ryantown. Reacher obserwował kreski na ekranie telefonu Burke'a. Kiedy ich liczba spadła z trzech do dwóch, poprosił, żeby wielebny zjechał na pobocze. Chciał zadzwonić do Brendy Amos i bał się, że komórka straci zaraz zasięg. Wybrał numer. Odebrała po trzecim sygnale.

– Gdzie pan jest?

– Proszę się nie martwić – odparł. – W mieście mnie nie ma.

– Nie możemy znaleźć Carringtona.

– Gdzie szukaliście?

– W domu, w biurze, w jego ulubionej kawiarni i w restauracjach, do których chodzi na lunch.

– Czy w pracy powiedział komuś, że wychodzi?

– Nie, ani słowa.

– Ma komórkę?

– Nie odbiera.

– Spróbujcie w archiwum miejskim. Pytajcie o Elizabeth Castle.

– Dłaczego?

– To jego nowa dziewczyna – wyjaśnił. – Może poszedł ją odwiedzić.

Usłyszał, jak Amos woła do kogoś po drugiej stronie sali:

– Archiwum miejskie!

– Ci z Bostonu się pokazali? – spytał.

– Sprawdzamy wszystkie wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Automatycznie, komputerowo. Jak dotąd nic.

– Mam wrócić?

– Nie – odparła.

– Mógłbym trochę pospacerować i go wywabić. Tego czyściciela.

– Nie.

Ktoś coś krzyknął.

- Elizabeth Castle też nie ma w pracy – powiedziała.
- Powinienem wrócić.
- Nie – powtórzyła po raz trzeci.
- To ostatnia szansa. Jadę na północ, do motelu. Stracę zasięg.
- Nie, niech pan nie wraca.
- Dobrze, ale przysługą za przysługę. Musi pani coś dla mnie zrobić.
- Na przykład co?
- Niech pani zajrzy do komputera i pogrzebie w przeszłości.
- Znowu? I bez tego mam od groma roboty.
- To zajmie tylko kilka minut. Macie świetne oprogramowanie.
- Aha, podlizuje się pan.
- To pani je zaprojektowała?
- Nie.
- Więc się nie podlizuję. Chcę tylko powiedzieć, że nie zabierze to pani dużo czasu. Inaczej bym nie prosił. Wiem, że jest pani bardzo zajęta.
- No tak, teraz wyjeżdża pan z szacunkiem. Chce mnie pan zagłaskać na śmierć. Czego miałabym szukać?
- Niech pani zajrzy do akt sprawy mojego ojca, tej sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. I sprawdzi następne dwa lata, do września czterdziestego piątego.
- Dlaczego akurat do września?
- Bo we wrześniu wstąpił do wojska.
- Na co mam zwrócić uwagę?
- Na wszystko, czego wtedy nie wyjaśniono.
- Na kiedy pan tego potrzebuje?
- Zadzwoń, jak tylko będę mógł. Boję się o Carringtona.

• • •

Trzymając się bocznej drogi, minęli szeroki zakręt, szosę prowadzącą przez sady do Ryantown. Reacher obserwował ekran komórki. Kreski powoli znikwały, jedna po drugiej. Telefon szukał przez chwilę zasięgu, potem zrezygnował i oświadczył, że go nie ma. W oddali ciągnęło się pasmo łąk, a jeszcze dalej las. Od lewej do prawej, zwartą ścianą. Właśnie tam jechał wielebny.

Powiedział, że skręt do motelu będzie za osiem kilometrów. Po lewej stronie. Pamiętał drogowskazy ze strzałkami po obu stronach drogi. Napis *Motel* ze złotych plastikowych liter przybity do starych sękatych słupów.

Pięć minut później wjechali między drzewa i pochłodziło. Przez liście sączyły się promienie słońca. Reacher zerknął na licznik. Jechali sześćdziesiątką. Pokonanie ośmiu kilometrów powinno zająć siedem, osiem minut. Włączył swój wewnętrzny zegar. Drzewa zgęstniały. Tworzyły teraz tunel. Słońce zniknęło. Ogarnął ich miękki, zielony półmrok.

Wielebny zdjął nogę z gazu dokładnie po siedmiu minutach, zgodnie ze wskazaniem wewnętrznego zegara Reachera. Powiedział, że zaraz będzie skręt. W lewo. Na pewno. Dobrze to pamiętał. Ale nie było tam żadnych drogowskazów. Ani złotych plastikowych liter. Tylko dwa lekko pochylone omszałe słupy u wylotu bocznej drogi. Po lewej i prawej stronie ciągnęła się zwarta ściana lasu, za nimi i przed nimi.

– Dałbym głowę, że to tutaj – powiedział.

Reacher uniósł biodra i wyjął mapę z kieszeni. Tę, którą kupił na starej stacji benzynowej na skraju miasta. Rozłożył ją i znalazł boczną drogę. Sprawdził skalę i przesunął palcem po mapie. Pokazał ją Burke'owi.

– To jedyny skręt na przestrzeni ponad sześciu kilometrów.

– Może ktoś ukradł drogowskazy.

– Albo zwinęli interes.

– Wątpię – powiedział wielebny. – Bardzo się w to zaangażowali. Mieli plan biznesowy. Słyszałem coś na ten temat. W urzędzie hrabstwa. Byli piekielnie ambitni. Ale źle zaczęli. Wdali się w spór o pozwolenie na budowę.

– Kto? – spytał Reacher.

– Ci, którzy kupili tę działkę. Mówili, że w tej branży powodzenie przedsięwzięcia zależy od tego, czy motel zostanie otwarty na początku sezonu, i że hrabstwo bez powodu spowalnia wydanie pozwolenia. Natomiast hrabstwo twierdziło, że developer rozpoczął roboty nielegalnie, bo pozwolenia nie wydano. No i doszło do sporu.

– Kiedy to było?

– Jakież półtora roku temu – odparł wielebny. – Dlatego tak bardzo denerwowali się harmonogramem robót. Chcieli otworzyć motel na wiosnę. Więc nie mogli tak szybko zwinąć interesu. Według planu mieli dwa lata na dokończenie budowy.

Mniej więcej półtora roku temu skierowano radiowóz do urzędu miejskiego, ponieważ ktoś się tam awantuował. Wrzeszczał, krzyczał i groził. Kiedy policjanci go uspokoiili, wszystkich przeprosił i na tym się skończyło.

Nazywał się Mark Reacher.

– Zobaczmy. Muszę się gdzieś przespać.

Wielebny skręcił i wjechali na asfalt z dziurami wielkości stołu. Światło jeszcze bardziej pozieleniało. Naparły na nich gałęzie, z obu stron, niektóre wiotkie i świeżo złamane, jakby niedawno przejeżdżał tędy duży pojazd.

Zobaczyli go trzydzieści metrów dalej. Tkwił jak korek między drzewami, całkowicie blokując drogę.

Laweta. Gigantyczna. Czerwona, ze złotymi paskami, prążkami i emblematami.

– Przed chwilą nas mijała – powiedział Reacher. – Wczoraj też ją widziałem.

Metr za wielkimi tylnymi kołami, w poprzek jezdni, leżał kabel. Gruby i obciążony gumą. Taki, jakie widuje się na stacjach benzynowych.

Reacher opuścił szybę. Silnik lawety nie pracował. Z rury wydechowej nie uchodziły spaliny. Burke zatrzymał samochód dwa metry przed kablem. Reacher otworzył drzwi. Wsiadł. Przeszedł nad kablem. Wielebny pospieszył za nim i Reacher kazał mu iść po jego śladach. Nie lubił leżących na drodze kabli. Nie wróżyły nic dobrego. Ten mógł ostrzegać, że ktoś ich obserwuje albo że zaraz wylecą w powietrze.

Laweta miała z tyłu opadający ku dołowi podłużny garb z krótkim solidnym dźwigiem i olbrzymim hakiem holowniczym. Miała też różne schowki z błyszczącymi chromowanymi kłapkami. Reacher zaczął przeciskać się bokiem z lewej strony, twarzą do lawety, z wysoko uniesionym lewym łokciem, którym

osłaniał twarz przed gałęziami. Przesunął brzuchem po imieniu właściciela – Karel – dumnie wypisanym złotymi literami ponadtrzydziestocentymetrowej wysokości. Wreszcie stanął przed drzwiami kabiny. Wszedł na pierwszy stopień schodków i nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Zszedł na dół, przebił się przez gałęzie do maski i spojrzął na drogę. Dalej też biegła przez las. I miała taką samą nawierzchnię. Mocno zniszczony asfalt pełen dziur wypełnionych żwirem, kamykami i gnijącymi liśćmi. Tu i ówdzie widniały ślady opon, stare i świeże. Dwadzieścia metrów dalej ziała dziura między drzewami. Naturalna wnęka, w której też zobaczył świeże ślady opon. Dwa, w kształcie litery V. Jakby ktoś wjechał tu niedawno samochodem, żeby zawrócić. Co miało sens, ponieważ kierowca lawety zniknął. Może ktoś po niego przyjechał. Zatrzymał się pysk w pysk z lawetą, wycofał, zawrócił i pojechał z powrotem.

Reacher popatrzył przed siebie.

– Pójdę zobaczyć, co tam jest.

– Jak to „pójdę”? – nie zrozumiał wielebny.

– Normalnie, piechotą.

– Według mapy to ponad trzy kilometry.

– Muszę gdzieś się przespać. I jestem ciekawy.

– Czego?

– Myślę, że gość, który wdał się w spór o pozwolenie na budowę, nazywał się Reacher.

– Pana krewny?

– Nie wiem. Może taki sam jak ten ornitolog z uniwersytetu.

– Dotrzymać panu towarzystwa?

– Jeśli się nam nie poszczęści, będziemy musieli wracać. Ponad trzy kilometry.

– Nie szkodzi – powiedział wielebny. – Mnie też to zaciekało.

Więc poszli. Mapa mówiła, że teren jest idealnie płaski, taki, po którym łatwo się idzie, ale w praniu okazało się, że droga jest nierówna i dziurawa, co bardzo utrudniało marsz. Musieli stawiać nogi to wyżej, to niżej, co znaczyło, że każdy krok groził potknięciem. Po kilku minutach przecięli łukowaty trawiasty pas, gdzie nie rościło ani jedno drzewo. Miał jakieś dwadzieścia

metrów szerokości i znikał w gęstwinie po obu stronach drogi, jakby tworzył wielki krąg. Wewnętrzna granicę. Lasu w lesie. Przypominał gigantyczny krąg zbożowy, tyle że wycięty w wysokich na dwadzieścia metrów klonach, a nie w łanie delikatnego zboża. Przez dwadzieścia metrów świeciło słońce. Potem znów pochłonął ich zielony półmrok. Przekroczyli granicę i znaleźli się w lesie wewnętrznym. Lesie w lesie. Szli w kierunku jego środka.

Pokonanie trzech kilometrów zajęłoby Reacherowi pół godziny, ale ponieważ wielebny szedł wolniej, trwało to czterdzieści pięć minut. Gdy w końcu wyszli spośród drzew, zobaczyli, że droga biegnie dalej, przez niewielką łąkę, w kierunku parkingu przed czymś, co niewątpliwie było motelem. Na parkingu, przed pokojami, stały samochody: kombi, furgonetka, pick-up i coś małego. Po lewej stronie świecił się czerwony neon recepcji.

Poszli w tamtą stronę.

• • •

I zostali natychmiast wykryci. Dwoma niezależnymi sposobami. Robert skopiował algorytm rozpoznawania twarzy z chipa w aparacie fotograficznym i wgrał go do kamery nastawionej na największe zbliżenie. Ilekroć między drzewami ktoś się pojawiał, algorytm namierzał go i uruchamiał dzwonek oraz włączał migające światło, jak w systemie wczesnego ostrzegania. Albo na radarze. Ktoś się zbliża. Zupełnym przypadkiem Steven obserwował wtedy prawy ekran w ramach zdyscyplinowanej rotacji zgodnej z różą wiatrów na kompasie. Jego uwagę przykuł jakiś ruch i zobaczył dwóch mężczyzn wychodzących z lasu na słońce.

– Mark, spójrz na to – rzucił.

Mark spojrział.

– Kto to, do diabła, jest?

Robert dał pełne powiększenie. Obraz zadrżał, zatrzęsł się i trochę zamglił. W stronę kamery szło dwóch mężczyzn. Prosto na nią. Pozornie stali w miejscu, bo kamera pracowała w dużym zbliżeniu. Jeden był mały i stary, chudy i powolny. W dzinsowej

kurtce. Miał siwe włosy. Drugi był olbrzymi. Szeroki jak kudłata szafa. Miał twarz wielkości bocznej ściany domu.

Robił wrażenie nieokrzesanego i brutalnego.

– Cholera – zaklął Mark.

– Mówiłeś, że nie przyjedzie – powiedział Steven. – Że to inna gałąź rodziny i nie będzie się nami interesował.

Mark milczał.

Z recepcji zadzwonił Peter; mówił przez głośnik.

– Tymczasem zainteresował się na tyle, że ominął blokadę i przeszedł piechotą trzy kilometry. Dobra jest, brachu, tak trzymaj!

Mark wciąż milczał.

Milczał bardzo długo.

W końcu rozkazał:

– Zatrzymajcie klientów w domu. Dajcie im więcej kawy. Pokażcie kolejne nagranie. I zamknijcie drzwi. Nikt nie ma prawa wyjść.

Wielebny Burke i Reacher zeszli z asfaltu na parking. Do tego czasu Reacher zdążył dokładnie obejrzeć to, co na nich czekało. Przypomniała mu się Brenda Amos, jej uwaga o pączkach nafaszerowanych LSD. Teraz już rozumiał, co miała na myśli, ponieważ z bliska okazało się, że parkująca przed motelem furgonetka, druga w rzędzie, jest granatowa. W bardzo dostojnym odcieniu, podkreślonym przez pełen złocistych zawijasów napis. *Perskie dywany*. Bostoński adres. Tablice rejestracyjne z Massachusetts.

Największe *déjà vu* w historii.

Chociaż niezupełnie, ponieważ tak naprawdę nie widział tej furgonetki. Jedyne słyszał o niej przez radio. Kamery monitoringu złapały ją, kiedy zjeżdżała z autostrady, za wcześniej jak na wizytę u miejscowego klienta. Ale lawetę widział. Na sto procent. Dwa razy. To jest dopiero *déjà vu*! Czterdzieści pięć minut temu przeciskał się obok widzianego dwa razy pojazdu, a teraz natknął się na furgonetkę, o której mówił przez radio dyspozytor. Zamyślony, odruchowo zwolnił. Wielebny wyprzedził go i poszedł dalej, bez pośpiechu, lecz zdecydowanym krokiem.

Reacher zobaczył, że pierwszym samochodem w rzędzie jest volvo kombi z tablicami z Vermontu. Mała niebieska honda, prawdopodobnie z importu, miała rejestrację, która nic mu nie mówiła. Za hondą parkował pick-up, koń roboczy, wóz, jakim stolarz przewoziłby deski. Brudnobiały. Z tablicami chyba z Illinois, trudno powiedzieć na pewno, bo do Illinois było dość daleko. Stał jako ostatni w rzędzie, przed pokojem numer jedenaście. Volvo przed trójką, furgonetka czyściciela dywanów przed siódmką. A mała honda przed dziesiątką. Okno dziesiątki miało opuszczoną roletę, a z plastikowego fotela przed piątką ktoś musiał korzystać, bo stał nierówno.

Skręcili do recepcji z czerwonym neonem. Weszli do środka. Za ladą siedział mężczyzna. Pod trzydziestkę, o ciemnych włosach i jasnej karnacji. Trochę nieśmiały, lecz inteligentny. Dobrze wykształcony. Zdrowy i sprawny fizycznie. Sportowiec po studiach. Ale nie ciężarowiec, raczej biegacz. Średniodystansowiec. Dyplom z nauk technicznych. Silny i gibki, gotowy do działania i pełen nerwowej energii.

– Chciałbym wynająć pokój na noc – powiedział Reacher.

– Przykro mi, ale motel jest zamknięty – odparł tamten.

– Tak?

– Zdjąłem drogowskazy na szosie. Żeby goście niepotrzebnie nie nadkładali drogi.

– Przecież na parkingu stoi kilka samochodów – zauważył Reacher.

– To nasi pracownicy. Mamy duże opóźnienie w pracach konserwatorskich. Musimy sporo naprawić, zanim pożółkną liście i wrócą turyści. Jedyнным realnym wyjściem była dwutygodniowa przerwa. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Prowadzicie prace we wszystkich pokojach naraz?

– Hydraulik odciął wodę. Elektryk grzebie w instalacji. Nie ma ogrzewania ani klimatyzacji. Nie spełniamy standardów. Nie mógłbym wynająć panu pokoju, nawet gdybym chciał.

– Macie tu perskie dywany? – spytał Reacher.

– Wykładziny. Z organicznej juty. Staramy się dbać o środowisko. Podobno wytrzymują dziesięć lat, ale pod warunkiem że starannie się je czyści. Powierzanie tego zwykłemu serwisowi byłoby pociągnięciem nierozsądnym ekonomicznie. Ci tutaj pracują wprawdzie za bostońskie stawki, ale według arkusza kalkulacyjnego na dłuższą metę opłaca się tyle zapłacić.

– Jak panu na imię?

– Mnie?

– Każdy ma imię.

– Tony.

– A nazwisko?

– Kelly.

– Jack Reacher.

Mężczyzna zrobił skonsternowaną minę, lecz po chwili znów się ożywił, jakby nagle skojarzyło mu się coś bardzo dziwnego.

– Kupiłem ten motel od rodziny, która tak się nazywa. To pańscy krewni?

– Nie wiem – odparł Reacher. – Jeśli sięgnie się wystarczająco daleko w przeszłość, wszyscy są spokrewnieni ze wszystkimi. Kiedy go pan kupił?

– Prawie rok temu. Był w połowie odnowiony. Zdążyłem na otwarcie sezonu, ale czeka nas jeszcze dużo pracy.

– Dlaczego go sprzedali?

– Przez jakiś czas prowadził go wnuk, ale chyba stwierdził, że to zajęcie nie dla niego. Miał masę pomysłów, a w tej branży liczą się nie tylko ogólne pomysły, ale i szczegóły. Miał kłopoty z pozwoleniem na renowację i rozbudowę i szybko doszedł do wniosku, że sprawa nie jest warta zachodu. Z mojego arkusza kalkulacyjnego wynikało co innego. Dlatego postanowiłem zainwestować. Lubię szczegóły.

– To elektryk jest z Vermontu czy hydraulik?

– Hydraulik. Mają tam najlepszych specjalistów na świecie, pracują wiosną, latem i jesienią. Ściągnięcie ich na południe sporo kosztuje, ale arkusz kalkulacyjny mówi, że niepotrzebnie oszczędzając centa, można stracić dolara.

– Podobnie z elektrykiem z Illinois.

– Nie, tu akurat sprawa wygląda trochę inaczej. Mają tam duże bezrobocie, więc elektrycy są tańsi, co równoważy koszty ściągnięcia ich tutaj. W sumie wychodzi na to samo. Ale jak ci ludzie pracują! Są o niebo lepsi od miejscowych, mogą przebierać w ofertach. To zupełnie nowy rynek, po ich stawkach godzinowych praktycznie nieograniczony. Biorą robotę tylko z polecenia, więc dają z siebie wszystko. Poza tym praca w motelu to dla nich nie pierwszorzędna. Na Środkowym Zachodzie jest ich więcej niż tutaj.

– Rozumiem.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że niepotrzebnie się fatygowaliście, ale...

Recepcjonista znów urwał, znów lekko zdekoncentrowany.

– Zaraz – dodał. – Chwileczkę.

Reacher i wielebny czekali.

Mężczyzna zerknął w okno.

– Jak się tu dostaliście? Zupełnie o tym nie pomyślałem. Nie mówcie tylko, że na piechotę. Ale przecież nie mogliście przyjechać samochodem. Laweta zablokowała drogę.

– Tak, przyszedliśmy piechotą – potwierdził Reacher.

– Tak mi przykro. Wszystko wali nam się i pali. Tuż przed zamknięciem motelu jeden z gości porzucił tu zepsuty wóz. Podobno silnik nie chciał zapalić, więc facet wezwał taksówkę i zniknął. Chciałem go odholować i zamówiłem lawetę, ale okazała się tak wielka, że utknęła między drzewami.

Recepcjonista znów spojrzął w okno, najpierw w lewo, potem w prawo.

– Albo laweciarz nie chce porysować sobie lakieru – dodał nieco ciszej. – Muszę przyznać, że bardzo mnie zawiódł. Drzewa po obu stronach drogi są przycięte zgodnie z zaleceniami Departamentu Transportu. Jestem skrupulatny. Dbam o takie rzeczy, możecie mi wierzyć. Powinien zmieścić się tam każdy pojazd dopuszczony do ruchu, więc...

Znów urwał, jakby przyszła mu do głowy nowa myśl.

– Podwiozę was – zaproponował. – Chociaż tam, do szosy. Rozumiem, że stoicie za lawetą. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić.

– Co jest nie tak z tym porzuconym wozem? – spytał Reacher.

– Nie mam pojęcia. Jest bardzo stary.

– Ma dziwne tablice.

– Kanadyjskie – wyjaśnił recepcjonista. – Nie wiem, może bilet lotniczy w jedną stronę jest u nich tańszy niż koszty złomowania. Mają tam na pewno surowe przepisy dotyczące ochrony środowiska. Może facet przyjechał tu tylko po to, żeby zostawić wóz i zwiać.

– Dobra – powiedział Reacher. – Niech pan nas podrzuci.

– Dziękujemy – dodał wielebny Burke.

Wyszli. Recepcjonista zamknął drzwi na klucz, poprosił, żeby

zaczekali na parkingu, i pobiegł w stronę oddalonej o trzydzieści metrów stodoły, kwadratowego klocka, przed którym parkowało dziewięć quadów w zgrabnym szyku trzy na trzy. Za stodołą był dom z ciężkimi meblami na szerokiej werandzie.

Minutę później wyjechał czarnym SUV-em. Średniej wielkości, w kształcie zaciśniętej pięści. Pewnie europejskim. Porsche albo mercedesem. Albo bmw. A może audi. Zatrzymał się tuż obok nich. Reacher zerknął na logo. To był mercedes. Z silnikiem V8. Siedzący za kierownicą recepcjonista patrzył na nich wyczekująco, więc wsiedli, Reacher z tyłu, wielebny z przodu. Zachrząścił żwir, SUV podskoczył na asfaltowym progu i ruszył przez łąkę.

– Powiniście jechać na wschód, nad jeziora – poradził mężczyzna. – Tam na pewno coś znajdziecie.

Przemknęli pod naturalnym zielonym łukiem i znaleźli się w lesie. Recepcjonista jechał szybko. Wiedział, że droga jest zablokowana i z nikim się nie zderzy. Trzy kilometry, które wielebny pokonał w czterdzieści pięć minut, mercedes przejechał w trzy. Zatrzymał się maska w maskę z lawetą. W zielonkawym świetle czerwony lakier sprawiał wrażenie zwarzonego, jak zakrzepła krew. Rosnące z obu stron drzewa napierały na nich wygiętymi gałęziami i rozczapierzonymi jak palce liśćmi. Nisko sklepią gęstwina dotykała górnej części przedniej szyby. Tak, nie ulegało wątpliwości, że laweta weszła w bliskie zwarcie z pleniącą się roślinnością. Która jednak nie ograniczała jej ruchów. Nie z momentem obrotowym tak potężnego silnika, nie z przyczepnością tak wielkich opon. Facet nie utknął. Bał się o lakier. Zrozumiała rzecz. Lakier kosztuje. Zwłaszcza kilka warstw. Kilka warstw czerwonego lakieru plus kilometry ręcznie malowanych złotych pasków i prążków. Na szczęście właściciel miał krótkie imię, które wypisano eleganckimi staroświeckimi literami, jak z listu starej wiktoriańskiej ciotki.

Recepcjonista jeszcze raz przeprosił ich za niepotrzebny trud i życzył im powodzenia. Wielebny podziękował mu i wysiedli. Burke zaczął przeciskać się bokiem, Reacher za nim, z wysoko

podniesionym łokciem, lecz w połowie drogi przystanął i spojrzął za siebie. Mercedes wycofał do dziury między drzewami, szybko, płynnie i zgrabnie, po czym zawrócił i odjechał. Jakby robił to nie pierwszy raz. I pewnie tak było. Przyjechał tu po kierowcę lawety.

Reacher odprowadził go wzrokiem i dołączył do wielebnego, który czekał na niego za kablem rozciągniętym w poprzek drogi, przy przednim zderzaku swojego wozu. Gdy wsiedli, Burke obrócił głowę i zaczął wycofywać. Wykręcał szyję, jadąc na wstecznym, aż do skrzyżowania z szosą, gdzie mogli już swobodnie skrócić w jedną lub drugą stronę.

– Na wschód? – spytał. – Nad jeziora?

– Nie – odparł Reacher. – Na południe. Aż komórka złapie sygnał. Muszę zadzwonić do Amos.

– Coś się stało?

– Chcę sprawdzić, co z Carringtonem.

– W motelu zadawał pan mnóstwo pytań.

– Tak?

– Jakby coś pan podejrzewał.

– Zawsze jestem podejrzliwy.

– A odpowiedzi właściciela? Zadowolony pana?

– Przednia część mojego mózgu uznała, że są w porządku. Były zupełnie logiczne. Wiarygodne. Wszystkie brzmiały prawdziwie.

– Ale?

– Ale części tylnej się nie podobało.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Gość miał gotową odpowiedź na każde pytanie.

– Więc to tylko przeczucie – skonstatował wielebny.

– W pewnym sensie. Coś jak zapach. Dymu nad płonąca prenią.

– Nie potrafi pan tego sprecyzować.

– Właśnie.

Jechali dalej, na południe. Reacher obserwował ekran komórki. Wciąż ani jednej kreski.

• • •

Peter omal nie zemdleł z wyczerpania. Wysadził ich, zawrócił

i na złamanie karku popędził z powrotem. Zaparkował przed domem, wpadł do centrum dowodzenia, oparł się o ścianę i osunął na podłogę. Pozostali przykucnęli wokół niego, początkowo w milczeniu, z pełnym szacunku podziwem, a potem zaczęli cicho pokrzykiwać i triumfalnie wyrzucać w górę zaciśnięte pięści, jakby oglądali mecz w telewizji i ich drużyna zdobyła właśnie decydujące przyłożenie.

– Klienci coś widzieli? – spytał Peter.

– Nic a nic – odrzekł Mark. – Ci dwaj zjawili się w idealnym momencie. Wszyscy byli tutaj. Pół godziny wcześniej mielibyśmy problem, bo kręcili się po parkingu i gadali.

– Kiedy wyjaśnimy sytuację Patty i Shorty’emu?

– A kiedy byś chciał?

– Moim zdaniem najlepiej byłoby teraz. To idealny moment. Mieliby kilka godzin na podjęcie ostatecznych decyzji i analizę wątpliwości. Ich stan emocjonalny jest bardzo ważny.

– Jestem za – rzucił Steven.

– Ja też – przyłączył się do niego Robert.

– Więc jest nas czterech – podsumował Mark. – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Dobrze, zatem teraz. Niech Peter to zrobi. Podziękujmy mu w ten sposób za ten wspaniały występ. Niech ma nagrodę.

– Jestem za – powtórzył Steven.

– Ja też – rzucił Robert.

– Ale dajcie mi najpierw złapać oddech – poprosił Peter.

Patty i Shorty przenieśli się do pokoju i od jakiegoś już czasu siedzieli na łóżku. Roleta wciąż była opuszczona. Nie jedli lunchu. Nie mogli. No i zgłodnieli. Ale jedzenie byłoby świadomym wyborem, aktem woli. Ostatnie dwa posiłki z kartonu. Ostatnie dwie butelki wody.

Odwrócili wzrok.

Włączył się telewizor.

Znowu sam z siebie.

Tak jak poprzednio. Cichutko zatrzeszczał i zabuczał, kiedy ożyła elektronika, a potem na jasnoniebieskim ekranie pojawiła się pojedyncza linijka kodu, jak w komputerze programisty.

Linijka zniknęła, ustępując miejsca twarzy...

Petera.

Cwaniaka, który grzebał pod maską hondy.

– Posłuchajcie. Pytaliście, co dalej, i uznaliśmy, że nadeszła pora, żeby wprowadzić was w sytuację. Powiemy wam, ile możemy. Wy to przemyślcie i jeśli będziecie mieli jakieś pytania, porozmawiamy znowu. Czy jak dotąd wszystko jest jasne? Uważnie słuchacie?

Patty i Shorty milczeli.

– Hej, bardzo proszę, żebyście uważali. To ważne.

– Tak jak naprawa naszego wozu? – spytał Shorty.

– Daliście się wpuścić w maliny. Dlatego tu jesteście. Z własnej winy. A ponieważ od początku jęczycie i pytacie, co z wami będzie, wszystko wam powiem, tylko musicie usiąść przed telewizorem i posłuchać.

– Ja słucham – powiedziała Patty.

– Usiądźcie obok siebie na końcu łóżka. Pokażcie, że wam zależy. Obserwujcie moją twarz.

Patty siedziała przez chwilę zupełnie nieruchomo. Potem odwróciła się. Shorty też. Nie chciał, ale poszedł w jej ślady.

Usiedli ramię przy ramieniu, jak w pierwszym rzędzie w kinie.

– Dobrze – pochwalił ich Peter. – Mądre posunięcie. Chcecie usłyszeć, co będzie dalej? Jesteście gotowi?

– Tak – odrzekła Patty.

– Chyba tak – powiedział Shorty.

– Wieczorem otworzymy drzwi i będziecie mogli odejść. Dosłownie. Nie umożliwimy wam dostępu do żadnych pojazdów. Wszystkie kluczyki ukryjemy tak, że ich nie znajdziecie, nie licząc oczywiście tego do waszego wozu, bo wciąż macie go przy sobie, ale ponieważ honda jest zepsuta, problem jest nieistotny. Pozostałe samochody są zbyt nowoczesne, żeby dało się je odpalić na krótko, więc od razu to sobie darujcie. Będziecie szli piechotą, na własnych nogach. Nie traćcie czasu i nie próbujcie nic kombinować. Na razie wszystko jasne?

– Dlaczego to robicie? – spytała Patty. – Po co nas tu trzymacie i nagle wypuszczacie?

– Uprowadziłem, że powiem tylko tyle, ile mogę. Prosiłem, żebyście to przemyśleli, a pytania zachowali na potem. Jasne?

– Tak – odparła Patty.

– Chyba tak – powtórzył Shorty.

– Wokół tego lasu jest coś, co wygląda jak pas przeciwpożarowy – ciągnął Peter. – Pozbawiona drzew pętla szerokości jakichś dwudziestu metrów. Widzieliście ją?

...nie licząc miejsca, gdzie na przestrzeni dwudziestu kilku metrów nie rośło ani jedno drzewo i gdzie zobaczyli fragment jasnorożowego nieba...

– Ja widziałam – powiedziała Patty.

– Tak naprawdę to nie jest pas przeciwpożarowy – wyjaśnił Peter. – Ojciec Marka zrobił go z innego powodu. Chciał, żeby las zachował się w pierwotnej formie. To pas chroniący przed obcymi nasionami. Biegnie kręgiem. Nieważne, skąd wieje wiatr. Rośliny inwazyjne nie mają żadnych szans, nie przedrą się.

– I co z tego? – spytał Shorty.

– To, że musicie tam dojść. Przez las, którądy chcecie. Wejdziecie na pas, w którymkolwiek miejscu, i wygracie grę.

– Jaką grę?

- Czy to było pytanie?
- Co jest, do cholery? – warknął Shorty. – Mówisz, że gra, a nie mówisz jaka?
- Coś w rodzaju berka – odparł Peter. – Nikt nie może was dotknąć. Musicie tylko dotrzeć na pas. To proste. Idąc, biegnąc, czołgając się, jak chcecie.
- Nikt nie może nas dotknąć? – nie zrozumiała Patty. – Nikt, czyli kto?
- Telewizor wyłączył się.
- Sam. Zgasł ekran, cicho zabuczały obwody i zapaliło się czerwone światełko czuwania.

• • •

Na ekranie komórki pojawiła się jedna kreska, ale Reacher wolał poczekać na drugą. Pomyślał, że sygnał może się zmieniać, być raz słabszy, raz silniejszy. Gdyby zadzwonił już teraz, z zaledwie jedną kreską, a zasięg znów by osłabł, mógłby mieć problem. Zdobył na tym polu sporo doświadczenia, w wojsku, gdzie środki komunikacji zawsze wysiadały najszybciej, jako pierwsze. Cywile dysponowali jak zwykle lepszymi, lecz prawdopodobnie nie dużo lepszymi.

Wielebny Burke nie zwracał na niego uwagi i po prostu jechał. Ale po pięciu minutach milczenia nie wytrzymał i spytał:

- Jak tam pańska tylna część mózgu?
- Wciąż tylko jedna kreska.
- Myśli o wykładzinach z organicznej juty.
- Dlaczego?
- Facet stara się dbać o środowisko. Mówi o tym po części z dumą, po części przepraszająco, po części arogancko. Tonem głosu typowym dla ludzi, którzy lubią robić coś, co inni uważają za dziwne. Chyba nie zmyśla, bo ostatecznie płaci temu od dywanów bostońskie ceny za specjalistyczne czyszczenie. Nie rzuca słów na wiatr, jakby naprawdę chciał, żeby eksperyment się powiódł. Do tej chwili wszystko pasuje.
- A potem? – spytał Burke.
- Potem sugeruje, że ten Kanadyjczyk porzucił wóz, żeby

uniknąć opłat za recycling czy coś tam. Mówi: „Mają tam na pewno surowe przepisy dotyczące ochrony środowiska”. Z triumfującym uśmieszkiem. Leciutkim. Jak zwykły facet, a nie ktoś, kto kupuje wykładzinę z organicznej juty. Czy choćby wie, co to jest. Jeszcze potem wyjeżdża ze stodoły SUV-em z ośmiocylindrowym silnikiem. I pędzi nim na łeb na szyję. Jak mały chłopiec, który lubi, kiedy wóz podskakuje na wybojach. A nie jak wielbiciel organicznej juty. Wielbiciel juty jeździłby hybrydą. Albo samochodem elektrycznym. Obraz przestaje być spójny.

– I jak skomentowała to tylna część mózgu? – spytał wielebny.

– Powiedziała: Idź za pieniądzem. Gość płaci specowi od perskich dywanów za czyszczenie wykładzin. Spec przyjeżdża aż z Bostonu. Za dużą kasę. Oto są mocne dowody. A co mam ja? Przeczucie? Szyderczy uśmieszek, który mogłem źle zinterpretować? Może zimą spada tu kupa śniegu i bez SUV-a facet nigdzie by nie dojechał? Przysięgli orzekliby, że przemawiają za nim wszystkie fakty. To dobry człowiek. Próbuje ratować naszą planetę. A przynajmniej trochę w tym pomóc.

– Zgadza się z przysięgłymi – powiedział wielebny. – Lepiej jest ufać przedniej części mózgu.

Reacher nie odpowiedział.

Zerknął na ekran komórki.

Dwie kreski.

– Dobra, można dzwonić.

– Mam stanąć?

– To pomaga?

– Chyba tak. Połączenie jest stabilniejsze.

Burke zjechał na kawałek szerszego pobocza.

Reacher wybrał numer.

– Niech pan zadzwoni za dziesięć minut – powiedziała Amos. – Jestem bardzo zajęta.

– Znaleźliście Carringtona?

– Nie. Niech pan zadzwoni.

• • •

Procedura wnoszenia opłaty zmieniła się w dyskretny, niemniej wspaniały rytuał. Wszystko zaczęło się swobodnie i normalnie i raptem przybrało niezwykle oficjalną formę. Po trosze starożytną. Grecką czy rzymską. Albo nawet plemienną. Steven został w centrum dowodzenia, żeby dalej obserwować ekrany, a pozostali wrócili do motelu w gwarnej dziewięcioosobowej grupie, w której skład wchodziło sześciu klientów oraz Mark, Peter i Robert. Klienci udali się do swoich pokoi, a Mark, Peter i Robert do recepcji. I właśnie tam narodził się rytuał. Ot tak, z niczego, bo nie mieli żadnego planu. Nikt im tego nie podsunął. Bali się, że zapeszą, ale po pięciu sekundach namysłu podjęli zdroworozsądkową decyzję. Najbardziej oczywistą, jaką mogli podjąć.

Oczywistą, lecz epicką w swojej dramaturgii. O wielkim psychologicznym ciężarze gatunkowym. Mark usiadł za ladą. Peter stanął na jej końcu. Z boku. W połowie drogi do drzwi. Jakby był niezależną stroną. Czy świadkiem.

Robert robił za obstawę. Chodził po klientach. I po jednym przyprowadzał do recepcji. Tak tworzyła się legenda. Pukał do drzwi, zapraszał ich i prowadził do Marka. Niczym pretorianin eskortujący szlachetnie urodzonych patrycjuszy. Byli senatorami. Szli z nim chodnikiem. Nie mieli wyboru. On z szacunkiem, pół kroku za nimi. A w recepcji stawał w drzwiach i nic nie widział.

Jeden po drugim wchodził do środka i w obecności Petera płacili Markowi. Składali daninę, oddawali hołd. Jedni liczyli pliki banknotów, przedłużając tę chwilę. Inni stawiali torbę na ladzie i cofali się, oczekując, że Mark przyjmie pieniądze natychmiast i bez liczenia, na wiarę. I Mark przyjmował. Wiedział, że kwota zgadza się co do centa. Klienci nie mogli sobie pozwolić na oszukiwanie. Potem jednego po drugim Robert odprowadzał do pokoju i pukał do następnych drzwi. Swobodnie, zarazem oficjalnie, jak złowieszczy posłaniec w starożytnej republice.

Karel dostał pokaźną zniżkę za pomoc poprzedniego dnia, ale pozostała piątka zapłaciła całą sumę. Kiedy rytuał dobiegł końca, Mark wybrał dwie największe torby i Peter spakował pieniądze. Co nie było łatwe. Zmieszczenie w dwóch torbach banknotów

z pięciu i pół toreb wymagało dużej pomysłowości. Pozostali stłoczyli się wokół niego. Mark głośno liczył, ale nie tysiącami. Kiedy w torbie zaczęły znikać pierwsze pliki, mówił: „Koszty własne, koszty własne”, ale już po chwili zmienił to na: „Czysty zysk, czysty zysk, czysty zysk”. Dołączyli do niego Robert i Peter i tak powstało coś w rodzaju szeptanej pieśni zwycięstwa. Cichutkiej, żeby nikt ich nie usłyszał. „Czysty zysk! – syczeli. – Czysty zysk, czysty zysk!”. Potem zanieśli torby do domu. Przechodzili pod oknami motelu z nadzieją, że obserwują ich szlachetni patrycjusze. Że widzą, jak zwycięzca zabiera daninę, którą przed chwilą pokornie złożyli.

• • •

Peter powiedział, żeby to przemyśleli, więc przemyśleli, ale nie dlatego, że im kazał, tylko dlatego, że leżało to w ich naturze. Tak uczono ich w domu, w Saint Leonard. Masz umysł, więc z niego korzystaj. Pomyśl, zanim coś powiesz. Zawsze zaczynaj od początku.

– To jakiś podstęp – szepnęła Patty. – Na pewno. Tam nie da się dojść, do tego pasa.

– Jak to? – odparł Shorty. – Niemożliwe.

– Możliwe.

– Ilu ich jest?

– Widzieliśmy trzech. W motelu jest dwanaście pokoi, nie licząc tego. I dziewięć quadów. Wybierz sobie jakąś liczbę.

– Myślisz, że pojedą quadami?

– Na pewno. Dlatego Peter podkreślił, że pójdziemy piechotą. Żebyśmy się czuli bezbronni i gorsi. Słabsi od nich.

– Powiedzmy, że jest ich dziewięciu – teoretyzował Shorty. – Przecież nie obstawiają całego lasu. To olbrzymi teren.

– Widziałam go na mapie. Ma jakieś osiem kilometrów wszerz i dwanaście wzdłuż. Jest owalnego kształtu. Motel nie stoi dokładnie na środku, tylko trochę z boku, kilkaset metrów na wschód. Do północnego i południowego krańca jest mniej więcej po sześć kilometrów.

– W takim razie to możliwe – stwierdził Shorty. – Wypada jeden

na każde czterdzieści stopni okręgu. Będą stali setki metrów od siebie. Jeśli uda nam się przedrzeć, będziemy wolni.

– Niemożliwe. Bo co potem? Dojdziemy do szosy, złapiemy okazję i wezwiemy policję i FBI, bo porwali nas i przetrzymywali. Policja przyjedzie i zobaczy przecięty kabel od akumulatora, więzienne kraty w ścianie, zamki, kamery i mikrofony. Nie sądzę, żeby Peter i jego kumple mogli sobie na to pozwolić. Oni nas nie wypuszczą. Nie wydostaniemy się stąd, żebyśmy nie wiem jak próbowali. Nigdy. Nie stać ich na to. Są stuprocentowo pewni, że nam się nie uda.

Shorty nie odpowiedział. Siedzieli obok siebie w półmroku. Ona z dłońmi wciśniętymi pod uda, kiwając się lekko do przodu i do tyłu i patrząc w pustkę; on z łokciami na kolanach i podparta rękami głową. Zupełnie nieruchomo. Próbował myśleć.

Nagle w pokoju zapaliły się światła, wszystkie lampy i lampki, jak na planie filmowym. Zawarczał silniczek i podniosła się roleta. Za oknem stało rzędem sześciu mężczyzn. Na chodniku. Ramię przy ramieniu. Trzy centymetry od szyby. Patrzyli na nich. Była wśród nich ta gnida Karel, właściciel lawety. Trzech widzieli już przedtem. Dwóch nie.

Mężczyźni gapili się na nich i gapili. Otwarcie, jawnie, bez cienia wstydu. To na nią, to na niego. Jakby ich oceniali, szacowali czy osądzali. I powoli wyciągali wnioski. Na ich twarzach pojawił się napięty wyraz cichej satysfakcji. Kiwali głowami, z uznaniem i aprobatą. W ich oczach rozbłysły iskierki entuzjazmu.

A potem, jak na umówiony znak, podnieśli ręce i zaczęli klaskać. Klaskali głośno i długo, urządzili im owację na stojąco, niczym pełna szacunku publiczność, która chce podziękować aktorom za wspaniały występ.

Tylko jakby z góry.

Zadzwoił dziesięć minut później. Amos odebrała. Była zdyszana.

– Co się dzieje? – spytał.

– Nic – odparła. – Falszywy alarm. Dostaliśmy informację o Carringtonie. Ale sprzed dwóch godzin i nic z tego nie wyszło. Wciąż nie możemy go namierzyć.

– Znaleźliście Elizabeth Castle?

– Też nie.

– Powinienem wrócić.

Amos nie odpowiedziała.

– Nie – zdecydowała po chwili wahania. – Gra jeszcze się nie skończyła. Nasz komputer monitoruje kamery na światłach. Nic, co wjechało od południa podczas drugiej porannej godziny szczytu, jak dotąd nie wyjechało z miasta. Uważamy, że Carrington wciąż tu jest.

– Dlatego powinienem być tam, na miejscu. Kiedy go dopadną, nie będzie sensu wracać.

– Nie – powtórzyła.

– Jaka to była informacja?

– Ktoś widział, jak Carrington wchodził do urzędu hrabstwa. Podobno, bo nikt inny tego nie zauważył i już go tam nie ma.

– Był sam czy z Elizabeth?

– Nie wiadomo. Panował duży ruch, kręciło się tam mnóstwo ludzi. Trudno powiedzieć, z kim był.

– Widziano go przed archiwum, tym ze spisami?

– Nie, gdzie indziej. Hrabstwo ma urzędy w całym mieście.

– Znalazła pani chwilę, żeby zajrzeć do akt mojego ojca?

Amos lekko się zawahała.

– To trwało dłużej niż chwilę.

– Czego się pani dowiedziała?

– Zanim panu odpowiem, muszę zasięgnąć porady prawnej. Co

paradoksalne, od Carringtona.

– Dlaczego? – spytał.

– Prosił pan, żebym zwróciła uwagę na wszystko, czego wtedy nie wyjaśniono. Coś znalazłam. Sprawę, która nie ulega przedawnieniu.

– Zabójstwo?

– Tak, dlatego formalnie rzecz biorąc, nie mam prawa o tym rozmawiać.

– Kiedy to było?

– W podanych przez pana ramach czasowych.

– W tych latach nie było mnie jeszcze na świecie. Nie mogę być świadkiem. Tym bardziej sprawcą. Rozmawiając ze mną, nie narusza pani żadnych przepisów.

– Ale to może mieć reperkusje. Dla pana.

– Kim była ofiara? – drążył.

– Przecież pan wie.

– Wiem?

– A kim mogłaby być?

– Ten pobity chłopak.

– Właśnie. Ostatni raz widziany późnym wieczorem we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku na chodniku w centrum Laconii. Pojawia się znowu. Ma teraz dwadzieścia dwa lata, jest takim samym wstrętnym typem jak wcześniej i ktoś go zabija. Tych dwóch spraw nigdy ze sobą nie powiązano. Pewnie dlatego, że dużo się wtedy działo. Trwała wojna. Detektywi przychodzili i odchodzili. Nie było komputerów. Ale według dzisiejszych zasad akta pierwszej sprawy mają istotny wpływ na akta drugiej. I rzeczywiście mają, bez dwóch zdań. Nie możemy udawać, że ich nie widzieliśmy. Dlatego musimy ponownie otworzyć sprawę i zakwalifikować ją jako wciąż nierozwiązaną. Choćby tylko po to, żeby sprawdzić, co z tego wyniknie, i znów ją zamknąć.

– Jak go zabito? – spytał.

– Pobito go na śmierć mosiężnym kastetem.

Reacher potarł czoło.

– Właściwie dlaczego jej nie rozwiązano?

– Nie było świadków. Ofiara była wstrętnym typem. Nikomu nie zależało. Jedyny podejrzany przepadł bez śladu. Niech pan pamięta, że w kraju panował wtedy wielki chaos. Z miejsca na miejsce przemieszczały się miliony ludzi. Niedawno zakończyła się wojna na Dalekim Wschodzie.

– Sierpień czterdziestego piątego... Policja знаła nazwisko sprawcy?

– Tylko ksywę. Dowiedzieli się z drugiej ręki. Tajemnicza sprawa, mnóstwo informacji od ludzi, którzy podsłuchują na ulicy i tak dalej.

– Jaką miał ksywę?

– Właśnie dlatego musimy ponownie otworzyć tę sprawę. Nie możemy tego zignorować. Na pewno pan to rozumie. Dopiszemy kilka nowych akapitów i na tym się pewnie skończy.

– Jaką miał ksywę? – powtórzył.

– Obserwator Ptaków.

– Rozumiem... Na kiedy musi pani dopisać te akapity?

– Chwileczkę.

Usłyszał w słuchawce trzask drzwi, czyjeś kroki i szelest papieru.

Kolejny meldunek.

Znow trzask drzwi, kroki i Amos podniosła komórkę.

– Komputer monitorujący kamery coś wychwytał.

Umilkła.

Wypuściła powietrze.

– Nie, to nie to, co myślałam. Nikt nie wyjechał. Przynajmniej na razie. Carrington wciąż tu jest.

– Musi pani coś dla mnie zrobić.

Wciąż słyszał szelest papieru. Amos czytała.

– Znowu jakieś starocie?

– Nie, tym razem współczesność. Pewien profesor z uniwersytetu twierdzi, że trzydzieści lat temu starszy pan o nazwisku Reacher wrócił do New Hampshire po wielu latach za granicą. I od tamtej pory tu mieszka. U wnuczki krewnego. Chciałbym, żeby poszperała pani w bazie danych hrabstwa. I sprawdziła, czy da się go namierzyć. Może zarejestrował się do

głosowania. Albo ma prawo jazdy.

– Pracuję dla miasta, nie hrabstwa.

– O wielebnym dowiedziała się pani wszystkiego, a on mieszka poza miastem.

Znów coś zaszeleściło.

– Musiałam prosić kogoś o przysługę. Jak ma na imię ten starszy pan?

– Stan.

– Przecież to pana ojciec.

– Wiem.

– Mówił pan, że on nie żyje.

– Byłem na jego pogrzebie.

– Profesor coś poplątał.

– Prawdopodobnie.

– Tylko prawdopodobnie?

– Pogrzeb był trzydzieści lat temu. Czyli wtedy, kiedy ten starszy pan wrócił do New Hampshire po latach nieobecności.

– No to co? – nie zrozumiała.

– Nie otwierano trumny. Może była pełna kamieni. Piechota morska i CIA czasem ze sobą współpracowały. Jestem przekonany, że maczały palce w niejednym przekręcie.

– No nie, to jakiś obłąd.

– Nigdy pani o tym nie słyszała?

– Jak w hollywoodzkim filmie.

– Opartym na faktach – dodał.

– To chyba jeden przypadek na milion. Jestem przekonana, że agenci CIA głównie się nudzą. Żołnierze piechoty morskiej też.

– Zgoda, niech będzie jeden na milion. Ale o to mi właśnie chodzi. Jeden, czyli więcej niż zero. Dlatego chciałbym, żeby pani to sprawdziła. Niech pani przypisze to mojej skrupulatności. Po prostu znam swoje obowiązki i nie chcę ich zaniedbać. Ma pani ponownie otworzyć niepodlegającą umorzeniu sprawę, wiedząc, że istnieje prawdopodobieństwo jeden do miliona, że główny podejrzany wciąż żyje, podlega pani jurysdykcji i jest ze mną spokrewniony. Uznałem, że powinienem o tym panią uprzedzić, na wypadek gdybym chciał do niego zadzwonić. I powiedzieć:

„Cześć, tato, lepiej załatw sobie adwokata, bo mają cię aresztować”. Coś w tym stylu.

– Czysty obłąd – powtórzyła.

On też powtórzył:

– Jeden to więcej niż zero.

– Zaraz...

Znów zaszeleściła papierami.

– Dziwne.

– Co takiego? – spytał.

– Nasze nowe oprogramowanie. Ma wbudowany moduł rozpoznawania tablic rejestracyjnych i zwykle liczy wjeżdżających i wyjeżdżających z miasta. Ale najwyraźniej ma też kilka ukrytych funkcji, bo widzę, że wyszukuje jednocześnie nakazy aresztowania i mandaty, a potem wyświetla stronę z uwagami ogólnymi.

– No i?

– Furgonetka, którą widzieliśmy dziś rano, jest lewa.

– Która furgonetka? – spytał.

– Czyściciela perskich dywanów.

– Jak to „lewa”?

– Powinna mieć próbne tablice.

– Dlaczego?

– Bo jej obecny właściciel jest dealerem samochodowym.

– Właścicielem jest dealer? Nie czyściciel?

– Czyściciel splajtował. Furgonetka wróciła do salonu.

• • •

Patty i Shorty poszli do łazienki, ale szybko stamtąd uciekli. Roztrzaskane kafelki, starta na proch płyta gipsowa – nie dało się tam wytrzymać. Znów usiedli obok siebie na łóżku, plecami do okna. Przestało ich obchodzić, czy roleta jest podniesiona, czy opuszczona. Wymieniali szeptem krótkie uwagi, kiwając lub kręcąc głowami, wzruszając ramionami, dając sobie znaki rękami, czyli rozmawiając najbardziej zdawkowo i w najbardziej dyskretny sposób, na jaki mogli sobie pozwolić. Zrewidowali podstawowe założenia sytuacyjne. Nastroiili się psychicznie.

Kilka rzeczy się wyjaśniło. Inne jeszcze bardziej się zaciemniły. Więcej teraz wiedzieli, ale mniej rozumieli. Sześciu mężczyzn, którzy zaglądali przez okno do pokoju, to najwyraźniej ich przeciwnicy. A oni mieli wygrać w berka. W lesie o powierzchni siedemdziesięciu ośmiu kilometrów kwadratowych. Prawdopodobnie po ciemku. Z trzema motelowymi dupkami w charakterze sędziów, arbitrów, jurorów czy moderatorów, dziewięcioma quadami i czwartym motelowym dupkiem, który zostanie pewnie w domu, żeby ich podsłuchiwać, obserwować przez kamery i robić Bóg wie co jeszcze. Tak wyglądała ich obecna sytuacja.

Siedemdziesiąt osiem kilometrów kwadratowych. Sześciu mężczyzn. W ciemności. Tamci nie mogli sobie pozwolić na porażkę. Quady na pewno pomogą. Są dużo szybsze niż nogi. Mimo to... Siedemdziesiąt osiem kilometrów kwadratowych to dziesięć tysięcy boisk futbolowych. Zupełnie pustych, nie licząc przypadkowych sześciu, z których każde obsadzał zaledwie jeden przeciwnik.

W ciemności.

Coś tu nie grało.

Ale wtedy Shorty szepnął:

– Może mają noktowizory?

Co uwolniło kolejną lawinę mrocznych myśli. Tamci mogli jeździć w kółko po niekończącym się gigantycznym kręgu dwa, trzy kilometry od motelu, jeden za drugim, jak na karuzeli. Co kilka minut któryś z nich mijałby wtedy dane miejsce, a oni nadchodziliby z boku, pod kątem prostym, jakby chcieli przejść przez jednokierunkową ulicę. Szliby powoli. Byliby widoczni przez pięć długich minut, z lewej strony i prawej, z tyłu i z przodu. Czy zdążą przed kolejnym obrotem karuzeli?

A może kiedy tylko wyjdą z pokoju, tamci po prostu za nimi ruszą? Może będą ich śledzić od pierwszego kroku za drzwiami?

Było tyle pytań.

W tym najważniejsze. Co to za berek? Raczej nie taki, w jakiego dzieci bawią się w szkole. Nikt nie będzie nikogo dotykał, klepał w ramię czy uderzał woreczkiem fasoli. Sześciu mężczyzn.

Siedemdziesiąt osiem kilometrów kwadratowych lasu. Quady i noktowizory. Pewność zwycięstwa.

Niedobrze.

Co zmuszało ich do podjęcia najistotniejszej decyzji. Trzymać się razem czy się rozdzielić? Mogliby pójść w różnych kierunkach, co podwoiłoby ich szanse. Co więcej, gdyby jedno z nich przegrało, drugie skorzystałoby z zamieszania i...

Mogłoby uciec.

• • •

Reacher siedział w subaru wielebnego na szerokim poboczu drogi. Jeśli organiczna juta to kit, cała reszta też jest kitem. A nie mówiłam? – szydziła tylna część mózgu. Laweta nie przyjechała tam po porzucony samochód. Historyjka recepcjonisty nie trzymała się kupy. Elizabeth Castle twierdziła, że taksówki tak daleko nie jeżdżą. Nie, porzucony samochód to wymysł. Część bzdurnej, choć misternie skonstruowanej bajeczki, podobnie jak hydraulicy, elektrycy, prace konserwacyjne, woda i prąd.

Laweta była blokadą drogową.

– O czym pan myśli? – spytał Burke.

– Zastanawiam się, gdzie była reszta. Widzieliśmy recepcjonistę, ale na parkingu stały cztery samochody. Dlatego myślę, że dzieje się tam coś dziwnego. Ogólnie rzecz biorąc. Z drugiej strony, co może się dziać? To zwykły motel. Ale z trzeciej, drogę blokuje laweta. A w motelu z zablokowaną drogą dojazdową mogą dziać się złe rzeczy. Nawet bardzo złe. Sęk w tym, że jeśli tam wrócę, komórka straci zasięg. A czekam na wiadomości o Carringtonie. I Elizabeth Castle. To moja wina, że są teraz razem. Myślę, że Amos do mnie zadzwoni. I poprosi, żebym wrócił. Tym razem zawahała się, zanim odmówiła. Co znaczące, wahała się dość długo. Prędzej czy później pęknie.

– Co by pan tam robił? – spytał wielebny.

– Poszedłbym na spacer. Tamci mają mój rysopis. To ja jestem ten prawdziwy. Carrington to tylko kiepska imitacja. Gdybym wrócił, tamci przestaliby się nim interesować. I wsiedliby na mnie.

- Nie martwi to pana?
- Chcą mnie zawieźć do Bostonu. I zrzucić z dachu wieżowca. To długa, skomplikowana operacja. Żle by się dla nich skończyła.
- Ale co złego może dziać się w motelu z zablokowaną drogą dojazdową?
- Niech pan zgaduje – odparł Reacher. – Mogę ja, może i pan.

• • •

Już się ściemniało, więc zapalono światła, wszystkie, nad całym chodnikiem. Sześciu mężczyzn zaczęło wnosić sprzęt. Otworem stanęło sześcioro drzwi, a oni wchodzili do pokoi i wychodzili, w roztargnieniu, z ekwipunkiem w rękach. Było w tym coś z dumnego pokazu. Nie, żeby mieli duże pole manewru. Musieli przestrzegać surowych zasad. Wszyscy zaczynają z tym samym. Wszyscy działają na tym samym terenie. Każdy dostanie identycznego quada. Losowo wybranego, jak na loterii. Wszyscy używają takich samych noktowizorów. Standardowa praktyka. Właściciel terenu musi dokładnie sprecyzować jakich. Mark wybrał wojskowy noktowizor drugiej generacji, z demobilu. Najpopularniejszy w branży i bardzo wszechstronny. Ubrania i buty były dowolne, lecz po wieloletnich eksperymentach przeprowadzonych przez różnych użytkowników wszyscy ubierali się tak samo. W rzeczy niewarte drugiego spojrzenia.

Inaczej z kuferkami i ich zawartością. Te miały dziwne, niezgrabne, choć sugestywne kształty. Tu też nie było żadnych ograniczeń. Decydowały upodobania klienta. Osobiste, frakcyjne, ideologiczne czy religijne. Dozwolone było wszystko. Każda kombinacja. Proste, astrachańskie, długie, płaskie, japońskie, kompozytowe, składane i nieskładane. Każdy miał swój ulubiony i teorię podpartą niewielkim doświadczeniem oraz mnóstwem pobożnych życzeń. Każdy wprowadzał ulepszenia. Każdy coś tam klecił i majstrował.

Dlatego wnoszeniu kufereków towarzyszyło wiele dyskretnych zerknięć.

• • •

Już się ściemniało, więc zmieniał się widok z pobocza drogi. Krajobraz wyblakł i poszarzał. Reacher zastąpił go w wyobraźni widokiem motelu, tym z bliska, z parkingu. Jaskrawe słońce. Po lewej recepcja, przed trójką kombi, przed siódmką „lewa” furgonetka czyściciela dywanów, przed dziesiątką mała niebieska honda z importu, przed jedenastką pick-up z długą paką. I nierówno stojący plastikowy fotel przed piątką.

– Znów pan myśli – zauważył wielebny.

– Nie ja – odparł Reacher. – Tylina część mózgu. Pan woli przednią.

– Wszystko jedno, niech pan mówi.

– Czego potrzeba, żeby zrobić coś złego?

– To pytanie teologiczne?

– Nie, praktyczne.

– Nie wiem, pewnie wielu rzeczy.

– Potrzebna jest ofiara. Bez ofiary się nie da. Bez młodej dziewczyny. Na przykład. Którą ktoś gdzieś zwabił i uwięził. Bo chce, żeby zagrała w filmie pornograficznym. Ten motel to dobre miejsce. A na pewno odludne.

– Myśli pan, że kręcą tam pornosy?

– Powiedziałem „na przykład” – przypomniał mu Reacher. – Można robić dużo złych rzeczy, ale każda wymaga ofiary. To je łączy. Obecność ofiary. W jakiś sposób schwytej, przetrzymywanej i dostępnej, kiedy zbiorą się wszyscy zainteresowani.

– A w tym motelu? – spytał Burke. – Gdzie by mogła być?

– Pokój numer dziesięć różnił się jakościowo od pozostałych. Pod dwoma względami. Po pierwsze, samochód. Jedyny z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi. Poza tym mniejszy, tańszy i bardziej zajeżdżony. Dlatego jego właścicielem jest prawdopodobnie ktoś młody. Ktoś, kto przebywa daleko od domu i jest łatwiejszym celem. Po drugie, okno. Opuszczona roleta. Jedyna na dwanaście pokoi.

Wielebny milczał.

– Uprzedzałem – dodał Reacher. – Tylina część mózgu.

– I co pan z tym zrobi?

- Nie wiem.
 - Powinien pan pójść tam jeszcze raz.
 - Może.
 - Carrington jest dorosły. Potrafi o siebie zadbać.
 - On nie ma pojęcia, w co się wpakował. Nic o tym nie wie.
 - No dobrze, więc zaopiekuje się nim policja. Oni i tak tam pana nie chcą. Ta Amos nie zadzwoni.
- Reacher nie odpowiedział.
- Wybrał numer.
- Odebrała po czwartym sygnale.
- Wciąż nic – rzuciła.
 - Jak się pani czuje?
 - Godzina szczytu minęła. W centrum jest spokojnie. Obserwujemy wszystkie miejsca, które tego wymagają. Poza tym to tylko teoria, bo ten rysopis do niego nie pasuje. Dlatego ogólnie rzecz biorąc, czuję się nieźle.
 - A w skali od jednego do dziesięciu?
 - Około czterech.
 - Moja obecność na pewno by nie pomogła?
 - Szczerze?
 - Tak. W skali od jednego do dziesięciu.
 - Czy jest coś mniejszego niż jeden?
 - Nie, jedyńka to minimum.
 - W takim razie jeden.
 - A bez tych wszystkich bzdur i przepisów?
 - Wciąż jeden.
 - Dobra, w takim razie powodzenia. Niedługo stracę zasięg. Zadzwonię, kiedy będę mógł.

Telewizor znów włączył się sam. Z takim samym cichym trzaskiem, buczeniem i jasnoniebieskim ekranem, na którym pojawiła się twarz mężczyzny na czarnym tle. Tym razem Marka, jego głowa i ramiona. Na coś czekał, bo zerknął w bok i spytał, czy coś tam działa. Najwyraźniej działało, bo słyszeli, co ten ktoś odpowiedział. Wtedy Mark spojrział w obiektyw kamery. Na nich. Prosto w oczy. Patrzył. Czekał. I uśmiechał się.

– Hej – powiedział. – Obiecaliśmy, że porozmawiamy jeszcze raz, na wypadek gdybyście mieli jakieś pytania co do wyjaśnień Petera. No i jesteśmy.

– Niech pan opowie o tym berku – poprosiła Patty.

– Usiądźcie na brzegu łóżka. Czeka nas długa szczerza rozmowa.

Patty odwróciła się i przesunęła. Shorty też. Nie chciał, ale się odwrócił.

– Zmieniają się wzorce konsumpcji – zaczął Mark. – Aspiracje i łączące się z nimi wydatki nie ograniczają się już tylko do większych i lepszych przedmiotów. Do większego domu, brylantu czy lepszego Moneta. Powstała nowa kategoria. Ludzie chcą kupować doświadczenia. Bilet na Księżyc. Bilet na wyprawę na dno oceanu. Niektórzy płacą, żeby zrealizować swoje fantazje. Choć raz w życiu. Jedne są zupełnie nieszkodliwe. Inne chore. Chętni spotykają się w sieci. Na tajnych forach. I właśnie tam się reklamujemy.

– Na jakich forach? – spytała Patty. – Jacy chętni?

– Karela już znacie. Pięciu pozostałych przyszło do nas z dość szczególnej strony internetowej o fascynująco dwuznacznej nazwie. Trzeba przyznać, że to bardzo sprytny podziemny marketing. Czy nazwa mówi coś o tych, którzy tę stronę odwiedzają, czy tylko propaguje to swoiste hobby? Czy puszcza do nas oko? Coś potwierdza? A może czemuś zaprzecza? Wszystko zależy od tego, jak się ją rozumie. Nie pomogą tu żadne

reguły gramatyczne.

– Jaka to nazwa? – spytała Patty.

– Ludzkie Polowania z Łukiem.

– Co takiego?

– Mam nadzieję, że teraz już rozumiecie, jaki to berek. Jeśli chodzi o łuki, nie obowiązują żadne ograniczenia. Oczywiście z wyjątkiem naciągu mechanicznego oraz kusz. Nasi klienci będą najpewniej używali kompozytowych łuków wygiętych średniej wielkości. Z takimi łukami łatwiej jest się poruszać. Ci ludzie polują na jelenie i mają spore doświadczenie. Będą też używali tak zwanych broadheadów, strzał zaopatrzonych w niezwykle ostre szerokie groty. Możliwe, że zakrzywione, ale będzie to zależało od tego, kiedy i gdzie was wytropią. Jeśli zobaczą was od razu, na początku polowania, mogą jakiś czas iść waszym śladem. A potem was postrzelić. Woleliby, żebyście wytrzymali całą noc. Zapłacili bardzo dużo pieniędzy.

– Jesteś obłąkany.

– Ja? – zaprotestował Mark. – Nie. Ja tylko zaspokajam brudne potrzeby innych. Ich pragnienia to wyłącznie ich prywatna sprawa.

– Przecież ty chcesz nas zamordować.

– Nie, chcę dać wam szansę ucieczki. Jestem waszym najlepszym przyjacielem. Próbuję wam pomóc.

– Nie damy rady uciec, nigdy do tego nie dopuścicie. Nie możecie.

– Oj, te wymówki i preteksty. Jeszcze nie zaczęliście, a już chcecie zrezygnować. To wielki las, a ich jest tylko sześciu.

– Mają noktowizory?

– Tak, nie da się ukryć.

– I quady...

– Które z daleka usłyszycie. Nie rozumiesz? Nie jesteście zupełnie bezbronni. Starannie wybierajcie kierunek marszu i bądźcie czujni. Wytężajcie słuch, próbujcie ustalić, skąd nadjadą, a kiedy was miną, idźcie dalej. Ucieczka jest możliwa. I prędzej czy później ktoś ucieknie. Najkrótszą trasą to tylko trzy kilometry. Jak dobrze wiecie. Drogą do szosy. Ale nie radziłbym

tamtędy iść. Nawet poboczem, między drzewami. To zbyt oczywiste. Ktoś się tam na pewno zasadzi.

Patty milczała.

– Kolejna rada, jeśli mogę – ciągnął Mark. – Od czasu do czasu sprawdzajcie drzwi. Zegar zacznie tykać, kiedy je otworzymy. Dlatego musicie sprawdzać, to wasz obowiązek. Więcej wam o tym nie przypomnimy. Kiedy się otworzą, radzę natychmiast wyjść. I dać z siebie wszystko. Myślcie pozytywnie. To duży las. Łucznicy lubią strzelać z odległości dwunastu, piętnastu metrów. Jeśli mogą, to z mniejszej. Strzelanie z łuku w lesie jest trudne. Zawsze przeszkadza jakieś drzewo.

W pokoju panowała cisza.

– Kolejna rada, jeśli pozwolicie – kontynuował Mark. – Nie zostawajcie w pokoju, nawet o tym nie myślcie. Mogłoby się wydawać, że to dobra strategia, ale tak nie jest. Nigdy nie skutkuje. Kiedy tylko zorientują się, co robicie, od razu tu przyjdą i pod drzwiami stanie sześciu myśliwych. Myśliwych bardzo zawiedzionych. Chcieli rozrywki i jej nie dostali. Wyżyją się na was. Postarają się, żebyście wytrzymali całą noc, ale nie tak, jak myślicie.

Patty i Shorty wciąż milczeli.

– A może rozdzielicie się i pójdziecie osobno? – spytał Mark. – Rozmawialiście o tym?

Shorty uciekł wzrokiem w bok.

– Wiem – powiedział Mark. – Trudna decyzja. Rachunek prawdopodobieństwa mówi, żeby próbować. Problem w tym, że nie dowiedzielibyście się wtedy, jaki los spotkał partnera. W tych ostatnich chwilach.

• • •

Wielebny jechał na północ. Z ekranu komórki jedna po drugiej znikwały kreski natężenia sygnału. Reacher wyłożył zasady. Burke zostawi go u wylotu drogi i pojedzie do domu, cały, zdrowy i bezpieczny. I już nie wróci. Bez oszukaństwa, bez zgadzania się, a potem zawracania i czekania. Bez zakradania się na piechotę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wykluczone. Ma wrócić do domu,

zostać tam i o wszystkim zapomnieć. Bez żadnych wymówek. Bez dyskusji. Bez wyjeżdżania z demokracją. Taka była umowa.

Wielebny się zgodził.

Reacher spytał go jeszcze raz.

Burke zgodził się po raz wtóry.

Wjechali między drzewa. W lesie było już ciemno i wielebny włączył światła. Omszałe słupy pojawiły się po ośmiu kilometrach. Dokładnie o czasie. Dokładnie tam, gdzie powinny być. Burke zatrzymał samochód. Reacher wysiadł. Wielebny odjechał i Reacher odprowadził go wzrokiem. Tylne światła samochodu zniknęły w końcu w oddali i zapadła cisza. Drogę oświetlał jedynie słaby blask księżyca wiszącego na szarym wieczornym niebie. Pod drzewami panował gęsty mrok. Reacher ruszył przed siebie. Samotny w ciemności.

• • •

Patty poruszyła gałką. Miała nadzieję, że drzwi się nie otworzą. Jeszcze nie teraz. Nie byli gotowi. Skłaniali się ku temu, żeby iść razem. Przynajmniej początkowo. Dopóki będą mogli. Ale nie powiedzieli tego na głos. Jeszcze nie. Skłaniali się również ku temu, żeby iść na zachód. Aby dalej od drogi, w przeciwną stronę. Dłuższą trasą. Niezgodną z tym, co podpowiadała intuicja. Dobry ruch? A może przewidywalny? Nie wiedzieli. Jeszcze się nie zdecydowali. Zastanawiali się, czy nie zabrać mapy z samochodu. W końcu uznali, że to nie ma sensu. Potrzebowali kompasu, a nie mapy. Bali się, że zabłądzą. I będą bez końca chodzić w kółko.

Drzwi wciąż były zamknięte.

Patty cofnęła się i usiadła na łóżku.

• • •

Dwie minuty później Reacher dotarł do lawety. Jej potężny kształt wychynął z gęstniejącego mroku. W ciemności wydawała się czarna. A chromowane wykończenia matowe i szare. Ukląkł za tylnym zderzakiem i pomacał po asfalcie. Znalazł obciążnięty gumą kabel i zapamiętał, gdzie leży. Przeszedł nad nim, po czym przedarł się przez gąszcz na poboczu, z podniesionym łokciem;

jednym bokiem ślizgał się po nawoskowanej i wypolerowanej karoserii, w drugi obrywał liśćmi i gałęziami. Dotarł do maski i po omacku przesunął się w stronę wielkiego grilla, środka lawety. Stał twarzą do drogi i ruszył przed siebie. Miał do pokonania trzy kilometry.

• • •

Usłyszeli odległy warkot quada. Najpierw jednego, potem drugiego. Piskliwy jęk rozrusznika i nerwowe szczeknięcie silnika pracującego na niespokojnych, choć wolnych obrotach. Parę sekund później odpalił trzeci quad i czwarty. Hałas odbijał się falami od ściany stodoły. Zawarczała piąta i szósta maszyna, a potem wszystkie naraz, dudniąc, hucząc i bucząc, stojąc w miejscu, szczękając biegami i powoli przyspieszając. Jedna po drugiej wjeżdżały na trawę, na drogę i skręcały w prawo, w stronę motelu.

Shorty zastanawiał się przez chwilę, kto prowadzi tego, który pchali do szosy i z powrotem.

Patty przekręciła gałkę.

Drzwi były zamknięte.

Quady ustawiły się jeden za drugim i wjechały na parking. Shorty spojrział w okno. Defilada. Na zewnątrz, nad chodnikiem, wciąż paliły się światła. Tamci nadjeżdżali z lewej strony. Wszyscy ubrani na czarno, wszyscy z łukami na plecach, wszyscy z pełnymi strzał kołczanami. Na głowach mieli dziwne jednooczne gogle. Niektórzy „gazowali”, gwałtownie podwyższając obroty silnika, inni stali na stopniach maszyn, jakby nie mogli się już doczekać.

Przejechali pod oknem i zniknęli.

Shorty zastanawiał się, który z nich obstawił zachód.

Patty przekręciła gałkę.

Drzwi były otwarte.

Otworzyła je na oścież i patrząc przed siebie, znieruchomiła trzy centymetry przed progiem. Powietrze było łagodne i pachnące. Niebo czarne jak żelazo.

– To szaleństwo – powiedziała. – Nie chcę wychodzić. Chcę zostać. Tu jest bezpiecznie.

– Nie – odparł Shorty. – Wystrzelają nas jak kaczkę.

– Wszędzie będziemy jak kaczkę. Mają noktowizory.

– Ale jest ich tylko sześciu.

– Dziewięciu – sprostowała. – Myślisz, że te miejscowe dupki zachowają bezstronność?

– Nie możemy tu zostać.

Patty umilkła. Wystawiła rękę za drzwi. Rozwarła palce. Dotknęła powietrza. Odepchnęła je, po czym zagarnęła jak wodę.

– Pojedziemy na Florydę – powiedział Shorty. – Otworzymy sklep dla windsurferów. Może nawet wypożyczalnię skuterów wodnych. I będziemy sprzedawali podkoszulki. Można na tym dobrze zarobić. Ośrodek Sportów Wodnych Patty i Shorty’ego. Zamówimy ładny szyld.

Odwróciła się.

– A serwis? – spytała. – Ktoś te skutery musi naprawiać.

– Najmiemy mechanika. Na stałe. Będzie pracował jak w zegarku. Słowo.

Patty zawahała się.

– Dobrze. Jedźmy na Florydę.

Nie zabrali nic oprócz latarek. Przemknęli między zepsutą hondą i pick-upem parkującym przed sąsiednim pokojem. Minęli dwunastkę, skręcili za róg i idąc wzdłuż ściany, w której nie było okien, wrócili na tyły swojego pokoju. Przywarli plecami do cedrowych desek. Zachód był dokładnie przed nimi. Szara łąka i niski, czarny mur drzew. Wyteżyli słuch i poszukali wzrokiem światła. Nic nie usłyszeli i nic nie zobaczyli.

Wzięli się za ręce i ruszyli. Szli szybko, lecz nie biegli. Ślizgali się miejscami i potykali. Wkrótce znaleźli się na otwartej przestrzeni i Shorty wyobraził sobie, że zwracają się w jego stronę jednookie noktowizory. Że robią najazd i wyostrzają obraz. Patty przypomniały się słowa Marka. *Jeśli zobaczą was od razu, na początku polowania, mogą jakiś czas iść waszym śladem.* Wbili wzrok w zachodni horyzont, w ścianę drzew, i ruszyli w tamtym kierunku. Najpierw szli powoli, potem coraz szybciej, bo byli coraz bliżej. Ostatnie pięćdziesiąt metrów pokonali biegiem.

Wślizgnęli się między drzewa i stanęli zgięci w pół, ciężko dysząc, gwałtownie łapiąc oddech, z ulgą i pierwotną radością przetrwania. Odnieśli coś w rodzaju pradawnego zwycięstwa, które dodało im sił. Wyprostowali się i znów wyężyli słuch. Nic nie usłyszeli. Weszli głębiej w las. Naprzód, ciągle naprzód. Powoli, bo potykali się o pnącza i krzaki i często skręcali to w lewo, to w prawo, żeby obejść drzewa. No i było ciemno. Nie zapalili latarek, nie chcieli ryzykować. Przynajmniej na razie. W noktowizorze wyglądaliby tak, jakby się podpalili.

– Wciąż idziemy na zachód? – spytała Patty pięć minut później.

– Chyba tak – odrzekł Shorty.

– Powinniśmy teraz skrócić na południe.

– Dlaczego?

– Strasznie długo byliśmy na otwartej przestrzeni. Mogli nas obserwować. Widzieli, że idziemy na zachód, więc myślą, że nie zmieniliśmy kierunku.

– Tak?

– Tak, bo nasza wyobraźnia przestrzenna ustawia obrazy w linii prostej. Podświadomie.

– Coś ty!

– Dlatego musimy skrócić w jedną stronę albo drugą. Na północ albo na południe. A ich wyobraźnia niech ustawia nas sobie na zachodzie. Guzik zobaczą. Wolę południe. Jeśli znajdziemy drogę, doprowadzi nas prosto do miasta.

– Dobra – zdecydował Shorty. – Skręcamy w lewo.

– Pod warunkiem że cały czas szliśmy na zachód.

– Na sto procent.

Więc Patty obróciła się dokładnie dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Bardzo się starała. Stała obok Shorty'ego, dotykając ramieniem jego boku. On się nie obrócił i wciąż stał twarzą na zachód. Patty ruszyła w nowym kierunku. Shorty za nią. Naprzód, ciągle naprzód. Tym samym wolnym krokiem. Przez czepliwe pnąca i chłuszczące jak bat podrosty. Drogę zagradzały im czasem opadłe gałęzie, które musieli obchodzić, by następnie wrócić i sprawdzić, czy na pewno nie zbiegli z trasy.

Usłyszeli warkot quada. Gdzieś daleko, kilometr, półtora kilometra od nich. Zawarczał, jechał przez chwilę, zgasł i... Jakiś cichutki odgłos. Ktoś go przestawiał? Po co? I gdzie? Na jakim podłożu? Patty przystanąła i Shorty na nią wpadł.

– Jeżdżą nimi cały czas? Jak na koniach? – spytała. – Czy zsiadają i idą dalej piechotą?

– Nie słychać, żeby jeździli cały czas, więc chyba parkują, rozstawiają się i idą.

– Co znaczy, że nie usłyszymy, jak nadjeżdżają. Mark oszukiwał.

– To ci dopiero niespodzianka – prychnął Shorty.

– Mamy kłopoty.

– To duży las. Muszą podejść na co najmniej dwanaście metrów. Tamten jest daleko. Zastraniec miał pecha.

– Powinniśmy skręcić na południowy zachód.

– Teraz? Czemu?

– To chyba najszybsza droga do tej przesieki.

– Nie domyślą się?

– Nie możemy się już tym przejmować. Ich jest dziewięciu, a dziewięciu może domyślić się wszystkiego.

– Dobra, w takim razie skręcamy czterdzieści pięć stopni w prawo.

– Pod warunkiem że cały czas szliśmy na południe – zaznaczyła.

– Jestem tego pewny. Prawie.

– Myślę, że nas zniosło.

– Jeśli nawet, to niewiele.

Patty milczała.

– No? – rzucił. – Co jest?

– Shorty, wydaje mi się, że zabłądziliśmy – powiedziała. –

W lesie, gdzie roi się od łuczników, którzy chcą nas zabić. Umrę wśród drzew. Co jest chyba sprawiedliwe, bo pracuję w tartaku.

– Dobrze się czujesz?

– Trochę kręci mi się w głowie.

– Trzymaj się, już niedaleko. Zawiadomimy kogo trzeba i się nimi zajmą. Obróć się o czterdzieści pięć stopni w prawo. Zaraz dojdziemy do przesieki.

Zrobili, jak ustalili. Czterdzieści pięć stopni w prawo, prosto przed siebie i rzeczywiście doszli do przesieki. Minutę później. Tylko że nie do tej. To była przesieka za motelem. A właściwie szara trawiasta łąka, którą widzieli pod innym kątem. Może nieco ostrzejszym, choć niewiele. Wyszli z lasu dwadzieścia metrów od miejsca, w którym do niego weszli.

• • •

Reacher usłyszał w oddali warkot motocykli. Początkowo całej ich zgrai, chóralny, lecz cichy i przytłumiony, ledwo słyszalny na skraju ciszy, a potem głośniejszy, pojedynczych maszyn, z których jedne zwalniały, a inne jechały dalej. Ale nie było to ciężkie dudnienie amerykańskich motorów. To był warkot innego rodzaju. Wysokie obroty, biegi, przekładnie, łańcuchy, wszelkiego rodzaju krzywki i zawory wyjące i miotające się w górę i dół – quady. Nie motocykle, tylko quady. Pamiętał, że było ich dziewięć, w trzech rzędach, po trzy w każdym. Parkowały przed stodołą. A teraz jeździły po lesie, przedzierając się z rykiem między drzewami.

Polowanie, szepnęła tylna część mózgu.

No dobra, odparła przednia. Może polują na jakieś chronione zwierzę. Na przykład na małego niedźwiadka. Co jest surowo zabronione i karalne. Może to jest właśnie ta ofiara?

Tak, tylko że małe niedźwiadki nie jeżdżą importowanymi hondami i nie mieszkają w pokoju z opuszczoną roletą.

Przystanął w ciemności i ostrożnie zszedł z drogi. Zatrzymał się niecałe dwa metry dalej, między drzewami. W oddali usłyszał warkot quada. Ale nie jadącego. Stojącego. Z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Czekającego. Bez świateł.

Nagle silnik ucichł. I znów zapanowała głucha cisza. Tam gdzie baldachim drzew był cieńszy, prześwitywało srebrzystoszare niebo. Na nisko wiszącym obłoku spał księżyc.

Reacher ruszył przed siebie wzdłuż drogi, niecałe dwa metry od pobocza.

• • •

Patty usiadła na ziemi i oparła się o pień drzewa. Popatrzyła na motel. Na jego tylną ścianę. Tę bez okien. Spod której wyruszyli.

– Dobrze się czujesz? – spytał znowu Shorty.

Jeśli zobaczą was od razu, na początku polowania, mogą jakiś czas iść waszym śladem, pomyślała. Ale na głos powiedziała:

– Usiądź. Odpoczywaj, kiedy możesz. Znosi się na długą noc.

Shorty usiadł. Pod sąsiednim drzewem.

– Nabierzemy wprawy – szepnął.

– Nie, nie nabierzemy – odszepnęła. – Nie bez kompasu. To niemożliwe. Próbowaliśmy iść prosto, a szliśmy jak po preclu.

– Więc co chcesz zrobić?

– Chcę się obudzić i stwierdzić, że to był tylko koszmarny sen.

– A oprócz tego?

– Iść na wschód. Myślę, że droga to jedyna możliwość. A właściwie pobocza. Drzewa. Wtedy się nie zgubimy. Marsz w innych kierunkach nie ma sensu. Błądzilibyśmy całą noc.

– Oni o tym wiedzą.

– Wiedzieli od samego początku. Wiedzieli, że prędzej czy później nie będziemy mieli wyjścia i pójdziemy drogą. Że to nasza ostatnia deska ratunku. Szkoda, że my nie wiedzieliśmy. Byliśmy głupi. Siedemdziesiąt osiem kilometrów kwadratowych lasu i sześciu facetów? Czysty absurd. Co to jest? To nie berek, tylko loteria. Bo tak naprawdę las nie ma siedemdziesięciu ośmiu kilometrów kwadratowych. Ten las to tylko dwa wąskie pasma drzew po obu stronach drogi. Tej prowadzącej do szosy. Tam się wszystko odbędzie. To nieuniknione. Oni tam na nas czekają. Nie wiedzą tylko, skąd nadejdziemy. I kiedy.

Shorty długo milczał. Wdech, wydech. Wdech, wydech. W końcu powiedział:

- Chcę czegoś spróbować.
 - Czego?
 - Najpierw muszę sprawdzić, czy to zadziała. Nie chcę wyjść na durnia.
- Marne szanse, Shorty, pomyślała. I spytała:
- Dobrze, co mam zrobić?
 - Chodź.

• • •

Steven śledził sygnały GPS wysyłane przez latarki. Były w nich ukryte silne nadajniki podpięte do czterech nowych baterii, każdy z długą anteną przyklejoną od wewnątrz do aluminiowego korpusu. Sygnały mówiły, że Patty i Shorty wyszli właśnie z lasu i zmierzają w stronę tylnej ściany motelu. Z umiarkowaną prędkością. Nie biegną, tylko idą. Prosto jak strzała, co mocno kontrastowało z ich poprzednimi wyczynami nawigacyjnymi, czyli kompletnym chaosem. Od samego początku szli niepewnie na południowy zachód, po mocno zakrzywionej linii, którą najwidoczniej brali za prostą. Skręt w lewo wyglądał dobrze, ale tylko początkowo, bo zaraz potem znów zboczyli z kursu i zatoczyli niemal pełne koło, dlatego ostatnia zmiana kierunku zaprowadziła ich z powrotem tam, skąd wyruszyli. Najwyraźniej nie zdając sobie z tego sprawy, dwa razy przecięli swoją własną trasę.

Steven nie odrywał oczu od ekranu. Patty i Shorty dotarli do tylnej ściany motelu. A potem zrobili dokładnie to samo co przedtem. Obeszli budynek. Skręcili za róg obok dwunastki. Wyszli na parking. Minęli jedenastkę. I zatrzymali się przed dziesiątką.

Shorty podniósł maskę, pomacał ręką pod akumulatorem i znalazł przecięty w połowie sztywny, czarny kabel z końcówkami błyszczącymi jak nowe miedziane monety. Wrócił do pokoju i wszedł do łazienki. Zebrał wszystkie ręczniki, wielki, brudny tłumok, wyszedł i rzucił je na ziemię przy tylnym kole hondy.

– Sprawdź pozostałe pokoje – szepnął. – Weź, ile znajdziesz.

Patty zaczęła od jedenastki. Drzwi były otwarte. Weszła do środka. Tymczasem Shorty wrócił do dziesiątki. Podniósł kufer. Obiema rękami, za sznury. Chwiejnie wyszedł, postawił go na chwilę na chodniku, potem zaniósł na parking i zataczając się, krótkimi, niepewnymi krokami ruszył w stronę graniczącej z lasem łąki. Z kufrem sunącym po wysokiej trawie brnął przez nią niezdarnie, czując, jak obcasy butów zapadają się w miękką ziemię. Po trzydziestu metrach przystanął, upuścił kufer i ułożył go na płask.

Potem wrócił. Patty przyniosła już ręczniki z jedenastki, siódemki i piątki. W sumie mieli cztery kupki. Shorty wbiegł do łazienki pokoju numer dziesięć i wybiegł stamtąd z wyszczerbionym kawałkiem kafelka, szerokim na dole i paskudnie spiczastym na górze. Rzucił go na kupkę ręczników przy kole hondy.

– W którym było najwięcej rzeczy? – spytał.

– W siódemce – odrzekła Patty. – Mnóstwo ubrań. I różnych balsamów w łazience. Facet o sobie dba.

Shorty wszedł do siódemki. Na ubrania i balsamy nie zwracał uwagi. Od razu zajrzał do czarnej skórzanej kosmetyczki na toaletce. Wysypał jej zawartość do umywalki. I natychmiast znalazł to, czego szukał. Na dnie torebki, na wierzchu kopczyka przedmiotów. Cążki do paznokci. Zwyczajne. Metalowe. Z ostrzami w kształcie półksiężyca i rozkładanym pilniczkciem.

Schował je do kieszeni i wrócił do hondy. Odłożył na bok odłamek kafelka i starannie ułożył ręczniki jeden na drugim, aż powstało coś w rodzaju grubej kołdry. Potem ścisnął je, ugniótł i wepchnął pod tylny zderzak samochodu. To samo zrobił z ręcznikami z piątki, siódemki i jedenastki, które wsunął pod volvo, furgonetkę czyściciela dywanów i pod pick-upa.

Wrócił do hondy, położył się na plecach i wczołgał pod samochód. Oстрыm końcem kafelka dźgnął w dno zbiornika paliwa, raz i drugi. Metal był twardszy, niż się spodziewał. Kafelek zaczynał się kruszyć. Cholera, pomyślał Shorty. Błagam, nie chcę wyjść na idiotę. Dobrze wiedział, co pomyśli Patty.

Ale choć raz w życiu mu się poszczęściło. Ukruszony czubek kafelka zyskał trzeci wymiar. Był teraz jeszcze ostrzejszy i bardziej spiczasty, jak igła. Shorty zmienił pozycję, ustawił go spodem na grubej dłoni producenta ziemniaków i dźgnął z dołu do góry, ze wszystkich sił.

Poczuł, że czubek przebija dno baku.

Wyczuł zapach benzyny.

Poszerzył dziurę i dwie minuty później w ręczniki wsiątko dziewiętnaście litrów paliwa. Zrobił to samo jeszcze trzy razy, pod pick-upem, furgonetką i kombi. Od oparów benzyny kręciło mu się w głowie, mimo to czuł się silny i pełen energii. Wreszcie coś robił, walczył i wygrywał. Jeden po drugim powyciągał ociekające benzyną ręczniki i ułożył je na chodniku. Wszystkie oprócz jednego, małego, który zabrał ze sobą. Ten też ociekał paliwem. Wsunął go pod akumulator hondy. Wcisnął w szczeliny, między śruby i wsporniki.

Potem wyprostował się i potrząsnął rękami, żeby osuszyć dłonie. Usiadł za kierownicą, włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił go i włączył wszystko, co się dało. Ogrzewanie tylnej szyby, światła, wycieraczki i radio. Dosłownie wszystko. Chciał, żeby z akumulatora poszedł jak największy impuls.

Wysiadł. Wyjął cążki z kieszeni i rozłożył pilniczek, cienką blaszkę długości pięciu centymetrów i szerokości pięciu, sześciu milimetrów, poprzecinaną drobnymi rowkami i lekko zakrzywioną na końcu, dobrą do skrobania.

Włożył rękę pod maskę. Zgiął ją w łokciu, przekręcił i wetknął cążki między połówki sztywnego czarnego kabla. Między jego końcówki błyszczące jak nowe miedziane monety. Podniósł wyżej pilniczek. I zamknął obwód. Metal przez metal do metalu. Trysnął wściekły snop iskier, z głuchym wump! Ręcznik stanął w ogniu. Shorty rzucił cążki, zabrał rękę i zaczął biegać do chodnika i z powrotem, chwycić ręczniki, podpalać je w płomieniach ogarniających maskę hondy i wrzucać do pokoi, do jedenastki, dziesiątki, na łóżko i na podłogę, do siódemki i piątki. Kilka ostatnich rzucił na chodnik i plastikowy fotel pod oknem recepcji.

Potem ruszyli przez parking. Płomienie buchały już z okien i drzwi, fantastycznymi kształtami kłębiły się pod okapem, mknąc po nim w lewo i prawo, to nieruchomiejąc, to znów ożywając, jakby oddychały, by po chwili połączyć się na stałe i wpełznąć na dach.

– Teraz nie będą mogli patrzeć w tę stronę – powiedział Shorty.
– Przez noktowizory. Wypaliłoby im oczy. Musimy tylko iść tak, żeby cały czas paliło się za nami, wtedy nas nie zobaczą.

Patty przeanalizowała to geometrycznie i kiwnęła głową.

– Bardzo sprytne – pochwaliła.

Poszli na wschód, przez łąkę. Minęli po drodze kufer, pamiętając, żeby cały czas mieć za sobą płonący motel, a dokładnie przed sobą wylot drogi przez las.

• • •

Znalazł quada stojącego na drodze. Czterośląd wyłonił się przed nim w szarym świetle księżyca. Reacher przystanął. Wciąż niecałe dwa metry za linią drzew. Pochylił się w lewo i prawo, żeby powiększyć pole widzenia. Quad stał na skos, przodem do motelu. Miał przednie koła skręcone w tamtą stronę. I skręconą kierownicę. Jakby stamtąd nadjechał, zwolnił i zatoczył ciasny półokrąg. Lecz niekompletny. Nie pełne sto osiemdziesiąt stopni.

Ani śladu jeźdźca.

Polowanie, powtórzyła tylna część mózgu.

No dobra, odparła przednia. Polowanie. Ale gdzie? Pewnie

gdzieś przed tobą. Facet przyjechał, zawrócił i zaparkował. Bezpiecznie, daleko od właściwego miejsca akcji. Jak łapacz na końcu boiska. Dokładnie to przemyślał. Reacher słyszał go już wcześniej, z oddali. Gość siedział przez chwilę okrakiem na quadzie, opierając się o kierownicę, patrząc przed siebie i kalkulując. Potem zgasił silnik, zsiadł i prawdopodobnie poszedł z powrotem, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja, zwiększyć perymetr, polepszyć kąat widzenia. Co znaczyło, że Reacher był teraz za nim. A to zawsze dobre miejsce. Spojrzał przed siebie, między drzewa. Odchylił się w lewo i w prawo, wyteżył wzrok.

Wciąż ani śladu jeźdźca.

Ruszył dalej. Szło mu się ciężko. Pnącza, cierniste krzaki, liściasty podszyt. Ciężko i niezbyt cicho. Ale wkrótce nogi wpadły w szybki, urywany rytm, leśne staccato. Nie, nie w lewo. W prawo, w lewo i znów w prawo. Nie jak na zwykłym marszu terenowym. Przypominało to raczej krótkie przypadkowe skoki. Lisa szukającego miejsca na norę. Po ciemku. Albo niedźwiadka. Coś w tym stylu. Szedł dalej.

Aż zobaczył jeźdźca.

Ale tylko jednego.

Facet stał na środku drogi, prawie niewidoczny w mrocznej poświacie księżyca. Bokiem, jakby czegoś wypatrywał. Wyglądał niesamowicie. Ubrany na czarno, w coś w rodzaju obcisłego stroju lekkoatletycznego, na plecach miał łuk. I kołczan ze strzałami. A na głowie jednosoczewkowy noktowizor. Taki z pojedynczym okiem, jak u cyklopa. Wojskowy monokular drugiej generacji. Reacher też takich kiedyś używał.

Nocne polowanie, powtórzyła po raz trzeci tylna część mózgu. A nie mówiłam?

Niech ci będzie, odrzekła przednia.

Na horyzoncie wykwitła słaba poświata. Trochę czerwonawa, trochę pomarańczowa.

Ruszył przed siebie. Zrobił długi krok, płochliwy i szeleszczący, jeden, potem drugi. Facet nic nie zauważył. Próbował zobaczyć tę odległą poświatę, lecz patrzył tylko kątem oka, bo była zbyt jasna. Próbował i widocznie nie mógł, ponieważ ciągle odwracał

głowę. W końcu szybkim ruchem podniósł noktowizor na czoło i spojrzął w dal gołym okiem. Cofnął się i przesunął w lewo, żeby lepiej widzieć.

Reacher zrobił krok do przodu i krok w prawo.

Coś tam się paliło. Daleko, za lasem.

Myśliwy stał niecałe trzy metry od niego. Na prawo i nieco z przodu. Był dobrze zbudowany. Z podniesionym noktowizorem wyglądał jak aktor filmowy.

Nocny łowca. Z łukiem.

Tylko na co polował?

Zawsze jest jakaś ofiara, szepnęła tylna część mózgu.

Reacher zrobił kolejny krok.

Tamten go usłyszał. Jednym płynnym ruchem zdjął łuk z pleców. Ułamek sekundy później miał już strzałę w ręce. Położył ją na podstawce, napiął do połowy cięciwę i wycelował w dół. Rozejrzał się dookoła. Noktowizor wciąż miał na czole. Wyłączony. Grot strzały był płaski i szeroki. Lekko błyszczał w księżycowej poświacie. Solidny kawał stali. Mógł narobić poważnych szkód. To tak, jakby oberwać siekierą, tylko gorzej.

Mężczyzna podniósł nagle łuk, wysoko, obiema rękami, jakby zamierzał posłać strzałę na drugi brzeg rzeki. Przedramieniem zsunął noktowizor na oczy. Teraz znów widział po ciemku. Znów się rozejrzał, patrząc głównie przed siebie. Powoli, groteskowo, szklanym okiem wielkości puszki kawy.

Reacher zrobił krok do tyłu i w lewo. Zrównał się z linią drzew. Chciał zapewnić sobie pole widzenia, ale jak najwęższe. Im węższe, tym lepsze.

Myśliwy wciąż się rozglądał. Zlustrował już to, co było przed nim, i odwrócił się, żeby spojrzeć w bok. Potem odwrócił się jeszcze bardziej, żeby zerknąć za siebie...

I spojrzął prosto na Reachera. Skupiła się na nim gładka soczewka obiektywu. Mężczyzna podniósł łuk i maksymalnie napiął cięciwę. Reacher odchylił się w prawo. Strzała wbiła się w rosnące przed nim drzewo z dźwięcznym stukotem, od którego zawibrowało jękliwie całe drzewce.

Jak siekierą, tylko gorzej.

Myśliwy założył na cięciwę następną strzałę, wprawnym wyćwiczonym ruchem, prawą ręką. Kołczan, majdan, podstawka, grot, lotki – napiął łuk. Był gotowy do strzału. Jakby przeładowywał karabin, zrobił to niewiele wolniej.

– Zdajesz sobie sprawę, że strzelasz do człowieka?! – zawołał Reacher.

Łowca wystrzelił ponownie. Kiedy puścił cięciwę, rozległ się głuchy trzask uwolnionej energii, świst strzały w locie i taki sam dźwięczny stukot, kiedy wbiła się w drzewo.

To chyba znaczy, że sobie zdaje, pomyślał Reacher.

A nie mówiłam? – powiedziała tylna część mózgu.

Natomiast przednia odnotowała, że w jego bogatym długim życiu, w tym podczas służby wojskowej w różnych częściach świata, nikt nie strzelał do niego z łuku. Nigdy. Czekало go zupełnie nowe doświadczenie. Chyba mało zabawne. Problemem był noktowizor. Olbrzymi minus. Znał ten sprzęt bardzo dobrze. Używał różnych modeli AN/PVS, przenośnych urządzeń do wyszukiwania wizyjnego, stosowanych zarówno przez amerykańskie siły lądowe, jak i marynarkę wojenną. Podobnie jak większość sprzętu wojskowego drugiej generacji, one też stanowiły logiczne rozwinięcie sprzętu generacji pierwszej. Ponieważ wzmocnienie światła wzrosło z tysiąca do dwudziestu tysięcy razy, obraz był dużo ostrzejszy na krawędziach, bardziej szczegółowy, drobnoziarnisty, monochromatyczny, chłodny, głównie zielonkawy, szarawy i lekko zamglony. Nieco płynny i widmowy. Nie do końca rzeczywisty. Ale pod niektórymi względami lepszy.

Tak, tamten miał olbrzymią przewagę taktyczną. Dwadzieścia tysięcy razy to spora różnica. On miał zero razy. Co znaczyło, że prawie nic nie widział. Musiał wytrzeszczać oczy, żeby wychwycić różnicę między drzewem i nie-drzewem. Tu i tam ziemię pokrywały cętki księżycowej poświaty, z których część była prawdziwa, a większość pewnie wyimaginowana. Na niebie, daleko po lewej, płonęła pomarańczowa łuna. Coraz jaśniejszym blaskiem. I w tym blasku zobaczył błysk kolejnego stalowego grotu. Gotowego do strzału. Przesuwającego się w lewo i prawo,

próbującego znaleźć choćby kawałek czystego dojścia do celu. Łowca to się cofał, to podchodził bliżej, to robił krok w lewo, to w prawo. Starał się go namierzyć. Miał problem z trójwymiarowością. Do którego doszedł problem z wymiarem czwartym, bo Reacher też zaczął się poruszać, na chybił trafił, w lewo, w lewo i w prawo, stojąc w miejscu i tylko się chwiejąc, jednak to wystarczyło, żeby tamten musiał za każdym razem od nowa przeliczać całą balistykę.

– Musisz podejść bliżej!

Myśliwy nie odpowiedział.

– Ja bym podszedł. Gdybym strzelał do jelenia.

Tamten znieruchomiał. Szklane oko puszki kawy patrzyło teraz prosto na Reachera. Widział jedynie prawy skraj obiektu. Jego cięciwę, mówiąc językiem geometrii. Odcięty fragment koła. Co znaczyło, że myśliwy widzi tylko jego prawe oko, szeroki pień drzewa i – być może – kawałek lewego ramienia. Cel niewielkich rozmiarów. Reacher znał ludzi, którzy trafiliby w taki ze wszystkiego, od dziecinnej rzutki po nuklearny pocisk balistyczny, ale facet z łukiem najwyraźniej do nich nie należał. Inaczej Reacher już by nie żył i myśl ta w ogóle nie przyszyłaby mu do głowy.

– No, chodź tu! – zawołał. – Wejdz między drzewa!

Tamten wciąż milczał. Analizował sytuację. Na pewno. Naszpikowana przeszkodami niewielka przestrzeń i ograniczone pole manewru, zwłaszcza dla kogoś z łukiem. Położenie taktycznie kłopotliwe, zwłaszcza jeśli chodzi o zasięg. Wszędzie drzewa, wystarczy wyciągnąć rękę. A gdyby dopuścić przeciwnika bliżej, gra dobiegłaby końca, bo ten mógłby strącić mu z głowy noktowizor, wyrwać łuk i odebrać strzały. Ostre jak noże na patyku. Gość miał ich ze dwadzieścia.

Nie, nie wejdzie między drzewa.

Reacher poszedł w lewo. Stalowy grot ruszył za nim. Łowca wciąż nie miał czystego strzału. Jeśli już, to dopiero za trzy kroki, ponieważ trzy kroki dalej zielony baldachim był nieco rzadszy. Brakowało jednego drzewa i na poboczu powstała dziura. Mniejsza niż ta, w której tamci zawracali mercedesem. Dwa razy

węższa i płytsza, mimo to dziura. Dokładnie na jego drodze. Pusta przestrzeń wielkości małego pokoju. Z matematycznego punktu widzenia nie sposób było nie znaleźć okazji do strzału. Dostępne opcje wyglądałyby pewnie jak schemat tras na tylnej okładce czasopisma lotniczego.

Krytycznym czynnikiem była szybkość. Sprinter pokonałby tę odległość w niecałą sekundę. Biegłby bokiem do drogi. Każde miejsce na tym odcinku przecinałby w mniej niż jedną dziesiątą sekundy. Strzały są szybkie, lecz nie tak szybkie jak kule. Trzeba obliczyć i wziąć poprawkę. Strzelać przed cel, w miejsce, gdzie cel dopiero będzie. Strzała musi wyprzedzić go w przestrzeni i czasie. Łowca nie miał innego wyjścia. Musiał zaryzykować. Jak pałkarz, który czeka na piłkę.

Reacher pobiegł w lewo. Jeden krok, drugi, trzeci, z maksymalnym przyspieszeniem, i tamten wystrzelił, oczywiście z poprawką, w miejsce, w którym powinna znaleźć się zaraz ofiara – pewne trafienie, jak mocny wsad do kosza – tylko że tuż przed ostatnim drzewem Reacher gwałtownie odbił w prawo, niczym biegacz uciekający przed blokującym obrońcą, i zamiast wypaść na otwartą przestrzeń wielkości pokoju, runął prosto na niego, na myśliwego, który właśnie sięgał do kołczanu – w mamanej piwnicy to łatwizna, ale tutaj to nie takie proste. Reacher uderzył z całej siły wysuniętym ramieniem, żeby dokonać jak największego spustoszenia, bez cienia finezji, i facet upadł na ziemię w płataninie rąk i nóg. Reacher kopnął go w coś, co leżało najbliżej, chwycił łuk, ściągnął mu z głowy noktowizor i wyjął strzałę z kołczanu.

Nagle zamarł.

A gdyby dopuścił przeciwnika bliżej, gra dobiegłaby końca, bo ten mógłby strącić mu z głowy noktowizor, wyrwać łuk i odebrać strzały.

Oni też o tym wiedzieli.

Musieli polować parami.

Chwycił tamtego za kołnierz i zawlókł między drzewa za poboczem naprzeciwko. Łuk zaklekotał na asfalcie i znieruchomiał na środku drogi. Pech. Wszystko zdradzał. Jak

pierwsza klatka filmu. Reacher zatrzymał się niecałe dwa metry za linią drzew. Dźwignął myśliwego, podciągnął do góry i zasłonił się nim jak żywą tarczą. Chwycił go od tyłu za szyję i przytknął grot strzały do podgardla. Do najbardziej miękkiej części. Facet natychmiast stanął na palcach i zadarł głowę.

Reacher nacisnął mocniej. I szepnął:

– Na kogo polujecie?

Mężczyzna wypuścił powietrze, co w tych nerwowych dla niego chwilach zabrzmiało jak pełne zadumy westchnienie, jakby miał się zaraz wypowiedzieć na temat niezwykle skomplikowanego problemu, którego rozwiązanie wymagało olbrzymiej wiedzy i długiej dyskusji. Nawet stojąc z tyłu, Reacher wyczuł, że gość porusza ustami, możliwe, że podświadomie, jakby chciał przeciwyczyć pierwsze zdania oświadczenia wstępnego. Ale się nie odezwał. Ogarnięty paniką, przez kilka sekund miał przyspieszony oddech. A potem się uspokoił. Jakby się z czymś pogodził. Zbyt późno Reacher zrozumiał, że panika musiała być rezultatem głębokich rozważań nad najbardziej złożonym problemem ze wszystkich: dylematem obejmującym między innymi przyjazd policji i FBI, telewizji kablowej oraz proces stulecia, który ujawniłby cały ten obłąkany proceder, wstyd i poniżenie, zażenowanie i obrzydzenie. No i murowane dożywocie.

Dlatego pogodził się z tym, co postanowił zrobić.

W tych okolicznościach była to najlepsza rzecz dla wszystkich zainteresowanych.

Gwałtownym ruchem wyrzucił do tyłu nogi, jak rozgwiżdża ramiona albo jak wyskakujący z samolotu spadochroniarz, po czym runął do przodu i całym ciężarem spadającego ciała nadział się na grot strzały, który przebiwszy gardło, język i jamę zatokową, utknął głęboko w mózgu.

Wtedy Reacher go puścił.

• • •

Czuwający w centrali Steven tracił ekran po ekranie. Większość lustrujących okolicę kamer zamontowali na ścianach motelu

i zakamufłowali wspornikami rynien. Kiedy spalił się motel, spaliły się i one. Na strychu zainstalowali wszystkie węzły komunikacyjne. Wszystkie anteny radiowe, linie telefoniczne. Wybór lokalizacji był oczywisty. W stosunku do lasu jako całości motel stał najbliżej centrali, na nieco wyżej położonym terenie. Poza tym i tak go remontowali, więc upchnęli tam, co się dało. Łącznie z talerzem satelitarnym, który zapewniał pełną anonimowość w internecie. I której już nie mieli, bo się sfajczyła. Zostali sami. Byli odcięci od świata.

Zainstalowane w latarkach nadajniki GPS wciąż działały. Płynące z nich sygnały docierały bezpośrednio do centrali. Obecnie pokazywały, że Patty i Shorty idą w kierunku wylotu drogi. Po prostej. Mając za sobą płonący motel. Sprytnie. Oni o tym nie pomyśleli. Nigdy na to nie wpadli, na żadnej burzy mózgów. Nie uwzględnili tego w żadnej symulacji. A powinni. Bo z noktowizorami czy bez noktowizorów, na tle jaskrawej, migotliwej poświaty uciekinierzy byli prawie niewidoczni. Myśliwi mogli ich dostrzec dopiero z bliska.

Najświeższym problemem był należący do klienta numer trzy kardiomonitor. Który wszczął alarm. Kardiomonitor nie należały do obowiązkowego wyposażenia, jednak zostały uwzględnione w zasadach i warunkach uczestnictwa w polowaniu. W ramach prywatnego eksperymentu nadzorował je Robert, który chciał zweryfikować twierdzenie, że myśliwych najbardziej ekscytuje samo tropienie i pościg za ofiarą. On, na podstawie doświadczenia zdobytego w Tajlandii, uważał, że to nieprawda. Utrzymywał, że największe emocje przeżywają w rozkosznej godzinie po zapędzeniu ofiary do narożnika. Chciał jednoznacznie to udowodnić i potrzebował konkretnych liczb. Dlatego klienci nosili czujniki. Żeby mógł zarejestrować dane. Klient numer trzy wykazywał jak dotąd narastające podniecenie, którego wykres wystrzelił nagle jak rakieta, po czym gwałtownie opadł. Na ekranie widniała płaska linia. Według kardiomonitora klient nie żył.

Patty i Shorty wzięli się za ręce i stwierdzili, że tak jest lepiej, bo to, co mieli sobie do powiedzenia, mogli skuteczniej wyrazić za pomocą bezpośredniego kontaktu fizycznego. Czuli się dziwnie. Ni to sparaliżowani, ni to rozgorączkowni, mieli wrażenie, że robią podwójne salto do tyłu, poza tym czasem brakowało im tchu. Wokoło panowała ciemność, więc uznali, że są bezpieczni, a właściwie byłiby bezpieczni, gdyby nie noktowizory, więc tak naprawdę nie byli bezpieczni, z drugiej jednak strony na tle płonącego motelu noktowizory ślepy, więc jednak byli. Robili krok i czuli się jak przedszkolaki, które schowały się pod stołem. Nikogo nie widzieli, więc nikt nie widział ich. Robili drugi i mieli wrażenie, że idą po gigantycznym pasie startowym, dwie małe postacie, samotne na otwartym pustkowiu i oświetlone tysiącem reflektorów.

Nie wiedzieli, które uczucie jest prawdziwe.

Pewnie ani jedno, ani drugie.

Szli dalej.

Czekając na strzały.

Ale te nie nadlatywały.

Zakładali, że kilku tamtych zaczęło się na skrzydłach. Najbardziej niecierpliwe typy, które mają nadzieję, że im się poszczęści. I zobaczą ich jako pierwsi. Zamierzali ich uniknąć, idąc środkiem drogi. Zachowując mniej więcej jednakową odległość między poboczami. I pamiętając, żeby motel cały czas płonął dokładnie za nimi. W ostatniej chwili chcieli zboczyć z kursu i, wciąż pod osłoną jaskrawej poświaty, gwałtownie skręcić do lasu. Jakiś czas szliby między drzewami, a potem wrócili na drogę. Uznali, że lepsze to, niż się na nich nadziać. Wiedzieli, że co jak co, ale wylot drogi jest na pewno uważnie obserwowany.

Zamierzali się też rozdzielić. Tylko na chwilę. Najwyżej na

dziesięć metrów.

– Żebyśmy zdążyli sobie pomóc – rzuciła Patty.

I pomyślała, że dziesięć metrów wystarczy, aby uciec, kiedy jedno z nich zginie.

Ale na głos powiedziała:

– I żebyśmy tworzyli mniejszy cel.

W oddali zapadł się dach motelu. Buchnęła potężna chmura iskier i wygłodniałe płomienie zajęły kolejne belki. Ogień był jaśniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

– Teraz! – szepnęła Patty.

Pobiegli na południe. Poboczem, zerkając w lewo i prawo, przed siebie i za siebie, na płonący motel, starając się nie wychodzić z białawej poświaty pożaru, a przynajmniej jej aureoli, ale też ryzykując, bo zataczali coraz to szerszy i szerszy łuk, aż w końcu Shorty skręcił do lasu, tak jak się umawiali. Wpadł między drzewa i zniknął. Patty czekała. Cisza. Ani krzyku, ani żadnego innego ostrzeżenia. Więc ruszyła za nim, przeciskając się między tymi samymi dwoma drzewami, celując w tę samą ćwiartkę okręgu, aby znów wyjść na drogę. Słyszała go kilka metrów dalej. Był blisko i w razie czego mogłaby mu pomóc. Zerknęła przez ramię. Albo uciec. Naprawdę by uciekła? Postaw się w mojej sytuacji, złotko, i dopiero wtedy mnie oceniaj. Kto wie, co sam zrobiłby na moim miejscu.

Przez chwilę szła przed siebie.

A potem zdarzyły się dwie rzeczy, tak szybko i nagle, że zupełnie zgłupiała. Pojawili się jak spod ziemi. Nawet nie zauważyła skąd. Zdarzyły się dwie rzeczy, wiedziała tylko tyle. Zdarzyły się i zapadła cisza. Tylko że teraz stał przed nią Shorty, a na ziemi leżał jakiś mężczyzna. Jeszcze potem była bolesna powtórka w zwolnionym tempie, reakcja psychiczna. Może terapeutyczna. Albo potraumatyczna. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak tamten się przed nią wyłania. Niczym zjawą, koszmar senny, dosłownie. Czarne obcisłe nylony, łuk, strzała i szkaradny mechaniczny pysk z jednym okiem. Szarpnął łukiem w prawo i w dół, celował nisko, w jej nogi.

Mogą jakiś czas iść waszym śladem. A potem was postrzelić.

Napięła się cięciwa, w świetle księżycy błysnął grot strzały i nagle za łucznikiem wyrósł Shorty. Zamachnął się długą latarką jak pałką policyjną i uderzył go za uchem, wkładając w cios wszystkie siły masywnego rolnika uprawiającego ziemniaki oraz każdy gram gniewu, wściekłości, strachu i upokorzenia. Mężczyzna runął na ziemię jak kłoda. Bez wątpienia martwy. Poznała to po odgłosie, jaki towarzyszył ciosowi. Wychowała się na wsi. Widziała, jak zabija się bydło, i wiedziała, jak to wygląda.

Żebyśmy zdążyli sobie pomóc.

Zadziałało.

– Dziękuję – szepnęła.

– Rozpieprzyłem latarkę – powiedział. – Nie chce się zapalić.

– Weź moją. Przynajmniej tak ci się odwdzięczę.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– A ty weź moją. Jako broń.

Wymienili się latarkami. Mała absurdalna ceremonia.

– Dziękuję – powtórzyła Patty.

– Nie ma za co.

Odwróciła wzrok.

– Ale...

– Ale co? – spytał Shorty.

– Wiedzą, że jest nas dwoje. Musieli się spodziewać, że tak to rozegramy.

– Chyba tak.

– To dla nich ryzykowne.

– Pewnie tak.

– Założyli to z góry.

– Możliwe.

– Zgadłaś, malutka – powiedział czyjś głos.

Odwrócili się.

Kolejna zjawia. Błyszczące czarne nylony, obcisłe jak druga skóra, skomplikowany wielowarstwowy łuk, stalowy grot wielkości chochli do nalewania zupy i cyklopie szklane oko bez wyrazu.

Zjawia postrzeliła Shorty'ego w nogę.

Głucho jęknęła cięciwa, syknęła strzała, Shorty przeraźliwie krzyknął i runął w dół jak skazaniec przez zapadnię w szafocie. Strzała utkwiała w udzie. Ciągnął ją rękami, rzucał na boki głową, to zaciskając, to rozluźniając szczęki, co powodowało, że krzyk przerodził się w pełne udręki sapnięcia, dużo szybsze niż rytm jego oddechu. Ahr, ahr, ahr. Jak przyspieszone bicie serca.

Patty zachowała spokój. Tak jak on przedtem. Kiedy ona doszczętnie zgłupiała i miała w głowie pustkę. Jak on teraz. Nagle pomyślała, że właśnie tak powinno smakować życie. Usłyszała w głowie samą siebie, jakby była swoją własną koleżanką, kimś, kto pochylając się nad jej ramieniem, mówił: Zgoda, Shorty mocno oberwał, ale w ciągu najbliższych trzech sekund na pewno mu się nie pogorszy. Z medycznego punktu widzenia to po prostu niemożliwe. Dlatego możesz spokojnie zająć się ważniejszymi sprawami.

Czyli zjawą z łukiem. Tym staruchem, bo od razu poznała, że to staruch. Nagle nad jej drugim ramieniem pochyliła się druga koleżanka, mówiąc: Oczywiście, teraz będziesz widziała więcej, z dużo większą rozdzielczością, ponieważ działasz na podwyższonych obrotach, na bardziej prymitywnym poziomie, a tam wszystkie zmysły są maksymalnie wyostrzone, więc chociaż od stóp po głowę facet jest ubrany w lśniąca czerń, chociaż ma na gębie jakąś maszynę, po jego postawie i ruchach widzisz, że jest w wieku naszego dziadka, że jest pochylony i ma ptasią pierś, a jeśli przypomnimy sobie wszystkich starców, jakich znaliśmy i znamy, wszystkich dziadków ciotecznych i stryjecznych, jeśli przypomnimy sobie, w jak kiepskim byli stanie, i weźmiemy poprawkę na wzrost oraz wagę, nie powinniśmy mieć z nim żadnych problemów.

Wolno przeładowywał. Miał zgięty łokieć. Jakoś tak nienaturalnie. Artretyzm? Próbował zrekompensować to szybszymi ruchami. Sięgnął po następną strzałę, ale zrobił to bardzo niezdarnie i zbyt długo szukał jej w kołczanie. Wtedy Patty wkroczyła do akcji. Na czele grupy uderzeniowej ruszającej do ataku w może nieco płynnym szyku w kształcie litery V, przy akompaniamencie głośnej muzyki, z idącymi z tyłu koleżankami,

które dodawały jej animuszu i otuchy, które dosłownie niosły ją w powietrzu. Dzięki nim czuła się zupełnie nieważka.

Ta z lewej szepnęła: Myślę, że oprócz różnych innych rzeczy warto pamiętać, że ten facet postrzelił Shorty'ego z łuku. Co według wszystkich możliwych standardów jest wyjątkowo nieprzyzwoite.

Druga doradziła: Noktowizor osłoni mu twarz, lepiej celuj w szyję.

A ty weź swoją. Jako broń, powiedział Shorty.

Zrobiła to pięknie. Mimo niewielkiego doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Odczuwała wszystko na poziomie molekularnym. Skutki działania każdego związku chemicznego zalewającego mózg. Towarzyszyły temu bardzo złożone emocje. Głównie dotyczące Shorty'ego. Pierwotne uczucia. O wiele silniejsze, niż się spodziewała. Niektóre były jak ściągnięte i załadowane do umysłu programy komputerowe. Instrukcje z zakurzonych podręczników obsługi, ocalałe z okrutnych prehistorycznych czasów. Natychmiast wszystkie przyswoiła, co sprawiło, że poruszała się ze zwierzęcym wdziękiem, co dodało jej sił, szybkości, przebiegłości i dzikości, pradawnych cech zwieńczonych typowo ludzkim spokojem i zapamiętaniem, dzięki czemu całkowicie uległa instynktowi. Pokonała dzielącą ich odległość jak w tańcu, idealnie dopasowując długość kroku i stale przyspieszając, i kiedy cyklopie oko spojrzało w dół, na latarkę, z potężnym zamachem w kształcie litery U grzmotnęła nią od dołu w miejsce między opadającym podbródkiem i zgiętą szyją.

Latarka uderzyła z chrzęstem, który Patty poczuła aż w łokciu. Mężczyzna upadł szybko i gwałtownie, jakby nadział się na sznur do bielizny. Na plecy. Wtedy chwyciła łuk i odrzuciła go na bok. Noktowizor był przypięty grubymi gumowymi paskami. Zerwała mu go z głowy. Mężczyzna okazał się bladym, żalonym siedemdziesięciolatkiem.

Ciągle otwierał i zamykał usta, jak ryba.

Z paniką w oczach.

Nie mógł oddychać.

Wskazał gardło. Obiema rękami, rozpaczliwym gestem.

Nie mogę oddychać, powiedział bezgłośnie.

To masz, kurde, problem, pomyślała Patty.

Wtedy usłyszała ciche skamlenie Shorty'ego.

Potem uświadomiła sobie, że gdyby prokurator oskarżył ją o to, że wpadła w morderczy szal, nie miałyby nic na swoją obronę. Bo pewnie, że wpadła. Albo gdyby z surową miną spytał, czy naprawdę pobiła pani ofiarę na śmierć latarką? Jasne, że tak! Ciosami wyłącznie w głowę. Przede wszystkim w twarz. Zadany mi ze wszystkich sił. Po prostu zrobiła mu z gęby worek gwoździ.

A potem podczołgała się do Shorty'ego.

Który umilkł.

Bo widział.

Ale wszystko po kolei. Wsunęła mu ręce pod pachy, zaciągnęła go głębiej w las, posadziła i oparła o pień drzewa. Wyprostowała mu nogi i wróciła do trupa. Wzięła noktowizor i włożyła go na głowę. Obrzydliwość. Cuchnął oddechem starca, włosami, brudnym metalem i sparciałą wojskową gumą.

Ale teraz przynajmniej widziała. Ze świetlistą zielonką poświatą, z fantastycznymi szczegółami. Każda żyłka w każdym liściu była ostra jak igła. Jakby podświetlona od środka, żarząca się łagodnym blaskiem. Wyraźnie widziała każdą gałązkę u swych stóp, każdy kawałek kory. Odległe drzewa były równie jasne jak te rosnące tuż obok niej. Tak, widziała lepiej niż za dnia. Aż nienaturalnie. Wszystko było wygładzone, wzmocnione i obramowane, wszystko stało i leżało jak na wystawie. Czuła się jak supermen.

Wróciła biegiem do Shorty'ego i wzięła się do roboty.

• • •

Reacher podniósł z ziemi noktowizor. Włożył go i wyregulował paski. Świat momentalnie pojaśniał, pozieleniał i zaroił się od szczegółów. Wziął kołczan. Cały. Zarzucił go sobie na ramię. Dwadzieścia noży na patykach. Lepsze to niż nic.

Wszedł głębiej w las. Wiedział, że już nie zabłądzi. Droga wciąż prześwitywała między drzewami, chociaż była teraz trzydzieści

metrów dalej, z lewej strony. Wyraźna jak za dnia. Miała taką samą jasność jak wszystko inne. Noktowizor ignorował cienie i odległości. Każdą rzecz obdarzał taką samą zabarwioną na zielono pedantyczną uwagą.

Przeszedł cztery kroki i przystanął. Pomyślał, że ten drugi powinien być blisko, ale nie za blisko. Blisko na tyle, żeby szybko zareagować, daleko na tyle, żeby w razie czego dać nogę z tonącego okrętu. Na pewno w zasięgu głosu.

Obrócił się powoli, zataczając wzrokiem szeroki krąg. Zbadał każdy szczegół. Noktowizor to nie to samo co termowizor. To zupełnie inna branża. Jeśli ktoś zapali papierosa, wtedy tak, oczywiście, w obiektywie noktowizora jego postać zapłonie jak flara. Ale tylko dlatego, że noktowizor wzmocni światło, a nie ciepłość ciała. Noktowizory nie znajdują się na ciepłe. Jeśli ten sam ktoś nie zapali papierosa, w ogóle się nie ukáže. A już na pewno nie w postaci grubej kiełbaski pomalowanej na pomarańczowo temperaturą ciała. W najlepszym wypadku pojawi się jako biała zjawa podobna do każdej innej w jego otoczeniu. Albo nie pojawi się wcale. Zostanie automatycznie zakamuflowany. Bo w obiektywie noktowizora wszystko jest zielonkawe.

Nic. Ani śladu drugiego łowcy.

Sprawdził poboczne naprzeciwko. Przesunął się do przodu i do tyłu, żeby zerknąć między drzewa. Widział na pięćdziesiąt metrów. Bez najmniejszego trudu. Doskonale, ze szczegółami. Lepiej niż za dnia. Ani światła, ani cienia, ani świetlistych cętek na ziemi, ani dali, ani bliży. Każde drzewo jarzyło się dokładnie tak samo, jakby w jakimś koszmarnym futurystycznym świecie napromieniowano je taką samą dawką czegoś radioaktywnego. Każde pnącze i gałązka były oddzielne delikatną linią, niemożliwie cienką, jak rycina na banknocie.

Wtedy go zobaczył.

Facet opierał się o drzewo niecałe dwa metry od pobocza. W czarnym, obcisłym kombinezonie, z łukiem w ręce, patrzył głównie na drogę, ale zerkał też za siebie. Niepokoił się. Nie słyszał swojego partnera. Musiał podjąć decyzję. Reagować czy dać nogę z tonącego okrętu?

Stał czterdzieści metrów dalej. A więc czekały ich bardzo ostrożne podchody. Jego albo tamtego. Mozolna sprawa. Żmudna. Reacher znieruchomiał. Czasem dobrze jest pozwolić przeciwnikowi odwalić całą robotę.

Najpierw wyjął drugą strzałę z kołczanu. Miał teraz po jednej w obu rękach. Potem wybrał drzewo. Gruby, silny okaz. Sześćdziesięcioletni, sądząc po doświadczeniach z Ryantown. Oparł się o nie ramieniem. Reacher był trochę szerszy i wystawał. Ale niewiele. Cofnął się o krok i przykucnął. Strzałą w prawej ręce zaczął tłuc, kosić i młócić poszycie, zamasyście, z nadzieją, że tamten weźmie to za odgłosy wydawane przez zataczającego się człowieka, padającego albo rzucającego się na ziemi. Nie miał pojęcia, czy wypadło to przekonująco. Diabli wiedzą. Tamten mógł pomyśleć, że w krzaskach parzą się jakieś rzadkie zwierzęta. Więc aby uwiarygodnić iluzję, Reacher wydał zduszony jęk, jakby strasznie go bolało, trochę błagalny, głosem niezwykłego już faceta przystojnego jak aktor filmowy.

Potem wyprostował się i stanął za drzewem.

Czekał. Pełne dwie minuty. Myślał już, że gość nie dał się nabrać. Ale nie, w końcu go usłyszał. Blisko. Szedł bardzo cicho. Powoli i miarowym krokiem. Prosto na niego. Umiał podchodzić zwierzynę, bez dwóch zdań. Prawdopodobnie był praworęczny. Więc łuk trzymał w lewej. Wysunięty i lekko napięty. Z odciągniętą do połowy cięciwą. Ani naprężoną, ani poluzowaną. Zmierzał w jego stronę w niewygodnej postawie. Lewym ramieniem do przodu, bokiem do drogi.

Reacher czekał.

Tamten zwolnił. Od miejsca, z którego dobiegł hałas, dzieliło go ledwie kilka kroków. Był zdenerwowany. Ale ostrożny.

– Hej, trójka! – rzucił ostrym szeptem. – Jesteś tam?

Reacher ani drgnął.

– Gdzie ty się podziewasz? Chyba cię zgubiłem. Musimy iść, coś tam się pali.

Południowy Teksas, pomyślał Reacher. Szczery, uprzejmy głos.

Kopnął jakąś gałązkę.

– Trójka, to ty? – zapytał tamten.

Reacher zamarł.

– Jesteś ranny?

Gardłowo zacharczał, jakby chciał powiedzieć „powietrza”, zduszonym, matowym głosem.

Myśliwy podszedł bliżej.

I jeszcze bliżej.

Zza drzewa wychynęło najpierw ramię i brzuch, a potem noktowizor, pod wieloma względami cudo techniki, obarczone jednak poważną wadą: brakowało mu widzenia obwodowego. Co znaczyło, że facet wysunął się zza drzewa pół kroku za daleko. Zanim zobaczył. Zanim zamarł. Reacher dźgnął go strzałą od dołu w brzuch, tak mocno, że wbiła się po pięść, że myśliwy uniósł się w powietrze. Reacher zabrał rękę. Tamten upadł na kolana. Ze sterczącą z brzucha strzałą. Piętnaście centymetrów drzewca i lotki. Zaczął się powoli pochylać i...

...runął na twarz. Na drzewce i piórka. Z pleców wystawał mu grot. Mokry i oślizgły. Ale nie czerwony. Oczywiście zielony.

• • •

Steven stracił namiary jednej z latarek. Sygnał GPS zamrugał, zniknął i już nie powrócił. Powodem mogło być silne uderzenie. Druga latarka była teraz w głębi lasu, osiemnaście metrów od drogi. I od wielu minut nie zmieniała pozycji. Nie wiedział dlaczego.

Znacznie bardziej martwiły go jednak kardiomonitor. Już cztery pokazywały płaską linię. Nie żyło aż czterech klientów. Co było oczywiście niemożliwe, absurdalne. Nawalił sprzęt. Na pewno. Ale lepiej dmuchać na zimne. Ktoś powinien tam pójść i sprawdzić. Według GPS-u Peter i Robert czekali na skrzydłach, na skraju lasu. Wciąż neutralni, byli tam wyłącznie po to, aby doradzać, ubezpieczać i reagować na wezwania, po nic więcej. Natomiast Mark poruszał się po szerokiej pętli, zmierzając w stronę zabudowań. Niezbyt szybko. Albo szedł, albo jechał powoli quadem. Za wolno. Trzeba coś zrobić. Musiał im powiedzieć. Ale nie mógł. Spalił się węzeł radiowy. Mieli w uszach słuchawki, lecz go nie słyszeli. Dlatego nie reagowali.

Nic nie robili. Może tylko oglądali pożar.
Nagle latarka ożyła.

Nogawka przesiąkała krwią. Patty nie mogła jej rozerwać. Materiał był za mokry, za ciężki i śliski. Pobiegła po strzałę i poszerzyła grotem dziurę, którą zrobiła ta pierwsza. Grot był ostry jak nóż kuchenny. Przecięła materiał na długości piętnastu centymetrów po obu brzegach rany. Rozchyliła go. I spojrzała. Rana była pionowa. Strzała nadleciała tak, że jedno ostrze grotu wbiło się na górze, a drugie na dole, nad kolaniem, mniej więcej w jednej trzeciej długości uda. Centralnie. Przeszyła mięsień i uderzyła w kość. Patty nie znała się na medycynie, ale znała terminologię. Mięsień czworogłowy i kość udowa. Dziewięćdziesiąt stopni od tętnicy. Dość daleko. Shorty nie wykrwawi się na śmierć. Mieli szczęście.

Ale dawała głowę, że siła uderzenia złamała kość.

Pomacała. Z tyłu nogi wyczuła podłużne zgrubienie. Złamanie z przemieszczeniem. Kość wypchnęła ścięgna. Shorty sapał i skamlał, cicho, z zaciśniętymi zębami, stękał i jęczał, częściowo z bólu, częściowo z wściekłości. Cały bladozielony. Wiedziała, że jest w szoku, ale niezbyt głębokim. Serce biło mu szybko, lecz równo.

Przyjrzała się grotowi strzały, którym przecięła materiał. Miał kształt trójkąta, dwa paskudne ostrza schodzące się na czubku i eleganckie zgrubienie na środku, w miejscu, gdzie osadzono drzewce. Żeby je dociążyć i dodać mu impetu. Brzegi miał ostre jak brzytwa. Przecięłyby chyba wszystko. Ale nie było na nich zadziórów. Dlatego wyszedłby z ciała równie łatwo, jak w nie wszedł. Niczego więcej nie przecinając. Ani nie uszkadzając. Wysunąłby się tą samą drogą.

Sęk w tym, że mięsień mocno się skurczył i skrócił. Ścisnął strzałę jak imadło.

- Shorty – powiedziała. – Musisz rozluźnić nogę.
- Nic nie czuję – odrzekł. – Jakbym jej nie miał.

- Chyba jest złamana.
- To niedobrze.
- Musimy do szpitala, ale najpierw trzeba wyciągnąć strzałę. Ściskasz ją mięśniami, musisz się rozluźnić.
- Nie mogę. Nic nie mogę, wiem tylko, że boli mnie jak diabli.
- Musimy ją wyciągnąć – powtórzyła.
- Spróbuj rozmasować mi nogę. Jakbym miał skurcz.

Patty pomasaowała. Zimne, mokre i śliskie udo. Uwalane krwią. Shorty jęczał, skamlał i sapał. Ścisnęła brzegi rany, milimetr po milimetrze zbliżyła kciuki do grotu, a potem nacisnęła trochę mocniej, z obu stron, i rana otworzyła się jak usta. Krew wezbrała i wylała się zielonkawymi strumykami z jednej i drugiej strony.

- Powiedz, dokąd jedziemy – szepnęła.
- Na Florydę.
- Co będziemy tam robili?
- Otworzymy sklep dla windsurferów.
- Co jeszcze?
- Podkoszulki. Można na tym dobrze zarobić.
- Co na nich będzie?

Shorty umilkł, zastanawiając się pewnie nad jakimś wyszukany wzorem, a wtedy chwyciła za drzewce i szarpnęła do góry, mocno, jakby wyciągała gruby bal ze stosu na tartacznym składowisku. Grot wyszedł i Shorty krzyknął przez zaciśnięte zęby z bólu, wściekłości i poczucia zdrady.

- Przepraszam – powiedziała.

Przestał krzyczeć i już tylko sapał.

Zdjęła kurtkę, czystym grotem odcięła rękawy i związała je grubym węzłem. Potem złożyła ją kilka razy, aż powstało coś w rodzaju podkładki czy zbitej poduszki, małej, najmniejszej, jaką tylko mogła zrobić. Przycisnęła ją do rany. I przewięzała rękawami. Tyle mogła. Z przodu kompres uciskowy na powstrzymanie krwawienia, a z tyłu węzeł w charakterze prowizorycznej szyny. Węzeł trzymał mocno. Nie puści. A jeśli już, to nieprędko. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Zaczekaj.

Podbiegła do pierwszej zjawy. Tej, którą uderzył Shorty. Której roztrzaskał łeb. Zdjęła noktowizor. Gumowe paski lepiły się od krwi. Wyjęła strzałę z kołczanu. I wróciła do Shorty'ego. Dała mu noktowizor i strzałę. Żeby miał się czym bronić. Ostatnia deska ratunku.

– Idę poszukać quada.

Do jednej ręki wzięła dobrą latarkę, do drugiej czystą strzałę. Znów podbiegła do zjawy Shorty'ego i stanęła tam, gdzie stała wtedy. Odtworzyła tę scenę w wyobraźni. Zjawa pojawiła się przed nią. Jak koszmar senny. Wyrosła dokładnie naprzeciwko. Co znaczyło, że szła na południe. Z północy. Od wylotu drogi.

Przeszła nad trupem i ruszyła w kierunku miejsca, gdzie zaskoczył ich płynący z ciemności głos. *Zgadłaś, malutka.* Odwrócili się wtedy i go zobaczyli. Twarzą w twarz. On też szedł na południe. Też z północy. Od wylotu drogi. Byli parą. Polowali razem. Zdrowy rozsądek mówił, że zostawili quady gdzieś z tyłu. Zaparkowali i poszli dalej piechotą.

Przeszła nad drugim trupem i ruszyła na północ.

• • •

Dostrzegł ją Mark. Już miał za nią pójść, lecz kątem oka zobaczył, nad czym Patty przestępuje. Ktoś tam leżał. Trup. Dwa trupy. Co kazało mu spojrzeć na sytuację z zupełnie innej perspektywy. Spłonął motel. Fatalna sprawa, ale, co paradoksalne, był ubezpieczony. Wniosek o odszkodowanie nie wchodził oczywiście w grę. Za duże ryzyko. Nawet pobieżna inspekcja wykazałaby, że go podpalono. Bo podpalono. Obserwujący monitory Steven nie rozumiał na początku, co jest grane. Nikt z nich nie rozumiał. Radio jeszcze działało i Steven opisał im, jak Shorty majstruje pod maską hondy, jak wpycha ręczniki pod tylne koła samochodów na parking, ale kamery pokazywały to wszystko pod złym kątem, tak że nie wiedział, co się, do diabła, dzieje. Nie wiedzieli i oni, nie mieli żadnych pomysłów do chwili, kiedy ręczniki stanęły nagle w ogniu i Shorty zaczął je rozrzucać.

Nigdy na to nie wpadli, na żadnej burzy mózgów. Nie

uwzględnili tego w żadnej symulacji i żadnych ćwiczeniach. A powinni. Nieunikniona sprawa. Skoro klienci nalegali na lepsze okazy, musiało do tego dojść. Ktoś musiał wykonać kiedyś naprawdę odważny ruch. Prędzej czy później.

Nie, nie mieli podstaw do wniosku o odszkodowanie. Policja przyjechałaby, przeszukała pogorzeliśko i znalazła od groma dziwnych rzeczy. Z drugiej strony, odbudowa pochłonęłaby połowę tego, co dziś zarobili. Byłby to poważny cios. Choć zawsze mogliby powiedzieć, że szybko odrobiją straty. I zarobią jeszcze więcej.

Jednak cios to cios. Istniało inne wyjście? Nagle stwierdził, że istnieje. Nagle pomyślał, po cholere go odbudowywać? Przecież to była nora. Nic dla niego nie znaczyła. Stanowiła część dziwnego prawa własności, które odziedziczył po kimś, kogo nawet nie znał. Miał ten motel gdzieś. I od razu postanowił, że go nie odbuduje. O wiele taniej będzie przerobić jeden z pokoi w głównym domu. A jeszcze taniej zmienić szyld z *Motelu* na *B&B*. Kilka nowych plastikowych liter i trochę złotej farby. Zaproszenie innego rodzaju. Powinno wypalić. Przecież nie musieli przyjmować trzech gości naraz. Z powodzeniem wystarczyłoby dwóch. A klienci mogliby spać w namiotach. Nie ma to jak przygoda w dziczy.

Ale trupy to zupełnie inna sprawa. Zawsze szczyił się tym, że jest realistą i nie zaślepiają go emocje. Że nie daje się ponieść sentymentom ani zwieść brakiem obiektywizmu. Uważał, że podejmuje decyzje chłodno i beznamiętnie. I umie przewidywać ich konsekwencje. Jakby grał w szachy na czas. Zawsze wiedział, co zaraz będzie. Jeśli to, to tamto, a jeśli tamto, to to. I teraz przewidział, że zawałą się wszystkie kostki domina. O zaginionych ktoś się upomni, zaczną się pytania, badanie śladów. Skoro Robert potrafił znaleźć kogo trzeba, potrafi ich znaleźć i FBI. I to dużo szybciej.

Czas na plan B, pomyślał.

Jak zwykle bez emocji.

Wrócił do quada i pojechał niespiesznie w stronę głównego domu. Motel spalił się niemal doszczętnie. Stała jedynie

metalowa klatka wokół pokoju numer dziesięć. Rozżarzona na wiśniowo. Od gorąca. Czuł je aż na parkingu. Na nocnym wietrze unosiły się dogasające węgielki, czerwone, białe i połyskujące.

Minął stodołę i skręcił do domu. Dodał gazu i wjechał schodami na werandę. Wszedł wejściem od frontu, prosto do salonu. Nie zdążył jeszcze stanąć w progu, kiedy Steven powiedział mu „Cześć”. Nie podnosząc głowy. Obserwował ekran sygnałów GPS i wiedział, gdzie kto jest.

Mark spojrzał ponad jego ramieniem. Na ekran. Tylko jedna latarka. A Peter i Robert wciąż na skraju lasu.

– Padły cztery kardiomonitoringi – zameldował Steven.

– Już cztery?

Steven przełączył się na inny ekran i pokazał mu dane. Cztery oddzielne wykresy. Tętno i czas. Każdy wyglądał jak zrobiony ołówkiem szkic górzystego terenu. Wszystkie pokazywały w sumie to samo. Najpierw wzrastające i utrzymujące się podekscytowanie, potem krótki okres ekstremalnego stresu, a jeszcze potem nic.

– Może to sprzęt?

– Nie – odparł Mark. – Widziałem dwa trupy.

– Co takiego?

– Z roztrzaskanymi głowami. To robota Patty i Shorty’ego. Są lepsi, niż myśleliśmy.

– Gdzie je widziałeś?

– Na południe od drogi.

– A pozostali dwaj?

– Nie wiem.

Steven znów przełączył się na GPS. Latarka przesuwiała się wzdłuż drogi, w lesie, blisko pobocza. Peter i Robert wciąż czekali bez ruchu. Oddzielne okienko pokazywało, że tętno ocalałych klientów jest podwyższone, lecz równe. Byli podnieceni. Tropieniem i pościgiem. Wykresy nie miały jednak gwałtownych skoków. Brak kontaktu ze zwierzyną.

– Kto to jest? – spytał Mark.

– Karel i ten z Wall Street.

– Wiadomo, gdzie są?

– Wiadomo, gdzie są ich quady. Wygląda na to, że zajęły środkową pozycję.

– Tych z przodu i z tyłu już nie ma. Teraz wszystko zależy od nich.

– Kto załatwił tych z tyłu? – spytał Steven.

– Nie wiem.

– Co chcesz zrobić?

– Uruchomić plan B. Śledź uważnie latarkę, sprawdź, dokąd idzie.

Steven wbił wzrok w ekran monitora.

Mark wyjął spod marynarki czarny, kanciasty pistolet. Musiał wysoko podnieść łokieć, ponieważ zaopatrzona w tłumik lufa była dość długa. Strzelił Stevenowi w tył głowy. Kiedy ciało zważyło się na podłogę, strzelił po raz drugi. Żeby mieć pewność. I ze skrupulatności. Plan B wymagał sporej dozy jednego i drugiego.

Wyjął z szafy torby z pieniędzmi i postawił je w korytarzu. Otworzył tylną ścianę szafy i wyjął swój podręczny zestaw ucieczkowy. Gotówkę, karty kredytowe, prawo jazdy, paszport, telefon na kartę. Zupełnie nową tożsamość w plastikowej torbie.

Zestawy Petera, Stevena i Roberta rzucił na dno szafy.

Wyniósł torby i postawił je na ziemi w bezpiecznej odległości. Wrócił na werandę i otworzył na oścież drzwi. Pchnął quada do przodu, cofnął go, potem znów pchnął, żeby zrobić trochę miejsca. Odkręcił i wyrzucił pokrywkę baku. Przykucnął jak ciężarowiec na pomoście i chwycił za ramę. Szarpnął, dźwignął i przewrócił quada na bok. Otwartym bakiem w stronę domu. Tuż przy otwartych drzwiach. Zagulgotało paliwo. Najpierw utworzyło kałużę, potem miniaturowe jezioro.

Mark rzucił zapalniczkę, chwycił torby i pobiegł. Do stodoły. W połowie drogi przystanął i obejrzał się. Dom już płonął. W ogniu stał cały front. Drzwi, ściany i podłoga werandy. Płomienie wpełzały do środka.

Pobiegł dalej. Wpadł do stodoły i wrzucił torby do bagażnika mercedesa. Wycofał, zaparkował i wrócił. Dom palił się bardzo ładnie. Płomienie sięgały już okien na piętrze. W stodole

podbiegł do traktora ogrodowego. Do zamontowanej nad nim półki, gdzie stały kanistry. Dokładnie pięć, równiutko ustawionych, napełnianych podczas każdej wyprawy pick-upem do miasta. Zawsze w pełnej gotowości. O trawę trzeba dbać. Pierwsze wrażenie jest bardzo ważne.

Plan B. Koniec z tym.

Opróżnił wszystkie, wylewając benzynę pod mercedesy Petera, Stevena i Roberta. Rzucił zapalkę, wyszedł i pobiegł do samochodu. Włączył światła awaryjne. Żeby Peter i Robert je zobaczyli. Sygnał alarmowy. Już wiedzieli, że radio nie działa. Widzieli, że pali się nie tylko motel, ale także dom. Nie mieli pojęcia, co się dzieje. Przyjadą w te pędy.

Mrugając awaryjnymi, ruszył niespiesznie w kierunku wylotu drogi. Minął rozżarzone zgliszcza motelu i zatrzymał się na środku łąki.

Robert nadjechał z prawej, z lasu, szerokim łukiem, miażdżąc trawę czterema grubymi oponami. Quad podskoczył na brzegu asfaltówki i stanął przy drzwiach od strony pasażera. Mark opuścił szybę i kiedy Robert zajął do środka, strzelił mu w twarz.

I podniósł szybę. Z lewej nadjeżdżał Peter. Też szerokim łukiem przez łąkę. Symetrycznym jak lustrzane odbicie. Zmierzał do drzwi od strony kierowcy, więc mercedes zasłaniał quada Roberta i bezwładnego trupa na ziemi.

Mark znowu otworzył okno.

Peter zahamował.

Siedzieli teraz twarzą w twarz.

Pistolet był za długi. Miał tłumik. Mark nie mógł nim swobodnie manewrować. Lufa zahaczała o drzwi.

Peter zgasił silnik.

– Jest bardzo źle?

Mark zawahał się.

– Gorzej być nie może. Motel się spalił. Pali się dom i stodoła. Nie żyje czterech klientów.

Teraz z kolei zawahał się Peter.

– To zupełnie nowa sytuacja.

– Masz rację – zgodził się z nim Mark.
– To już koniec. Rozumiesz to, prawda? Policja poruszy niebo i ziemię.
– Na pewno.
– Musimy uciekać – powiedział Peter. – Natychmiast. Tylko ty i ja. Musimy, Mark. Wyobrażasz sobie tę presję? Jeśli zostaniemy, będzie po nas.
– Tylko ty i ja?
– Robert i Steven są bezużyteczni. Byliby kulą u nogi. Dobrze o tym wiesz.
– Muszę otworzyć drzwi – powiedział Mark. – Rozprostować nogi.
Peter spojrział w dół.
– Masz dużo miejsca.
Mark otworzył drzwi. Ale nie wysiadł. Przytrzymał je i kiedy postać Petera idealnie wpasowała się w ramy ustawionego pod kątem okna, strzelił mu w pierś, szyję i twarz.
Potem zamknął drzwi, podniósł szybę, wyłączył światła awaryjne i pojechał w stronę lasu.

Dzięki noktowizorowi Reacher bez trudu pokonał następną część lasu. Szedł niecałe dwa metry od drogi. Nie skradał się ani nawet nie starał iść cicho. Zakładał, że ochroni go matematyczna losowość, z jaką rosły drzewa. W tych warunkach prawdopodobieństwo czystego strzału z dużej odległości wynosiło sto do jednego.

W pewnym momencie usłyszał cztery stłumione pyknięcia. W dwóch seriach, najpierw jedno, potem trzy. Cztery malutkie ułucia dźwięku. W trzydziestosekundowym odstępie. Tylńa część mózgu powiedziała mu natychmiast, że były to wytłumione wystrzały z dziewiątki, że ktoś strzelał na otwartej przestrzeni niecałe dwa kilometry dalej. Przednia zasugerowała, że może tam coś wybuchło. Na przykład kanistry w ogniu. Który z każdą chwilą jaśniał. Najpierw rozgorzał, bo pewnie zapadł się dach, a potem nieco przygasł. Ale teraz znów płonął pełnym blaskiem, jakby zapaliło się coś jeszcze.

Reacher przystanął. Po lewej stronie zobaczył dwa quady. Parkowały obok siebie, na skos, przodem do lasu i częściowo wystawały na pobocze. Jak przed przydrożnym zajazdem. Jeźdźców nie było. Przynajmniej w pobliżu. Może odeszli. Żeby zobaczyć, co się dzieje. Jak tamci dwaj. Tamci obstawiali teren z tyłu, a ci z przodu. Działali na wielopoziomowej linii obronnej. Para za parą. Właśnie dlatego nie chciał służyć w piechocie. Za dużo niekończącego się łażenia.

Zrobił kilka kroków, ciszej niż wcześniej.

I znów przystanął.

Kogoś zobaczył. Po drugiej stronie drogi, dziewięć, dziesięć metrów za linią drzew. Z tej odległości facet wydawał się mały, lecz starannie naszkicowany cieniutkimi liniami, szarymi i zielonkawymi, świecił jak wszystko inne. Kombinezon pletwonurka, łuk i cyklopie oko.

Partnera wciąż ani śladu. Dlatego się niepokoił. Głównie martwiła go łuna na niebie. To na nią patrzył, to odwracał głowę. Może nie chcąc oslepnąć, sprawdzał natężenie blasku. Wysoki i solidnie zbudowany, miał szerokie bary i wysoko podniesioną głowę. Ale nie czuł się najlepiej. Reacher widywał takich jak on. Nie tylko w wojsku. Nie ulegało wątpliwości, że w swoim świecie facet jest samcem alfa. Ale jego świat został hen za lasem. Dlatego się denerwował. Był zagubiony. Rozżalony. Jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego, do cholery, jego sztabowcy czy sekretarze nie zajęli się lepiej najpilniejszymi sprawami.

Reacher poszedł przed siebie, powoli i po cichu, wciąż między drzewami. Po kilku krokach zrównał się z tamtym. Dwa metry krzaków, pobocze i droga. Mężczyzna stał niecałe dziesięć metrów za poboczem po drugiej stronie. Na papierze można by ich połączyć linią prostą. Ale nie w lesie. Facet nie miał czystego strzału. Nie mógł przejść do ataku. Zagrał zbyt defensywnie i utknął tam jak w puszcze.

Reacher przeszedł na drugą stronę drogi. Po prostej, za setką rosnących między nimi drzew. Wszedł do lasu i wciąż po prostej ruszył w jego kierunku. Dzieliło ich teraz sześć metrów. Wzmocniona dwadzieścia tysięcy razy łuna mrugała i tańczyła wśród liści niczym ruchomy flesz aparatu fotografującego wysiadającą z limuzyny gwiazdę filmową. Mężczyzna patrzył w dół. Może niepokoiły go te rozbłyski.

Trzy metry. Reacher przystanął. Rozejrzał się uważnie na wszystkie strony. Przystudiował każdą część pełnego kręgu, fragment po fragmencie. Obraz był ostry na krawędziach, bardzo szczegółowy, drobnoziarnisty, monochromatyczny, chłodny, głównie zielonkawy, szarawy i lekko zamglony. Nieco płynny i widmowy. Nie do końca rzeczywisty. Ale pod niektórymi względami lepszy.

Ani śladu partnera.

Reacher zrobił kolejny krok. Zawsze uważał, że liczy się nie tylko elastyczność, ale i plan działania, który w tym przypadku zakładał dźgnięcie faceta strzałą w szyję. Prosta sprawa, bo gdyby tamten pozwolił mu podejść na długość ręki, gra

dobiegłaby końca. Ale do głosu doszła elastyczność. Z bliska, nawet w nikłych przebłyskach światła między drzewami, było widać, że gość niepokoi się w specyficzny sposób. Elementarny. Jak miliarder, którego samolot rozbił się na bezludnej wyspie. Albo który miał stłuczkę w niebezpiecznej dzielnicy. Łańcuch pokarmowy. Nagle okazało się, że wcale nie zajmuje w nim wysokiego miejsca. I jest gotów pertraktować.

Reacher zaatakował. Mężczyzna gwałtownie podniósł łuk, prawdopodobnie odruchowo, pod wpływem zwierzęcego instynktu, a nie przemyślanej decyzji – szkoda, ponieważ Reacher musiał użyć swojej strzały, którą chlasnął w dół jak nożem na patyku, przecinając grotem wszystkie cztery kłykcie jego lewej ręki. Facet zawył i upuścił łuk. Reacher podszedł bliżej, tak blisko, że zderzyli się noktowizorami, podciął go kopniakiem w wewnętrzną stronę kolan i kiedy tamten upadł na plecy, strącił mu nogą noktowizor z twarzy, nastąpił na szyję, wsunął czubek grota do ust i zastukał nim w zęby.

– Chcesz pogadać? – syknął.

Mężczyzna nie mógł odpowiedzieć ani słowami, ponieważ miał kawał ostrej stali w ustach, ani gestami, ponieważ przygniatała go noga. Dlatego przytaknął oczami. Z rozpaczliwym błaganem. Czy obietnicą.

Reacher zabrał strzałę.

– Na kogo polujecie?

– Nie, to nie tak... – zaczął tamten.

– A jak?

– Przyjechałem zapolować na dzika.

– A na co polujesz?

– Oszukano mnie.

– Na co polujesz? – powtórzył Reacher.

– Na ludzi. Ale nie po to tu przyjechałem...

– Na ilu ludzi?

– Na dwoje.

– A konkretnie?

– Na młodych Kanadyjczyków. Patty Sundstrom i Shorty Fleck, tak się nazywają. Utknęli tu. Tamci wciągnęli mnie w to

podstępem. Powiedzieli, że będziemy polować na dzika. Okłamał mnie.

– Kto?

– Mark. Właściciel motelu.

– Mark Reacher?

– Nie znam jego nazwiska.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś na policję?

– Tu nie ma zasięgu. Ani telefonów.

– Dlaczego nie uciekłeś?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Dlaczego nie zostałeś w pokoju i nie odmówiłeś udziału w polowaniu? – dążył Reacher.

Cisza.

– I mimo to łazisz po ciemku z łukiem i strzałami?

Brak odpowiedzi.

– Zaczekaj.

Usłyszał warkot samochodu. I zobaczył poszatkowane rozbłyski wzmocnionego światła między drzewami. Jechało coś dużego, z włączonymi reflektorami. Przesunął na czoło noktowizor. Świat pociemniał, cały z wyjątkiem drogi biegnącej dziesięć metrów dalej. Bo droga była oświetlona jak wnętrze długiego, niskiego tunelu. Reflektory sunęły naprzód. Samochód przejechał. Mercedes. Byszczący czarny SUV w kształcie pięści. Tylne światła jarzyły się przez chwilę na czerwono. Potem zniknęły.

Reacher opuścił noktowizor i świat znów pozieleniał, nabierając szczegółów. Przesunął stopę na szyi leżącego mężczyzny. Żeby zrobić miejsce. Na grot. Przytrzymał strzałę czubkiem buta i lekko nacisnął. Tamten chciał krzyknąć, lecz Reacher przydeptał mu mocniej szyję i uciszył go.

– Nie wiedziałem, w co się pakuję, przysięgam! – wychrypiał myśliwy. – Jestem bankierem. Nie jestem taki jak oni. Ja też jestem ofiarą!

– Bankierem?

– Prowadzę fundusz hedgingowy. Nie mam z nimi nic wspólnego!

– Widzę, że świat ciągle się zmienia – powiedział Reacher. –

Jesteś bankierem i oczekujesz lepszego traktowania. Kiedy to się stało? Pewnie mrugnąłem i nie zauważyłem.

– Nie miałem pojęcia, że oni polują na ludzi.

– A ja myślę, że miałeś. Że po to tu przyjechałeś.

Naparł na strzałę. Napierał coraz mocniej i mocniej, aż grot przebił skórę i szyć, aż otarłszy się o kręgosłup, wyszedł z drugiej strony i przybił bankiera do ziemi jak martwego motyla. A właściwie nie do ziemi, tylko do jakiegoś korzenia, twardego i powykręcane. Mimo to Reacher pchał dalej. Coraz bardziej pochylony, pchał i napierał, aż strzała utkwiała głęboko, mocno i idealnie pionowo, jak pomnik.

Potem wszedł między drzewa.

• • •

Mark zatrzymał się maska w maskę z lawetą i szybko ich policzył. Formalnie rzecz biorąc, nieznanym był los maksymalnie czterech osób. Karela, tego z Wall Street, Patty i Shorty'ego. Oraz, hipotetycznie, osoby piątej, jeśli para z głębi lasu padła ofiarą kogoś z zewnątrz. Na przykład tego dużego faceta, który mógł wrócić. Bo coś zauważył. Bo go nie przekonali.

Przez Petera.

Cztery osoby. Albo pięć. Za nim. Daleko z tyłu. Potrzebował trzech krótkich minut. Tylko trzech. Może nawet dwóch. Musiał z pełną prędkością wycofać lawetę na drogę, w razie konieczności wpakować ją nawet do rowu, potem błyskawicznie wrócić, wskoczyć do wozu i odjechać. Byle gdzie. Na północ, południe, wschód czy zachód. Trzy minuty, może nawet mniej. To wszystko. Tylko że te pięć osób... Mogły być dalej albo bliżej niż trzy minuty drogi od lawety. Jeśli były dalej, wszystko pójdzie jak po maśle, ale jeśli nie, będzie miał problem.

W końcu pomyślał, że to niemożliwe, żeby się tu zjawili. Nawet na quadach. Odtworzył tę scenę w wyobraźni. Jakby grał w szachy na czas. Jakby wiedział, co zaraz będzie. Jeśli to, to tamto, a jeśli tamto, to to. Głośno ryknie diesel. Wszyscy to usłyszą, nawet ci, którzy zasadzili się najdalej. Klienci najpierw założą, że organizatorzy poszerzają teren polowania.

Spontanicznie wprowadzają drobne poprawki. Żeby zabawa była lepsza. Patty i Shorty pomyślą tak samo, choć nie do końca. Do tej pory dobrze sobie radzili i założą, że Peter czy Steven przesuwają słupki bramki, żeby zmniejszyć ich szanse. Nikt nie będzie nic podejrzewał. Trzy minuty nie mają znaczenia. Nikt nie zareaguje.

Z wyjątkiem Karela. Właściciela lawety. Karel od razu wyczuje, że dzieje się coś dziwnego. Ale niewykluczone, że nie zainterweniuje, bo po tym, jak im pomógł, za co dostał zresztą solidną zniżkę, uważa się za dochodzącego członka zespołu. *Mi casa es su casa*, tak pewnie pomyśli. Może nawet uzna, że przez grzeczność nie chcą odrywać go od zabawy. Ostatecznie jest klientem, a nie arbitrem. Poszerzanie czy pomniejszanie terenu polowania nie należy do niego. Pomyśli tak i odpuści.

Albo i nie.

Z drugiej strony, mógł być dalej niż trzy minuty drogi od lawety. Nawet gdyby usłyszał warkot diesla, musiałby najpierw przedrzeć się przez las, sześćdziesiąt metrów albo i więcej, do miejsca, gdzie zaparkował quada. Już samo to trwałoby dłużej.

Albo i nie.

Jako wyrachowany realista Mark doszedł do wniosku, że ma duże szanse powodzenia. Albo Karel sobie odpuści, albo nie, pomnożone przez to, czy był teraz dalej, czy bliżej niż trzy minuty drogi od lawety. Dwa rzuty monetą z rządu. Prawdopodobieństwo przegranej jak jeden do czterech, prawdopodobieństwo wygranej jak trzy do czterech. Liczby nie kłamią. Obiektywizm to podstawa.

Nie zgasił silnika i nie zamknął drzwi. Wcisnął się między drzewa i potężną maskę lawety. Dotarł do kabiny. Przytrzymał się klamki i wszedł na stopnie.

Drzwi były zamknięte.

Czego nie przewidział. Po raz pierwszy nie wiedział, co dalej. Taka prosta rzecz. Nie przyszłoby mu to do głowy. Nigdy, nawet za milion lat. Kiwając się w lewo i prawo, dźgany przez gałęzie, stał jedną nogą na pierwszym stopniu schodków, z ręką na klamce. Początkowo był zły. Jak ten dureń mógł zamknąć drzwi i nie zostawić kluczyków? Kto by tak zrobił? Czysty obłąd.

Przecież najważniejsza jest elastyczność działania. A gdyby tak musieli przestawić lawetę? Kierowanie grą to umiejętność dostosowywania się do sytuacji. Wszyscy o tym wiedzą.

A potem się zdenerwował. Miał przyprawiające o mdłości uczucie pustki w brzuchu. Jeśli kluczyków nie ma w kabinie, to gdzie są? Najlepsza opcja była jednocześnie najgorszą, bo w najlepszej brzęczały w kieszeni Karela, co znaczyło, że musi mu je odebrać. Co doprowadziłoby do opóźnienia. Potencjalnie dużego. A to z kolei naraziło go na jeszcze większe niebezpieczeństwo ze strony ocalałych wrogich elementów. Niedobrze.

Ale lepiej niż w najczarniejszym scenariuszu. Karel był w obcisłym kombinezonie. Elastycznym, czarnym i błyszczącym. Czy w ogóle zabrałby klucze do lasu? On albo którykolwiek z pozostałych? Przecież nie zamknęli pokoi, z czego zresztą skorzystał Shorty, by rozrzucić płonące ręczniki. Nie, nie chcieliby mieć przy sobie kluczy. Uważaliby pewnie, że z wypchanymi kieszeniami źle będą wyglądali.

W najgorszym scenariuszu Karel zostawił kluczyki na toaletce. Żeby rano je zabrać. Teraz nie zabierze ich już nikt, a kiedyś, za wiele, wiele lat, być może ktoś znajdzie je przypadkiem w pogorzelistku, spopielale, nadtopione i powyginane. Znajdzie i nie będzie nawet wiedział, co to jest.

Mark zszedł na dół, przecisnął się obok maski i wszedł do mercedesa. Cofnął się dziesięć metrów, zawrócił w dziurze między drzewami i pojechał z powrotem.

• • •

Patty znów go zobaczyła. Dziesięć minut temu wyjeżdżał, a teraz wracał. Jeśli to był on. Bo tylko zgadywała. Miała założony noktowizor i nie spojrzała na kierowcę, ponieważ oślepiłyby ją reflektory. Świeciły o wiele za jasno. Ale gwałtownie odwracając głowę, usłyszała pomruk silnika i szum opon na asfalcie. Wiedziała, że to zwykły samochód. Kombi albo SUV. I po prostu wyczuła, że prowadzi go Mark. Ucieka, pomyślała za pierwszym razem. Ale najwyraźniej nie, bo wrócił.

Zresztą może to wcale nie był on.

Nie mogła znaleźć quadów. Założyła, że tamci nie wjechali nimi do lasu. Drzewa rosły za gęsto i mogliby utknąć. Dlatego ograniczyła poszukiwania do poboczy. Pomyślała, że parkują pewnie obok siebie, częściowo w krzakach, pod kątem, że są gotowe do natychmiastowego odjazdu, ale z grzeczności nie blokują drogi na wypadek, gdyby chciał skorzystać z niej ktoś inny. Szukała, lecz nic nie znalazła.

Przystanęła. I tak była już daleko od Shorty'ego. Nie wiedziała, czy iść jeszcze dalej, czy wracać. Popatrzyła przed siebie. Uważnie. Powoli przyzwyczajając się do noktowizora. Odwróciła się. Luna na niebie znów pojaśniała. Nie dało się na nią patrzeć. Zerknęła na południe i zobaczyła jakieś małe nocne stworzenie, które przemknąwszy przez dwa metry otwartej przestrzeni, zanurkowało w stos liści. Szybkie, blade i zielonkawe, wyglądało jak wszystko inne. W rzeczywistości było pewnie szare. Prawdopodobnie szczur.

Obróciła się dookoła.

Znów spojrzała przed siebie.

Ktoś przed nią stał.

Tak jak przedtem, taka sama zjawa. Wyrosła jak spod ziemi. Dosłownie znikąd. Nie było jej i nagle była. Z łukiem gotowym do strzału. Z naciągniętą cięciwą. I wymierzoną strzałą. Ale ta nie celowała w nogi. Ta celowała wyżej.

Tym razem nie było za nią Shorty'ego.

Jak przedtem.

Zjawa przemówiła.

– Znowu się spotykamy.

Znała ten głos. To był Karel. Cwaniak z lawetą. Z jugosłowiańskiego wojska. O zamazanej twarzy przestępcy wojennego ze starych zdjęć. Powinna była się domyślić. Była głupia.

– Gdzie Shorty? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Nie przeżył? Czy nie wiesz? Pewnie się rozdzieliliście. Już nie jesteście razem. Z przodu go nie ma, bo sprawdzałem. Za tobą też

nie, bo tam nie byłoby z niego pożytku.

Odwróciła wzrok.

– Ciekawe – rzucił Karel. – Został z jakiegoś konkretnego powodu?

Patty milczała.

Laweciarz uśmiechnął się pod szklanym pyskiem.

Szeroko, z zachwytem.

– Jest ranny?

Nie odpowiedziała.

– To bardzo podniecające – ciągnął. – Zbierasz korzonki i jagody na napar leczniczy dla swojego mężczyzny. Martwisz się o niego. Chcesz jak najszybciej wrócić. Rozkoszna sytuacja, naprawdę. Czeka nas mnóstwo dobrej zabawy.

– Szukałam quada – powiedziała.

– Nie ma sensu. Laweta blokuje drogę. Przedemną nikt stąd nie wyjedzie. Nie jestem głupi.

Opuścił łuk.

Celował teraz niżej. W nogi.

– Nie – szepnęła.

– Co „nie”? – nie zrozumiał.

– Tak, Shorty jest ranny. Muszę do niego wrócić.

– Ciężko ranny?

– Tak. Ma złamaną kość udową.

– Szkoda.

– Muszę wracać.

– Zasady gry mówią, że swoboda przemieszczania się zależy od tego, czy jest się oznakowanym, czy nie.

– Proszę...

– O co?

– Nie podoba mi się ta gra.

– A mnie tak.

– Powinniśmy przestać. To wymknęło się spod kontroli.

– Przeciwnie, moim zdaniem doszliśmy do najciekawszego momentu.

Patty zamilkła. Po prostu stała ze strzałą w jednej ręce i latarką w drugiej. Z tą działającą, ale co to za broń! Strzałą mogłaby go

dźgnąć albo poharatać, lecz stał trzy metry od niej. Za daleko.

Naciągnął mocniej cięciwę. Niewiele, dwa, trzy centymetry. Grot cofnął się w stronę ręki zaciśniętej na majdanie. Zaśpiewały wygięte ramiona łuku.

Latarka! To jest działająca latarka!

Jednym ruchem upuściła strzałę, wymacała włącznik i przesunęła go do przodu. Było tak jak za pierwszym razem, kiedy sprawdzała przewody grzewcze pod maską hondy: trysnął jaskrawy snop światła, silnego i skupionego. Podniosła latarkę i wycelowała. W twarz, w to wielkie szklane oko. Oświetliła je, przyszpiliła promieniem jak igłą. Karel szarpnął się gwałtownie i strzała poszła skosem w dół. Z trzaskiem przeszła krzaki i utkwiała w ziemi. Laweciarz wciąż wił się, uchylał i pochylał, a Patty ścigała go światłem jak bronią, siekąc, dźgając i ciągle mierząc w twarz. W końcu upadł, przetoczył się i zerwał z głowy noktowizor.

Wtedy zgasiła latarkę i wbiegła między drzewa.

Wiedziała, że ucieczka na piechotę może okazać się krokiem mądrym albo głupim, zależnie od tego, czy Karel dogoni ją, czy nie. Proste. Początkowo miała nadzieję. Biegła szybko, myślała, że szybciej od niego. Bo pewnie trochę się bał, że zastawi na niego zasadzkę z latarką. Jak na tych filmach z kosmitami, które Shorty oglądał w telewizji.

Ale potem... Złe wieści. Usłyszała, że biegnie przez krzaki. Że się zbliża. Zmieniła kierunek i śmignęła w prawo. Skręcił z opóźnieniem i zyskała lekką przewagę, lecz znów zaczął ją doganiać i po chwili przewaga stopniała. Przez obiektyw podskakującego noktowizora zobaczyła drogę, coraz wyraźniejszą i jaśniejszą. Biegła skosem do pobocza, ale wciąż słyszała z tyłu tupot ciężkich butów. Wypadła na dziurawy asfalt. On za nią. Przyjął postawę strzelecką. Podniósł łuk.

I w tym momencie oświetliły ich światła reflektorów. Wzmocnione dwadzieścia tysięcy razy. Jak dwie bomby atomowe. Odwrócili głowy. On podniósł noktowizor na czoło, ona zerwała swój z głowy. Świat pociemniał, cały z wyjątkiem samochodu. Czarnego mercedesa. I reflektorów. Samochód zwolnił i stanął. Za kierownicą siedział Mark. Otworzył drzwi i wysiadł. Trzymał się z dala od światła. Wszedł w cień.

Karel znów podniósł łuk.

Wymierzył w Patty.

Ale mówił do Marka.

– Co tam się pali?

Mark lekko się zawahał.

– Wszystko. Znaleźliśmy się w zupełnie nowej sytuacji.

– My?

– Nie sądzisz, że jesteś w to zamieszany? Zginęli ludzie. To już koniec. Policja poruszy niebo i ziemię. Musimy uciekać. Natychmiast. Tylko ty i ja. Musimy, Karel. Wyobrażasz sobie tę

presję? Jeśli zostaniemy, będzie po nas.

– Tylko ty i ja?

– Postawiłem na ciebie. Tamci są beзуżyteczni. Byliby kulą u nogi. Dobrze o tym wiesz.

Karel umilkł.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – dodał Mark.

– Mamy mnóstwo czasu. Jeszcze wcześniej. Nikt nam nie przeszkodzi. Nikt się tu nie dostanie.

– Właśnie, à propos. Musimy przestawić lawetę.

– Po co?

– Ze względów taktycznych. Mała korekta.

– Nie trzeba nic korygować – powiedział Karel. – Nie teraz. Już nie. Shorty jest ranny, a ja mam Patty. Gra skończona.

– Dobra, więc zastrzel ją i chodźmy.

– Najpierw chciałbym dobić Shorty'ego.

– Kręcisz.

– Że co?

– Czy ty w ogóle masz kluczyki?

– Jakie?

– Do lawety – odrzekł Mark. – Gdzie są?

– Co to za pytanie? Moja laweta jest warta kupę pieniędzy.

Mark kiwnął głową.

– Właśnie. Jestem teraz twoim najlepszym przyjacielem i martwię się za ciebie. Mam nadzieję, że nie zostawiłeś ich na stoliku nocnym. Bo jeśli tak, lepiej wezwij lawetę. Do swojej lawety. Motel się spalił. Jako pierwszy.

– Kluczyk mam tutaj – powiedział Karel. – W kieszeni.

– To świetnie. – Mark wyjął zza nogi długi, czarny pistolet i wystrzelił. Cztery razy. Wszystkie kule trafiły w klatkę piersiową, przy ramieniu, w którym Karel trzymał łuk.

Huk był głośny, lecz zduszony.

Ta rura to pewnie tłumik, pomyślała Patty.

Karel zwałił się na ziemię jak kłoda, z sykiem nylonu, klekotem łuku i trzaskiem kości, bo wyrznął głową w asfalt.

Mark wycelował w Patty.

– Wyjmij kluczyki z jego kieszeni.

Zawahała się, lecz w końcu go posłuchała. Ostatecznie robiła już gorsze rzeczy, na przykład wyjmowała strzałę z nogi Shorty'ego. Kluczyk był ciepły. Niewiele większy niż ten do hondy.

– Rzuć – rozkazał Mark.

– Rzucę, a ty mnie zastrzelisz.

– Mogę to zrobić w każdej chwili i wyjąć go z twojej zimnej ręki.

Nie boję się trupów.

Patty rzuciła.

Kluczyk wylądował u jego stóp.

– Shorty jest ciężko ranny?

– Tak – odparła. – Bardzo.

– Może chodzić?

– Ma złamaną nogę.

– Wygląda na to, że zostaliśmy tylko my, ty i ja – powiedział Mark. – Biedny, stary Shorty ma pecha, bo nie zamierzam mu pomagać. Jeśli o mnie chodzi, może sobie zostać tam, gdzie jest.

Patty milczała.

– Z czystej ciekawości: jak sądzisz, długo wytrzyma?

Nie odpowiedziała.

– Chcę wiedzieć. Poważnie. Pomyślmy. Pięć dni bez wody, pięć tygodni bez jedzenia, tak? Tylko że on jest w kiepskim stanie już teraz.

– Pójdę mu pomóc.

– Założmy, że ci nie pozwolę. Mógłby spróbować doczołgać się do drogi, ale pewnie szybko się odwadnia. Czołganie zwiększa ryzyko infekcji. I spotkania z drapieżnikami. Niektóre z tych stworzeń lubią obgryzać otwarte rany.

– Więc pozwól mi mu pomóc.

– Nie. Zostawimy go tam, gdzie jest.

– Co ci zależy? Przecież zaspokajasz tylko brudne potrzeby innych, sam powiedziałaś. A innych już nie ma. Zrobiłaś swoje. Weź kluczyki, przestaw lawetę i uciekaj. Zostaw nas w spokoju.

Mark pokręcił głową.

– Shorty spalił mój motel. Dlatego mi zależy. Wybacz, że jestem taki małostkowy i mściwy.

– To ty zmusiłeś nas do udziału w tej grze. Podpalenie motelu

było sensownym posunięciem.

– A pozostawienie Shorty’ego na śmierć jest sensowną reakcją.

Patty odwróciła wzrok. Spojrzała na Karela. Leżał na asfalcie i w ostrym świetle reflektorów wyglądał jak kupka wystrzępionych czarnych cieni.

Spojrzała na Marka.

– Co ze mną zrobisz?

– Ciągłe te same pytania – odrzekł. – Jak zacięta płyta.

– Mam prawo wiedzieć.

– Jesteś świadkiem.

– Od początku mówiłam, że nie pozwolicie nam wygrać. Ta cała niby-zabawa to jedna wielka bzdura.

– Ale bardzo opłacalna. Zajrzyj na tył mojego samochodu.

– Pozwól mi wrócić do Shorty’ego. Chodź ze mną. Zrób to tam.

Zabij nas oboje.

– Jakie to romantyczne.

Patty nie odezwała się.

– Gdzie on właściwie jest? – spytał Mark.

– Gdzieś tam.

– Za daleko. Przykro mi, ale muszę się zbierać. Zrobimy to tutaj.

Zabiję tylko ciebie.

Wymierzył. Było jasno i Patty widziała wszystko bardzo wyraźnie. Poznała nawet pistolet, bo widziała takie w telewizji. Glock. Tak, na pewno. Kanciasty, starannie i precyzyjnie wykonany. Z matową rurką na lufie. Też misternie wykończoną. Pewnie kosztowała z tysiąc dolarów.

Patty wypuściła powietrze. Patricia Marie Sundstrom, lat dwadzieścia pięć, dwa lata college’u, pracownica tartaku. Przez jakiś czas szczęśliwa z rolnikiem uprawiającym ziemniaki, którego poznała w barze. Szczęśliwsza, niż myślała. Chciała go znów zobaczyć. Tylko raz.

Za lewym ramieniem Marka coś się poruszyło.

Zauważyła to kątem oka. W najgęstszym mroku za reflektorami. Błysnęło tam coś białego. Trzy metry za nim. W powietrzu. Oczy, pomyślała. Albo zęby. W uśmiechu. Wyteżyła słuch. Ale słyszała tylko mruczenie silnika pracującego na wolnych obrotach i ciche,

mokre gulgotanie cierpliwego wydechu.

Potem zobaczyła jakiś kształt. Za plecami Marka. Czarną pustkę. Jakby z lasu wylazło drzewo.

Obłąd.

Uciekła wzrokiem w bok.

– Gotowa? – spytał.

– Cieszę się, że twój motel się spalił – odparła. – Żałuję, że cię w nim nie było.

– Jesteś niemiła.

Podniosła wzrok.

Ktoś za nim stał. Jakiś mężczyzna.

Wielkolud. Wyszedł z cienia. W lewej ręce miał strzałę. A na czubku głowy noktowizor. Z piętnaście centymetrów wyższy od Marka i dwa razy szerszy. Był...

Olbrzymi.

I bezszelestny.

Stał teraz tuż za nim, za ledwie pół kroku dalej, i wyglądali jak dwóch mężczyzn w ciasnej kolejce przed stadionem hokejowym albo do bramki na lotnisku. Chwycił Marka za nadgarstek. I zaczął odciągać w bok jego wciąż wyprostowaną rękę, powoli i bez żadnego wysiłku, jakby otwierał drzwi. Odciągał ją i odciągał, aż pistolet zatoczył dziewięćdziesięciostopniowy łuk i wymierzył w pustkę. Wtedy objął Marka lewą ręką, przycisnął go do piersi, zgiął łokieć i przytknął mu do gardła grot strzały. Zastygli bez ruchu. Jak dwaj spleceni w uścisku tancerze, którzy mają za chwilę zatańczyć tango. Tylko że Mark stał odwrócony w złą stronę.

– Rzuć broń.

Wielkolud mówił cichym, głębokim głosem. Niemal intymnym. Jakby chciał, żeby usłyszał go tylko Mark i jego ucho. Zabrzmiało to jak sugestia, a nie rozkaz. Ale sugestia z ponurym podtekstem.

Mark nie rzucił pistoletu.

Patty zobaczyła, jak napinają się mięśnie na prawym ramieniu olbrzyma, dodatkowo powiększone przez jednolite ostre światło. Wyglądały jak worek kamieni. Miał zupełnie obojętną twarz i zdała sobie sprawę, że miażdży Markowi nadgarstek.

Niespiesznie, miarowo i nieubłaganie. Niepowstrzymanie. Mark krzyknął. Zaczął szybciej oddychać, szarpał się i rzucał. Zachrobotwały trące o siebie kości.

Ale wielkolud nie zwolnił uścisku.

Aż pistolet zaklekotał na asfalcie.

– Dobra decyzja – powiedział olbrzym.

Ale nie zabrał ręki. Nie zmienił tanecznej postawy.

– Jak się nazywasz? – spytał.

Mark nie odpowiedział.

– Ma na imię Mark – rzuciła Patty.

– A dalej?

– Nie wiem. Kim pan jest?

– To długa historia – odparł wielkolud.

Znów napiął mięśnie.

Mark jęknął.

– Jak się nazywasz?

Kości przesunęły się, zachrobotwały i zatrzeszczały.

– Reacher – wysapał Mark.

Sto metrów wcześniej widział, jak kobieta świeci myśliwemu w oczy i ucieka co sił w nogach. Widział, jak tamten ją goni. I zaczął ścigać ich oboje. Kiedy ich dopędził, zobaczył nadjeżdżającego mercedesa. Przeciął za nim drogę i podkradł się bliżej. Słyszał prawie całą rozmowę. Laweta, kluczyki, Shorty i spalony motel. Słyszał, jak facet mówi, że zostali tylko we dwoje, ona i on. Według nieżyjącego już bankiera nazywała się Patty Sundstrom. A Shorty to pewnie Shorty Fleck. Kanadyjczycy. Którzy tu utknęli.

– Mam pieniądze – wychrypiał Mark. – Możesz je wziąć.

– Nie chcę – odparł Reacher. – Nie potrzebuję pieniędzy.

– Na pewno możemy się jakoś dogadać.

– Patty – zwrócił się Reacher do dziewczyny – podnieś pistolet. Bardzo ostrożnie. Nie dotykaj spustu.

Posłuchała go. Podeszła bliżej, pochyliła się, podniosła pistolet i szybko się cofnęła. Reacher zgiął Markowi rękę w łokciu, pod kątem prostym, jakby chciał nią pomachać. Potem napał dłonią na ramię i podciągnął ją wyżej.

I jeszcze wyżej, pięć centymetrów, dziesięć, potem piętnaście. Aż dotknęła łopatki. Co wywarło silny nacisk na wszystkie pozostałe stawy. Głównie na łokciowy. Ale i ramieniowy. Na stawy, ścięgna i więzadła.

Zabrał strzałę, zabrał łokieć i żeby odciążyc ramiona, Mark upadł z wdziękiem na kolana. Wtedy Reacher zmienił chwyt. Puścił nadgarstek, owinał pięść kołnierzem jego kurtki, przekręcił ją i zrobiwszy ciasną ósemkę, poddusił go jak garotą.

Spojrzał na Patty.

– Chcesz to zrobić czy wolisz, żebym zrobił to ja?

– Ale co zrobić? – nie zrozumiała.

– Zastrzelić go.

Patty nie odpowiedziała.

- Przed chwilą żałowałeś, że nie spalił się w motelu.
 - Kim pan jest?
 - To długa historia. Mam jutro spotkanie niedaleko stąd. Chciałem wynająć pokój na noc. Nic innego nie znalazłem.
 - Powinniśmy zawiadomić policję.
 - Jechaliście w jakieś konkretne miejsce?
 - Na Florydę. Po nowe życie.
 - Co chcieliście robić?
 - Otworzyć sklep dla windsurferów. Może nawet wypożyczalnię skuterów wodnych. Shorty chciał sprzedawać podkoszulki z napisami.
 - Gdzie byście mieszkali?
 - W jakiejś budzie na plaży. Choćby nad sklepem.
 - Super.
 - My też tak uważaliśmy.
 - Alternatywa jest taka, że możecie spędzić trzy lata, mieszkając w tanich hotelach w New Hampshire i gadając z naprawdę okropnymi ludźmi. Połowę czasu umierając z nudów, a połowę ze strachu. Chciałabyś tego zamiast Florydy?
 - Nie.
 - A tak by było, gdybyśmy zawiadomili policję. Czekająby was niekończące się rozmowy z detektywami, prokuratorami, adwokatami i psychiatrami, w kółko takie same, rozmowy i bardzo trudne pytania, bo skoro ja dodałem dwa do dwóch, zrobiliby to i oni. Szedłem od szosy i wszystko działo się przede mną. Jak dotąd widziałem czterech. Ale jest ich chyba więcej.
 - Na początku było sześcioro.
 - Co się stało z dwoma pierwszymi?
- Patty nie odpowiedziała. Po prostu oddychała. Wdech, wydech.
- W końcu byście wygrali – ciągnął Reacher. – Prawdopodobnie. Usprawiedliwione zabójstwo czy zabójstwo w samoobronie. Ale to nic pewnego. Poza tym jesteście obcokrajowcami. Mielibyście niezłą jazdę. Jak kolejką górską w wesołym miasteczku. Nie pozwolono by wam opuścić stanu. A mają tu tylko Red Soxów. Na twoim miejscu dobrze bym to przemyślał.
- Patty milczała.

– Lepiej dajmy sobie spokój z policją – podsumował.

Mark znów zaczął się szarpać.

– Chciał zostawić Shorty’ego na śmierć – przypomniał dziewczynie Reacher.

Patty zawahała się. Wahała się długo.

W końcu spojrzała na pistolet.

– Chodź tu – rzucił Reacher. – Stań obok, żebyś mnie nie postrzeliła.

Stanąła obok niego.

Mark rzucał się i szarpał na całego, coraz mocniej, jak oszalały, więc Reacher podciągnął go do góry, uderzył pięścią w splot słoneczny i znów opuścił na ziemię, może niezupełnie bezwładnego, ale niepanującego nad mięśniami.

– Przystaw mu lufę do pleców – powiedział. – Mocno, między łopatkami, piętnaście centymetrów poniżej mojej ręki. Pistolet ma bezpiecznik. To ten mały jęczyzek na spuście. Kliknie, kiedy palec znajdzie się we właściwym położeniu. Potem wystarczy tylko nacisnąć.

Patty kiwnęła głową.

Stała bez ruchu chyba z dwadzieścia sekund. W końcu rzuciła:

– Nie mogę.

Reacher zwolnił uchwyt i pchnął Marka na ziemię. Wyjął pistolet z jej ręki.

– Chciałem, żebyś miała okazję. To wszystko. Inaczej zastanawiałabyś się całe życie. A teraz już wiesz. Jesteś dobrym człowiekiem, Patty.

– Dziękuję.

– Lepszym ode mnie – dodał.

Odwrócił się i strzelił Markowi w głowę. Dwa razy. Pach, pach, szybką serią w potylicę. Żołnierze nazywali to strzałem egzekucyjnym. Nie, żeby się do tego przyznawali.

• • •

Po Shorty’ego pojechali mercedesem. Najpierw Reacher zawiókł laweciarza do lasu po lewej stronie, a potem Marka – do lasu po stronie prawej. Żeby nie blokowali drogi. Nie chciał ich

przejechać. Shorty miał złamaną nogę. Wstrząs mógłby mu zaszkodzić.

Prowadziła Patty. Zawróciła i na długich światłach ruszyli z powrotem. Do wylotu drogi. Tam przystanęli. Przed nimi była łąka i stos żarzących się zgliszczy. Z parkujących przed motelem samochodów pozostały wypalone i spopielałe wraki. Stodoła wciąż się paliła, bardzo intensywnie. Dom jeszcze intensywniej. Płomienie strzelały na piętnaście metrów w górę.

Na środku łąki stały dwa porzucone quady. A obok nich leżały dwie garbate kupki.

– Było ich czterech – powiedziała Patty. – Mark, Peter, Steven i Robert.

– Słyszałem wystrzały. Niedawno. Z wytłumionej dziewiątki. Myślę, że Mark rozwiązał spółkę.

– A gdzie jest czwarty?

– Prawdopodobnie w domu. Stamtąd nie słyszałbym wystrzału. Pewnie nic z niego nie zostało.

Przez chwilę patrzyli na płomienie, a potem Patty skręciła ostro w lewo i przejechała przez wyboisty fragment łąki na skraju lasu. Uważnie obserwowała. Dwa razy zwalniała, długo się przyglądała, ale za każdym razem jechała dalej. W końcu zahamowała i stanęła. Z rękami na kierownicy.

– Wszystko wygląda tak samo.

– Jest daleko od drogi? – spytał Reacher.

– Nie pamiętam. Przeszliśmy kawałek, a potem zawlokłam go do lasu. Żeby był bezpieczny.

– W którym miejscu tam weszłaś?

– Pamiętam, że mijałam dwa drzewa.

– Marna wskazówka.

– To chyba tutaj – szepnęła niepewnie Patty.

Zgasła silnik i wysiedli. Bez reflektorów było ciemno choć oko wykol. Ona założyła noktowizor, on zsunął z czoła swój i natychmiast powróciły zielonkawe szczegóły. Patty rozejrzała się. Spojrzała na rząd drzew. Na dzielące je odstępny.

– To chyba tutaj – powtórzyła.

Weszli do lasu, ona przodem. Powoli zatoczyli łuk od wschodu

do zachodu, jakby trzydzieści metrów dalej chcieli wrócić na drogę. Trzydzieści metrów od jej wylotu. Musieli omijać drzewa. Ich nóg czepiały się pnącza i krzaki.

– Niczego nie poznają – powiedziała.

– Shorty! – zawołał Reacher. – Shorty Fleck!

– Shorty, to ja! – zawołała Patty. – Gdzie jesteś?

Cisza.

Poszli dalej. Co dziesięć kroków przystawali, wołali i krzyczeli. Potem nieruchomieli, wstrzymywali oddech i nasłuchiwali.

Wciąż nic.

Aż do trzeciego razu.

Bo za trzecim razem usłyszeli jakiś odgłos. Cichutki, odległy, metaliczny i powolny. Tink, tink, tink. Coś jakby dzwonienie czy pobrząkiwanie. Na wschód stąd, pomyślał Reacher. Czterdzieści metrów.

– Shorty Fleck?! – zawołał.

Tink, tink, tink.

Skręcili. Przyspieszyli. Znów drzewa, pnącza, krzaki i opadłe gałęzie. Co krok wołali, na zmianę, to ona, to on. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy. Byli blisko.

Znaleźli go pod drzewem. Wyczerpanego z bólu. Z noktowizorem na oczach. I strzałą w rękę. Postukiwał nią w obiektyw. Tink, tink, tink. Na nic więcej nie miał siły.

• • •

Reacher zaniósł go do samochodu i położył na tylnym siedzeniu. Noga była nieźle pogruchotana. Rana w strasznym stanie. Shorty stracił dużo krwi. Był blady, ale miał gorące czoło. Spływał potem.

– Gdzie go zabierzemy? – zapytała Patty.

– Najlepiej wywieź go z hrabstwa – poradził jej Reacher. – Jedź do Manchesteru. To spore miasto.

– Nie pojedzie pan z nami?

Pokręcił głową.

– Nie do końca trasy. Rano mam spotkanie.

– W szpitalu będą zadawali mnóstwo pytań.

– Powiedz, że to był wypadek motocyklowy. Uwierzą. Powiesz „motocykl” i uwierzą we wszystko. Nie będą musieli tego zgłaszać. Nie postrzelono go z broni palnej. Możesz im powiedzieć, że upadł na kawałek metalu.

– Dobrze.

– Zawieź go do szpitala, a potem zaparkuj samochód w jakimś odludnym miejscu. Nie zamykaj drzwi i zostaw kluczyk w stacyjce. Musisz się go szybko pozbyć. Wtedy będzie po wszystkim.

– Dobrze – powtórzyła.

Usiadła za kierownicą, a on obok niej, bokiem, żeby mieć oko na Shorty’ego. Zawrócili na wybojach. Powoli, szerokim łukiem. Shorty podskakiwał, posapywał i pojękiwał. W końcu wjechali na drogę.

Nagle Shorty klepnął ręką w siedzenie, raz i drugi. Wycieńczonym, anemicznym gestem.

– Co się stało? – spytał Reacher.

– Kufer.

Patty jechała dalej, równo i powoli.

– Mieliliśmy kufer – wyjaśniła. – Pewnie się spalił.

Shorty znów klepnął w siedzenie.

– Ukryłem go – wystękał.

Patty zahamowała.

– Gdzie?

– Na łące. Za parkingiem.

Patty wycofała – trochę niewprawnie, zygzakiem – zawróciła i znów wjechali na łąkę. Po chwili minęli porzucone quady i dwa ciała.

– Peter i Robert – rzuciła.

Zatrzymała się na parkingu. Bijący z pogorzelska żar czuć było nawet przez okna. Reacher zobaczył metalową klatkę sterczącą z warstwy węgla. Stalowe kraty i siatkę. Nadpalone i zniekształcone. Pokój numer dziesięć. Shorty poruszył ręką, tam i z powrotem, tylko raz, słabym, bezwładnym i enigmatycznym gestem, jak udzielający błogosławieństwa ksiądz albo ranny, który pokazuje na migi, że chodzi mu o podróż, o jakąś wyprawę.

Stąd dotąd. Reacher wysiadł i stanął na wysokości metalowej klatki. Odwrócił się i podszedł do brzegu łąki. Po prostej. Najkrótszą drogą między dwoma punktami. Założył noktowizor.

I od razu zobaczył kufer. Wielki, stary, skórzany i przewiązany sznurem. Leżał na płask w trawie. Podniósł go. Bydlę ważyło chyba tonę. Albo dwie. Wrócił, zataczając się i chwiejąc. Patty wysiadła i otworzyła bagażnik. Reacher postawił kufer na ziemi.

– Co w nim, do diabła, jest? – wysapał.

– Komiksy – odparła Patty. – Ponad tysiąc. Same najlepsze. Mnóstwo *Supermana*. Od naszych ojców i dziadków. Chcieliśmy je sprzedać w Nowym Jorku, żeby zarobić na Florydę.

W bagażniku stały dwie torby. A właściwie worki z mięciutkiej skóry, zapięte i wypchane. Reacher zajrzał do środka. Były pełne pieniędzy. Starannie poukładanych w grube na trzy centymetry pliki banknotów. Głównie studolarówek. Według banderoli w każdym było dziesięć tysięcy dolarów. A w jednej torbie mieściło się co najmniej pięćdziesiąt plików. Milion dolarów jak nic.

– Niczego nie sprzedawajcie – powiedział. – Weźcie to. Stać was będzie na kilka wypożyczalni i pół plaży.

– Nie możemy. To nie nasze.

– Moim zdaniem wasze. Wygraliście. To chyba ich pula. Kto ma ją zgarnąć, jeśli nie wy?

– To fortuna.

– Zasłużyliście. Nie sądzisz?

Patty przez chwilę się nie odzywała, a potem spytała:

– Chce pan trochę?

– Mam z czego żyć – odparł. – Więcej nie potrzebuję.

Dźwignął kufer i wsunął go do bagażnika.

Mercedes osiadł na resorach.

– Jak się pan nazywa? – zapytała Patty. – Chciałabym wiedzieć.

– Reacher.

Patty zawahała się.

– Tak jak Mark.

– On był z innych Reacherów.

Wsiedli, przejechali przez łąkę, potem przez las i trzy kilometry

dalej zatrzymali się przed lawetą. Reacher wziął kluczyki i wsiadł do szoferki. Sam. Pod wielką presją. Był fatalnym kierowcą, w dodatku nie wiedział, do czego służą te wszystkie guziki i przełączniki. Ale po chwili udało mu się włączyć światła. A potem uruchomić silnik. Znalazł przełącznik biegów i wrzucił wsteczny. Rozbłysnął ekran na desce rozdzielczej i ukazał się na nim obraz z kamery cofania. Kolorowy. Szerokokątny. Pokazywał stare subaru, które stało tuż za lawetą i cierpliwie czekało.

Reacher wysiadł i na migi kazał Patty poczekać; miał nadzieję, że go zrozumiała. Potem przecisnął się na tył ławety, na powietrze.

Wielebny Burke już na niego czekał, z rękami podniesionymi wnętrzem dłoni do niego w geście z cyklu „Wiem, wiem, moja wina”. Z góry go przepraszał.

– Detektyw Amos dzwoniła. Kazała mi pana odszukać i powiedzieć dziesięć czterdzieści jeden. Nie wiem, co to znaczy.

– Wojskowy kod radiowy na „Natychmiast oddzwon” – wyjaśnił Reacher.

– Tu nie ma zasięgu.

– Pojedziemy na południe. Ale najpierw niech pan wycofa, żebym mógł przestawić ławetę. Jest tu ktoś, kto też jedzie na południe. I spieszy się bardziej ode mnie.

Znów przecisnął się do szoferki, pomachał Patty – miał nadzieję, że dodał jej tym otuchy – i ponownie wrzucił wsteczny. Na ekranie zobaczył, że wielebny jedzie już do tyłu, więc pojechał za nim, trochę niepewnie i krzywo, omijając drzewa, większość z nich potrącając, kilka dość mocno. Dotarłszy do szosy, zakręcił kierownicą i zaparkował na przeciwległym poboczu, też trochę krzywo, lecz nie kompromitująco.

Czarny mercedes powoli wyjechał za nim.

Reacher wysiadł.

Mercedes stanął.

Patty opuściła szybę.

– Znajomy mnie podrzuci – powiedział Reacher. – Miło było was poznać. Powodzenia na Florydzie.

Odwróciła się i spojrzała na szosę.

– Jesteśmy wolni. Nareszcie. Dziękuję. Szczerze. Mamy u pana wielki dług.

– Dałabyś sobie radę. Miałaś latarkę. Nie tylko noktowizor. To

niezła broń. Cztery duże baterie i te fikuśne ledy. Za pierwszym razem by chybił. A ty byłabyś już między drzewami.

– Tak, ale co potem?

– Powtórzyłabyś to jeszcze raz, i tak do znudzenia. Daję głowę, że nie miał zapasowego magazynka. Szybko się pakował.

– Dziękuję. Naprawdę.

– Powodzenia na Florydzie – powtórzył. – I witajcie w Ameryce.

Podszedł do czekającego na poboczu subaru. Patty odjechała. Wystawiła rękę przez okno, pomachała do niego i trzymała ją tak przez sto metrów, chwytając nocne powietrze rozłożoną dłonią.

• • •

Burke jechał na południe. Reacher obserwował kreski na ekranie komórki. Wielebny martwił się, że jest późno i detektyw Amos pewnie śpi. Reacher twierdził, że skoro wysłała kod dziesięć czterdzieści jeden, to na pewno chce, żeby oddzwonił o dowolnej porze. Gdyby nie chciała, wysłałaby inny.

Najpierw pojawiła się jedna kreska, potem druga, a jeszcze potem pobocze, gdzie niedawno parkowali. Burke stanął. Reacher wybrał numer. Amos odebrała po pierwszym sygnale. Nie spała. W tle słychać było przytłumiony warkot samochodu. Gdzieś jechała.

– Dzwonili z Bostonu – powiedziała. – Czyściciel wrócił o północy.

– Z Carringtonem?

– Właśnie sprawdzają.

– A co z Elizabeth Castle?

– Nie wiadomo. Wciąż nie ma jej ani jego.

– Może pojedę do Bostonu?

– Najpierw pojedzie pan gdzie indziej.

– Gdzie?

– Znalazłam Stana Reachera.

– Rozumiem.

– Pojawił się trzydzieści lat temu. Przez jakiś czas mieszkał sam, a potem przeprowadził się do młodszej krewnej. Zarejestrował się do głosowania i ma prawo jazdy.

- Rozumiem – powtórzył Reacher.
- Dzwoniłam do niego. Chce się z panem zobaczyć.
- Kiedy?
- Teraz.
- Już późno.
- Cierpi na bezsenność. Ogląda telewizję. Mówi, że chętnie przegada z panem całą noc.
- Gdzie mieszka?
- W Laconii. Tu, w mieście. Całkiem możliwe, że przechodził pan koło jego domu.

• • •

Okazało się, że najbliżej był wtedy, kiedy mieszkał w drugim hotelu. Wystarczyło, żeby zaraz po wyjściu skręcił w prawo, potem w lewo, znalazł zaułek podobny do tego, w którym mieszkała kelnerka z koktajlbaru, i otworzył najpierw jedne drzwi, po prawej stronie, a potem drugie, po lewej, choć te nie prowadziły do mieszkania na piętrze, tylko na podwórze, gdzie stało kilka ładnych dwupiętrowych domów.

Stan mieszkał w tym po lewej.

Amos czekała na niego w radiowozie u wylotu uliczki. Uścisnęła wielebnemu rękę i powiedziała, że miło jej go poznać. Potem spojrzała na Reachera i spytała, czy dobrze się czuje.

– To może być bardzo dziwne – dodała.

– Czy ja wiem? – rzucił. – Może trochę. Właściwie to prawie już wszystko rozgryzłem. Od zawsze coś mi nie pasowało. Z tą historią. Teraz już wiem co. Dzięki panu Mortimerowi.

– Kto to jest? – spytała.

– Pewien starzec z domu opieki. Powiedział, że czasem odwiedzał swoich kuzynów w Ryantown. I pamięta chłopców, którzy obserwowali ptaki. Zwerbowano go pod koniec wojny, kiedy wojsko już go nie potrzebowało. I bez niego mieli aż za dużo żołnierzy. Nie zdążył nic zrobić. Na każdej defiladzie z okazji Dnia Niepodległości czuł się jak oszust.

Amos tego nie skomentowała.

Podeszli do drzwi. Razem. Wielebny twierdził, że zważywszy na

późną porę, tak będzie stosowniej. Jakbyśmy przyszli zawiadomić rodzinę o śmierci bliskiego, pomyślał Reacher. Dwoje żandarmów i duchowny.

Nacisnął guzik dzwonka.

Całą minutę później w korytarzu zapaliło się światło. Zobaczył to przez ozdobną szybkę w drzwiach. Zobaczył też nieregularną mozaikę w spokojnej kremowej tonacji, długi, wąski przedpokój i coś, co wyglądało jak zdjęcia na ścianie.

Potem w pole widzenia wszedł stary mężczyzna. Zgarbiony, siwy, powolny i niepewny w ruchach. On też był nieregularną mozaiką kolorów. Szedł, sunąc kłykciami po drewnianej poręczy przymocowanej do ściany. Zbliżał się i zbliżał, wreszcie otworzył drzwi.

Dobijał dziewięćdziesiątki. Chudy i zgarbiony, miał na sobie za duże ubranie, może swoje ulubione, z dawnych czasów, gdy był jeszcze dziarskim siedemdziesięcioletkiem. W swoim najlepszym okresie mógł mierzyć metr osiemdziesiąt pięć i ważyć osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilo, a potem zaczął się powoli kurczyć. Teraz wyglądał jak znak zapytania. Miał zwiotczałą, przezroczystą skórę. Załzawione oczy. I kosmyki siwych włosów na głowie, delikatne jak jedwab.

Nie był jego ojcem.

Nawet ojcem trzydzieści lat starszym. Bo nie był. Po prostu. Z punktu widzenia medycyny sądowej też nie, bo nie miał złamanego nosa, blizny po odłamku na policzku ani zabliznionego szwu na brwi.

Zdjęcia na ścianie przedstawiały ptaki.

Starzec wyciągnął trzęsącą się rękę.

– Stan Reacher – powiedział. – Miło mi pana poznać.

Reacher uściśnął mu dłoń. Była zimna jak lód.

– Jack Reacher. Mnie również.

– Jesteśmy spokrewnieni?

– Jeśli sięgnąć wystarczająco daleko, wszyscy jesteśmy spokrewnieni.

– Proszę, niech państwo wejdą.

Amos i Burke powiedzieli, że zaczekają w samochodzie, i starzec poprowadził Reachera korytarzem. Wolniej niż w kondukcje pogrzebowym. Pół kroku, długi postój i znów pół kroku. W końcu dotarli do wnęki między salonem i kuchnią z kąciakiem jadalnym. Stały tam dwa fotele, po obu stronach lampy z dużym abażurem ozdobionym frędzlami. Dobrej do czytania.

Starzec znów wyciągnął trzęsącą się rękę, wskazał jeden z nich, a sam usiadł w drugim. Tak, chętnie z nim porozmawia. Chętnie

odpowie na pytania. Nie, nie uważa, że są dziwne. Tak, wychowywał się w Ryantown, w domu przy fabryce cyny, w mieszkaniu brygadzysty. Pamiętał kafelki w kuchni. Liście akantu, nagietków i kwitnących karczochów. James i Elizabeth Reacherowie byli jego rodzicami. Brygadzysta i wykańczarka prześcieradeł. Nigdy się nie zastanawiał, czy sprawdzili się jako rodzice, czy nie, po części dlatego, że nie znał innego świata, po części dlatego, że i tak nie zwróciłby na to uwagi, ponieważ pochłaniało go obserwowanie ptaków, które otworzyło przed nim zupełnie nowe horyzonty. Nie polegało jedynie na odhaczaniu kolejnych spostrzeżeń na liście. W określeniu „obserwowanie ptaków” tkwi słowo-klucz. Obserwowanie. Mówiło, co robili, jak, dlaczego, gdzie i kiedy. Przenosiło w inny wymiar myślenia, stawiało przed nimi zupełnie nowe problemy, dawało nową władzę.

– Kto pana w to wciągnął? – zapytał Reacher.

– Mój kuzyn Bill – odparł starzec.

– Bill?

– To był szczególny okres. Większość chłopców, z którymi się kolegowaliśmy, była kuzynami. Nie wiem, może trzymaliśmy się razem pod wpływem jakiegoś instynktu plemiennego. Ludzie się bali. Strach i trudne lata, może dlatego. Chwilami wydawało się, że wszystko się zawali. Obecność kuzynów podtrzymywała na duchu. Nie było lepszych kumpli. Bill był moim, a ja jego.

– Był bliskim kuzynem?

– Żaden z nas nie potrafił do tego dojść. Wiedzieliśmy tylko, że ja się nazywam Stan Reacher, a on William Reacher i mieliśmy tych samych przodków na Terytorium Dakoty. Prawda jest chyba taka, że Bill był bezdomnym przybłądą. Z pogranicza kanadyjskiego. Ciągle gdzieś się włóczył. Dużo czasu spędzał w Ryantown.

– Ile miał lat, kiedy zjawił się tam pierwszy raz?

– Ja miałem siedem, więc on musiał mieć sześć. Został cały rok.

– Miał rodziców?

– Tak myśleliśmy. Ale nigdy ich nie widywał. Nie, żeby umarli czy coś. Co roku dostawał kartkę na urodziny. Wyobrażaliśmy

sobie, że są tajnymi agentami działającymi pod przykrywką gdzieś za granicą. A potem, że są gangsterami i należą do zorganizowanej grupy przestępczej. Jedno i drugie wymagało dużej tajności działania. Nie wiadomo, które większej. Czasem trudno powiedzieć.

– Miał sześć lat i już obserwował ptaki? – spytał Reacher.

– Tak, gołym okiem. Uważał, że tak jest najlepiej. Nie umiał wyjaśnić dlaczego. Był tylko dzieckiem. Potem to zrozumieliśmy. Kiedy zdobyliśmy lornetkę. Obserwując gołym okiem, ma się szersze pole widzenia. Nie rozprasza cię piękno obrazu w zbliżeniu.

– Skąd wzięliście lornetkę?

– To było dużo później. Bill miał dziesięć albo jedenaście lat.

– Jak ją zdobyliście?

Starzec spuścił głowę.

– Niech pan pamięta, że żyliśmy w ciężkich czasach.

– Ukradł ją?

– Niezupełnie. To był łup wojenny. Jakiś chłopak chciał się za coś zemścić. Bill stracił cierpliwość. A namiętnie czytaliśmy wtedy stare poematy wojenne i powiedział, że musi coś zdobyć. Jakiś łup. Dzieciak miał tylko lornetkę i trzydzieści jeden centów.

– Napisałiście razem artykuł o myszołowie włochatym.

Starzec kiwnął głową.

– O tak. Znakomity. Nawet dzisiaj byłbym z niego dumny.

– Pamięta pan wrzesień tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego? – zapytał Reacher.

– Jak przez mgłę.

– Niczego szczególnego?

– To było dawno temu.

– Pana nazwisko figuruje w starym meldunku policyjnym. Chodziło o bójkę uliczną. Późnym wieczorem. Zresztą niedaleko stąd. Widziano pana z kolegą.

– Do takich bójek dochodziło wtedy cały czas.

– W tej brał udział miejscowy awanturnik, znany policji chuligan znęcający się nad słabszymi. Dwa lata później pobito go na śmierć.

Starzec milczał.

– Myślę, że tej nocy we wrześnie czterdziestego trzeciego widziano pana z Billem – dodał Reacher. – Że Bill zaczął wtedy coś, co skończył dopiero w czterdziestym piątym.

– Proszę mi przypomnieć: kim pan właściwie jest?

– Nie jestem pewny. Przypuszczam, że drugim synem pańskiego kuzyna Billa.

– W takim razie wie pan, co się stało.

– Służyłem w żandarmerii wojskowej. Widziałem to dziesiątki razy.

– Będę miał kłopoty? – spytał starzec.

– Nie z mojej strony. Jestem zły tylko na siebie. Zakładałem, że coś takiego może przydarzyć się wyłącznie innym.

– Bill był bystrym chłopakiem. Zawsze o krok przed innymi, pewnie dlatego, że tyle się w jego życiu działo. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że był sprytny, oblatany. Ale interesował się mnóstwem rzeczy. Lubił czytać. Zwłaszcza książki przyrodnicze. Kochał ptaki. Lubił mieć święty spokój. Był dobrym chłopakiem w czasach, kiedy to coś znaczyło. Ale nie daj Boże, żeby ktoś próbował podważyć jego poczucie dobra i zła. Tykała w nim bomba zegarowa. Potrafił jednak nad nią zapanować. Dyscyplina przede wszystkim. Miał pewną zasadę. Jeśli zrobisz coś złego, jego w tym głowa, żebyś zrobił to tylko raz. Umiał się bić i był szalenie odważny.

– Proszę mi opowiedzieć o tym chłopaku, którego zabił.

Stan Reacher pokręcił głową.

– Przyznałbym się do winy.

– Brał pan w tym udział?

– Niezupełnie.

– Nic panu nie grozi. Ma pan sto lat.

– Jeszcze nie.

– Nikogo to nie interesuje. Sprawa została zakwalifikowana jako BUL.

– Co to znaczy?

– Bez udziału ludzi. Policja nazywa tak zabitych gangsterów, prostytutki i ćpunów. Czyli sprawca nieznany.

Starzec kiwnął głową.

– Tak, człowiekiem to on nie był. Lubił, wręcz uwielbiał, pastwić się nad innymi. Nie znosił nikogo, kto miał choćby jedną szarą komórkę więcej od niego. A takich było bez liku. Po szkole średniej przez cztery lata nie robił nic, tylko znęcał się nad coraz to młodszymi. Ale miał ładny samochód, ładne buty i bogatego tatusia. Mózg gnił mu od środka. W końcu stał się kompletnym zwyrodnialcem i zaczął zaczepiać małych chłopców i dziewczynki. Był duży i silny. Dręczył ich. Zmuszał do obrzydliwych rzeczy. Bill o tym nie wiedział. Aż wrócił do miasta i się dowiedział.

– Co się wtedy stało? – spytał Reacher.

– Zjawił się w Ryantown jak zwykle niespodziewanie. Znikąd, wyrósł jak spod ziemi, i jeszcze tego samego wieczoru przyjechaliśmy tu na koncert jazzowy. Grał nasz ulubiony zespół. Zwykle nas wpuszczali. Wracaliśmy już do miejsca, gdzie ukryliśmy rowery, i nagle go zobaczyliśmy. Szedł prosto na nas, ale na Billa nie zwrócił uwagi, tylko zaczął mnie. Bo mnie znał. Pewnie chciał dokończyć to, co zaczął ostatnim razem. Dla Billa to była nowość. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jakimś cudem udało mi się odejść, on jednak został. Bomba wybuchła. Rozerwał tamtego na strzępy.

– A potem?

– To już inna historia. Pobity chłopak wydał coś w rodzaju zaocznego wyroku śmierci. Bill zaczął nosić mosiężny kastet. Doszło do kilku incydentów. Kilku niby-przyjaciół chciało się tamtemu przypodobać. Dzieci bogaczy mają takich sporo. W każdym razie dzięki Billowi nasz oddział urazowy miał pełne ręce roboty. Ładowali tam wszyscy niby-przyjaciele. W końcu sprawa przycichła, bo Bill ciągle przyjeżdżał i wyjeżdżał. A potem znowu odżyła. Pewnej nocy spotkali się sam na sam, twarzą w twarz. Dowiedziałem się o tym, kiedy Bill przyszedł do mnie i poprosił o przysługę.

– Chciał pożyczyć metrykę, żeby wstąpić do wojska.

Starzec kiwnął głową.

– William Reacher musiał zniknąć. Uważał, że tak trzeba. Żeby

się nie wydało. Ostatecznie zabił człowieka.

– I musiał być rok starszy – dodał Reacher. – Właśnie to nie pasowało mi w tej historii. Ojciec mówił, że uciekł i wstąpił do piechoty morskiej, kiedy miał siedemnaście lat. To bez wątpienia prawda. Ale nie mógłby tego zrobić, gdyby biuro werbunkowe wiedziało, że jest w tym wieku. Nie wzięliby go. Nie wtedy. I bez niego mieli za dużo ludzi. Był wrzesień czterdziestego piątego. Koniec wojny. Po co im był siedemnastolatek? Dwa lata wcześniej, jasne, nie ma problemu. Na Pacyfiku trwały walki. Taśmociąg musiał pracować. Ale nie we wrześniu. Z drugiej strony, każdy osiemnastolatek miał prawo wstąpić do wojska na ochotnika. Więc mój ojciec potrzebował pańskich dokumentów.

Stan Reacher znów skinął głową.

– Pomyśleliśmy, że będzie bezpieczny. I rzeczywiście. Policja zamknęła sprawę. Zaraz potem wyjechałem z Ryantown do Ameryki Południowej obserwować ptaki. Zostałem tam czterdzieści lat. Po powrocie musiałem podpisać dziesiątki nowych dokumentów. Podać dane z tej samej metryki. Zastanawiałem się, co będzie, jeśli te wszystkie komputery powiedzą, że moje nazwisko jest już zajęte. Ale nie, poszło jak po maśle.

– Dziękuję, że zechciał pan mi to wyjaśnić – powiedział Reacher.

– Co się z nim działo? Potem już nigdy go nie widziałem.

– Był bardzo dobrym żołnierzem. Walczył w Korei i Wietnamie. Służył w wielu jednostkach na całym świecie. Ożenił się z Francuzką. Miała na imię Josephine. Byli dobrym małżeństwem. Mieli dwóch synów. Zmarł trzydzieści lat temu.

– Był szczęśliwy?

– Był żołnierzem piechoty morskiej. W ich podręczniku polowym nie ma takiego terminu. Bywał zadowolony. Co najwyżej. Ale nigdy nie był nieszczęśliwy. Czuł, że gdzieś przynależy. Zbudował sztywną konstrukcję, na której zawsze mógł polegać. Nie sądzę, żeby chciał wybrać inaczej. Nadal obserwował ptaki. Kochał swoją rodzinę. Cieszył się, że ją ma. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Tylko że czasem wariował. Tak wtedy myśleliśmy. Nie wiedział, kiedy się urodził. Nie był tego

pewny. Teraz już rozumiem dlaczego. Pan urodził się w lipcu, a on w czerwcu. Pamiętał, bo dostawał kartki urodzinowe. I pewnie czasem mu się plątało. Ale z imieniem dawał sobie radę. Nigdy nie słyszałem, żeby się pomylił. Zawsze był Stanem.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas. Reacher spytał go o motel i swojego teoretycznego krewnego Marka, ale Stan nic o nim nie wiedział, nie licząc mglistej starej historii rodzinnej o dalekim kuzynie, który wzbogaciwszy się podczas powojennego bumy, nakupował ziemi i miał mnóstwo dzieci, wnuków i prawnuków. Mark był przypuszczalnie jednym z nich. Stan tego nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Wystarczyły mu wspomnienia i album ze zdjęciami.

Potem powiedział, że musi się zdrzemnąć. Godzinkę. Tak to działało, jego bezsenność. Kiedy mógł, szedł spać. I spał godzinę. Reacher znów uściskał zimną rękę i wyszedł. Powoli świtało. Słońce budziło się już ze snu. Wielebny i Amos czekali w samochodzie u wylotu uliczki. Widzieli, jak wychodzi. Burke opuścił szybę. Amos nachyliła się, żeby posłuchać. Reacher spojrział na niebo.

– Jadę do Ryantown.

– Profesor przyjedzie dopiero za kilka godzin – przypomniał mu wielebny.

– Właśnie dlatego.

– A ja muszę zająć się Carringtonem – powiedziała Amos.

– Może jest w Ryantown? Czemu nie? Każde miejsce jest dobre.

– Coś pan wie?

– Powinniśmy poszukać nie tylko jego, ale i Elizabeth Castle. Są bardzo romantyczni. Przerwa na poranną kawę była ich drugą randką. Daję głowę, że są razem.

– Dobrze, ale gdzie?

– Powiem pani później. Najpierw chcę jeszcze raz odwiedzić Ryantown.

Pojechali jej nieoznakowanym radiowozem. Ona prowadziła, a wielebny siedział skromnie obok niej. Reacher rozparł się na tylnym siedzeniu. Opowiedział im historię Stana. Spytali, jak się teraz czuje. Rozmowa była krótka. Odparł, że nic się nie zmieniło, nic oprócz drobnego szczegółu historycznego. Ojciec nosił kiedyś inne imię. Dawno temu, w dzieciństwie. Urodził się jako Bill, a potem został Stanem. Poza tym wciąż był tym samym człowiekiem. Tą samą bombą zegarową. Ale bombą zdyscyplinowaną. Jeśli ktoś postępował dobrze, dawał mu spokój. Umiał się bić i był szaleńczo odważny.

Kochał swoją rodzinę.

Całe życie obserwował ptaki.

Często gołym okiem, żeby mieć szersze pole widzenia.

– Matka wiedziała? – spytała Amos.

– Dobre pytanie – odrzekł. – Prawdopodobnie nie. Ona też miała tajemnice. Myślę, że w to nie wnikali, ani on, ani ona. Tak było lepiej. Czyste konto. Żadnych pytań. Może dlatego tak dobrze się dogadywali.

– Musiała się zastanawiać, dlaczego mąż nie ma rodziców.

– Pewnie tak.

– Pana też to zastanawia?

– Trochę. Przez te kartki urodzinowe. Jest w tym pewien smaczek. Nikły ślad, nie wiem, może tajnej agencji rządowej, która zajmuje się wszystkim, kiedy cię nie ma. Na przykład płaci za ciebie czynsz. Albo siedzieli w więzieniu. Musiałbym znać adres zwrotny.

– Poszuka pan? – zapytał wielebny.

– Nie.

Po prawej stronie wstawał świt i samochód wypełniło bursztynowe światło. Amos znalazła skręt. Łagodny w lewo, na drogę przez sady. Jasne promienie słońca padały z tyłu, coraz

wyżej i wyżej, aż w końcu trafiły w środek tylnej szyby. Amos zerknęła w lusterko wsteczne, przesłoniła oczy i zaparkowała przed ogrodzeniem.

– Pięć minut – powiedział Reacher.

Wysiadł i przeszedł przez ogrodzenie. Potem przez sad. Słońce świeciło mu w plecy i rzucał niekończący się cień. Przeszedł przez drugi płot. Przekroczył granicę miasta. Ciemniejsze liście, wilgotniejszy zapach. Mroczne cienie.

Szedł główną ulicą, tak jak przedtem, między drzewami, po wystających z ziemi kamieniach, obok kościoła i szkoły. Potem drzewa zrobiły się cieńsze, a słońce wspięło się wyżej. Na ziemi zamrugwały jaskrawe cętki. Nowy świat.

Usłyszał głosy. W oddali.

Dwojga ludzi. Lekkie i radosne. Rozmawiali o czymś miłym. Może o promieniach słońca. Jeśli tak, w pełni się z nimi zgadzał. Okolica wyglądała wspaniale. Jak reklama drogiego aparatu fotograficznego.

– Hej tam! – zawołał. – Oficer na kompanii! Oporządzić się i stanąć na baczność przy łózkach!

Nie chciał ich zawstydzić. Ani siebie. Wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Ona mogła być naga. A on bez sztucznej nogi.

Odczekał chwilę. Ponieważ nic się nie wydarzyło, poszedł do miejsca, gdzie stały domy mieszkalne i znalazł tam Cartera Carringtona i Elizabeth Castle, którzy stali obok siebie na widmowej ulicy w połowie drogi do rzeczki. Patrzyli na niego. Oboje ubrani. Choć swobodnie. On był w obcisłym podkoszulku i sportowych szortach. Ona w obciętych dżinsach i podkoszulku, który nie sięgał spodni. Za nimi, pod drzewem, stały dwa rowery górskie. Z grubymi oponami i mocnymi bagażnikami na duży ciężar. Za rowerami, na kamienistej ziemi, gdzie był kiedyś pokój dzienny brygadzysty z fabryki cyny, stał dwuosobowy namiot.

– Dzień dobry – przywitał go Carrington.

– Wam też życzę miłego – odrzekł.

– Miło pana widzieć, jak zawsze.

– Wzajemnie.

– Tylko czy na pewno widzimy się przypadkiem?

- Niezupełnie.
- Szukał nas pan.
- Było małe zamieszanie, ale okazało się, że to nic takiego – powiedział Reacher. – Już wszystko dobrze. Pomyślałem jednak, że i tak tu wpadnę. Żeby się pożegnać. Jadę dalej.
- Jak pan nas znalazł?
- Choć raz posłuchałem przedniej części mózgu. Chyba przypomniało mi się, jakie to uczucie. Mnie też przydarzyło się to parę razy, jak wam teraz. Myślisz, że minęło, a tu bum i znów kogoś spotykasz. I znów robisz te wszystkie sentymentalne rzeczy, których już nigdy miałeś nie robić. Co dwie godziny wymyślasz nową rocznicę, wspominasz to, co was połączyło. Niektórzy są naprawdę dziwni. Na przykład wy rozgryzacie Stana Reachera. Wiedziałem, że rozmawiacie o nim na randkach. Ostatni raz widziano was w urzędzie hrabstwa. Szukaliście go w rejestrze urodzeń. Chcieliście to zrobić jak trzeba, krok po kroku. Sumiennie i metodycznie. Żeby Stan był w pełni wasz. Jako wartość sentymentalna. Zdobyliście jego ostatni znany adres. Elizabeth wiedziała, gdzie to jest, bo już to rozpracowaliśmy, na jej telefonie. Więc przyjechaliście. Podróż śladami sprzed lat. Ludzie tak robią.
- Elizabeth i Carter uśmiechnęli się i wzięli za ręce.
- Cieszę się, że jesteście szczęśliwi.
- Dziękujemy – powiedziała Elizabeth.
- Dlatego to nie powinno mieć istotnego znaczenia – dodał Reacher.
- Ale co?
- Dla pełnej jasności muszę wam coś zdradzić. Okazuje się, że Stan Reacher nie był tym, kogo szukałem.
- To pana ojciec.
- Z pożyczoną metryką.
- Rozumiem.
- Mam nadzieję, że nie zepsuje to waszego związku.
- Kto pożyczył metrykę?
- Daleki kuzyn bez znanych przodków. Czarna dziura w drzewie genealogicznym.

- I jak się pan teraz czuje?
 - Wspaniale – odparł Reacher. – Im mniej wiem, tym lepiej.
 - I wyjeżdża pan.
 - Miło było was poznać. Życzę wam obojgu dużo szczęścia.
 - Jak miał na imię ten kuzyn? – spytał Carrington.
 - William.
 - Miałyby pan coś przeciwko temu, gdybyśmy się mu przyjrzeliz?
- To może być ciekawe. Lubimy takie rzeczy.
- Przyglądajcie się do upojenia – odrzekł Reacher.
- I dodał:
- W zamian za przysługę.
 - Jaką?
 - Przywitajcie się z moją znajomą. To tylko pięć minut spacerkiem stąd. Z panią detektyw Amos z tutejszej policji.
 - Z Brenda? – zdziwił się Carrington. – Co ona tu robi?
 - Teoretycznie rzecz biorąc, mogło panu coś grozić – wyjaśnił Reacher. – Nie uwierzy mi, dopóki sama pana nie zobaczy. Chciałbym, żeby powiedział jej pan, że żyje, wziął pan parę dni wolnego i wróci Bóg wie kiedy.
 - Ale co mi mogło grozić?
 - Jest pan trochę podobny do niedoszłej ofiary gangsterskiego zamachu. Detektyw Amos, jako osoba niezwykle sumienna i umiejąca myśleć lateralnie, uznała to za problem.
 - Martwiła się o mnie? Brenda?
 - Reprezentuje ich pan. Chyba pana lubią. Ale to oznaka słabości. W przyszłości musi pan być twardszy.
- Poszli razem główną ulicą. Obok szkoły i kościoła. Przecięli tonący w słońcu zdyscyplinowany sad. Amos i wielebny czekali na końcu drogi. Wymieniono uściski dłoni nad ogrodzeniem. Udzielono zapewnień. Oraz stosownych wyjaśnień. Urlop, brak zasięgu, bardzo przepraszamy. Nie ma sprawy, powiedziała Amos. Chciałam się tylko upewnić.
- Carter i Elizabeth wrócili do Ryantown.
- Reacher odprowadził ich wzrokiem. Potem przeszedł przez ogrodzenie i oznajmił:
- Postanowiłem darować sobie profesora. Uprzedzi go pan?

– Jasne – odrzekł Burke.

– A teraz dokąd? – spytała Amos. – Do Laconii?

Reacher pokręcił głową.

– Do San Diego.

– Stąd? Z tego miejsca?

– Nadaje się jak każde inne. Mój ojciec wyruszał stąd wiele razy. Tu mieszkał. Cały rok, kiedy miał sześć lat.

– Poważnie chce pan, żebyśmy zostawili pana na tym odludziu?

– Złapię okazję. Robię to nie pierwszy raz. Czterdzieści minut. Tyle mi to zajmie. W tych okolicznościach. W najgorszym wypadku pięćdziesiąt. Jedźcie. Miło było was poznać. Naprawdę. Doceniam waszą uprzejmość.

Przez chwilę stali, nic nie robiąc. Potem uścisnęli sobie ręce, nagle i ze skrępowaniem. Dwoje żandarmów i duchowny. Bez słowa.

Wielebny i Amos wsiedli do radiowozu i odjechali. Reacher długo za nimi patrzył. Najpierw zagotowały się wokół nich promienie porannego słońca, a potem zniknęły. Ruszył ich śladem, tym samym łagodnym łukiem drogi. Ze słońcem na twarzy. Dotarł do szosy północ-południe. Wybrał miejsce, stanął na poboczu i uniósł kciuk.

Tego autora

Jack Reacher

POZIOM ŚMIERCI
UPROWADZONY
WRÓG BEZ TWARZY
PODEJRZANY

ECHO W PŁOMIENIACH
W TAJNEJ SŁUŻBIE
SIŁA PERSWAZJI
NIEPRZYJACIEL
JEDNYM STRZAŁEM

wydanie specjalne z opowiadaniem „Nowa tożsamość Jamesa
Penneya”

BEZ LITOŚCI
ELITA ZABÓJCÓW
NIC DO STRACENIA
JUTRO MOŻESZ ZNIKNĄĆ
61 GODZIN

CZASAMI WARTO UMRZEĆ
OSTATNIA SPRAWA

wydanie specjalne z opowiadaniem „Drugi syn”

POSZUKIWANY
NIGDY NIE WRACAJ
SPRAWA OSOBISTA
ZMUŚ MNIE
STO MILIONÓW DOLARÓW
ADRES NIEZNANY
NOCNA RUNDA
CZAS PRZESZŁY

oraz

NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2010
(współautor)